

Z E S Z Y T D R U G I

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1962

ZESZYTY HISTORYCZNE

II

BIBLIOTEKA " KULTURY "

Tom LXXX

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

Z E S Z Y T D R U G I

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1962

P. 127.

**WSPOMNIENIA
O MARSZAŁKU ŚMIGŁYM**

PRZEDSŁOWIE

*Dziś inne ideały oraz inne hasła,
Nowi ludzie, więc książki również są odmienne;
Wspominają me myśli, zmęczone i senne,
Los dziwny bohaterów epoki, co zgasła...*

(Zygmunt Mocarcki 1913 r.)

Dziwny los człowieka w dziwnej epoce...

Biedny chłopczyzna, osierocony już w swoich dziecięcych latach, nie zna ciepłego uścisku matki, ani rodzicielskiego domu. Ciotka, która go początkowo przygarnęła, nie mogła mu zapewnić lepszej opieki, sama ciężko pracując na kawałek chleba. Zbiegowi okoliczności, sympatycznej twarzyczce, której dominującym akcentem były wyraziste, czarne, żarzące się oczy, a przede wszystkim wrodzonej inteligencji i zdolnościom zawdzięcza, że przytulili go w swym domu dobrzy i zamożni ludzie, doktorostwo Urbanowiczowie w Brzeżanach. Nie było to zresztą bezinteresowne, bo bardzo dobrze uczący się w szkole młody Edzio miał podciągnąć w nauce ich syna. W każdym razie Rydz miał odąd zapewnione warunki wychowania w środowisku kulturalnym i bez poważniejszych trosk materialnych. Wśród młodzieży gimnazjum brzeżańskiego Rydz wybija się wyraźnie, zarówno postęпами w nauce, jak powagą i szerszymi zainteresowaniami.

Po maturze Rydz odbywa służbę wojskową w c.k. armii, kończy chlubnie szkołę jednoroczną i uzyskuje następnie stopień oficerski, aby wyniesioną stąd wiedzę i doświadczenia przenieść

do „Strzelca”, w którego szeregi wstępuje już jako słuchacz uniwersytetu i Akademii Sztuk Pięknych.

Rydz, pseudo „Śmigły”, w szeregach „Strzelca” pogłębia swe wojskowe wiadomości, jest pilnym słuchaczem kursów i szkół oficerskich i wybija się tu także swymi zdolnościami, pracą i obowiązkowością. Jest współredaktorem regulaminów i wykładownicą, toteż, gdy wybucha wojna w 1914 roku, Piłsudski powierza mu dowództwo pierwszego baonu swojej brygady.

Odznaką oficera I Brygady Legionów jest tylko czerwony sznurek od gwizdka na piersiach, pobory są skromne i równe dla wszystkich bez względu na rangę, a zasadą jest, że każdy, w miarę swoich zdolności, inicjatywy i przedsiębiorczości, może zostać oficerem, tak samo każdy oficer, gdyby zawiódł, może być pozbawiony stopnia i stać się szeregowym.

Śmigły i jego batalion w bojach nie zawodzą, a gdy formują się z czasem pułki, wszyscy uznają za rozumiejące się samo przez się, że on właśnie zostaje dowódcą I pułku Legionów.

Był to moment kiedy pierwszy raz zetknąłem się bliżej ze Śmigłym, gdyż nasz, dotychczas VI Baon I Brygady L.P., wcielono jako II Baon do pułku Śmigłego.

Śmigły staje się osobistością coraz popularniejszą w społeczeństwie. Gdy Piłsudski z Sosnkowskim więzieni są w Magdeburgu, Śmigły obejmuje Naczelną Komendę P.O.W. i rozwija w latach 1917-1918 sieć tej konspiracyjnej organizacji, kierując sprzężenie jej oddziałami, aż do pamiętnych dni wyzwolenia w listopadzie 1918 roku.

Już w Polsce Niepodległej, Piłsudski powierza Śmigłemu najodpowiedzialniejsze zadania, jak zajęcie Wilna i pomoc Łotwie w 1919 r., zdobycie Kijowa i wreszcie przełomowe uderzenie od Wierza i podcięcie strategiczne Armii Czerwonej, co kończy zdecydowanie wojnę.

W czasach pokoju Śmigły jest Inspektorem Armii.

Śmierć Piłsudskiego wysuwa Śmigłego na stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Otrzymuje buławę marszałkowską, ale równocześnie przyjmuje na barki ciężki trud zreorganizowania Armii, unowocześnienia sprzętu, wypracowania nowych form i planów, odpowiedniej doktryny walki, nie mówiąc już o konieczności zajmowania stanowiska w różnych zawiłych politycznych i społecznych problemach państwa, nieodłącznych od zagadnień wojskowych „reprezentanta armii”, które wymagają wyrobienia i doświadczenia specyficznego, jakiego Śmigły nie mógł w dostatecznej mierze nabyć w dotychczasowym swoim charakterze pracy, czysto wojskowej, kiedy o sprawach politycznych decydował sam Piłsudski.

Trzeba było wiele rzeczy studiować, uzupełniać przed konsultacją z niezawsze szczęśliwie doboranymi doradcami, a równocześnie decydować i działać, pokonywać różne opory, forsować koncepcje wydające się słusznymi. Na to wszystko 3 lata czasu to zbyt mało, a warunki realizacyjne — jak wiadomo — znikome. Przychodzi wojna i Polska, pozostawiona sama, ulega olbrzymiej, przytłaczającej potędze wojennej maszyny Hitlera.

Następuje klęska wrześniowa i okoliczności jej towarzyszące.

Oszałamiające tempo wypadków pogrążyło cały naród w tak straszną tragedię, że zrozumiała jest odruchowa próba doraźnego szukania jej przyczyn, a że uproszczonym rozumowaniem biorąc, formalnie odpowiedzialny jest ten, kto stoi na czele aparatu obronnego państwa więc — Naczelný Wódz.

Tu nie było miejsca na zastanawianie się, czy wola odpowiedzialnej jednostki mogła sprostać w danych warunkach w grę wchodzącym siłom i środkom, czy większa lub mniejsza genialność wodza i przyjętej doktryny wojennej, mogła odwrócić bieg wypadków i nie dopuścić do klęski.

Do odruchowej, doraźnej opinii nieszczęśliwego społeczeństwa dołączyły się tendencyjne gry i gierki, wykorzystujące sytuację dla celów politycznych, a nieraz i porachunków osobistych, a nieszczęsny oskarżony, spętany internowaniem, nie mógł się bronić; zresztą, w tym czasie, nie to było i dla niego i dla narodu najważniejsze.

Skończyła się kariera ambitnego żołnierza, złamało się życie człowieka. Celem moich notatek nie jest polemika z zarzutami czy ocena Rydza Śmigłego. Znajdą się lepsze pióra i bardziej kompetentni ludzie, którzy przyczynią się do właściwego ustalenia historycznych faktów i obiektywnej oceny ludzi z tych czasów, a więc i jego osoby oraz roli we wrześniowym, przełomowym momencie naszych dziejów. Mam wrażenie, że — wbrew twierdzeniu niektórych aktualnych osobistości politycznych — historia jeszcze o tych sprawach nie powiedziała ostatniego słowa, bo i nie mogła...

Niezależnie od takiego, czy innego, ustosunkowania się do osoby marszałka Rydza Śmigłego, na ogół mało się wie o jego dalszych losach po przekroczeniu granicy rumuńskiej w dniu 17.IX. 1939 r. i jego internowaniu. Krążą różne wieści i plotki, oparte na oderwanych fragmentach, dowolnie kojarzonych i komentowanych.

Tak się złożyło, że brałem bezpośredni i czynny udział w wydarzeniach jakie towarzyszyły działalności i życiu Śmigłego pod koniec 1940 r., aż do listopada 1941 r. Niestety z ludzi, znających całość tych dzieł z własnego, bezpośredniego w nich udziału, zo-

stałem przy życiu sam jeden. Inni, a była ich szczupła garstka, albo zginęli, albo w międzyczasie umarli.

Żyje jednak jeszcze kilka osób, które brały udział w poszczególnych fragmentach akcji, a jakkolwiek — ze względu na konspiracyjny charakter działania, konieczny w ówczesnych warunkach — nie mogli obejmować całości wydarzeń, to na pewno ich relacje byłyby pożądanym uzupełnieniem niniejszych notatek.

Może opublikowanie moich wspomnień spowoduje i z ich strony próbę zarejestrowania dla historii znanych sobie szczegółów, które wymknęły się mojej pamięci, względnie miały miejsce poza moim osobistym udziałem.

Wszystkie nazwiska osób uczestniczących w akcji rejestruję kolejno, w miarę rozwijania się treści wspomnień. Nikt z wymienionych nie ma powodu — moim zdaniem — ukrywania swej roli, jaką w toku wydarzeń odegrał, gdyż wszyscy — zdaje mi się — działali z pobudek uczciwej lojalności wobec prześladowanego Iosem Marszałka i z przekonaniem, że częścią swego udziału w akcji spełniają czyn patriotyczny, mogący mieć znaczenie w walce z wrogiem, toczonej przez cały naród.

Nie jestem literatem i dlatego z góry proszę pod tym względem o wyrozumiałość, mam tylko ambicję zreferować wiernie i obiektywnie fakty, tak jak się one przedstawiały mnie i garstce ludzi w nich uczestniczących. W naszych oczach Marszałek Rydz Śmigły, w tym okresie swego życia, choć przybity nieszczęściem narodowym i poczuciem osobistej krzywdy, pozostał do ostatniego tchu niezłomnym żołnierzem i gorącym patriotą.

A u t o r

Nigdy nie przypuszczałem, przekraczając 18.IX. 1939 r. granicę polsko-węgierską, że w kilkanaście miesięcy później los złączy mnie bardzo blisko i na dłużej z marszałkiem Edwardem Rydzem Śmigłym, który w tym właśnie czasie znalazł się, również w charakterze uchodźcy, na terytorium Rumunii.

Nie pisałem wtedy żadnego pamiętnika, czy dziennika, gdyż — uważając się tylko za drobną cząstkę całej masy uchodźców — nie sądziłem, aby moje osobiste spostrzeżenia i przeżycia miały być dla kogokolwiek szczególnie ciekawe i potrzebne.

Wspomnienia swoje zacząłem notować po raz pierwszy dopiero w 1942 r., gdy zamknął się pewien okres przeżyć, w którym przypadkowo, choć dobrowolnie, brałem udział w rzeczywiste ciekawych dla historyka, a nieznanym ogółowi wypadkach, związanych z ostatnim rokiem życia marszałka Rydza Śmigłego.

Zanim jednak przejdę do tych wydarzeń sądzę, że słuszne jest zatrzymać się nieco, aby omówić sprawy uchodźcze na Węgrzech, tak jak one się układały w moich oczach od września 1939 r. Na ogół Węgrzy zorganizowali przyjęcie kilkudziesięciotysięcznej fali polskich uchodźców zupełnie poprawnie i z dużą dozą życzliwości i dobrej woli, jakkolwiek początkowo wydawali się zaskoczeni i nieprzygotowani. Po załatwieniu niezbędnych formalności, związanych z przekroczeniem granicy, formacje wojskowe — po złożeniu broni — były transportowane do obozów zwartych w koszarach i barakach w różnych stronach Węgier. Oficerowie, nie związani z formacjami, i ich rodziny, byli również kierowani do obozów, które jednak na ogół nie miały charakteru koszarowego, były to bowiem przeważnie kwatery, grupkami, czy rodzinami, ograniczone granicami danej miejscowości, podlegające co prawda pewnym rygorom i przepisom, ale stosunkowo nie zbyt uciążliwym. Każdy taki obóz miał swojego „starszego



obożu”, który załatwiał bezpośrednio sprawy uchodźców u komendanta obozu, oficera węgierskiego.

Uchodźcy cywilni byli również kierowani w różne strony do podobnych obozów kwaterunkowych, gdzie jednak „starszy obozu” miał do czynienia nie z oficerem, lecz z „notarem” czyli wójtem. Władze węgierskie starały się, aby uchodźcy byli zakwaterowani i wyżywieni, a inne potrzeby załatwiano z biegiem czasu już przy pomocy społecznej, jak Czerwony Krzyż i Komitety Pomocy Uchodźcom, amerykański, angielski, węgiersko-polski.

Oczywiście początkowo było sporo niedomagań, a nawet nieporozumień lokalnych, zwłaszcza tam, gdzie miejscowe czynniki, albo były nieporadne, albo, jak to miało miejsce zwłaszcza w niektórych obozach wojskowych, gdzie politycznie uprzedzone do Polaków walczących z Hitlerem jednostki miały pretensje i żale. Trzeba jednak przyznać, że tego rodzaju nieporozumienia władze centralne likwidowały szybko i lojalnie.

Nie należy zapominać, że do końca 1940 r. czynne było w Budapeszcie poselstwo polskie i konsulaty, poprzez które władze polskie z Francji, a potem z Anglii mogły roztaczać opiekę nad uchodźcami. Ponieważ Rząd węgierski miał pewne zobowiązania finansowe w stosunku do Polski, nie trudno było dojść do porozumienia rozliczeniowego za opiekę nad uchodźcami, tak, że mniej więcej od grudnia 1939 r. mogli uchodźcy dostawać nawet indywidualnie stałe zapomogi pieniężne. Uchodźcy, którzy mieli dostateczne środki na utrzymanie się samodzielne, bądź mieli znajomych obywateli węgierskich, chcących ich zabrać do siebie na utrzymanie, albo jeżeli mieli jakieś zajęcia, mogli mieszkać poza obozami, nawet w Budapeszcie, a podlegali tylko ogólnej ewidencji centralnego urzędu dla spraw cudzoziemców, tzn. w skrócie „K.E.O.K.”, obowiązkowi meldowania się w określonym czasie, a gdy zamierzali gdziekolwiek wyjechać, winni byli postarać się o odpowiednią przepustkę. W obozach przepustki również wydawano.

Jeśli chodzi o mnie, to przyjechałem do Budapesztu z moim przyjacielem dr. Józefem Garbieniem autem prywatnym, oddanym mi do dyspozycji jeszcze w kraju przez redaktora Zygmunta Halbera ze Lwowa. Zajechaliśmy najpierw do podpułkownika Jana Emisarskiego attaché wojsk. przy poselstwie polskim, z którym znałem się z dawnych czasów.

W poselstwie polskim, dokąd zająłem następnego dnia, stwierdziłem tylko zamieszanie, bezradność i tchórzostwo, szczególnie przygnębiające wrażenie zrobiły na mnie wychylające się zza szafy portrety Mościckiego i Śmigłego, a na ścianach świeże po nich ślady. Pochopność zastanawiająca... Jakkolwiek koło pań

węgierskich bezzwłocznie zorganizowało węgiersko-polski Komitet opieki nad uchodźcami, a równolegle zaczynały powstawać i inne podobne organizacje, chodziliśmy po Budapeszcie na razie bezradni i jeszcze bardziej przygnębieni.

W najbliższą niedzielę zebraliśmy się tłumnie w pieczarach na górze św. Gellerta, gdzie była nastrojowa grota kościoła Ojców Paulinów z ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej. Niezapomniane wrażenie zrobiło na wszystkich odśpiewanie po mszy hymnu „Boże coś Polskę”, kiedy przy refrenie „Ojczyznę wolną” musieliśmy śpiewać „racz nam wrócić Panie”. Mało kto z nas nie miał łez w oczach. Jakże bolesną była refleksja, że znów wróciła niewola sprzed 1918 r., boć przecież od dziecka do listopada 1918 r., tak właśnie kończyliśmy ów hymn kościelny.

W końcu września dowiedziliśmy się, że Prezydent Mościcki przekazał władzę na ręce Władysława Raczkiewicza, który jest w Paryżu, tworzy rząd z premierem gen. Sikorskim, po dymisji internowanego w Rumunii gen. Sławoja Składkowskiego.

Nikomiu przez myśl nie przeszło jakiegokolwiek kwestionowanie kogokolwiek z osób występujących na nowej arenie. Cieszyliśmy się, że jest legalna ciągłość władzy, że nadal jesteśmy pełnoprawnym, suwerennym partnerem w wojnie.

Przyszły już nowe instrukcje dla polskich placówek dyplomatycznych. Zaroїło się w konsulacie polskim przy Vaci utca 34. Wszyscy chcieli natychmiast wyjeżdżać dalej na Zachód.

Rozumieliśmy, że — skoro jest wojna — nowy rząd potrzebuje przede wszystkim żołnierzy czynnych, toteż bez szemrania przepuszczaliśmy w kolejkach po paszporty przede wszystkim czynnych oficerów i szeregowych. Zaczął się ich tłumny odpływ. Ponieważ nie można było jechać w mundurach, przebierało się bractwo, jak można było, w ubrania cywilne, byle jakie, aby tylko przejechać. Jechało wszystko przez Jugosławię i Włochy do Francji, pociągami i samochodami, bez większych przeszkód po drodze, a Węgrzy przymykali oczy, że coraz bardziej pustoszeją obozy wojskowe. Zresztą napływ uchodźców nie ustawał i codziennie ukazywały się jakieś nowe twarze, bądź to przybyli dopiero z kraju, bądź gdzieś z odległych obozów. Niektórzy, jak np. gen. Dąb-Biernacki, gen. Sosnkowski i inni, prawie bezzwłocznie jechali dalej, nie zatrzymując się zbytnio.

Poza YMCA, zorganizowaną przez Amerykański Komitet Pomocy Polakom, czynną od 17-22 godz., gdzie gospodarzem był gen. Stefan Hubicki, który przy pomocy żony i kilku osób, pracujących w tej instytucji jeszcze w Polsce, starał się stworzyć jak najcieplejszą, swojską atmosferę — uchodźcy zwykli byli spotykać

się, zwłaszcza przed południem, w kilku miłych i tanich kawiarniach — ekspressach, zwłaszcza w pobliżu konsulatu, gdzie można było swobodnie porozmawiać i wymienić informacje. Czerpaliśmy je bądź z radia, bądź z prasy, albo od świeżo przybyłych z Polski, czy z Francji. Jednym z takich prawie stałych, a niewyczerpanych w zbieraniu optymistycznych informacji i komentowaniu ich był w początkowym okresie b. min. Gallot, a później w „YMCE”, czyli, jak się oficjalnie nazywała, w „Świetlicy Polskiej” przy Tatra — u. 3, prof. dr Wacław Lipiński i młody redaktor Janusz Kowalczyk. Poza tym rozchwytywano „Więści Polskie”, tygodnik redagowany przez dr. Kościuszkę przy Erzsebet-körut 9, wreszcie z ciekawością oglądano w kinach kroniki tygodniowe.

Ja z dr. Garbieniem siedywaliśmy zazwyczaj w kawiarni „King”, gdzie spotykaliśmy się przy stoliku z przebywającym także w Budapeszcie, woj. Jareckim i wicewoj. Seidlitzem ze Stanisławowa, wicewoj. Salonim, Piotrem Małazzyńskim, naczelnikiem Michałem Stefanickim i innymi. Podchodzili często do nas znajomi, których profile notował nieraz z satysfakcją znany karykaturzysta Jotes, przy sąsiednim stoliku.

Od Jareckiego dowiedzieliśmy się już szczegółów o samobójstwie w Ungwarze woj. dr. Biłyka. Nie mógł on nerwowo znieść faktu, że jeszcze 15 września zapewniał całe społeczeństwo przez lwowskie radio, iż pozostaje ze wszystkimi na miejscu, aby bronić przed wrogiem grodu, który ma w herbie słuszne hasło „Semper fidelis”, a jednak dał się przekonać czynnikom wojskowym, że jego obecność we Lwowie już jest zbędna i — 17 września skierował się na Węgry, jako uchodźca. Dobiła go ponadto wiadomość, że syn jego zginął w walkach z Niemcami.

Znalazł się jeszcze jeden wojewoda, a mianowicie dr Tymiński z Krakowa, który zdążył już być w Rzymie, rozmawiał tam z ambasadorem Wieniawą-Długoszowskim, a stamtąd, sam nie zdając sobie z tego sprawy — dlaczego, przyjechał na Węgry. Nerwowo był prawie wykończony i pragnął tylko usunąć się w cień, gdzieś do obozu nad Balatonem.

Właściwie przestaliśmy się już dziwić czemukolwiek. Każdy po własnych różnych przeżyciach, wytrącony nagle z normalnych warunków i starający się odszukać siebie, powziąć jakiś plan w nowej sytuacji, stał się, przynajmniej w pierwszym okresie, stosunkowo mało wrażliwy wobec cudzych doznań i psychicznych na nie reakcji. Wiedzieliśmy wszyscy co przeszliśmy, zdawaliśmy sobie sprawę z wagi wypadków, ale przyszłość była dla nas wielką niewiadomą, a rola i dalsze losy każdego z nas — zupełnie zagadkowe.

Zazdrościliśmy wojskowym, którzy tych problemów nie mieli, a przynajmniej nie w takim stopniu. Dla nich było jasne, że wojna dopiero się zaczęła i trwa, a oni w niej mają swój zapewniony udział, do tego — zdawało się — w warunkach o wiele lepszych, aniżeli w ubiegłej kampanii w kraju. Należało jednak coś postanowić, coś zrobić. Po otrzymaniu oficjalnych wiadomości o ukonstytuowaniu się nowego rządu w Paryżu wysłaliśmy natychmiast na ręce premiera gen. Sikorskiego depeszę z wyrazami oddania i należącego hołdu.

W ślad za depeszą przesłaliśmy, już za pośrednictwem attaché Emisarskiego, obszerniejszy memoriał, do którego dołączyliśmy wykaz wszystkich urzędników administracyjnych, sądowych, skarbowych, profesorów itp. osób cywilnych, których obecność na Węgrzech zdołaliśmy ustalić, a przy nazwiskach podaliśmy urzędową funkcję dotychczasową, studia, stopień wojskowy i stan fizyczny. W memoriale oddawaliśmy się wszyscy do dyspozycji premiera Sikorskiego, z tym, że — rozumiejąc, iż obecne warunki nie pozwalają na użycie wszystkich w służbie administracyjnej — podajemy stosunek do służby wojskowej każdego i prosimy o zadysponowanie nami według potrzeby w wojsku, nawet bez uwzględnienia stopnia wojskowego.

Na odpowiedź czekaliśmy dość długo, bo dopiero pod koniec stycznia 1940 r. na ręce woj. Jareckiego nadszedł list, za pośrednictwem poselstwa polskiego w Budapeszcie, podpisany własnoręcznie przez gen. Sikorskiego. Premier lakonicznie potwierdza w nim otrzymanie memoriału i zawiadania, że „ani obecnie, ani w przyszłości nie zamierzam skorzystać z Waszej gotowości służby. Jeżeli jesteście w posiadaniu jakichś przedmiotów, będących własnością skarbu państwa — mówi dalej odpowiedź premiera — należy je w myśl odnośnego dekretu rządu przekazać najbliższej placówce dyplomatycznej R.P., a co się tyczy ewentualnej służby w wojsku, należy się o to ubiegać drogą normalną w Konsulacie R.P.”.

Na nasz akt lojalności i gotowości służby otrzymaliśmy taką krótką i lakoniczną odpowiedź.

W tym czasie jednak, tzn. z końcem stycznia 1940 r., list gen. Sikorskiego już nas nie zdziwił, bowiem stwierdziliśmy cały szereg zjawisk, z których wynikało, że ktokolwiek był przywiązany względnie w jakikolwiek sposób złączony z b. reżymem „sanacyjnym”, a zwłaszcza, jeśli, broń-Boże, był b. legionistą czy tzw. „piłsudczykiem”, ten powinien znaleźć się „za burtą”...

Zanim dnia 9 grudnia 1939 r. została powołana emigracyjna Rada Narodowa, która składała się wyłącznie z byłej, obecnie zjednoczonej opozycji, placówki dyplomatyczne otrzymały poufne

instrukcje mniej więcej w tym sensie jak brzmiał list gen. Sikorskiego do nas, adresowany na ręce woj. Jareckiego. Ponieważ ze zrozumiałych względów nie można było w tym czasie zmieniać przedstawicieli dyplomatycznych, a — jako mianowanym jeszcze przez b. reżym — nie można było zbyt zaufać, przeto postarano się do tych przedstawicielstw przydzielić nieoficjalnych „mężów zaufania” z nieograniczonymi kompetencjami politycznymi.

Na Węgrzech w tym okresie takim „politrukiem” był ksiądz płk. Miodoński, onże dziekan, b. D.O.K. w Przemyślu, wówczas prawa ręka min. gen. Kasprzyckiego do organizowania „Szlachty Zagrodowej”. O jego aktualnej politycznej „prawomyślności” przekonaaliśmy się wcześniej, gdy — nie mogąc się doczekać odpowiedzi od premiera na nasz memoriał — złożyliśmy w Konsulacie indywidualne podania o przyjęcie nas do służby wojskowej i wysłanie do nowo-formującej się armii polskiej we Francji.

Bardzo szybko dano nam do zrozumienia, że „na razie nie można nas przyjąć”.

Chłoniliśmy wszystkie wiadomości z Francji, interesowaliśmy się postępowaniem tworzenia nowej armii polskiej i w ogóle wszystkim. Tymczasem na froncie zachodnim, można powiedzieć za Remarque’iem „bez zmian”.

Sensacją dopiero stało się dla nas wielkie przemówienie gen. Sikorskiego na Radzie Narodowej, które drogą przez „Więści Polskie” doszło do nas prawie bez skrótów. Otóż dziwiliśmy się, że Sikorski poświęcił bardzo dużo miejsca w swoim przemówieniu rewelacjom, jakoby na Węgrzech przygotowywał się jakiś tajny „Rząd Polski”, który ma za zadanie, po spodziewanej niedługo klęsce Niemców, uprzedzić Sikorskiego, wkroczyć do Polski i objąć rząd.

Z niedowierzaniem przypominaliśmy sobie różne wybitniejsze osoby spośród emigracji na Węgrzech i w żaden sposób nie mogliśmy się domyślić o kogo by tu chodziło. Oczywiście mógł to być tylko jakiś pomysł „sanacyjny”, jakby wynikało z tonu przemówienia, ale istotnie nie widzieliśmy na Węgrzech odpowiednich do takich przedsięwzięć osób. Poza tym, gdyby nawet coś takiego ktoś zamierzał, to niewątpliwie musiałyby się to o nas otrzeć. A tu nic.

Płk Król zapatrywał się na to żartobliwie, mówiąc, że widać „dwójka” nie ma co robić, więc wymyśla podobne historie. Nam również wydawało się, że tu zapewne jakiś nadgorliwiec przesadził w doniesieniach do Paryża, ale nie przypuszczaliśmy, aby Sikorski tak bezkrytycznie przyjmował informacje i tak je brał na

serio. Dla nas nie ulegało wątpliwości, że jest to jakaś mistyfikacja.

Byłbym zresztą o tym rychło zapomniał, jako o głupstwie, gdyby nie zjawiła się p. Emisarska, po powrocie z Paryża.

Niemal pierwsze swe kroki w Budapeszcie skierowała do nas.

Przyszła pewnego dnia przed południem i po paru konwencjonalnych komplementach, po podziękowaniu za stołowanie męża, wytłumaczeniu go, że nie mógł niestety nadal korzystać z naszej gościnności mimo, że bardzo mu obiady smakowały i dogadzało towarzystwo, opowiedziała coś niecoś o życiu w Paryżu, o tamtejszych swarach itd. Wreszcie przeprosiła, że niestety ma jeszcze pozatławić szereg rzeczy, a żegnając się z nami zwróciła się do mnie z zapytaniem, czy nie chciałbym jej trochę odprowadzić. Po drodze oświadczyła, że ma wielką ochotę na kawę z ekspresu, a, nie chcąc sama iść do kawiarni, poprosiła mnie o towarzystwo.

Przy kawie w dalszym ciągu opowiadała o życiu w Paryżu, o swojej podróży, o nastrojach, o spotkanych wspólnych znajomych i nawzajem wypytywała, jak nam się żyje w Budapeszcie i co sływać w ogóle.

Nagle — jakby sobie coś przypominając — zapytała, co właściwie jest z tym jakimś zakonspirowanym rządem polskim na Węgrzech?

— Pan przecież musi coś o tym wiedzieć — zaczęła nalegać coraz natarczywiej.

— Niech Pan powie, przecież zna mnie Pan, że można mi zaufać.

Wszelkie moje wyjaśnienia, że nie wiem o niczym i uważam tę całą historię za jakiś pomyłony wymysł, nie wydawały się jej wystarczające, bo widziałem, że słucha bez przekonania. Przy pożegnaniu nie potrafiła ukryć swojego rozczarowania. Widać, że bardzo jej zależało na uzyskaniu jakichś konkretnych wiadomości i że sama mocno w tę całą mistyfikację wierzyła.

Osobiście odniosłem wrażenie, że tak żywe zainteresowanie się tą sprawą nie wynikało ze zwykłej tylko ciekawości. Widać, że Paryż mocno był tą całą historią zaintrygowany, czy zaniepokojony, i że w nią wierzono, tak jak wierzono i w rychłe rozstrzygnięcie wojny na niekorzyść Niemców, bo tylko na tym tle mogła zrodzić się obawa przed jakimś „konkurentem”, przygotowującym się do wyścigu do objęcia władzy w Polsce wyzwolonej.

Niezależnie od rozwiniętego w tym kierunku wywiadu należało zabezpieczyć się i w inny sposób przed ewentualnymi uzurpatorami spośród osób dotychczasowego w Polsce reżymu. Postanowiono ze-

brać dokumentację kompromitującą „winowajców klęski wrześniowej”.

Na czele powołanej w tym celu instytucji stanął gen. Józef Haller, jak dowiedzieliśmy się z komunikatu prasowego „Więści Polskich” i z radia.

Na terenie Budapesztu zetknęliśmy się dość wcześnie z działalnością tej Komisji. Pewnego razu, zajrzawszy z nawyku do Konsulatu, zaszedłem do jakiegoś obszerniejszego pokoju, z którego dochodził gwar wielkiej ilości osób. Przy wielu stolikach siedziało po dwóch dżentelmenów, z których — jak się zorientowałem — jeden coś spisywał gorliwie na arkuszach papieru, a drugi odpowiadał czy zeznawał. Wśród stolików i pod ścianami stało lub kręciło się jeszcze trochę ludzi. Podchodząc do najbliższego stolika dosłyszałem urywek pytania:

— Więc nie ma pan żadnego osobistego dokumentu?

— Nie, proszę pana, bo przechodząc przez zieloną granicę nie chciałem mieć przy sobie nic, co by mnie mogło zdradzić.

W tym momencie indagowany odwrócił się odruchowo i przypatrzwszy mi się bliżej, zerwał się z krzesła i zaczął się serdecznie witać, a zwracając się do przesłuchującego, prawie krzyknął rozpromieniony:

— No widzi pan, p. Rogowski może stwierdzić moją tożsamość, gdyż znamy się od dawna.

Był to płk. Prot, którego istotnie znałem jeszcze z legionów. Słyszając moje nazwisko przesłuchujący podniósł się i przedstawił się rzekł:

— Bardzo się cieszę z przypadkowego spotkania p. wojewody, gdyż miałem zamiar odszukania go i poproszenia o pewne potrzebne nam dane. — Tu wyjaśnił, że jest członkiem zespołu, wyznaczonego przez Komisję, mającą na celu ustalenie przyczyn klęski wrześniowej i właśnie chciał ode mnie także zasięgnąć pewnych informacji.

Od sąsiedniego stoliku w międzyczasie doszły mi słowa indagacji jakiegoś innego przesłuchiwanego:

— Więc niech pan dokładnie powie, w którym punkcie przekroczył pan granicę i przy czyjej pomocy?

To mnie mocno zaniepokoiło, więc zwracając się do mojego rozmówcy, o ile sobie przypominam p. Trembeckiego, rzekłem przyciszonym głosem:

— Owszem, chętnie panu służę wszystkimi dostępnymi mi wiadomościami, jakie posiadam i które mogą pana zainteresować, ale w żadnym wypadku nie tutaj, w tym zgiełku, gdzie zresztą nie wiadomo, kto może podsłuchać. W ogóle dziwię się, że tak bezceremonialnie wypytuje się o szczegóły przejścia granicy, gdzie

takie informacje, podsłuchane przez niepowołaną osobę, mogą kosztować życie niejednego tam w kraju...

P. Trembecki zdawał się być trochę zaskoczony, ale i przekonany moją uwagą i — próbując się wytłumaczyć ciasnotą lokalu — obiecał skwapliwie, że zaraz wyda odpowiednie zarządzenie, jeśli zaś chodzi o rozmowę ze mną, to pozostawia mi do woli, czy on ewentualnie przyjdzie do mnie do mieszkania, czy też ja zechciałbym przyjść do niego do pensjonatu.

Zgodziłem się, że chętnie odwiedzę go, więc podał mi adres i pożegnaliśmy się bardzo uprzejmie. Płk Prot pozostał, ale już w innej sytuacji i — jak mnie zapewnił p. Trembecki — nic nie stanie na przeszkodzie rychłego jego wyjazdu do Francji, jako specjalisty od fabrykacji materiałów wybuchowych. Istotnie niebawem wyjechał.

Ja, dotrzymując obietnicy, odwiedziłem p. Trembeckiego w luksusowym pokoju pierwszorzędnego pensjonatu, gdzie mieszkał razem z żoną, również pracownicą komisji do badania przyczyn klęski wrześnieowej.

Wyjaśnił mi, że chodziłoby mu o szereg danych, jak był przygotowany elaborat mob. u władz administracyjnych, jak zdał egzamin, jakie były ewentualne jego wady i o ile miały one wpływ na przebieg kampanii. W dalszej rozmowie, pokazując mi swoje pełnomocnictwa i legitymację, przyznał, że w sprawach mob. zupełnie się nie orientuje, bo nigdy nie miał z nimi nic do czynienia. Z zawodu był handlowcem i prowadził w Warszawie sklep z przyborami strażackimi.

Doszliśmy wnet do porozumienia, że trudno byłoby mi z nim omówić sprawę zawikłanego elaboratu, o którym nie miał pojęcia, poza tym zrozumiał, że na terenie Francji jest wielu ludzi, którzy równie dobrze, jak ja tutaj, mogą o tych rzeczach złożyć wyczerpujące zeznania. Mogę go tylko ogólnie poinformować, że elaborat zdał na ogół egzamin, jeśli chodzi o wyznaczone w nim czynności władz administracyjnych. Mobilizacja — przynajmniej jeśli chodzi o województwo tarnopolskie, a słyszałem, że i na innych terenach — przeszła sprawnie i bez jakichkolwiek zgrzytów. Stawiennictwo zmobilizowanych było znakomite, co należy podkreślić zwłaszcza jeśli chodzi o tereny narodowościowo mieszane, konie, wozy, bydło, zboże itp. były dostarczane sprawnie i obojętnie, a płacono należności bezzwłocznie i po zadawalających ustalonych cenach. Poza tym świadczenia ludności cywilnej np. przy szarwarkach, wartach itd. były chętne i sumienne. Z tej strony armia nie miała żadnych trudności, a co się tyczy elaboratów mob. wojska, to już nie leży w mojej kompetencji i zapewne znajdą się pod tym względem wypowiedzi fachowe.

Dowiedziałem się przy tej sposobności w dalszej rozmowie, że na czele komisji na Węgrzech stoi ktoś z b. Pagedu z Gdyni, nazwiska nie pamiętam, że aparat cały jest dość liczny i świetnie płatny, bo diety i koszty pobytu na Węgrzech pobierają wysokie w dolarach, że wysyłają co parę dni całe stopy protokołów z przesłuchań różnych uchodźców i że ten cały materiał jest zbierany i opracowywany w centrali w Paryżu.

Dla mnie zetknięcie z tą akcją było jeszcze jednym dowodem, że ludzie obecnego reżymu w Paryżu zabrali się zdecydowanie i z dużym nakładem różnych środków i energii do walki ze wszystkimi i wszystkim, co miało styczność z rządami przedwrześniowymi.

Czy Sikorski, oparty o zjednoczoną — tylko na tym punkcie — opozycję, poprowadzi lepiej sprawy polskie i dobierze sobie lepszych ludzi, trudno było przesądzać. Cieszyłbym się, gdyby tak było, choć nie sądzę, aby tę stosunkowo nie dużą garstkę Polaków na emigracji trzeba by koniecznie przesiewać przez gęste sito uprzedzeń i nienawiści partyjnych, gdy potrzebna była każda ręka, która by była zdolną do walki z wrogiem. A wróg ten dawał coraz więcej dowodów, że chodzi mu o totalne zniszczenie całego narodu, że przystąpił do tego z nieubłaganą pruską pedanterią, z iście teutońską brutalnością i okrucieństwem.

Już od doktora Garbienia, w liście przesłanym z Krakowa przez zaufanego górala, doszły nas wiadomości o masowych egzekucjach bezbronnej ludności, o wywiezieniu profesorów krakowskich, o łapaniach i zsyłkach do obozów, przepelnionych więźniach, o niszczeniu zabytków polskiej kultury, itd.

Czyż to był akurat czas na porachunki polityczne, spychanie ludzi poza nawias możliwości udziału w walce, sianie rozżalenia i skazywanie na izolację, nawet fizyczną, bo doszły nas słuchy o organizowaniu obozu dla pewnej kategorii uchodźców — w Algierze?...

Niewesołe były nasze rozważania i rozmowy. Tu i ówdzie zaczęły się już uwidocznić skutki tej polityki podziału na uprzywilejowanych i odtrąconych.

Trzeba tutaj przyznać, że konsul w Budapeszcie, jeśli się nie mylę co do nazwiska — Zarański, o ile nie było sprzeciwu ze strony ks. Miodońskiego, załatwiał bardzo sprawnie ekspedycję przybyłych, zdolnych do broni i chcących jechać do Francji.

Zazwyczaj wyjeżdżający pozostawiali nam adresy swoich najbliższych w kraju, a wzięwszy nasz adres pisali potem listy, które tylko wkładaliśmy w inne koperty i pod znaczkami pocztowymi neutralnych Węgier wysyłaliśmy do Polski.

Tą samą drogą szły listy od rodzin z kraju do ich najbliższych we Francji. Korespondencja ta była coraz liczniejsza i dość

żywa, ale w naszej przymusowej bezczynności dawała nam duże zadowolenie, bo sporo wiadomości, a najważniejsze, to poczucie pewnej przydatności. Nieraz wzruszające były podziękowania uszczęśliwionych naszym pośrednictwem osób, jak np. przypominam sobie serdeczny list wdowy po śp. gen. Maksymowicz-Raczyńskim, której jedyny syn przeszedł przez naszą kwaterę i w którego korespondencji z matką udało się mi pośredniczyć, aż do wplątania się później Węgier w wojnę.

Poczta węgierska funkcjonowała bardzo dobrze, a w razie zmiany adresu listy były doręczane bez większej zwłoki pod nowym adresem, więc nic nie przeszkadzało ciągłości korespondencji.

Oczywiście listy były pisane w ten sposób, że cenzura niemiecka nie domyślała się wcale adresatów z wrogiej armii. Tylko w niewielu wypadkach musieliśmy otrzymywane z Francji, czy potem z Anglii, listy przeredagowywać.

W marcu konsulat polski zaapelował do uchodźców, którzy posiadali prywatne auta, aby je zgłosić do ewentualnego wykupna przez konsulat dla potrzeb naszej armii we Francji.

Wobec beznadziejności naszego wyjazdu, postanowiłem przynajmniej zgłoszeniem swego samochodu zamanifestować chęć pomocy wspólnej sprawie.

Komisja, specjalnie do tego celu powołana, oszacowała mojego Chevroleta na 8.000 zł. i wystawiła pokwitowanie, według którego ta kwota miała być wypłacona przez Skarb Państwa — po wojnie... Ostatecznie, ponieważ nie byłem bez środków, zgodziłem się i na tę deklaratywną zapłatę, pozostawiając auto do dyspozycji konsulatu. Wobec doskonałego stanu wozu odszedł on niebawem na miejsce przeznaczenia do Francji, o czym mi zakomunikował w parę dni później członek komisji.

Co prawda, niektórzy znajomi trochę podkpiwali z mojej „lekkomyślności”, ale osobiście byłem przekonany, że w tych czasach nie była to największa ofiara.

Tymczasem wiosna zaczęła się budzić energicznie. Z początkiem kwietnia kuzynowstwo Dubay'owie, zaproponowali mi, abym — zamiast siedzieć w Budapeszcie — przeniósł się na letnie miejsce do ich willi nad Balatonem w Balatonföldvár, z której oni korzystają tylko podczas wakacji w lipcu i w sierpniu a poza tym stoi ona bezużytecznie, całkowicie urządzona i zaopatrzona we wszystko, co potrzeba.

Dnia 9 maja, gdy w piękne przedpołudnie, oczekiwałem na werandzie listonosza, spostrzegłem wchodzącego do ogrodu przystojnego szczupłego mężczyznę, w którym niebawem rozpoznałem wojewodę Jareckiego. Wszystkiego mógłbym się spodziewać,

ale nie jego wizyty w tym zakątku, tak odległym od Budapesztu. Wybiegłem naprzeciw i powitałem go serdecznie.

Jarecki, po przywitaniu i rzuceniu paru komplementów pod adresem piękności willi i jej otoczenia, oraz mojego czerstwego wyglądu, nagle przyjął poważną minę i oświadczył, że najpierw chciałby załatwić sprawę służbową, która go tu sprowadziła.

Zdziwiony trochę poprosiłem go na werandę, a gdy zasiadliśmy przy stole i zapaliliśmy papierosa, Jarecki zaczął:

— Przyjeżdżam do was służbowo na prośbę pośła Orłowskiego. Wezwał mnie on wczoraj do siebie i oświadczył, że otrzymał polecenie z Paryża, aby mnie, wam, gen. Sawickiemu, ppłk. Rudnickiemu i jeszcze jakimś dwom czy trzem osobom spośród tutejszego uchodźstwa zaproponować bezwzględny wyjazd do Algieru. Chodzi o to, że sytuacja tak wygląda, iż my właśnie jesteśmy poważnie zagrożeni ze strony Niemców, którzy łatwo mogą zająć Węgry i nas ująć...

— Paszporty będą nam natychmiast załatwione i otrzymamy wszelkie środki, abyśmy podróż odbyli jak najszybciej i jak najwygodniej.

Gdy mu zakomunikowałem — ciągnął dalej Jarecki, — że wy bawicie obecnie w Balatonföldvar proszę mnie, abym zaraz na koszt poselstwa do was pojechał, celem powtórzenia wam tego wszystkiego. Mam mu jutro przywieźć waszą odpowiedź, względnie przyjechać z wami, o ile jesteście zdecydowani na ten wyjazd.

— Czy mogę wiedzieć — spytałem — co wyście mu na to odpowiedzieli?

— Owszem powiem wam, ale po usłyszeniu waszej odpowiedzi, bo nie chciałbym, abyście się czymkolwiek sugerowali. Prosił mnie o to specjalnie poseł, któremu widać na waszej odpowiedzi bardzo zależy.

— Otóż moim zdaniem — odrzekłem — propozycja ta wygląda niezwykle ciekawie wobec treści listu, jaki od gen. Sikorskiego otrzymaliśmy na wasze ręce w styczniu. W konsulacie leżą do dzisiaj nasze podania o przyjęcie nas do czynnej służby wojskowej i wysłanie na front francuski do tworzącej się tam armii polskiej. Zamiast specjalnych propozycji dużo prościej byłoby wezwać nas do służby na podstawie tych podań. O ile mi wiadomo, w Algierze są obozy dla Polaków, których nie życzy się mieć we Francji. Mnie osobiście nie uśmiecha się siedzieć w takim obozie do końca wojny bezczynnie, a tu w tych propozycjach, któreście mi powtórzyli, zupełnie nie jest nic powiedziane, w jakim charakterze mamy się znaleźć w Algierze. Wobec tego wszystkiego niespodziewana troskliwość naszego rządu paryskiego wydaje mi się szczególnie podejrzana i nie myślę z propozycji korzystać. Nie

wydaje mi się, aby Niemcy w najbliższej przyszłości mieli zajmować Węgry na swoich tyłach, gdy mają pełne ręce roboty na Zachodzie, a ostatecznie, jeśli już mam siedzieć w obozie, to raczej wolę w niemieckim, niż polskim, bo to mniej boli...

Jarecki na to uśmiechnął się, zapewnił, że dosłownie powtórzy to Orłowskiemu, a potem powiedział, że prawie taką samą odpowiedź dał od siebie. Poseł jednak przypuszczał, że wy może będziecie innego zdania i że może i ja się jeszcze zastanowię, dlatego mnie tu wysłał.

Jaką odpowiedź inni dali, tego Jarecki nie wiedział, gdyż przed wyjazdem z nikim się nie widział.

Zaczelśmy teraz pogawędkę o innych rzeczach. Byłem stęskniony wiadomości z Budapesztu i ze świata, które oni tam mieli. Jarecki opowiadał wszystko co wiedział. Przy obiedzie, jaki szybko przyrządziłem, gawędziliśmy dalej. Poinformował mnie, że do Budapesztu przyjechał b. wiceminister komunikacji inż. Julian Piasecki, który — korzystając z międzynarodowego paszportu i bezpłatnego biletu kolejowego, jako członek międzynarodowego komitetu czy towarzystwa komunikacyjnego, mógł się swobodnie poruszać. Zjeździł on niedawno wiele krajów, między innymi był w Paryżu i przywiózł masę wiadomości i spostrzeżeń z pierwszej ręki.

— Pod jego wpływem — ciągnął Jarecki — zaczęliśmy się zbierać u doktorostwa Lipińskich, gdzie przy skromnej kawie czarnej, toczyliśmy „długie rodaków rozmowy” i dzieliłyśmy się wiadomościami. Przychodzi tam gen. Hubicki z żoną, gen. Sawicki i jeszcze ten młody redaktor z „Wieści Polskich” Janusz Kowalczuk, który razem z dr. Lipińskim urząda pogadanki czwartkowe w świetlicy. Na tych pogadankach, coraz tłumniej uczęszczanych przez uchodźców, dr Lipiński omawia wydarzenia polityczne z całego tygodnia, a redaktor Kowalczuk wojskowe. Opracowują oni te pogawędki dość sumiennie i starannie, referują inteligentnie i obiektywnie, niemniej jednak z pewnym akcentem optymizmu i to jest powodem coraz żywszego zainteresowania.

— Byłoby dobrze — rzuca Jarecki — gdybyście i wy od czasu do czasu wpadli do Budapesztu i przyszli na wspomnianą „czarną kawę”.



Gdy po południu dnia 23 maja poszliśmy z woj. Jareckim do państwa Lipińskich, zastaliśmy tam już wszystkich, których mi zapowiadał.

Osobiście znałem się tylko z dr. Lipińskim, raczej zresztą przelotnie, a bliżej z gen. Hubickim i jego przystojną małżonką, p. Reną, oraz z wojska z gen. Sawickim. Po przywitaniu się z paniami, gen. Hubicki podprowadził mnie do sympatycznego bruneta, z dużymi czarnymi wąsami i jowialnie sprezentował:

— Otóż to nasz Bazio Rogowski, były wicewojewoda tarnopolski i major rezerwy.

— Jestem Piasecki — rzekł uprzejmie nieznanomy, ściskając mi rękę — cieszę się bardzo, bo już dużo o panu rozmawialiśmy i to nie tylko w tym gronie...

Wśród żartobliwej rozmowy poznałem się również i z redaktorem Kowalcukiem, który bystro przyglądał mi się przez okulary.

Gdy usiedliśmy do kawy, rozpoczęła się żywa i interesująca rozmowa na aktualne tematy, a zwłaszcza o sytuacji we Francji.

Całokształt ostatnich wydarzeń wojennych, bo te w danej chwili najbardziej wszystkich interesowały, referował redaktor Kowalcuk.

Od czasu do czasu ten i ów z obecnych, bądź dorzucił jakiś szczegół bądź postawił pytanie.

Kolejno zabrał głos gen. Hubicki, zagajając dalszy temat o sytuacji ogólnej.

Całe zebranie tego małego grona ludzi robiło wrażenie narady jakiegoś komitetu, mimo czarnej kawy i ciastek na stole.

Jako przybysz „z prowincji” i nie otrząskany jeszcze w tym zespole, nie zabierałem głosu, raczej wchłaniając i porządkując sobie to co słyszałem.

Po dyskusji, jaka się teraz wywiązała, gdzie poszczególni mówcy starali się dorzucić do informacji Jareckiego swoje wiadomości, względnie uwagi, zabrał głos inż. Piasecki.

Przystojny, raczej szczupły, z nerwową, ale sympatyczną twarzą, mówił głosem opanowanym i spokojnie.

Nawiązał on do przemówienia dr. Hubickiego, dzielając jego optymizm, jeśli chodzi o dalszy przebieg i efekt wojny. Dla niego nie ulega wątpliwości, że w końcu Niemcy zostaną pobici, a my musimy walczyć aż do końca. Niestety, jako grupa piłsudczyków, jesteśmy na razie w przymusowym impasie, w który nas wepchnęła opozycja z Sikorskim na czele.

Tu przypomniał pobieżnie, już raz w tym gronie referowane, swoje spostrzeżenia i rozmowy jakie miał w Paryżu.

— Mimo wszystko, właśnie jako niepodległościowcy, nie możemy pozostać bezczynni. Wziąć udział w walce dalszej z Niemcami możemy i musimy, poza tym — wobec zaślepionej taktyki politycznej czynników dziś będących reprezentantami oficjalnymi Polski — my musimy podjąć się zabezpieczenia i przypomnie-

nienia dotychczasowego wkładu Polski w obecną wojnę. Polska stała się pierwszą ofiarą skoncentrowanego uderzenia całej potęgi niemieckiej, stawiała ofiarny opór, na jaki ją w danych warunkach było stać, i — choć skrwawiona, — bije się nadal u boku sprzymierzeńców. Ani na moment nikt w Polsce nie pomyślał i nie myśli o jakiegokolwiek kapitulacji.

Cóż więc wypada nam robić? Przede wszystkim — odpowiada sobie Piasecki — moim zdaniem należy wyjść z podniesioną głową, ale z widoczną wyrozumiałością dla istniejących warunków, poza nasze chwilowo tak szczupłe grono.

— Należy się policzyć, nawiązać kontakty z ludźmi podziеляjącymi nasze poglądy, próbować zorganizować się i rozpocząć pracę w kierunku najpraktyczniejszej realizacji naszego zasadniczego celu, walki z Niemcami.

— Nie dano nam walczyć w szeregach armii polskiej we Francji, będziemy walczyć wszędzie, gdzie jesteśmy, ale przede wszystkim w kraju. Mam wiadomości, że tam także już poszły instrukcje, aby o ile możliwości nie brać do współpracy ludzi z naszego obozu. Nie sądzę jednak, aby się nie musiano liczyć z doświadczeniem bojowym, odwagą i determinacją, tych ludzi, którzy zresztą, tak jak Tokarzewski, a z nim zapewne dużo takich samych piśsudczyków już dziś prowadzą tę robotę.

Ale, gdyby nawet chciano nas odsunąć według nakazów z Paryża, to na miejscu, w ogniu walki, każdy bojowiec jest pożądanym.

— Zresztą potrafimy w ostateczności poprowadzić walkę równoległą nawet na własną rękę, a konkurencja, kto lepiej bije, może wyjść tylko na dobro sprawy.

W konkluzji zaproponował Piasecki, aby każdy z obecnych starał się skupić wokół siebie podobną gromadkę osób, ostrożnie, ale bez jakichkolwiek akcesoriów konspiracyjnych i konkretyzowania metod i środków.

— Wystarczy wyszukiwanie jednakowo z nami myślących, rozumnych i zdecydowanych na wyjście z impasu ludzi, podniesienie ich na duchu, jeżeli by się w obecnej sytuacji załamywali, przywrócenie pewności siebie i dumy z przynależności do obozu niepodległościowców.

Należy uczyć ludzi, że nieważna jest opinia o nas garści opozycyjnej, która chwilowo dorwała się do władzy i reprezentacji spraw polskich na zewnątrz. Jednak to zagadnienie — zaznaczył Piasecki — jest w obecnej sytuacji szczególnie delikatne, gdyż — nie zgadzając się ze stosunkiem do nas — nie możemy podrywać autorytetu rządu emigracyjnego na zewnątrz. Są to nasze czysto wewnętrzne sprawy. Nam nie chodzi o rzeczową krytykę przeszłości przedwojennej i samej kampanii wrześnieowej. Mogliśmy

popęłniać błędy i na pewno niejedyn błęd mamy na sumieniu, że powtórzę tylko — rzekł Piasecki — wyświechtany już slogan „nie błądzi ten, kto nic nie robi”, ale nie możemy pozwolić, aby złośliwość i zaślepienie utrudniały dyskonto wkładu Polski w walkę z Hitlerem. Wkład ten był przecież poważny, kiedy Hitler potrzebował, po swoim nad nami zwycięstwie, aż pół roku, zanim ruszył na dalsze podboje. Biliśmy się pierwsi i samotni...

Wynurzenia Piaseckiego spotkały się z ogólną aprobatą, tym bardziej, że ujmowały konkretny i jasny program działania. Zebrani się ożywili, każdy dorzucił swoje uwagi starając się bądź podkreślić bądź uzupełnić tok wywodów Piaseckiego. Lipiński jako gospodarz, zabrał głos pod koniec. Zatrzymał się szczególnie nad zagadnieniem przejścia do pracy w kraju.

Możliwości, jego zdaniem, są duże, a na uchodźstwie nie brak ludzi solidaryzujących się z nami, gotowych na wszystko, którzy nie cały rok temu, bo na zjeździe Legionistów w Krakowie nie dla fasonu, ale z przekonaniem ślubowali, że „czasu wojny będą bić się aż do zwycięstwa”. Chodzi jednak, zdaniem jego, o to, że równoległe z rozpoczęciem pewnej aktywności wśród uchodźców — należałoby postarać się o dokładniejsze rozpoznanie aktualnej sytuacji w kraju i ewentualne nawiązanie kontaktu stałego z „podziemiem”, a po drugie wydaje się konieczne przemyślenie i ustalenie jakichś, koncepcji programowych, bo choć słuszne są tezy min. Piaseckiego, to jednak nie wystarczające.

— Ludzie chcą wiedzieć, jak ma wyglądać Polska po wojnie, jak sobie wyobrażamy naprawę tego, co się okazało złe, względnie niezbyt szczęśliwe w przeszłości, bo przecież musimy przyznać że nie wszystko, ani w programie, ani w wykonaniu było najlepsze.

— Warunki powojenne będą na pewno inne, niż przed wojną a to pociągnie za sobą konieczność dostosowania do nich struktury i form życia narodu i państwa.

— Tak bezwzględny i zajadły stosunek do przeszłości przedwojennej i do nas opozycji politycznej, zjednoczonej około Sikorskiego jakkolwiek niewątpliwie ma dużo cech przesadnych, złośliwych porachunków osobistych i grupowych, krótkowzorności politycznej i zwykłego, polskiego warcholstwa, niemniej jest przecież dowodem, że nie zawsze umieliśmy swój — może zresztą najśluszniejszy w danych warunkach — program polityczny i społeczny, przeprowadzać w sposób, który by u przeciwników budził należyty respekt i zrozumienie, a nie wywoływał zbędnego rozżalenia, które się obecnie wyładowuje.

Inż. Piasecki widocznie podrażniony przemówieniem Lipiń-

skiego poprosił zaraz o głos i wyłuszczył swój pogląd na poruszone sprawy.

Jego zdaniem, towarzystwo, które zbiegiem okoliczności i przy pomocy obcej dyplomacji, dostało się do żłobu, przywiozło z sobą na emigrację cały bagaż prywaty i warcholstwa politycznego, z najgorszej tradycji partyjnictwa, poskromionego chwilowo w maju 1926 r.

— Kiedy klęska wrześniowa rozbiła aparat państwowy, który to przyczajone warcholstwo trzymał w ryzach, wyzwolone znów tym zajadłej stara się zniszczyć i unicestwić wszystko i wszystkich, którzy by kiedyś ponownie mogli próbować ograniczyć swawolę.

— Prawdopodobnie po wojnie, a nawet na pewno, naród nasz będzie szukał nowych i lepszych sposobów rządzenia się i zabezpieczenia przyszłych losów swojej suwerenności państwowej, ale dziś jeszcze nie czas na rozważanie tego problemu. Jeśli dożyjemy, zapewne będziemy mieli w tym i swój udział, na razie jednak najważniejszy cel to walka z wrogiem. Tu nas nie może zabraknąć.

Prof. Lipiński słusznie, zdaniem Piaseckiego, zwrócił uwagę na konieczność nawiązania ścisłego kontaktu z krajem, a zwłaszcza z jego podziemiem.

— Sądzę, że powinniśmy się już dziś zastanowić, w jaki sposób najpraktyczniej podejść do tego zagadnienia.

Woj. Jarecki proponuje w tym miejscu, aby każdy z nas kolejno próbował się dostać do kraju celem nawiązania i podtrzymania łączności. Sam deklaruje chęć pójścia jako pierwszy, a gdy wróci i przyniesie już konkretne wiadomości, będzie kolej ewentualnie na następnych.

W czasie przemówienia Jareckiego zauważyłem dość ożywioną rozmowę szeptem gen. Hubickiego z żoną, a skoro tylko Jarecki skończył, gen. Hubicki oświadczył, że propozycja Jareckiego jest słuszna i — zdaje się — nie należy zwlekać z jej realizacją. Na pierwszy jednak ogień — mówił Hubicki — nie powinien iść mężczyzna, który zawsze będzie miał w okupowanej Polsce trudniejsze możliwości poruszania się wobec czujności niemieckiej.

— Mam tu na myśli innego ochotnika — rzekł — mianowicie przed chwilą na ucho, za co bardzo przepraszam, molestowała mnie moja Rena, że ona chce pójść. Ma doświadczenie przekradania się przez kordony, jako była kurierka P.O.W. Kobiety stosunkowo mniej wzbudzają podejrzenie i łatwiej mogą się wszędzie dostać. Zna osobiście szereg ludzi, z którymi będzie się mogła zetknąć i dotrzeć tam, gdzie zajdzie potrzeba, aby nawiązać kontakty i zorientować się w sytuacji. Niewątpliwie jej spostrzeżenia będą mogły ułatwić następnie drogę naszym wysłannikom męskim

i dla tego proszę o rozważenie tej propozycji, zakończył Hubicki.

Zrobiło się dość duże poruszenie, bo początkowo, nikt z nas nie myślał brać poważnie tej niespodziewanej oferty, jednak — po dłuższej dyskusji — i widząc upór Hubickich, doszliśmy do przekonania, że w gruncie rzeczy sam pomysł nie jest najgorszy, że kobieta istotnie łatwiej się może prześlizgnąć, a nawet, w razie niepowodzenia, prędzej znajdzie jakiś wybieg.

Najdłużej opierał się Jarecki, ale po zapewnieniu, że po powrocie Hubickiej on będzie miał pierwszeństwo, wreszcie ustąpił i propozycję Hubickiego przyjęto.

Umówiliśmy się, że „wycieczkę” p. Hubickiej zatrzymamy wszyscy w największej tajemnicy, a jeśli ktoś z nas będzie miał dla niej — zdaniem swoim — ciekawsze wiadomości, adresy itp., będziemy je komunikować inż. Piaseckiemu, który już w tym celu utrzyma ściśle kontakt z p. Hubicką.

Ze względów praktycznych Piasecki zaproponował, abyśmy się schodzili możliwie codziennie ok. godz. 11-tej, ale obowiązkowo we środy i soboty, w kawiarence na Poszta utca, na przeciw głównej poczty, gdzie stosunkowo mało bywa uchodźców i będziemy mniej krępowani.

Następnie zebranie umówiono za miesiąc, 29 czerwca, w mieszkaniu Jareckiego na Molnar u. 53/II.



Dnia 15 sierpnia, w rocznicę święta żołnierza, zebraliśmy się znów u Jareckiego na Molnar u. 53.

Była już obecna i p. Hubicka. Z relacji jej wynikało, że zdołała przebyć granicę stosunkowo łatwo tam i z powrotem, niestety z nawiązaniem kontaktów nie bardzo jej wyszło. Tokarzewskiego już w Warszawie nie zastała, a od osób innych, z którymi się zetknęła, zbyt dużo nie mogła się dowiedzieć.

Komendantem Z.W.Z. (Związku Walki Zbrojnej), bo taką nazwę obecnie przyjęła organizacja, jest „Rakoń”, oczywiście pseudonim, pod którym ma się ukrywać podobno płk. Rowecki Stefan, jak ją pod wielką dyskrecją poinformowali wtajemniczeni znajomi.

Zdaje się, że Z.W.Z. przechodzi obecnie jakąś reorganizację, jako aparat czysto wojskowy, który ma być podporządkowany odpowiednio upoważnionemu czynnikowi politycznemu, cywilnemu, mianowanemu przez rząd Sikorskiego. Woj. Józefski z Hemplem są w Warszawie, jednak z Z.W.Z. nie są związani. Przesyłają naszej grupie pozdrowienia. Czynny w Z.W.Z. jest, z bliżej nam znanych, Kruk-Strzelecki, z którym stosunkowo najłatwiej

się dogadać. Potwierdził on, że są pewne naciski aby unikać angażowania piśsudczyków do pracy w Związku, ale — jak twierdził z uśmiechem — ktoś w organizacji, gdzie operuje się pseudonimami, może skontrolować, czy dany „x” jest taki, czy owaki. Dobieramy się, mówił, nie wg. klucza politycznego, ale wg. osobistego przekonania o istotnej wartości moralnej, przydatności bojowej i doświadczeniu. Jakżesz tu pomijać np. znanych i zasłużonych kolegów, b. peowiaków itp.

Szerzej omawiała p. Hubicka obecne stosunki w Polsce, a zwłaszcza w Warszawie, zachowanie się Niemców, Żydów itp.

Lipiński nie ukrywał swojego rozczarowania z wyników wywiadu p. Hubickiej, a Jarecki, choć łagodniej, ale również dał do zrozumienia, że właściwie duży wysiłek i ofiarność naszej pierwszej emisariuszki nie są współmierne z uzyskanymi wynikami i nie przyniosły dostatecznie jasnego obrazu sytuacji podziemia i naszych możliwości współpracy. Niemniej jemu, który ma podjąć się kolejno misji łącznika jej spostrzeżenia i doświadczenia będą w drodze bardzo przydatne.

Piasecki starał się podkreślić, że na pierwszy raz trudno wymagać od razu całego rozpoznania sytuacji, ale jeśli chodzi o wyczyn p. Hubickiej, to należy z uznaniem podkreślić jej zręczność a fakt, że odbyła całą niebezpieczną podróż z podziwu godną punktualnością i sprawnie, należy przyjąć jako dobry prognostyk na przyszłość. Sądzi, że nie należy ustalać obecnie terminu wyjazdu Jareckiego. W międzyczasie dowiemy się może więcej szczegółów i innymi drogami, a również sytuacja ogólna nabierze już konkretnego wyrazu.



Zaglądamy do Budapesztu od czasu do czasu, nigdy nie pominąłem naszej pocziwej kawiarenki na Poszta u., aby się zetknąć z kimś z naszej paczki.

Między innymi, przedstawiony przez Piaseckiego, poznałem tam p. Sławę Wendową, żonę płk. Zygmunta Wendy.

Pochlebiali mi, że piękna p. Sława okazywała mi od pierwszego poznania szczególną sympatię i zaufanie.

Później dowiedziałem się, że ponieważ była dawną znajomą inż. Piaseckiego, wobec której on nie miał żadnych tajemnic, od niego wiedziała o mnie wszystko i uważa mnie za „swojego”, tym bardziej, gdy się w rozmowie okazało, że znam osobiście jej męża. Upoważniony do złożenia jej wizyty w mieszkaniu na Fecske u. poznałem jej przemiłą matkę staruszkę, z którą mieszkała

skromnie w jednym pokoju z kuchnią, w małym parterowym domku.

Odwiedzało ją tam dość dużo znajomych, tak mieszkających w Budapeszcie, jak i przyjeżdżających z obozów. Obie panie z wdziękiem starały się wszystkim stworzyć miłą, domową atmosferę, której tak bardzo brakowało wszystkim na uchodźczej tułaczce.

Ponieważ obie panie lubiły bardzo moje opowiadania znad Balatonu, przeto byłem zobligowany po każdorazowym powrocie do Budapesztu, wpadać wprost na Fecske u.

Po krótkiej znajomości doszedłem do przekonania, że p. Sława była nie tylko bardzo ładną i przystojną kobietą, jak przystało zresztą b. Miss Polonii, ale że równocześnie była rozumną kobietą i gorącą patriotką.

Pewnego październikowego dnia, gdy byliśmy sami w domu, p. Sława niespodzianie zagadnęła mnie, co myślę o Śmigłym.

Starając się jak najogólniej przedstawić swoje zapatrywania, uprzedziłem, że nie należę do tzw. entuzjastów Śmigłego, gdyż pochodzę z VI Baonu 1 bryg. L.P., który jakkolwiek był przez krótki okres II Baonem w pułku Śmigłego, to jednak czułem się tam „dzieckiem przybranym” i do szefa pułku odnosił się nieco krytyczniej.

Było to naturalne, gdyż II Baon od samego początku wojny działał przeważnie samodzielnie i miał piękną bojową tradycję. W okresie międzywojennym, gdy z żołnierzy b. VI Baonu powstało „Koło b. żołnierzy tegoż Baonu” nie chcieliśmy wejść do „Koła 1 płk. L.P.”. Uważaliśmy, że w Kole pułkowym nie doceniano by nas należycie i naszej historii Baonu.

Do naszego koła batalionowego należało dość dużo wybitniejszych oficerów i działaczy społecznych, jak np. gen. Piskor, gen. Bortnowski i inni, którzy wyszli z naszego grona, a szefem i opiekunem koła obraliśmy gen. Sosnkowskiego. Był on zdania, które podzielaliśmy w zupełności, że „nie należy nikogo kanonizować za jego życia”...

— A cóż mogliście mieć przeciw samemu Śmigłemu, spytała p. Sława.

— Absolutnie nic, uważaliśmy go za dzielnego osobiście i zdolnego oficera, gorącego patriotę i wiernego piłsudczyka, ale nie wydawało nam się, aby się czymkolwiek specjalnie między innymi generałami wyróżniał.

— No, ale marszałek Piłsudski jednak go wyróżniał w różnych okolicznościach i przecież, w myśl jego życzeń, został jego następcą.

— Oczywiście tak, to też ustosunkowaliśmy się do niego w nowej roli najzupełniej lojalnie.

— A co pan sądzi o Śmigłym w kampanii wrześniowej?

— Trudna sprawa. Od 1928 r. właściwie już przestałem być żołnierzem, przeszedłszy do administracji, więc nie mogłbym się podjąć oceny wojskowej, tym bardziej, że karierę wojskową ukończyłem w stopniu majora piechoty, nawet nie dyplomowanego. Zdaje mi się, że Śmigły, jak zresztą wszyscy, był zaskoczony nie tyle potęgą niemiecką i ich świetnym wyposażeniem, o czym nasz wywiad przypuszczalnie dobrze wiedział, ile nie dotrzymaniem przez sprzymierzonych ich zobowiązań i wystawieniem nas na sztych, samych w nierównej walce. W tych warunkach, wydaje mi się, gdyby nawet organizacja wojska i założenia taktyczne naszej obrony, a przede wszystkim wyposażenie armii były lepsze, niż nam się wydawały, gdyby na czele wojska stał najgenialniejszy umysł strategiczny, to może przedłużylibyśmy walki o parę tygodni, ale wynik byłby taki sam, a zniszczenie w kraju i straty w ludziach nieporównanie większe.

— Mówią, że Śmigły nie powinien uciekać za granicę, — ale powinien polec po bohatersku, wtrącić p. Sława.

— Sądzę, że to nierozumny romantyzm, bo i cóż by komu z tego przyszło. Może piękny gest, ale więcej nic. Szkoda tylko, przypuszczam, że Śmigły, po wydaniu rozkazu do ewakuacji oddziałów wojskowych za granicę, sam nie wsiadł do samolotu i nie starał się przedostać do Francji, bez narażania się na internowanie w takiej Rumunii...

— Może byłoby tak lepiej, ale skąd my wiemy, co spowodowało, że obrał inną drogę. Czy pan wie, że Śmigły i rząd mieli zapewnienie królewskie, że swobodnie przejadą przez Rumunię?

— Oczywiście, nie mając w ręku wszystkich zakulisowych danych, trudno nam sądzić, co, jak i dlaczego się stało.

— Ale ma pan dla Śmigłego trochę sentymentu, prawda?

— Nawet bardzo dużo. Uważam go za człowieka spętanego przez los, choć na pewno chciałby i mógłby jeszcze dużo zrobić.

Komplementem, że jestem dobrym i solidnym człowiekiem, zakończyła p. Sława tę naszą rozmowę.

Dopiero w parę tygodni później przyszło mi na myśl, że była to sonda inż. Piaseckiego, do czego użył p. Sławy, choć i bezpośrednio mógł ze mną na ten temat porozmawiać.

Ale taka już była jego przesadnie konspiracyjska metoda postępowania.

Przy jednym z najbliższych spotkań Piasecki, w cztery oczy, zwrócił się do mnie z propozycją, po pierwsze, abym się spro-

wadził na stałe do Budapesztu i zamieszkał w pokoju Jareckiego, który właśnie wybiera się do kraju, po drugie, abym się podjął przygotować w Szegedzie „melinę”, gdzie mogliby się zatrzymać ludzie, którzy by uciekali z Rumunii, wobec coraz większego zagrożenia tego kraju przez Niemców.

— Jest tam przecież dość dużo naszych generałów i polityków, którzy nie chcieliby wpaść w ręce Niemców...

Nazwiska Śmigłego nie wymienił, więc z tym zupełnie się nie liczyłem, aby melina i jemu miała służyć.

Zgodziłem się chętnie na jedno i na drugie, nad Balatonem bowiem już nie było co robić wobec nadchodzącej zimy.

Jeśli chodzi o przygotowanie chwilowego azylu dla uciekinierów z Rumunii, nie wydawało mi się to zbyt trudne.

W stronę Szegedu jeszcze się dotychczas nie wypuszczałem, więc przede wszystkim przestudiowałem dokładnie mapę południowo-wschodnich Węgier.

Najważniejszym wydawało mi się, znaleźć sobie jakiś punkt zaczepienia w Szegedzie, aby w razie potrzeby móc umotywować swą podróż do tej pogranicznej miejscowości.

W międzyczasie Jarecki wybrał się do kraju, a swojej gospodyni na Molnar u., poczciwej staruszce p. Szütz wytłumaczył, że za parę tygodni wybiera się do sanatorium na prowincji, a tymczasem ja zajmę jego pokój i będę czynsz regulował, dopóki on nie wróci.



Zbadawszy sytuację w Szegedzie znalazłem mieszkanie przy Hattya sos 21 i sprawdziwszy, że, od biedy, mogło to być nienajgorsze locum do chwilowego zatrzymania się, umówiłem się z właścicielką pod jakim hasłem moi znajomi mogliby ją odwiedzać i żeby zrobiła wszystko, aby się czuli jak najlepiej. Równocześnie umówiłem się, że gdyby ktoś przyjechał z zapowiedzianych gości, ma mi natychmiast przysłać depezę na podany w Budapeszcie adres, a sama razem z przyjezdnymi powinna najbliższym pociągiem przyjechać do Budapesztu i zgłosić się u mnie pod tymże adresem. Oczywiście miała obiecane sute wynagrodzenie jeżeli wszystko załatwi gładko. Skąd mieli przybyć ci moi znajomi, o tym nie mówiliśmy, wystarczyło jej, że przyjadą Polacy i, nie mając znajomości w Szegedzie, zajadą do niej.

Niedużo to było wprawdzie, ale na razie musiało wystarczyć tym bardziej, że Piasecki naglił, mówiąc, że możemy się spodziewać gości lada dzień.

Gdy mu zrelacjonowałem wyniki mojego wypadu, wziął ode mnie dokładny adres wspomnianej Bezsi, bo tak się moja znajoma nazywała i obiecał zaraz napisać do Rumunii z odpowiednią instrukcją, niemniej uradziliśmy, że za parę dni znów pojedę do Szegedu, aby zetknąć się z red. Mihaly. Tym razem wziąłem ze sobą mojego zaufanego znajomego Franciszka Barnerta, uchodźcę z Katowic, ale na pół Węgry, świetnie znającego ten język, ponieważ nawet studiował w młodości na Węgrzech.

Umówiłem się z Piaseckim, iż Barnerta zostawię w Szegedzie w mieszkaniu, które wyszukam przy pomocy Mihalyego i że będzie on tam czekał na przybyszów.

Tym razem udało się wszystko bardzo dobrze. Red. Mihaly, tęgi, rumiany Węgier, okazał się bardzo sympatyczny i niezwykle chętny do pomocy w naszym przedsięwzięciu, w które wtajemniczyliśmy go bez dużych wstępów. Mihaly promieniał, że będzie mógł być pomocny w „przygodzie”. Ze swej strony zaproponował, że ma nad samą rumuńską granicą znajomego proboszcza, do którego zaraz pojedzie i przygotuje na wypadek gdyby uciekinierzy o jego plebanię zawadzili.

— Nawet postarajcie się prosto na tę plebanię ich skierować a on już załatwi, że i przespać się u niego będą mogli i pożywić i do Szegedu odstawi ich wygodnie.

Było to więcej niż mogliśmy się spodziewać, toteż z radością przyjęliśmy jego propozycję, umówiliśmy szczegóły i wziąłem dokładny adres wymienionego proboszcza.

Barnert pozostał w Szegedzie, a red. Mihaly obiecał wyszukać mu odpowiednie locum, które by mogło stać się przystanią chwilową dla przybyłych.

Na wszelki wypadek, gdyby się korespondencja z Rumunią opóźniła i gdyby spodziewani uciekinierzy zgłosili się pod poprzednio podany adres, poznałem Barnerta z Bezsi i poinformowałem ją, że teraz, gdyby ktoś z wiadomych gości przybył, powinna zaraz skontaktować ich z tym nowym znajomym. Gdzie i jak, to już mieli oboje razem ustalić.

Barnertowi pozostawiłem kilka legitymacji uchodźczych i przepustek, podpisanych i opieczetowanych należycie in blanco, w których jedynie należało — w razie potrzeby — wpisać odpowiednie nazwiska i daty, a każdy z przybyłych mógł się już swobodnie poruszać, przynajmniej w drodze do Budapesztu.

Umówiliśmy się, że zmienię go po dwóch tygodniach, a gdyby goście przyjechali wcześniej, powinien z nimi natychmiast przyjechać do mnie, do Budapesztu. Gdyby ich przybyło naraz kilku, to lepiej, moim zdaniem, byłoby ich podzielić na dwie

grupy, z których jedną przywiozłby do Budapesztu on, a druga Bezi.

Chodziło o to, aby zbyt wielka grupa, nieznająca języka węgierskiego, nie zwracała niepotrzebnie po drodze uwagi, gdyż mimo odpowiednich dokumentów, dla nich przygotowanych, lepiej się było nie narażać.

Po podwieczorku, na który zaprosił nas do siebie red. Mihaly, pożegnałem się i odjechałem wieczornym pociągiem.

Piasecki był bardzo rad z pomyślnych wiadomości, jakie mu przywiozłem i zaraz podał do Rumunii nowy adres, jaki uzyskaliśmy dzięki red. Mihaly.

Adres ten był o tyle lepszy, że plebania leżała niezbyt daleko od granicy i dostępna była o każdej porze dnia i nocy.

Upłynęło 2 tygodnie, więc znów udałem się pierwszego grudnia do Szegedu.

Tym razem wiozłem na zmianę mojego starego znajomego kpt. Zygmunta Sobotę, uchodzącę ze Stryja. Jakimś zbiegiem okoliczności otrzymał on pracę w znanych piwnicach rozlewni wina w Budafok pod Budapesztem. Węgierskim językiem władał już dość dobrze, a właśnie miał urlop, co się świetnie składało.

Red. Mihaly przyjął nas ze zwykłą serdecznością w redakcji „Szegedi Uj Nemzedek”, ale nie ukrywał swojego rozczarowania, że jeszcze nikt nie przyszedł...

Pocieszyłem go, że na pewno będą, ale że to nie jest zwykła podróż — za paszportem — więc zależy od szeregu okoliczności i nie może być dokładnie określona.

— Niech tylko szczęśliwie przejdą granicę, to już mój proboszcz zajmie się nimi serdecznie, mówił Mihaly. Właśnie byłem przed tygodniem u niego i bardzo się cieszy, że będzie mógł pomóc, ma nawet upatrzoną taksówkę, którą ich bezpiecznie odstawi do Szegedu. No, a tu to już my się nimi zajmujemy, zapewnił.

Podziękowałem mu serdecznie za tyle okazanych dowodów uprzejmości. Sam zaraz zaprowadził mnie do wyszukanego dla nas pokoju przy Rudolf ter.

Zastaliśmy w nim Barnerta, czytającego jakąś książkę. Ucieszył się, że dotrzymałem punktualnie terminu i przekazał mieszkanie, oraz dokumenty Sobolcie, przy czym poinformował nas, że pokój odnajęła nam znajoma redaktora.

— Pracuje ona w miejskim biurze meldunkowym, opowiadał Barnert, tak że nie ma z zameldowaniem żadnych kłopotów. Mieszka sama z matką, a że pokój ma oddzielne wejście, więc jest zupełnie nie krępujący, a dla naszego celu świetny. Z Rudolf ter wychodzi most przez Cisę prosto na wschód...

— Najgorsze jest to, ciągnął Barnert, że trzeba właściwie stale siedzieć na miejscu, gdyż proboszcz ma dostarczyć gości na ten adres, a nie wiadomo kiedy mogą przyjechać, więc należy stale dyżurować w mieszkaniu.

— Wychodziłem jedynie tyle tylko, aby coś zjeść, kupić papierosy i gazetę.

— Żeby chociaż okna wychodziły na ulicę, a tu od podwórza i do tego naprzeciwko tylko jakiś ogród z wysokimi drzewami.

— No nie narzekajcie tak, roześmiałem się, bo mi jeszcze Sobolta ucieknie.

— Przeciwnie, odparł tenże, właśnie będę miał wymarzony odpoczynek po wielkim ruchu u mojego „kipra”, a może będę miał większe szczęście i prędzej doczekam się naszych gości.

Mihaly, któremu Barnert przetłumaczył naszą rozmowę, zapewnił, że postara się, jak będzie mógł, umilić dyżur Sobolcie.

— Przyniosę dobrego wina, to będzie weselej.

— Tylko nie wina, krzyknął prawie Sobolta, właśnie od wina chcę sobie odpocząć, bo w mojej pracy mam go już po dziurki w nosie!

— Świetnie się składa, zawołał Mihaly, bo ja też wolę „kontusówkę”...

— Co to jest „kontusówka”? — zapytał Sobolta, bo w wyśłowieniu Mihalyego był to wyraz dość niezrozumiały.

— No przecież to wasza, polska narodowa wódka, objaśnił Mihaly.

Tu zaczął poważnie objaśniać go Sobolta, że odkąd w Polsce znikły kontusze, to i o kontusówce już zapomniano.

Ponieważ zaczynał się dłuższy na ten temat wywód, którego Mihaly słuchał z ciekawością iście reporterską, a Barnert już tymczasem zdążył się ubrać do drogi, zaś czas naglił, więc pożegnaliśmy tę rozgadaną dwójkę „nowych znajomych” i udaliśmy się na dworzec.

W niedzielę 15 grudnia Piasecki odszukał mnie zaraz po mszy polskiej i oznajmił mi, że dostał świeżą wiadomość, iż nasi uciekinierzy najpóźniej we środę spodziewają się przybyć do Szegedu. Należy więc zaraz tam pojechać, bo może Sobolta sobie nie potrafi poradzić.

Ponieważ i tak nazajutrz miałem zmienić Soboltę w dyżurze, gdyż jego urlop kończył się 18 grudnia, uspokoilem Piaseckiego, że jutro będę w Szegedzie.

Spytałem się go kogo się spodziewa, ale zagadał o czym innym i w rezultacie niczego się nie dowiedziałem. Zresztą było mi wszystko jedno, kto przybędzie. Trzeba pomóc i kwita.

Dopiero przed samym wyjazdem Piasecki szepnął mi tajemniczo, że, gdyby przypadkiem przybył Śmigły, należy go prosto przywieźć do Sławy.

Wieczorem wyjechałem, tym razem z b. naczelnikiem Władysławem Klimczakiem. Do Szegedu przybyliśmy w poniedziałek rano i udaliśmy się wprost do Sobolty, który dopiero co wstał i właśnie wybierał się na śniadanie.

Poszliśmy razem do pobliskiej kawiarenki. Podczas śniadania poinformowałem Soboltę, że zamierzam tu ze dwa dni poczekać, bo nareszcie należy się spodziewać przejścia...

Jeśli jutro jeszcze nikt nie przyjedzie, to będę musiał pozostać dłużej z Klimczakiem.

Sobolta oświadczył, że musi we środę najpóźniej zgłosić się do pracy, ale, jeśli trzeba, to dopiero jutro wieczór wyjedzie.

— Zgoda, rzekłem, a teraz wracajcie na kwatery, bo trzeba pilnować, a ja skoczę z Klimczakiem do redaktora, żeby ich ze sobą zapoznać i pokażę mu po drodze z grubsza miasto.

W redakcji Mihaly, jak za każdym razem przywitał się serdecznie i bardzo się ucieszył wiadomością, że może już zobaczyć tak wyczekiwanych gości.

— Mam niestety pilną konferencję w południe, ale wieczorem wpadnę do was, a pana, rzekł do mnie, zabieram dziś na noc do siebie, bo przecież tam się wszyscy nie pomieścicie.

Na tym stanęło, bo według zapowiedzi Piaseckiego właściwie dopiero nazajutrz mogliśmy się kogoś spodziewać. Pożegnaliśmy się, a że była piękna pogoda, oprowadziłem Klimczaka trochę po mieście, zwłaszcza po plantach i głównej ulicy. Mały mrozik nie pozwalał słońcu stopić cienkiej pokrywy śniegu. Było wszędzie jasno i wesoło.

Do Sobolty przyszliśmy ok. godz. 11-tej. Na pukanie otworzył nam, ale jakiś podniecony i zaraz szeptem oznajmił:

— Są! Jest i Śmigły! Ale mnie opieprzyli!...

Nie miałem czasu zastanowić się, dlaczego mieli go „opieprzyć” i kto, gdyż nagle znalazłem się wobec Śmigłego. Był w cywilnym ubraniu, w kurtce, wąs przycięty po angielsku, ale można go było poznać od razu.

Wyciągnął do mnie z uśmiechem rękę, którą ze wzruszeniem uściśnąłem, zameldowawszy się służbiście.

— Aleście dali szkołę, usłyszałem w tym momencie głos płk. Koguta-Wyrwińskiego, który podszedł się przywitać.

— Co za szkołę, pytam.

— Przecież szofer, gdy mu podaliśmy ten adres, za żadne skarby nie chciał tu podjechać, gdyż twierdził, że w tym domu mieszka „szef dwójki”, wtrącił drugi osobnik, małego wzrostu,

który stał obok Koguta. Jak się okazało, był to płk. Nejsarek, którego przedtem nie znałem.

— Dajcie spokój, rzekł Śmigły, oni przecież lepiej znają stosunki. A zresztą, nikt nas dotychczas nie zaczepił, roześmiał się.

Widać, że był w dobrym humorze i zadowolony.

Nie reagując na tamte zarzuty zwróciłem się do Śmigłego z zapytaniem, czy miałyby jakieś życzenia. Jest woda do umycia, ewentualnie prosimy odpocząć, a tymczasem wypełnimy dla wszystkich potrzebne dowody. Zapytałem, jakie nazwisko wpisać Marszałkowi i jaki podać zawód.

— A niech pan pisze Stanisław Kwiatkowski, prof. gimnazjalny ze Lwowa.

— Data urodzenia, zapytałem.

— Najlepiej prawdziwa, rzekł Marszałek, bo się nie można pomylić, 1885 r...

Tak też zapisałem i wręczyłem mu legitymację i przepustkę. Skoro wypełniliśmy podobnie dowody dla obydwu pułkowników, którzy też oczywiście byli w ubraniach cywilnych zapytałem Marszałka czy zechcieliby pójść na obiad do porządniejszej restauracji, czy też do pobliskiej *halascardy*, tzn. gospody rybnej, w której, jak nazwa wskazuje, podają tylko dania postne, rybne.

— Doskonale, chodźmy na ryby, zaśmiał się Marszałek.

— A kiedy wyjeżdżamy stąd?

— Najbliższy pociąg pośpieszny do Budapesztu jedzie po godzinie 15-tej, więc mamy jeszcze dość czasu. Jeśli panowie nie są zmęczeni, to możemy iść na obiad.

— Zgoda, chodźmy, rzekł Marszałek i wziął za rączkę małą Bożenkę, córeczkę ppłk. Nejsarka, która z nimi przyjechała.

Halascarda była niedaleko, więc po paru minutach całe towarzystwo znalazło się już przy stole. Lokal robił sympatyczne wrażenie, był czysty, dość obszerny, a gości jeszcze nie wielu, mało zresztą zwracających na nas uwagę. Stoły zaścienione czystymi obrusami.

— No kochani, odezwał się Marszałek, podjemy sobie, bo wprawdzie proboszcz ugościł nas śniadaniem, ale to już parę godzin temu, no i jazda w zimowym powietrzu.

Przetłumaczyliśmy Śmigłemu kartę dań. Uważał, że możemy spróbować *halaslè*, czyli zupę rybną, specjalność kuchni węgierskiej, składającą się podobno z siedmiu gatunków ryb, a na drugie wybrał Marszałek karpia smażonego.

Według zwyczaju miejscowego kazaliśmy podać dobrego wina.

Obiad smakował wszystkim, choć Śmigły miał początkowo zastrzeżenia przeciwko papryce, jaką była zaprawiona zupa.

Podczas obiadu zapytałem się, czy mamy jeszcze się kogoś spodziewać w następnych dniach i czy mają jakieś rzeczy z sobą.

— Tak, za jakieś dwa dni powinien przybyć płk. Wenda z p. Nejsarkową i mój szofer Kutnik, powiedział Marszałek.

— A i nasze walizki przyjadą za nimi, dodał Nejsarek.

Wobec tego zostanie tutaj nadal kol. Klimczak, zdecydowałem, a ja z Soboltą odwieziemy panów do Budapesztu.

— Tylko dla ostrożności nie możemy wszyscy jechać razem i proponuję rozbić się na dwie grupy, z których każda, już poczawszy stąd, aż na miejsce, pojedzie osobno.

— Może i słusznie, rzekł Marszałek, wobec tego ja pojedę z panem, a panowie razem.

Na tym stanęło. Ponieważ na kwaterę już nie było po co wracać, więc Klimczaka przy pożegnaniu poprosiłem, aby przeprosił redaktora, że nie mogliśmy na niego czekać ale żeby mu nic nie mówił o Śmigłym.

Trzeba mu powiedzieć, że przyszło trzech oficerów i że jeszcze ktoś przyjdzie w tym tygodniu.

— Oczywiście nie zaszkodzi trochę go pogłaskać, że — dzięki niemu — wszystko tak poszło sprawnie i żeby jeszcze od nas podziękować proboszczowi.

— Zapowiedzcie mu, że będę się starał przy sposobności wpaść do niego, żeby mu specjalnie podziękować za wszystko, a gdyby on był przypadkiem w Budapeszcie bardzo go proszę, aby wpadł do mnie.

Z lokalu wyszliśmy już grupami, jak było umówione, a ponieważ odjazd pociągu był bliski, więc pojechaliśmy dorożkami.

Zanim kupiliśmy bilety pociąg już podstawiono. Każda grupka zajęła miejsca w innym wagonie i niebawem ruszyliśmy w drogę.

Marszałek z przyjemnością zajął miejsce w wygodnym przedziale pulmanowskiego wagonu i z zaciekawieniem przysłuchiwał się jak rozmawiałem po węgiersku z konduktorem a potem z jakąś damą, która weszła do naszego przedziału z maleńkim dzieckiem.

Obecność w przedziale małego bobasa z jego tęgą mamą była nam o tyle na rękę, że wsiadający coraz to nowi podróżni nie kwapili się zbyt do naszego towarzystwa, natomiast z drugiej strony, jako dość silni palacze, krępowaliśmy się, aby nie psuć dziecku powietrza dymem. Śmigły ograniczał się bardzo w paleniu, choć siedział pod oknem z uchylonym wywietrznikiem, ja zaś często wychodziłem na korytarz, gdzie już swobodnie mogłem niszczyć tytoniowe wyroby monopolu węgierskiego.

Miarowy stukot kół odmierzał szybko przestrzeń, dzielącą nas od stolicy Węgier. Wioski puszczy węgierskiej, przyprószone

śniegiem, migały wzdłuż trasy, a od czasu do czasu ogromne stada wołów wokół potężnych żurawi studziennych urozmaicały zasadniczo monotony krajobraz. Aby nie zwracać zbyt wiele na siebie uwagi rozmawialiśmy mało i przyciszonym głosem, przy czym stale zwracałem się do Śmigłego per „pan profesor”, co już zostało na stałe przez cały czas pobytu na Węgrzech, gdy rozmawialiśmy w towarzystwie obcych ludzi.

Proponowałem z początku, aby Marszałek próbował trochę się zdrzemnąć, ale twierdził, że nie czuje się zbyt zmęczony, a jedynie skarżył się, że — maszerując o świcie parę kilometrów po grudzie — z lekka otarł sobie nogę, która mu teraz trochę dokucza.

Choć bardzo byłem ciekaw, jak wyglądała cała ich ucieczka z Rumunii, nie chciałem jednak pytać, bo na to zawsze jeszcze był czas.

Marszałek natomiast interesował się, jak nam się żyje na Węgrzech, jak się czuje Piasecki i co porabia p. Sława.

Opowiedziałem po krótko wszystko, co uważałem za najbardziej interesujące, a jeśli chodzi o p. Sławę oświadczyłem, że będzie to jedna z najpierwszych znajomych osób, które zobaczy w Budapeszcie, gdyż Piasecki prosił mnie, abyśmy prosto z dworca do niej zajechali. Sobolta także tam przywiezie resztę.

— Co prawda, spodziewają się przyjazdu panów dopiero jutro, jak mi mówił Piasecki, ale to nie gra roli, bo wieczorem p. Sława zwykle jest w domu, a jej mamusia zawsze.

— Tak, rzekł Marszałek, trochę przyspieszyliśmy, bo Duziński zdołał szybciej dojść do porozumienia z „komórką przemysłową”, a poza tym w niedzielę wydawało nam się praktyczniej wiać...

Najbardziej pewno zmęczony jest Kogut, który prowadził świetnie wóz przez całą drogę po oślizgłych serpentynach górskich.

— Obyło się bez wypadku, nie licząc kilku baranów, które rozbił w jednym miejscu, gdy nam stado zatarasowało drogę. Skorzystał na tym góral, prowadzący stado, bo dostał sute odszkodowanie, no i — na święta — będzie miał pieczeń, opowiadał dalej z humorem Marszałek.

W pewnym momencie, gdy pociąg stanął na stacji w Kistelek, mocno się speszyłem, bo nagle rozchyliły się drzwi przedziału, a wetknięta w szparę roześmiana twarz węgierskiego oficera huzarów rzuciła głośno powitanie:

— *Her Rogowski, wohin Sie fahren?*

W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, kto to jest, ale momentalnie poderwałem się i wyszedłem na korytarz, aby

się przywitać i równocześnie zapobiec, żeby oficer nie chciał się przysiąść i nie zainteresował się Śmigłym. Trzeba wiedzieć, że zwłaszcza wojskowi na Węgrzech znali doskonale sylwetkę Śmigłego z licznych ilustracji i czasopism wojskowych, a on, choć w cywilnym przebraniu, jednak — jak już nadmieniałem poprzednio — nie zbyt się zmienił. Krótko przystrzyżone na skroniach i z tyłu włosy uwydatniały znaną łysinę, czarne brwi i ciemne jak dwa węgielki oczy, były zbyt charakterystyczne, aby nawet zapuszczone, ale krótko przystrzyżone wąsy mogły nadać fizjonomii coś zbyt innego, niż ludzie zapamiętali.

Gdy witałem się z podpułkownikiem, już wiedziałem, że ściskam prawicę sympatycznego znajomego z salonu p. Riedlowej, Beinthnera. Ba, ale którego? Poznałem ich dwóch, bliźniaków, podobnych do siebie jak dwie krople wody...

Obaj podpułkownicy huzarów, średniego wzrostu, blondyni, jednakowo wygoleni, z jednakimi fryzurami, oczyma, zębami i w ogóle... Jeden był w pułku, a drugi... „Szefem Sekcji Wschodniej” węgierskiego II Oddziału...

Upłynęło dość dużo czasu zanim w rozmowie zorientowałem się że rozmówcą moim jest „ten z pułku”, zatem mniej w danej sytuacji zbyteczny, jak jego brat.

Zresztą jechał niedaleko i po jakiejś godzinie wysiadł, długo i serdecznie ściskając mi dłoń, a nawet, gdy już stał na peronie swej stacji, jeszcze serdeczniej wymachiwał rękami i krzyczał do widzenia.

Miało to tę dobrą stronę, że wszyscy podróżni z otoczenia, a zwłaszcza konduktor naszego wagonu, wyzbyli się jakichkolwiek uprzedzeń do nieznanego „obcego”. Wspominam o tyle konduktora, że, jak się później dowiedziałem, większość z nich stała na usługach kolejowego kontrwywiadu...

Gdy wróciłem do przedziału Śmigły okazał duże zainteresowanie nieznanym wojskowym, zwłaszcza, że tak długo i tak uprzejmie rozmawialiśmy na korytarzu. Opowiadając kto to, ubawiłem serdecznie Marszałka autentyczną historią jaką Beinthner opowiadał, a *propos* ich bliźniaczego podobieństwa:

Pewnego razu wszedł jeden z nich rano do fryzjera i prosił, aby go dobrze wygolił, bo szybko zarasta. Fryzjer twierdził, że po jego goleniu co najmniej przez 24 godzin będzie miał twarz gładką, jak panienka, a na to Beinthner mówi: „Panie, załóż się, że za dwie godziny już mnie pan po raz drugi musi ogolić, jeśli bym się gdzieś miał udać z wytworną wizytą”. Fryzjer stanowczo twierdził, że to niemożliwe i że po jego goleniu może śmiało całkiem iść z wizytą nawet wieczorem do pań itd.

Stanął zakład i płk. oświadczył, że za dwie godziny przyj-

dzie znów do tego lokalu i fryzjer się przekona jak mu szybko zarost odrasta.

W międzyczasie Beinthner poszedł do koszar, gdzie brat jego kończył służbę, opowiedział mu wszystko o zakładzie i kazał mu pójść do fryzjera. Gdy ten tam się zjawił, nie tylko fryzjer, ale i wszyscy jego koledzy zdumieli się: — dopiero co gładko wygolony oficer miał brodę szorstką, widocznie domagającą się brzytwy..

Kawał ten był w swoim czasie głośny w Budapeszcie.

W Ceglet wysiadła i nasza towarzyszka z dzieckiem, tak że w przedziale zostaliśmy sami. Wieczór już zapadł na dobre i zapalono lampy. Przyciemniłem je, a Śmigły począł sam opowiadać, jak przeszedł przez dziurę wyciętą w drutach kolczastych, otaczających willę, a opodal czekali już z gotowym samochodem Kogut i Nejsarek z Bożenką, jak dali z miejsca gazu i pognali w dal. Nigdzie nikt ich nie zaczepił, a nad granicą Dudziński, przemysłowiec śląski, przez swoje stosunki przygotował przejście i wszystko odbyło się gładko.

— Dla niepoznaki musiał na miejscu pozostać Wenda, adiutant, i szofer Kutnik, których żandarmi, pilnujący willi, zwykli byli widywać codziennie kręcących się w obejściu.

— Jutro powinien Wenda uciec z Nejsarkową tą samą drogą, a zanim się ktoś z Rumunów zorientuje co do ucieczki, będą już tutaj. Auto, którym mają uciec, będzie prowadził mój świetny osobisty kierowca Kutnik.

— Najważniejsze, aby się Rumuni, a za nimi i Niemcy, nie dowiedzieli, w którą stronę uciekliśmy...

— Nejsarkowie i Kogut, przynajmniej przez jakiś czas, a Wenda w szczególności, jako znani z bezpośrednich w Rumunii ze mną kontaktów, nie mogą się ujawniać, przynajmniej przez dłuższy czas, i trzeba będzie ich zakonspirować, zakończył Marszałek.

— To się da zrobić, panie Marszałku, zapewniłem, tylko, aby sami umieli się dostosować do konieczności tej czasowej konspiracji.

— Już rozmawialiśmy o tym i sądzę, wtrącił Marszałek, że rozumieją to należycie. Zresztą jeszcze w Budapeszcie porozmawiamy.

A Budapeszt już widać było przez okna wagonu. Rzęsiście oświetlony, tłumny i ruchliwy.

Pociąg wtoczył się na wielki *Nyugati pályudvar*, czyli dworzec zachodni.

Ze względu na możliwość natknięcia się na kogoś ze znajomych, umówiłem się z Marszałkiem, że pójdzie za mną osobno,

na odległość wzrokową, a dopiero przed samym dworcem wsiądzie do taksówki, którą zatrzymam.

Poszło wszystko gładko i dość szybko stanęliśmy na Fecske u., niedaleko domu p. Sławy, po odjeździe taksówki podeszliśmy do mieszkania.

Zastaliśmy w domu tylko jej bardzo miłą matkę, która zaraz poprosiła Śmigłego do pokoju obok, aby tam spokojnie mógł poczekać, gdyż do kuchni, która była równocześnie jadalnią, salonem i pokojem przyjąć, zawsze ktoś mógł wpaść.

Ja tymczasem udałem się do Piaseckiego, który mieszkał niedaleko na Jozeph u. Za parę minut dzwoniłem do jego mieszkania. Piasecki właśnie się golił. Wiadomością, że już jesteśmy był mocno przejęty, więc niebawem się przebrał i szybkim krokiem udaliśmy się do p. Sławy.

Po drodze Piasecki zwierzył mi się, że nie spodziewał się tak szybko Marszałka i że nie zdążył przygotować dla niego kwatery. Uspokoilem go, że parę dni Śmigły może zupełnie spokojnie pomieszkać u mnie, gdzie będzie miał wszelkie wygody i będzie całkiem bezpieczny. Co do Koguta i Nejsarka to zaprowadzę ich na razie do mieszkania na Vaci u. 80, które na miesiąc grudzień wynająłem u znajomych Węgrów, chwilowo bawiących poza Budapesztem. Był to pokój niekrępujący i wygodnie umeblowany, a bardzo blisko mojego mieszkania na Molnar u., więc mogłem być w ciągłym z nimi kontakcie. Na tym stanęło i z gotowym planem kwaterunkowym przyszliśmy do mieszkania Wendowej, gdzie już zastaliśmy wszystkich w komplecie i samą p. Sławę, właśnie robiącą wyrzuty Nejsarkowi i Kogutowi, że zostawili w Rumunii jej męża, a nie zabrali go z sobą.

Nejsarek zapewniał ją stanowczo, że na pewno Wenda przybędzie tu z jego żoną.

— Przecież też nie chciałbym, mówił właśnie Nejsarek, aby ona tam została, a ja tu z dzieckiem...

Po skromnej kolacji zawiozłem taksówką Śmigłego do siebie a następnie wróciłem po obydwoh pułkowników i wprowadziłem ich do ich kwatery. Z Piaseckim umówiliśmy się, że przyjdzie do mnie następnego dnia rano około godz. 9-tej.

Moja pani Szütz z całą gotowością dodała mi składane łóżko polowe z dodatkową pościelą i obiecała nazajutrz przygotować śniadanie, gdy ją poinformowałem, że przybyły ze mną to mój krewny z Polski. Była pewna, że dopłacie jej za dodatkowego sublokatora, a z wyglądu „mój krewniak” bardzo jej się podobał. Śmigły wykąpał się w łazience, przyjął ode mnie piżamę, gdyż żadnych rzeczy ze sobą nie miał i z przyjemnością wyciągnął się w czystej pościeli na wygodnym tapczanie. Moje łóżko składane

okazało się również wygodnym legowiskiem toteż niebawem zasnąłiśmy.

Tak więc pierwszą kwaterę na Węgrzech znalazł Marszałek Śmigły Ryzd na Molnar u. 53 II p. mieszkania 3, dnia 17 grudnia 1940 r.

Gdy się obudził nazajutrz wypoczęty i odświeżony, ogolił się, wykąpał i ubrał a p. Szütz podała nam świetną kawę i bułki z masłem.

Obtarcie nogi, na które się skarżył Śmigły, okazało się niezbyt wielkie i już, po zasypaniu wieczorem dermatolem i opatrunku ochronnym, jaki mu zrobiłem, rano było widać znaczną poprawę. Ponowny opatrunek umożliwił wprawdzie obucie się, ale Śmigły chętnie zgodził się na moją propozycję, aby pozostał na razie w samych pantoflach. Piasecki zastał go odświeżonego i w bardzo dobrym humorze.

Śmigły prosił, żeby Koguta i Nejsarka z Bożenką przyprowadzić tutaj i po drodze, żeby coś kupić na wspólne drugie śniadanie, a potem — ponieważ nie było wiadomo czy i kiedy przyjadą ich rzeczy, prosił także abym mu kupił parę koszul, skarpetki i inne niezbędne drobiazgi. Gdyśmy przyszli z pułkownikami i zasiedli przy stole z przekąskami, do których potrzebną zastawę użyczyła mi uprzejmie p. Szütz potoczyła się miła pogawędka o szczegółach przekradania się przez granicę, gościnie u proboszcza itd.

Śmigły okazywał dużo troski o pozostałą resztę, czy uda im się tak samo łatwo przedostać na tę stronę. Nejsarek był pewny powodzenia twierdząc, że w Rumunii i za pieniądze wszystko można zrobić, a Dudziński w Aradzie gospodaruje jak u siebie. Po tej zaś stronie wszystko idzie gładko...

Ponieważ lada dzień można się było spodziewać ich przybycia, postanowiliśmy, że dla Nejsarka z żoną i córeczką wynajmę pokój w żydowskim pensjonacie, który jest tuż obok, w tej samej kamienicy na drugim piętrze, tylko w innym skrzydle. Kogut pozostanie jeszcze parę dni na Vaci ut, dopóki nie znajdziemy lepszego pomieszczenia na potrzebny okres, aż ucichnie hałas, którego spodziewaliśmy się po ujawnieniu faktu ucieczki Śmigłego z Rumunii.

Dnia 20 grudnia wieczorem Klimczak przywiózł całą resztę uciekinierów. Rezolutną p. Nejsarkową zaprowadziłem od razu do jej męża, już zajmującego z Bożenką pokój w pensjonacie obok zaś płk. Wendę i Kutnika zabrał ze sobą Piasecki na Fecske u.

Walizki wszystkie również dostały się przez granicę w porządku z wyjątkiem jednej, z rzeczami Śmigłego, która gdzieś

zaginęła jeszcze na stronie rumuńskiej. Okazało się, że było ich razem coś ze dwanaście sztuk, w tym tylko dwie należały do Śmigłego, a reszta, to przeważnie była własność zapobiegliwych Nejsarków. Zresztą nie dziwota; małżeństwo z dzieckiem.

Tym razem nasz pocziwy red. Mihaly miał sposobność poznać uciekinierów i przekonać się naocznie, że jego starania nie były daremne. Co prawda nie miał on wyraźnej świadomości, komu się przysłużył i kogo wita, ale wystarczyło mu, że są to „wybitniejsi” Polacy. Prawdopodobnie, sądząc z tuszy i powściągliwości w rozmowie za najważniejszą figurę uznawał Kutnika. Zresztą nie psuło mu to humoru, ani też to, że żaden z nich, ani w ząb, go nie rozumiał, jak i nawzajem on ich. Może jeszcze p. Nejsarkowa, mówiąca biegle po francusku i niezłe po rumuńsku, jakoś się z nim mogła dogadać, co mu zresztą odpowiadało, gdyż kobieta była miła i postawna, trochę wyższa od niego, a nie pozbawiona umiejętności podobania się. Przyjechało więc całe bractwo bez przeszkód.

Do momentu ich zniknięcia, nikt na miejscu nie domyślał się ucieczki Śmigłego, a należało przypuszczać, że fakt ten mogli żandarmi stwierdzić najwcześniej gdzie 18 lub 19 grudnia, kiedy już i Wenda przekraczał granicę, ale kierunek ucieczki najprawdopodobniej nie mógł być wykryty.

Jednym słowem — sprawa się udała.

W Budapeszcie, w porozumieniu z K.E.O.K. i za aprobatą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Węgiersko-Polski Komitet Opieki na Uchodźcami przy Szervita-Ter 10, którego organizatorką i przewodniczącą była hr. Szapari, utworzył centralę rejestracyjną uchodźców, która miała prawo rejestrować przybywających uchodźców i wystawiać im legitymacje.

Na czele tego biura stał b. starosta Zamecznik, a dział ewidencji prowadził również mój dobry znajomy ze Lwowa ob. Pfau, b. sekretarz Izby Przemysłowo-Handlowej we Lwowie. Obydwaj bardzo solidni ludzie toteż nie było mi trudno zarejestrować wszystkich przybyłych formalnie i uzyskać dla nich potrzebne legitymacje, oczywiście pod przybranymi nazwiskami, przy czym nie wymagano ode mnie ich osobistego jawienia się w biurze.

Legitymacje te, wystawiane tylko dla uchodźców cywilnych, nie uprawniały do stałego zamieszkania w Budapeszcie, lecz w obozach na prowincji, wobec czego zarejestrowałem wszystkich do obozu w Balaton Szemes. Dla Marszałka wydano taką legitymację pod nr. 5239 na nazwisko Rogowski Stanisław a na pobyt wymyśliłem miejscowość Enesa-Győr megye.

Oczywiście sprawa ta była już z góry ułożona i teraz postanowiłem w porozumieniu z Piaseckim, że za parę dni będę musiał zawieźć Koguta, Nejsarka i Kutnika do Balaton Szemes. P. Nejsarkowa z córeczką łatwiej będzie mogła przebywać w Budapeszcie, gdy na kobiety nie zwracano tak uwagi, zaś co do Wendy, to p. Sława zastrzegła sobie, że sama wyrobi mu odpowiednie dowody i postara się go „zamelinować”.

O ile co do Koguta-Wyrwińskiego i Nejsarka można było, w razie ich ujawnienia, tylko przez dowolne kojarzenie czasu ich przybycia z Rumunii podejrzewać, że mieli coś wspólnego z ucieczką Śmigłego, o tyle płk Wenda był osobą tak ściśle w Rumunii związaną ze Śmigłym, że odkrycie jego równałoby się ujawnieniu kierunku ucieczki Marszałka. Rozumiała to p. Sława, ale zapewniała, że potrafi męża całkowicie zakonspirować.

W sobotę 21 grudnia Piasecki przyszedł zameldować Śmigłemu, że będzie mógł parę dni, zanim coś odpowiedniego nie znajdziemy, pobyć w sanatorium dr. Pajora na Was u. 17.

Dr Pajor wyraził całą gotowość przygarnięcia naszego znajomego „profesora”, zapewniając, że u niego, w stanie chorych, będzie się mógł czuć zupełnie bezpiecznie. Tak więc prof. Rogowski stał się chwilowo pacjentem sanatorium dr. Pajora. Otrzymał tam własny pokój i jak najlepsze warunki odpoczynku, ale musiał się poddać dokładnym badaniom lekarskim i jakim takim zabiegom leczniczym. Zresztą sam dr Pajor już starał się, ażeby te zabiegi i lekarstwa nie były przykre.

Nazajutrz pojechałem do Balaton Szemes, aby przygotować grunt i kwatery dla Koguta, Nejsarka i Kutnika, który na Węgrzech nazywał się Piechnik.

Moi znajomi Syska, Wojciechowski i Suchorski porozumieli się zaraz z miejscowym notarem, bardzo uprzejmym człowiekiem, znaleźli doskonałą kwaterę, tak że za kilka dni mogłem już wszystkich ich odstawić do tego, zresztą uroczego, miejsca czasowego ich pobytu. Umówiłem się, że przyjedziemy w drugi dzień świąt.

A tymczasem już w prasie i w radio rozbrzmiewało o „tajemniczej ucieczce Marszałka Rydza Śmigłego”, „z willi, której pilnował specjalny pluton żandarmerii”, „władze rumuńskie prowadzą energiczne dochodzenia, ale kierunku ucieczki dotychczas nie udało się ustalić”. „Podobno widziano go w aucie, ale aż w kilku miejscowościach Rumunii, tak jednak odległych od siebie i tak rozrzuconych w różnych kierunkach, że trudno dociec, gdzie go widziano na pewno, a gdzie tylko komuś się zdawało, że go widział”.

„Prawdopodobnie uszedł w kierunku na południe...”.

Sensacja była ogromna i na Węgrzech, a wśród uchodźców tym bardziej.

My również, rozumie się, objawialiśmy niebywałe zainteresowanie tą sprawą i braliśmy z innymi żywy udział w teoretycznych dociekaniach, gdzie mógł uciec...

Szczególną czujność i ruchliwość wywiadowczą rozwinęła na Węgrzech „dwójka” polska, gdyż widocznie dostała szyfrowane instrukcje z Londynu.

Piasecki zawczasu odebrał od nas wszystkich uroczyście słowo honoru, że nikomu nie zdradzimy pobytu na Węgrzech Śmigłego, nawet do czasu, zachowamy tajemnicę, przed naszymi innymi przyjacielami z zebrań czwartkowych.

Przedstawicielstwo polskie zaczęło powoli ewakuować swych urzędników i dokumenty z terenu Węgier drogą przez Turcję na Bliski Wschód. Równocześnie tą drogą ewakuowano i sporą garść uchodźców. Z tą grupą uchodźców wyjeżdżała również dobrze mi znajoma uchodźczyni p. Mira. Uprosiłem ją, ażeby zechciała zabrać ze sobą list, który nada na pocztę w Konstantynopolu. Był to list odręczny marszałka Śmigłego do płk. Wuldescu, prefekta w Kimpolungu. W liście tym Marszałek przeprasza go za ucieczkę i dziękuje za poprawne zachowanie się organów rumuńskich podczas przykrego obowiązku pilnowania go, jako internowanego w Dragoslavele. Treść listu i charakterystyczne, wysokie ścieśnione pismo, nie mogły budzić wątpliwości, że było to pismo własnoręczne Marszałka, natomiast miejsce wysłania go świadczyło że „dostojny uciekinier” jest już daleko, poza zasięgiem władz rumuńskich. List ten istotnie dotarł do adresata.

Wywiad niemiecki jednak nie spoczywał i jeśli chodzi o Węgry to na jego żądanie również zaostrzono czujność. Z naszej strony wymagało to tym bardziej ostrożności.

Za zgodą Piaseckiego zwróciłem się do p. Riedl z zapytaniem, w wielkim zaufaniu, czy nie zechciałaby wyszukać u kogoś ze swych znajomych, raczej na prowincji, czasowego mieszkania dla mojego stryja profesora, który dopiero co przybył przez zieloną granicę ze Lwowa i z pewnych względów, przez jakiś czas byłaby wskazana dyskrecja co do jego pobytu na Węgrzech.

P. Margit bo tak, było na imię p. Riedl, okazała bardzo dużo zainteresowania „moim kłopotem rodzinnym” i zapewniła mnie, że to nie będzie trudne, ale musi się dokładnie rozejrzeć między znajomymi jej osobami. Prosiłem ją aby się nie krępowała ewentualnymi kosztami, gdyż stryj mój ma na szczęście dostateczne środki, z których będzie mógł pokryć związane z jego pomieszczeniem wydatki, a jest przewrażliwiony na tym punkcie, aby od kogokolwiek mógł przyjąć jakie świadczenia darmo.

Smigły, którego z Piaseckim odwiedziłem w sanatorium, z humorem powitał mnie jako krewniaka. Twierdził, że wprawdzie w sanatorium ma wszelkie wygody i pieczołowitą opiekę, ale chciałby możliwie jak najkrócej wykorzystywać wielką uprzejmość dr. Pajora, a poza tym tęskni za przechadzkami.

Już 23 grudnia p. Riedl zaprosiła mnie telefonicznie, abym zaraz przyszedł, bo prawdopodobnie udało jej się znaleźć coś odpowiedniego.

Gdy przybyłem do jej mieszkania oświadczyła mi, że jej bardzo dobra znajoma, hr. Karolyne Marenzi, wdowa po wybitnym węgiersko-austriackim generale, która mieszka na Svabhegy w samotnej willi, tylko ze służącą, chętnie zgodzi się odstąpić jeden pokój mojemu stryjowi. W myśl mojej prośby zgodziła się również przyjąć wynagrodzenie w wysokości 300 pengö miesięcznie. Zresztą szczegóły mogę z nią omówić, gdyż właśnie, mówi p. Riedl, czekam teraz przybycia Kuki, syna hr. Marenzi, to mógłby pan z nim pojechać i załatwić sprawę na miejscu. Hr. Marenzi już wie o wszystkim, więc trzeba kuć żelazo póki gorące.

Kadeta Kuki znałem już dobrze z jego wizyt u p. Riedl, jeszcze gdy rok temu u niej mieszkałem. Ofiarowałem mu wówczas moją lornetkę polową, którą się strasznie chłopak cieszył i stał się od tego czasu moim przyjacielem. Mieszkał on w koszarach Korpusu Kadetów, a tylko czasami, zwłaszcza w niedzielę, za przepustką odwiedzał matkę. Kuki było oczywiście jego imię zdrobniałe, ale jak ono brzmiało normalnie, nawet się nie pytałem. Był to sympatyczny blondynek, któremu bardzo do twarzy był barwny mundur kadecki. Gdy się dowiedział o co chodzi, z największą gotowością poderwał się, aby mnie zawieźć na Svabhegy, tym bardziej, że właśnie miał odwiedzić dziś matkę.

Pojechaliśmy najpierw tramwajem. Jechaliśmy długo ulicami Budy, aż do Olasz faser Retek u, długiej i szerokiej ulicy, przy której był dworzec kolejki zębatej. Tą kolejką jechaliśmy coraz bardziej w górę, poprzez ogrody i lasy, wśród których stały różne domki i wille. Jazda trwała dość długo, zanim dostaliśmy się do końcowej stacji, a stąd trzeba było iść jeszcze jakiś dobry kilometr do widocznej z dala wieży wodnej przy Baro Eötvös ut.

Kuki objaśnił, że łatwiej tutaj trafić, gdy się wysiądzie na przedostatnim przystanku, który leży akurat na końcu Baro Eötvös ut, ale, że droga jest dość stroma i męcząca, za to wracając, już lepiej schodzić tą właśnie ulicą.

Poza kilkoma willami przy Baro Eötvös ut. dochodzącymi jakieś 200 metrów do wieży wodnej, cała okolica wydawała się tu pustym i niezamieszkanym zagajnikiem. Jakąś wąską drogą w bok od wieży dostaliśmy się niebawem do miłej, murowanej,

parterowej willi, której właściwy front wychodził na poprzeczną drogę, jak się później dowiedziałem — Czike ut.

Cała willa była właściwie schowana wśród drzew, owocowych i innych, i tworzyła jakby oazę ciszy i zagubienia.

Przywitała nas sympatyczna brunetka, lat ok. 50, gładko uczesana i dość skromnie, ale gustownie ubrana, p. hr. Marenzi. Była już telefonicznie uprzedzona o naszym przyjeździe, toteż bez dłuższych wstępów przystąpiliśmy do omówienia sprawy.

Pokazała mi dość ładny narożny pokój, który był kiedyś, jak mówiła, gabinetem i sypialnią jej śp. męża. Z pokoju było niekrępujące wejście do łazienki, a dalej, po schodkach na dół, do kuchni.

Zaproszony do salonu stwierdziłem, że willa posiada jeszcze ze 4 pokoje, mile urządzone i czysto utrzymane. Całość przypadła mi bardzo do gustu, co nie omieszkałem wyrazić i poprosiłem o warunki. Hrabina zdawała się być trochę zażenowana, bo — jak twierdziła — miała zamiar przyjąć czasowo polskiego uchodźcę bezinteresownie, ponieważ jednak od p. Margit wie o skrupułach mojego stryja, wobec czego proponuje wspomniane już 300 pengö za pokój z pościelą i obsługą oraz opałem. Na ówczesne stosunki w Budapeszcie była to cena bardziej niż umiarkowana. Uzgodniliśmy również, że za osobną dopłatą hrabina pozwoli aby służąca podawała stryjowi skromne posiłki. Ostatecznie, pozostawiając resztę spraw już do uregulowania bezpośrednio między zainteresowanym a hrabiną, uzgodniliśmy, że przywiezę stryja w niedzielę 29 grudnia, rano ok. 9-tej.

Pożegnaliśmy się, jakbyśmy już od dawna byli najlepszymi przyjaciółmi. Na odchodnym p. Marenzi na stronie dodała prawie szeptem: — a o formalności meldunkowe bądźcie spokojni. U mnie może ktoś i rok cały siedzieć, a meldować go nie potrzebuję, bo nikt tego nie ośmielił się zażądać od wdowy po generale Marenzi...

Tym serdeczniej ponownie ucałowałem podaną mi rękę i zadowolony udałem się na stację kolejową.

Kuki odprowadził mnie kawałek i — życząc Wesółych Świąt — mocno uściśnął mi rękę na pożegnanie.



Marszałkowi bardzo się moja relacja załatwienia sprawy u p. Marenzi podobała. Uzgodniliśmy, że poza mną i Piaseckim, na razie nikt nie będzie wiedział, gdzie wyjechał.

Ponieważ osoba Piaseckiego mogła zwracać bardziej uwagę, niż moja, a nie wykluczone, że jakiś wywiad mógł go inwigilować

wać, przeto na wspólnej naradzie ustaliliśmy, że w niedzielę rano ja przyjadę do sanatorium i zawiozę Marszałka do Marenzi, zmieniając po drodze taksówki, aby utrudnić ewentualny wywiad.

Dwie walizki Marszałka dowiozę mu później wieczorem, a Piasecki przyjedzie popołudniu.

Wigilię Bożego Narodzenia spędziliśmy bardzo mile u p. Wendowej. Przedtem ja z Piaseckim byliśmy u Śmigłego w sanatorium, gdzie złożyliśmy mu życzenia. U Sławy Wendowej zastaliśmy już wszystkich zaproszonych na wieczerzę wigilijną. P. Sława zdążyła już zaglądnąć do męża, gdzieś głęboko zamelinowanego. Byli obecni Hubiccy, Lipińscy, Kowalczuk, Nina Adamczykówna, bardzo miła koleżanka Kowalczuka, z „Wieści Polskich”, naczelnik Klimczak i b. starosta Leon Gallas.

Prócz Wendowej, Piaseckiego i mnie, nikt z obecnych nawet nie przypuszczał, że Śmigły i jego towarzysze są w Budapeszcie.

Jak ustaliliśmy poprzednio, zaraz w drugi dzień świąt wyjechałem z Kogutem, Nejsarkiem i Kutnikiem do Balaton Szemes. Na miejscu przyjęto nas bardzo serdecznie, a że to były jeszcze święta, ugoszczono po staropolsku, toteż, gdy odjeżdżałem wieczorem, pozostawiłem naszą trójkę w nastroju zadowolonej rezygnacji, że tak powiem, aby być najbliżej prawdy. Prosił mnie tylko na odjezdnym, abyśmy się starali tak sprawę ułożyć, żeby nie musieli tutaj zbyt długo siedzieć.

W niedzielę rano 29 przyjechałem do sanatorium, tak jak umówiliśmy się, o godz. 8-ej rano. Marszałek był już gotów do drogi, a w pokoju u niego siedział dr Pajor z młodym asystentem dr. Molnarem, ażeby pożegnać drogiego, jak twierdzili, pacjenta.

Gdy odjechaliśmy spod sanatorium, zgłosiłem Marszałkowi, że przed chwilą telefonowałem do p. Marenzi, ale ona prosiła, aby przyjechać do niej dopiero koło godz. 11-tej, bo czegoś tam służąca nie zdążyła zrobić. Wobec tego proponuję, abyśmy zwiedzili kościół OO Paulinów w Pieczarach na wzgórzu św. Gellerta. Marszałek zgodził się nadspodziewanie chętnie.

O tej porze jeszcze nie można się było tam natknąć na nikogo ze znajomych, bo msza polska zaczynała się o godz. 10-tej. Grota kościelna bardzo się Śmigłemu podobała, a w kaplicy z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej klęczał dość długo i w skupieniu się modlił.

Gdy zajęliśmy miejsca w wezwanej taksówce, Marszałek zaproponował, abyśmy może gdzieś wstąpili na dobrą kawę, wobec czego kazałem pojechać do „Gerbeaud”. Była to w Budapeszcie najbardziej arystokratyczna kawiarnia, o starej, bo sięgającej 1858 roku tradycji i bardzo droga, toteż omijana przez uchodź-

ców. O tak wczesnej porze trudno było w tej kawiarni spotkać się z jakimkolwiek Polakiem. Kawiarnia była prawie pusta, ale już całkowicie przygotowana na przyjęcie licznych gości, którzy się tam byli zwykli schodzić o godz. 11-tej, toteż spokojnie mogliśmy rozkoszować się istotnie wyborną kawą i doskonałymi ciastkami. Marszałek był w świetnym humorze.

— Wie pan, jestem bardzo zadowolony z tego nieprzewidzianego spaceru po Budapeszcie. Wcale ładne miasto, tylko niech pan o tym nic nie mówi Piaseckiemu, bo gdyby wiedział, gdzie byliśmy, to mógłby zemdleć ze strachu, dodał z humorem Marszałek.

Ponieważ minęła już godz. 10-ta więc ruszyliśmy taksówką do Budy, gdzie pokazałem Marszałkowi z zewnątrz pałac cesarski. Zmieniwszy znów taksówkę — wg wszelkich zasad konspiracji — dojechaliśmy wreszcie do znanej nam już wieży wodnej. Tam zapłaciłem szofera i spacerkiem doszliśmy do willi hr. Marenzi.

Przywitała nas bardzo serdecznie i pokazawszy pokój „profesora” poprosiła do salonu.

Była ubrana po domowemu, ale bardzo wytwornie. Kuki był również w domu i przedstawił się Śmigłemu po wojskowemu jakby wyczuł w nim wyższego oficera.

Rozmowa toczyła się po niemiecku, ale p. Marenzi nie omieszkła kilku zwrotami upewnić się, że jej gość włada biegle językiem francuskim, co przyjęła z widocznym zadowoleniem, gdyż bardziej ten język ceniła, bo, jak mówiła, lepiej w nim wyrażać swoje myśli.

Około godz. 12-tej zaproponowała abyśmy się trochę przeszli po okolicy, a że dzień był prześliczny i Śmigły stęskniony świeżego powietrza, poszliśmy całą czwórką.

Okolica była bardzo ładna, teren falisty, porosły bądź krzewami, bądź gęstym zagajnikiem, a nawet w niektórych partiach pięknie zalesiony. Wśród bieli niezbyt grubej pokrywy śnieżnej, iskrzącej w słońcu, całość stanowiła prześliczny krajobraz.

Drogi były wyjeżdżone, więc spacer nie sprawiał żadnych trudności. Po paru minutach zobaczyliśmy w lesie ładne zabudowania z oszkloną werandą. P. Marenzi objaśniła, że jest to restauracja, z której często służąca przynosi jej obiady, bo nie zawsze opłaca się gotować dla dwojga osób.

Marszałek zaproponował, aby dziewczyny dzisiaj nie fatygować i poprosił p. Marenzi, aby zechciała z nami razem spożyć obiad.

Zajęliśmy stół w dość pustawym jeszcze lokalu, który jednak coraz bardziej zaczął się zaludniać. Na werandzie było bardzo przyjemnie i czysto, kuchnia doskonała, a obsługa świetna. P. Ma-

renzi tłumaczyła Śmigłemu węgierskie znaczenie dań z karty potraw, a Marszałek prosił, aby zechciała to lub tamto zadysponować, upewniwszy się wprzód, co według niej zasługuje na spożycie.

Po czarnej kawie wróciliśmy do willi, gdzie zastaliśmy już Piaseckiego, który przywiózł walizki Śmigłego. Był trochę przerażony, gdy nas nie zastał, a od służącej zdołał się dowiedzieć, że poszliśmy na spacer. Uspokoił go, że tutaj, a zwłaszcza o tej porze, trudno natknąć się na niepożądane spotkanie. Wieczorem powróciliśmy z Piaseckim, zabierając z sobą kartkę, na której Śmigły spisał najpotrzebniejsze rzeczy, o których zakupienie mnie prosił. Przed odjazdem zlecił Marszałek Piaseckiemu, aby powoli wtajemniczył niektórych zaufanych ludzi, jak Hubickiego i Lipińskiego, a Hubickiego, prosił, abyśmy przywieźli do niego już w Nowy Rok po południu.

— Trzeba będzie godnie powitać Nowy Rok, więc przyjeżdżajcie zaraz po obiedzie, rzekł Marszałek, a nie zapominajcie przywieźć maszynki do zaparzania czarnej kawy, którą zapisałem na kartce.

Tym razem „zapotrzebowanie”, doręczone mi na kartce było dość obszerne i tyczyło różnorodnych przedmiotów. Miałem kupić między innymi kasetę z kompletem farb, połowe sztalugi, kilka blejtramów obciążonych płótnem, blok rysunkowy i akwarele, oraz parę pędzli. Ponieważ odpowiedni sklep był obficie zaopatrzone, więc sprawunek nie był kłopotliwy, tym bardziej, że trochę się na tym znałem.

Inna grupa zamówienia obejmowała trochę zakąsek, ciastek, herbatników, wino itp. to już musiałem załatwić przy pomocy Piaseckiego, bo widocznie Marszałek chciał urządzić dość wystawne przyjęcie w Nowy Rok. Ale i z tym nie było wielkiego kłopotu, bo w tym czasie w Budapeszcie niczego nie brakowało.

Na Sylwestra Piasecki zaprosił szersze grono naszych znajomych do restauracji „Pannonia”, gdzie w osobnym gabinecie powitaliśmy wspólnie Nowy Rok, życząc sobie wzajemnie, aby był lepszy niż ubiegły.

Nastrój był niezwykle miły i serdeczny, choć daleki od zwykłej w takich okolicznościach wesołości, bo myśli wszystkich i rozmowy co chwila krążyły wokół najbliższych i znajomych, rozproszonych w ujarzmionym kraju i po świecie, w jakże ciężkich i nieraz beznadziejnych, zda się, warunkach...

Piasecki podszedł do mnie z lampką wina, dziękował bardzo za wielką pomoc we wszystkim i zaproponował wypicie „brudersaftu”. Odtąd więc byliśmy tylko dla siebie Julkiem i Baziem, bo pod takim zdrobniałym mianem byłem znany wśród najbliż-

szych. To dało hasło do podobnych objawów sympatii i dla innych, więc posypały się imiona, uściski i całusy braterskie. Pamiętam, że od tego czasu byłem na „ty” i z Wackiem Lipińskim, z Januszem Kowalcukiem i kilku jeszcze innymi przyjaciółmi. Brakowało nam tylko Jareckiego, o którym na razie nie mieliśmy wiadomości, a już dawno powinien był wrócić ze swojej wycieczki...

Rozeszliśmy się do domu coś ok. godz. 3-ciej, mając za sobą ciężki w przeżyciach rok 1940 i wielką niewiadomą przed sobą w roku nowym...

W Nowy Rok, jak umówiliśmy się, stawiliśmy się zaraz popołudniu u Śmigłego w towarzystwie gen. Hubickiego, a każdy z nas niósł jakąś część zamówionych sprawunków. Śmigły ucieszył się widocznie naszą wizytą i zaraz zabrał się do przygotowania kawy na nowej elektrycznej maszynie.

Przy kawie Piasecki wyciągnął gazetę szwajcarską, w której pokazał komunikat D.N.B., (Deutsche Nachrichten Büro) z wiadomością z Konstantynopola, że „Śmigły był widziany w samochodzie w Konstantynopolu w przejeździe prawdopodobnie na Bliski Wschód”. Wiadomość ta obiegła całą prasę europejską i znalazła również miejsce w „Więściach Polskich”, wydawanych, jak wspominałem, w Budapeszcie.

Notatka pt. „Śmigły Rydz w Turcji” zaopatrzona w fotografię Śmigłego, jak to zresztą robiły wszystkie dzienniki, podawała wiadomość z Berlina:

„Marszałek Edward Śmigły Rydz, b. Naczelnny Wódz Armii Polskiej, przybył do Istambułu, po ucieczce z Rumunii. Marszałek Śmigły Rydz dwukrotnie próbował uciec z Rumunii, zanim udało mu się skutecznie zaimar.

Przed kilku dniami była nieoficjalna notatka, że zdążył on przybyć do Konstantynopola. Obecnie już rządowa agencja niemiecka DNB podaje, że znajduje się w Konstantynopolu. (Niemieckie pisma wydawane w Norwegii podały wiadomość o tym kilka dni temu, ale dopiero teraz nadeszło potwierdzenie wiadomości z urzędowych źródeł. Przyp. Red.)”.

Wiadomość ta wywołała wielką wesołość i dobry humor.

— Jeszcze dwa dni temu, rzekł gen. Hubicki, byłbym sam święcie uwierzył, że to prawda, bo przecież przyzwyczailiśmy się, że tego rodzaju komunikatów Niemcy nie puszczaają na wiatr...

— Po tak autorytatywnym stwierdzeniu sędzę, rzekł Śmigły, że już mniej możemy się obawiać poszukiwań.

— No, jednak ostrożność jest potrzebna, dodał Piasecki. Śmigły jeszcze zaczął się szczegółowo wypytywać, jak są urzą-

dzeni Nejsarek, Kogut i Kutnik, jak się czuje Zygmunt (Wenda), p. Ada itd.

— Rok miniony był ciężki pod każdym względem, westchnął Marszałek, choć osobiście — jeśli chodzi o jego zakończenie nie mogę narzekać. Wszystko, dzięki wam, udało się, jak należy. Daj Boże aby następny rok był lepszy, a przede wszystkim, aby przyniósł zdecydowany zwrot w pożądanym przez nas wszystkich kierunku!

— Mamy nadzieję, że tak będzie, rzekł Piasecki.

Teraz Śmigły zaproponował, abyśmy zostali jeszcze przez wieczór. Przyniesione przez nas zakąski przekazał służącej, a sam udał się do p. Marenzi z prośbą, aby zechciała zarządzić wspólną z nami noworoczną zakąskę.

Tak więc rozpoczął się rok 1941.

MARSZAŁEK ŚMIGŁY RYDZ NA WĘGRZECH

Gdy zetknąłem się ze Śmigłym w Szegedzie, rozpoczął się nowy etap w moim życiu uchodźczym, całkowicie poświęcony temu człowiekowi i trwający prawie cały rok.

Rozpoczęła się wielka przygoda.

Nie zawdzięczałem Śmigłemu niczego w moim życiu i nie miałem szczególnych powodów do jakiegoś odwzajemnienia się obecnie za doznane dobrodziejstwa. Nie należałem, jak to już w swoim czasie wyraziłem wobec p. Wendowej, do entuzjastów, czy adoratorów jego osoby gdy był u władzy i gdy schlebianie mu było modne, a przez niektórych pojmovane, jako praktyczne. Znaliśmy się jednak od lat i ilekroć przyszło mi się z nim zetknąć zawsze był miły, uprzejmy i bezpośredni w obejściu, czym różnił się od niejednego, nawet mniejszego, dygnitarza. Był człowiekiem rozumnym, uczciwym, czystych rąk, dzielnym żołnierzem i niezrozumiałym. Zjednywał sobie tym sympatię u ludzi i ja również za to go lubiłem.

Teraz zaś było mi go żal i pragnąłem mu pomóc w jego niedoli, a że byłem wolny i niczym nie skrępowany, przyszło mi to tym łatwiej.

Od pierwszych dni pobytu na Węgrzech Marszałek okazywał mi duże zaufanie i dawał do zrozumienia, że zależy mu na tym, abym był przy nim, gdyż w danych warunkach byłem mu potrzebny, zarówno jak Piasecki.

W Nowy Rok ustaliliśmy, że na zmianę z Piaseckim będziemy go odwiedzać co drugi dzień. Jeśli chodzi o innych dalszych zaufanych ludzi, z którymi chciał porozmawiać, to każdorazowo, na jego życzenie, mieliśmy ich osobno przywozić.

Życie w domu p. Marenzi ułożyło mu się dość przyjemnie. Trochę malował, to znów czytał książki, bądź z biblioteki domowej, bądź według jego życzenia dobierane przez nas w budapesztańskich księgarniach. Gdy była ładna pogoda chętnie wychodził na przechadzki z p. Marenzi, lub jej synem, względnie z którymś z nas, gdy przyjechalibyśmy go odwiedzić.

Gdy się dowiedział, że grywam w szachy, bardzo się ucieszył i prosił o zakupienie kasety z szachami, jak również podręcznika rozgrywek, który studiował w chwilach samotności. Teraz grywalibyśmy prawie zawsze podczas każdej mojej u niego wizyty.

Najlepszym szachistą i teoretykiem gry wśród uchodźców w Budapeszcie okazał się b. starosta, zdaje się żydaczowski, Leon Gallas. Znałem go od dawna i bardzo lubiłem, jako solidnego, rozważnego, sumiennego i sprawiedliwego w sądach człowieka. Na Węgrzech należał do naszej zaufanej grupy. Gdy raz wspominałem o nim Śmigłemu i opowiedziałem o jego talentach szachowych, prosił mnie, aby go przywiózł na Svabhegy, gdyż chciałby spróbować swoich sił z takim mistrzem.

Po ministrze Hubickim i prof. Lipińskim była to trzecia osoba, wobec której postanowił odkryć swoje incognito.

Przygotowałem więc odpowiednio Gallasa do tej wizyty, nie mówiąc mu na razie z kim będzie miał sposobność zagrać w szachy. Nadmieniałem tylko, że będzie to wybitna, a znana mu osobistość, że za chwilę spotka się ze Śmigłym powiedziałem mu dopiero w kolejce zębatej. Nie chciał mi wierzyć. Myślał, że żartuję, bo pojęcia nie miał, że Marszałek może być na Węgrzech. Do pewnego stopnia był to sprawdzian, że konspiracja się udaje, kiedy nawet do niego, b. komisarza policji, zawsze mającego oczy i uszy otwarte, żadne podejrzenia nie dotarły.

Gdy za chwilę Śmigły go uprzejmie przywitał, biedny Gallas nie wiedział w pierwszej chwili, czy to prawda, czy też mu się to wszystko tylko śni. Przyszedł jednak dość szybko do siebie i gdyśmy po kawie przysiedli do szachów i rozpoczęli grę, Gallas był już opanowany. Wnet zorientował się, że Śmigły gra ambitnie i prawidłowo, toteż uwagi jego, stwierdzające to, a równocześnie fachowo uzupełniające teorię, bardzo przypadły do gustu Śmigłemu, tak, że poprosił Gallasa aby częściej do niego wpadał na partię. Gallas był uszczęśliwiony i serdecznie mi dziękował za stworzenie mu takiej miłej okazji zetknięcia się z Marszałkiem, którego przed wojną widział tylko rzadko i z daleka. Okazał się on idealnym partnerem, grał rzeczywiście po mistrzowsku i można się było od niego dużo nauczyć, ale umiał stwarzać takie sytuacje, że Śmigły nie przegrywał zbyt często, przeciwnie, czasem wygrywał, a zazwyczaj remisowali, co się mu bardzo podobało. Postęp

w grze Śmigłego był wyraźny, co skrupiało się na mnie, gdyż coraz częściej przegrywałem z nim, co go zresztą wprowadzało w doskonały humor.

Hr. Marenzi starała się na swój sposób umilać mu pobyt, bo sama samotna, zrećcznie zawsze umiała znaleźć powód do pogawędek ze swoim gościem, do którego widocznie się coraz bardziej przywiązywała.

Po bliższym poznaniu okazało się, że była to kobieta wcale inteligentna, subtelna, dość postępową i czytana, sama zresztą próbująca swoich sił literackich. Przy tym była ona stosunkowo energiczna i roztropna. Wyrobiona pozycja towarzyska dała jej dokładną znajomość całej arystokracji węgierskiej i stosunków wśród niej panujących. Dużą przyjemnością dla niej było tłumaczyć Marszałkowi prasę węgierską i komentować podawane tam wiadomości, tak, że wiedział on nieraz prędzej i lepiej od nas o wielu wypadkach i zdarzeniach.

Piasecki czuł się jakby głównym gospodarzem i szefem sztabu Marszałka. Rozwijał on dalej swoją działalność wśród uchodźców, znosił informacje i odbywał ze Śmigłym różne narady intymne. Mnie przypadła rola, jakby adiutanta osobistego, intendenta i kwatermistrza zarazem, a wspólne konferencje odbywaliśmy we trójkę przeważnie w wypadkach, gdy było potrzeba mojej rady i pomocy praktycznej, opartej na znajomości kraju i stosunków, względnie na moim doświadczeniu w dziedzinie administracyjnej.

Stosunki między naszą trójką układały się najpoprawniej. Piasecki miał mi do zarzucenia tylko to, jak twierdził, że nie zbyt przywiązywałem wagę do koniecznych form konspiracji, którą on zdawał się specjalnie celebrować, oraz, że nieraz pokpiwałem z O.Z.N. (Obóz Zjednoczenia Narodowego), którego on był przed wojną wiceprezesem, a ja nigdy nawet członkiem. Śmigły pod tym względem nie miał do mnie nie tylko żadnych pretensji, ale jakby podzielał moje zapatrywania. Jeśli chodzi o konspirację, to sam uważał, że Piasecki nieco przesadzał w drobiazgach, a w sprawach poważniejszych nieraz okazywał niedociągnięcia. Co do OZN-u, jak się później przekonałem w rozmowach ze Śmigłym, osobiście uważał on tę całą „imprezę” za niezbyt udaną, a po wojnie — jak mówił — na pewno okaże się, że trzeba będzie przyjąć inne, nowe formy ustrojowe, gdyż faszyzm niewątpliwie się zawali razem z Hitlerem i Mussolinim, a wobec tego odpadnie konieczność stosowania niektórych form, które były potrzebne wskutek ustrojów „wodzowskich” i ich prężności imperialistycznej, jaką okazywali obydwaj moi sąsiedzi Polski.

Prócz drobiazgów, jakie załatwiałem, miałem i poważniejsze zadania. Pobyt u Marenzi, jakkolwiek wygodny i bezpieczny, przynajmniej chwilowo, nad dłuższą metę nie wydawał się zbyt pewny, bo dobremu wywiadowi wystarczyło po prostu dobrze podinwigilować którąś z dość licznych już osób, bywających na Svabhegy, aby trafić na siedzibę Marszałka. Piasecki wprawdzie zawsze przestrzegał wszystkich, aby np. do kolejki zębatej na Olaszfasor dojeżdżali tramwajami lub taksówkami, zmienianymi kilka razy, gdy zaś dojadą do końcowej stacji, aby pilnie baczyć, czy ktoś za nimi nie idzie, lub ich nie podgląda, wreszcie aby do wieży wodnej na Baro Eötvös, od której już niedaleko było do willi Marenzi, iść różnymi drogami. Sam Marszałek lubił spacerować i nie potrafił wysiedzieć w domu, więc Piasecki drżał, że „może się przypadkowo na kogoś nadziać”. Choć Śmigły był w cywilu, to jednak ktoś obeznany z jego sylwetką łatwo mógł go rozpoznać. Biorąc te wszystkie rzeczy pod uwagę po naradzie w trójkę postanowiliśmy, że trzeba będzie jednak wtajemniczyć w sprawę kogoś z wpływowych Węgrów i poprosić o pomoc w wyszukaniu tymczasowego azylu gdzieś na prowincji. Wybór padł na naszą znajomą p. Riedl i mnie polecono wysondować ją i ewentualnie wtajemniczyć w sprawę.

W ciągu kilku dni trafiłem na okazję, aby móc z nią porozmawiać. Na razie nie wymieniałem nazwiska Śmigłego, mówiąc tylko ogólnie, że chodzi o wybitniejszą osobę z b. rządu polskiego. Zgodziła się bardzo chętnie, ale zauważyła, że lepiej nadałaby się do pomocy w tej sprawie jej szwagier, brat nieboszczyka męża, również gen. Riedl, już na emeryturze, który ma rozległe znajomości wśród b. swoich kolegów z wojska, siedzących poważnie po swoich majątkach.

Śmigły zadecydował, żeby go wtajemniczyć i oświadczył nawet gotowość złożenia wizyty generałowi, jeśli w rozmowie ze mną okaże się, że jest skłonny do takiego pośrednictwa. Rozmowy moje z gen. Riedl doprowadziły do tego, że Riedl chętnie obiecał rozpatrzyć się między przyjaciółmi i dać mi znać.

W międzyczasie musiałem jeszcze wpaść do Balaton Szemes i stwierdzić, jak się czują Kogut i Nejsarek. Czuli się dobrze, mieszkali wygodnie, a Kutnik był swego rodzaju gospodarzem i kucharzem. Narzekali jednak, że ich się odsunęło i wpakowało do dziury prowincjonalnej. Dużo mnie kosztowało nerwów i wymowy, aby ich jednak przekonać, że chwilowo nie ma innego wyjścia, ale że za parę tygodni, gdy Śmigły się ulokuje już całkiem bezpiecznie, i oni będą mogli powrócić do Budapesztu i nawet, jak przypuszczam, będą mogli się oficjalnie zarejestrować.

wać jako uchodźcy, gdy echa ucieczki Śmigłego przebrzmiały i nikt nie będzie łączył ich z tą sprawą.

Zgodzili się z tym, ale z wyraźnym zastrzeżeniem, że poczekają jeszcze tylko ze 2 miesiące, a potem, tak czy inaczej, przyjadą do Budapesztu.

Okazało się, że i wobec starosty w Szemes nie umieli zachować potrzebnej dyskrecji i że już dużo wiedziano. Na szczęście byli to poważni ludzie i dyskretniejsi od pułkowników.

Po powrocie do Budapesztu znów zajrzałem do gen. Riedla, który mi dał adres do jednego zaufanego swojego kolegi w okolicy Győr.

Gen. Riedla znałem już prawie od roku, gdyż odwiedzał czasami swoją szwagierkę na Eski ut. a gdy był chory, w lecie ub. roku, odwiedziłem go z p. Margit w szpitalu.

Choć już w stanie spoczynku, ale trzymał się dziarsko i prosto. Chodził przeważnie w mundurze, a nieco szorstki na pierwszy rzut oka, umiał przecie być bardzo miły w towarzystwie, zaś o Polakach zdecydowanie wyrażał się zawsze bardzo sympatycznie i z widoczną przyjemnością wspominał czasy swoich bojów na terenie Polski w pierwszej wojnie światowej.

Gdy odwiedziłem go w jego prywatnym mieszkaniu, wprowadził mnie do swego gabinetu, pełnego szaf z książkami i z całą masą porozkładanych map sztabowych, na których nakreślone były węglem i kredkami kolorowymi różne figury operacyjne.

Przepraszając za nieporządek, tłumaczył, że właśnie kończy opracowywanie historii udziału w ubiegłej wojnie swojej dywizji.

Na okazane przeze mnie zakłopotanie, że prawdopodobnie mu przeszkodziłem w pracy, uściśnął mnie i żywo zaprotestował, twierdząc, że ta praca jest dla niego po prostu zabawką z nudów. Jest właściwie ukończona, a teraz tylko poleruje ją, aby całość wyszła jak najlepiej.

— Taka praca — tłumaczył — to nie tylko wspomnienia i historia, ale pouczająca suma doświadczeń, błędów i sukcesów taktycznych i strategicznych. W operacjach wojskowych wszystkich czasów znajdujemy stale pewne prawa i zasady, bez względu na zmianę środków i techniki wojny, które są niewzruszone i muszą być przestrzegane, jeśli wyniki ich mają wypaść pozytywnie.

— Weźmy np. ostatnią waszą wojnę we wrześniu 1939 r., ciągnął generał. Widzi pan — tu wskazał na jedną z półek biblioteki — studiuje ją pilnie i zebrałem dość dużo materiałów, na razie niestety tylko niemieckich, ale dość ścisłych.

— Żołnierz polski świetny i ofiarny, ale zaopatrzenie jego w broń nowoczesną i środki techniczne, wobec potencjału przeciwnika, niżej krytyki, a dowództwo bardzo słabe...

— W takich warunkach, moim zdaniem, nie powinno się przyjmować wojny, a jeśli już do niej doszło, to nie należało przyjmować bitwy na olbrzymim łuku granicznym, lecz skrócić front i próbować stawić opór na linii Sanu, Wisły i Narwi — tu wskazał na mapę Polski.

— Na miejscu marszałka Rydza Śmigłego każdy strateg tylko tak mógłby postąpić, dodał.

— Panie generale — próbowałem trochę stępić jego ostrą krytykę — po pierwsze, wojna została nam zniemacka narzucona i nie mieliśmy wyboru, przyjmując ją, czy też nie przyjmując, po drugie nie do pomyślenia było w naszych warunkach bez walki oddać wrogowi połowę obszaru Polski i to najbogatsze dzielnice, a wreszcie, przy kolosalnej przewadze techniki i ilościowej Niemców, czy pan generał sądzi, że długo moglibyśmy się bronić na tej problematycznej zaporze, jaką by miały stanowić wymienione rzeki?

— Tak odparł generał, ale w takim razie, wobec beznadziejności sytuacji, trzeba było kapitulować i oddać Niemcom to, czego żądali. Wszystko jest płynne na tym świecie, raz się jest pod wozem, raz na wozie. Może byłoby lepiej bez ofiar ustąpić i przeczekać aż znów koło historii obróciłoby się na korzyść Polaków i moglibyście odebrać później, co wam teraz zabrano.

— Nam też podyktowano i musieliśmy bez szemrania oddać Rumunom Siedmiogród, który nigdy do nich nie należał, a przecież doczekaliśmy się teraz, że nam go zwrócono...

— A zresztą ma pan przykład trzeźwej oceny i rozumnej decyzji we Francji. Po kilkunastu dniach walki już najlepsi fachowcy wojskowi, jak Pétain, Weygand i inni ocenili, że nie ma co się bić beznadziejnie i skapitulowali... a Czesi przedtem, czy inaczej postąpili?

— My jednak inaczej oceniamy postępki generalicji francuskiej i nie skapitulowaliśmy, mimo, że wróg zajął całą Polskę, odrzekłem.

— Ciężkie cięgi historii nauczyły nas więcej cenić honor, niż trzeźwą kalkulację. Przecież gen. Bem i legiony innych Polaków, podobnie w beznadziejnej sytuacji, nie wypuszczali oręża z ręki, a dziś nawet u was, na Węgrzech, stoją ich pomniki i wiszą niezliczone tablice pamiątkowe. Oddać Niemcom dobrowolnie to, czego żądali? Nie, tego nikt z nas nie mógł zrobić, chyba zdrajca. Naszym zdaniem, na wojnie koło historii prędzej się obraca i wierzymy, że Hitler nie utrzyma się na jego wierzchu...

— Niechże pan mnie fałszywie nie rozumie, odrzekł widocznie nieco wzruszony generał. Jako stary żołnierz i patriota sądzę, że pojmuję wasze stanowisko, a skromnym dowodem tego niech będzie, że z największą ochotą zgodziłem się na propozycję szwagierki, aby wam pomóc w sprawie tej osobistości, o której pan z nią mówił.

— Czy mógłbym wiedzieć, kto to jest?

— Owszem, mam polecenie, aby przed panem generałem tego nie ukrywać, gdyż jesteśmy pewni jego dyskrecji.

— Moją ręką i generalskie słowo, rzekł poważnie, wyciągając dłoń do mnie.

— Marszałek Śmigły Rydz, powiedziałem, ściskając prawicę generała.

— Fantastyczne! — wykrzyknął Riedl, nie wypuszczając mej ręki ze swojej dłoni, a ściskając ją nawet tym mocniej. — Tym bardziej ponawiam swoje słowo!

I przeszliśmy następnie do rozważania już całego planu zakonspirowania Śmigłego.

— Gdy rozważam całą sytuację, jedynym, komu mógłbym zaufać w tej delikatnej sprawie, wydaje mi się emerytowany pułkownik X, mieszkający w swoim majątku pod Győr.

Tu opisał mi go generał Riedl w przybliżeniu, mówiąc, że rozmawiał już z nim, ale uważa, że — mimo wszystko — będzie najlepiej gdy ja sam tam pojadę, porozmawiam rozpatrzę się w sytuacji i ewentualnie zadecyduję.

Na tym więc stanęło i wzięwszy od gen. Riedla wizytówkę z krótkim przypomnieniem sprawy, oraz dokładny adres miejscowości, pożegnałem się.

Pojechałem tam, ale okazało się, że ten kolega, mimo całej chęci uczynienia zadość życzeniu gen. Riedla, ma pewne skrupuły co do dłuższego goszczenia u siebie kogoś obcego. Tłumaczył, że Győr to okręg przemysłu wojennego i siedziba dowództwa korpusu, że więc czujność tutaj, nie daleko austriackiej granicy, jest duża i na obcych zwracają szczególną uwagę.

Nie mogłem mu odmówić słuszności i wróciłem z niczym.

Marszałek był tym trochę speszony, a równocześnie i faktem że — jak mówił — hr. Marenzi zorientowała się już dobrze nie tylko, że on nie jest tym profesorem, za którego się podaje, ale nawet dała do zrozumienia, że wie kim jest właściwie, bo przyniosła mu jakieś dawne pisma ilustrowane po nieboszczyku mężu, oraz numer „Światowida” z jego zdjęciami i śmiejąc się powiedziała, że jej nieboszczyk mąż także, choćby się nie wiem jak przebrał, zawsze zdradzał się swoją postawą, nawykami i nawet sposobem prowadzenia konwersacji.

Śmigłemu nie pozostało nic innego, jak być zachwyconym jej domyślnością i spostrzegawczością, przeprosić i prosić o utrzymanie w tajemnicy.

Dużo kosztowało go zachodów, aby zgodziła się nadal brać czynsz umówiony, gdyż początkowo kategorycznie twierdziła, że w tej sytuacji uważa po prostu za obowiązek koleżeńsko-wojskowy, jako wdowa po generale, oraz dżentelmeński, aby dać schronienie i opiekę Marszałkowi chwilowo — w co mocno wierzy — muszącemu się ukrywać przed wrogiem, którego ona też nienawidzi.

Twierdziła, że — jeśli by sobie tego życzył — gotowa iść do hr. Pawła Telekiego, premiera Węgier, a nawet do regenta Horty'ego, których zna doskonale i jest pewna, że sami by pomogli ukryć się Śmigłemu gdziekolwiek by chciał i czuwaliby nad jego bezpieczeństwem, bo obydwaj Niemców nie lubią, a muszą tylko zachowywać pozory...

Śmigły jej wytłumaczył, że nie można narażać na ewentualną kompromitację polityczną kierowników państwowej floty, że jest sam pewny ich niechęci do Hitlera, że zna ich osobiście i niewątpliwie w ostateczności mógłby się z zaufaniem do nich odwołać, ale chwilowo tak jest wygodniej i bezpieczniej dla obu stron.

Po mojej relacji z Győr postanowił Śmigły jednak porozmawiać z Marenzi, czy ona przypadkiem nie miałaby jakiejś koncepcji na czasową zmianę jego miejsca pobytu, bo, jak ją przekonał, nie może stale siedzieć na Svabhegy. Zrozumiała to i postanowiła sama przesondować kilkoro znajomych. Sądziła, że każdy z nich w swoich majątkach mógłby zupełnie spokojnie ukryć nie jednego a dziesiątki uchodźców. Niestety sprawa okazała się nie tak łatwą. Węgry, po odzyskaniu dzięki Hitlerowi części utraconego w Trianon Siedmiogrodu, do którego powrotu wzdychali 20 lat, po przystąpieniu do „paktu trzech” i po „zerwaniu stosunków dyplomatycznych” z rządem polskim na emigracji coraz bardziej poddawali się wpływowi niemieckim. Szalaszowcy, węgierscy faszyci, podnosili głowę i stawali się coraz zuchwalsi, a zwłaszcza w wojsku i w wyższych sferach policyjnych mieli coraz większe wpływy, tak, że przyznawanie się do polonofilstwa zaczynało być już — może nie tyle niebezpieczne na razie, ile — niewygodne.

Nic dziwnego, że Marenzi doszła do przekonania, że szkoda nadal próbować. Wymyśliła natomiast całkiem rozsądną rzecz, że ewentualnie można by na jakiś czas zamieszkać w hotelu, w opustoszałym poza sezonem Balatonföldvarze, gdzie zna bardzo dobrze gospodarza hotelu Czifrak Antala, który będzie rad trochę zarobić, a jest zupełnie pewnym człowiekiem.

Ponieważ ja osobiście znałem się z tamtejszą załogą posterunku żandarmerii, a — jak już wspomniałem — starostą w Tal, do którego należał Balatonföldvár, był daleki kuzyn mojej żony dr Boor Laslo, przeto szybko zdecydowaliśmy, aby tam się wybrać.

Pojechałem najpierw sam na miejsce, aby jeszcze sprawdzić wszystko. Właściciel hotelu p. Czifrak, który mnie znał z ub. roku, jako kuzyna dr. Dubaya, chętnie się zgodził przyjąć na parę tygodni mnie ze „stryjem”, który po rekonwalescencji wymaga odpoczynku. Ponieważ miał na utrzymaniu stałą kucharkę i pokojówkę, więc o obsługę, choć to było poza sezonem, nie było kłopotu, koszta zaś stosunkowo nieduże, bo pokój z utrzymaniem wynosił ok. 12 pengö dziennie od osoby.

Gdym mu zapowiedział, że prawdopodobnie odwiedzi nas tutaj hr. Marenzi, widocznie się rozpromienił i obiecał wszystko przygotować tak, abyśmy byli zadowoleni.

Na posterunku żandarmerii przywitano mnie, jak starego znajomego, a komendant uważał, że dla chorego stryja tu będzie bardzo spokojnie.

Föszolgabíró dr Boor ucieszył się gdy mnie zobaczył, a gdym mu odpowiedział historyjkę, jak mój stryj, prof. ze Lwowa, uciekł spod bolszewików przez zieloną granicę i jest teraz bez żadnych dokumentów, powiedział mi:

— Nie bój się nic, przywieź mi tylko jego dwie fotografie, a wystawię ci dowód osobisty, jakiego nie ma żaden uchodźca.

Sprawa więc była załatwiona zupełnie dobrze i 27.II.1941 r. mieliśmy przyjechać do Balatonföldvár.

Marszałek postanowił pożegnać się z Riedlową, którą w między czasie poznał u hr. Marenzi, oraz z jej szwagrem gen. Riedlem, aby im podziękować za próbę ulokowania go.

Było to tym bardziej wskazane, że — jak się okazało — mimo zapewnień o najzupełniejszej dyskrecji co do tożsamości gościa, przed kim, jak przed kim, ale przed swoją najbliższą przyjaciółką — Riedlową p. Marenzi nie potrafiła utrzymać w tajemnicy. Czy w grę wchodziła tutaj rzeczywiście stara przyjaźń i przyzwyczajenie do dzielenia się nawet najintymniejszymi sprawami, czy też chodziło po prostu o zaimponowanie Riedlowej, że ona pierwsza się poznała na osobie, którą właściwie Riedlowa do niej sprowadziła, dość, że Riedlowa podczas ostatniej wizyty u hr. Marenzi już wiedziała z kim rozmawia i nawet nie starała się zbytnio tego ukrywać. Owszem zapewniała Śmigłego, że na jej i szwagra dyskrecji może zupełnie polegać. Marszałek zapewnił ją solennie, że nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości

bo zarówno od hr. Marenzi, jak ode mnie i od Piaseckiego sły-
szał dużo o jej życzliwości, charakterze i wyrobieniu.

Próby przeproszenia i wytłumaczenia, dlaczego od razu nie
odkrył wobec nich swego incognito, przerwała p. Riedl zapewnie-
niem że uważa to za całkiem naturalne i słuszne w obecnych wa-
runkach. Hr. Marenzi dorzuciła przy tym, że obie są pełne po-
dziwu dla jego hartu osobistego i niezłomności w ciężkiej chwi-
lowo sytuacji i że, na równi z oddanymi mu Polakami, obie
są gotowe uczynić wszystko, co okazałoby się potrzebne dla
niego i dla dobra sprawy, którą reprezentuje.

Nie łudziliśmy się co do łatwości, z jaką można było rozszy-
frować identyczność Śmigłego, nawet tylko na podstawie znajo-
mości jego rysów z fotografii w czasopiśmie, toteż tym bar-
dziej postanowiliśmy teraz unikać sytuacji, które by to mogły
ułatwiać. Na razie byliśmy pewni, że spośród Węgrów były to
jedyne trzy osoby, które wiedziały kim jest w rzeczywistości,
lecz w których solidność i dyskrecję nie mieliśmy podstaw wątpić.

Nie wiedzieliśmy natomiast jeszcze o dwóch osobach, które
również podobnie, choć mimo woli, zdemaskowały identyczność
Śmigłego. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero w kilka tygodni póź-
niej, stwierdzając przy tym, że czasami mają rację stare przysłowia
i powiedzonka, jak np. „nie ma złego żeby na dobre nie wyszło”.

Otóż, jak nam później opowiadał dr Pajor, gdy „prof. Ro-
gowski” był przyjęty w stan chorych w sanatorium, opiekę stałą
nad pacjentami tego oddziału miał młody asystent dr Molnar.

Był to lekarz sumienny, inteligentny i bardzo oddany służ-
bie, to też gorliwie zajął się nowym swoim klientem. Śmigły w
pidżamie, z gołą głową i bez okularów bardzo mu kogoś przypo-
minał, toteż długo nie zasnął spokoju i wciąż rozmyślał, gdzie
on już tę twarz widział. A miał młody doktor jedną, nieszkodli-
wą manię, był mianowicie namiętym zbieraczem wycinków z
czasopism ilustrowanych wszystkich napotykanych podobizn zna-
nych w polityce osobistości. Wycinki te wklejał do specjalnego
albumu, prowadzonego systematycznie według państw i narodo-
wości. Gdy w niektórych pismach ukazały się z końcem grudnia
fotografie „zbiega z Rumunii” i dr Molnar otworzył dany dział
albumu, aby wkleić nową zdobycz, zobaczył tam już szereg foto-
grafii Marszałka, w różnych pozach, a nawet bez czapki wojskowej.
Nastąpiło olśnienie. Podobieństwo pacjenta, czas przybycia do
sanatorium, Polak, właściwie nie chory.

Podniecony odkryciem pobiegł z albumem do swojego szefa,
dr. Pajora.

— Panie dyrektorze, pan wie kogo my mamy w sanatorium?

i pokazując zdjęcia Śmigłego zaczął przekonywać dr. Pajora o słuszności swoich domysłów.

Dr Pajor położył mu rękę na ramieniu i zaczął uspakajać, sam zresztą również przekonany, że dr Molnar ma rację.

— Panie kolego, jest pan lekarzem, a największym obowiązkiem naszego stanu jest tajemnica i dyskrecja zawodowa...

Dłuższy przyjacielski wywód na ten temat poważnego lekarza i najwyższego przełożonego w sanatorium skończył się podaniem sobie ręki i przyrzeczeniem, że, bez względu na słuszność, czy niesłuszność domysłów, nikt się nie może o tym dowiedzieć, ani pacjent nie może odczuć w najmniejszym stopniu, że się domyślają jego tajemnicy...

Gdyśmy się żegnali z obydwoma doktorami w dniu odejścia Śmigłego z sanatorium, było to już po powyższej rozmowie między nimi, ale żaden szczegół ich uprzejmego zachowania się nie wzbudził w nas najmniejszego podejrzenia, że obydwaj znają naszą tajemnicę.

Wracając do momentu drugiego pożegnania, u hr. Marenzi, uradziliśmy wspólnie, że ze względów ostrożności lepiej będzie, gdy ja z Marszałkiem przyjadę rano do p. Riedl i tam poczekamy na hr. Marenzi, oraz stamtąd odjedziemy do Balatonföldvár.

P. Marenzi obiecała wszystko zaaranżować i wynająć również auto prywatne, niby dla siebie, z tym, że nas „okazyjnie zabierze”.

Gen. Riedl był również zaproszony do p. Riedlowej.

W przeddzień wyjazdu Marszałek prosił mnie, abym dla p. Riedl kupił jakiś przyzwoity flakonik i parę róż, które on jej chciał doręczyć. Kupiłem kryształowy flakonik w komisie i parę róż „Maréchal Niel”. Całość bardzo się Marszałkowi podobała.

Moja gospodyni, p. Szütz, była już przyzwyczajona do moich częstych wyjazdów, a że płaciłem jej punktualnie za mieszkanie, więc się dużo nie dopytywała.

Wzięliśmy jedną walizkę podrózną z najpotrzebniejszymi przedmiotami, a resztę miał nam przysłać Piasecki ekspresem.

Do p. Riedl pojechaliśmy taksówką z p. Marenzi, a tam za godzinę miało podjechać auto prywatne przez nią zamówione.

U Riedlowej zastaliśmy już gen. Riedla i Piaseckiego. Podano kawę i ciastka. Atmosfera była bardzo domowa i serdeczna, a gdy Marszałek ofiarował Riedlowej róże widziałem, że zrobiło to świetne wrażenie, trochę mi się tylko wydawało, że hr. Marenzi coś nie w humorze, kilkakrotnie szepnęła — „Maréchal Niel”...

Jak się potem okazało ofiarowanie właśnie tych róż uważała ona za pewien szczególny symbol. A Marenzi zaczynała już być o Marszałka zazdrosna... Przypadł jej do gustu i ze względu na

pewien romantyczny charakter sytuacji, i ze względu na sposób bycia, rozmowy i wszechstronność zainteresowań, a fizycznie sprawiał miłe, ujmujące wrażenie.

P. Marenzi miała lat 50, on 56, ona była literatką, przynajmniej w swoim mniemaniu i w ustach pochlebców znajomych, on był z ducha plastykiem, lubił piękno i przyrodę. Oboje byli samotni, a równocześnie takt i wychowanie hamowały uczucia i ich ujawnianie. Ze strony Śmigłego w ogóle o jakimś żywym uczuciu do hr. Marenzi nie było mowy, bo kochał głęboko swoją żonę, do której szczerze tęsknił, a prócz tego wciąż myślami był w swoich planach, w których jakiegokolwiek, najmniejsze nawet zaangażowanie się z egzaltowaną damą mogło ograniczyć swobodę osobistą, względnie utrudnić dopięcie celu. Śmigły zdawał sobie dobrze sprawę z wytwarzającej się sytuacji i teraz był nawet bardzo zadowolony z wyjazdu. Niemniej, na wszelki wypadek, nie należało zrażać kobiety, która mogła się jeszcze przydać, a była mu naprawdę całkowicie oddaną. Na swój sposób lubiła ona nas wszystkich z otoczenia Marszałka, ale poza Marszałkiem szczególnie wyróżniała mnie, którego nawet próbowała zrobić swoim powiernikiem. Robiła to bardzo taktownie i okrężnie, ale mnie było wygodniej udawać niedomyślnego. Mimo wszystko pozostał we mnie na zawsze dla tej osoby duży szacunek. Była wierna i odważna.

Po incydencie z różą nie omieszkała ona później trochę „odbrązowić” nasze mniemania o Riedlowej. Dyskretnie wspominała o jej miłości, którą o władnięta była jeszcze za życia męża, o jego tragedii z tego powodu, następnie o porzuceniu jej przez kochanka, o próbach nakłonienia go, jeszcze rok temu, już żonatego, do odnowienia stosunków itp. Najpikantniejsze było jednak ostrzeżenie, że nie dobrze się stało, żeśmy ją wtajemniczyli w naszą sprawę, gdyż jest ona osobistą przyjaciółką niemieckiego attaché wojskowego pułkownika Mackenzena, który był przedtem w Budapeszcie a od dwóch lat jest w Rzymie i podobno utrzymują z sobą żywą korespondencję. Na pocieszenie dodała, że Margit, jest mimo wszystko dyskretna i że zresztą szwagier zna ją dobrze i ma na nią duży wpływ, a na jego honor można liczyć, więc nie dopuści do jakiegось niepoczytalnej niedyskrecji Margit.

Przyjazd do Balatonföldvár i zainstalowanie się w hotelu „Kupa-vezir”, w dwóch przeznaczonych dla nas pokojach, odbyło się gładko.

Po odjeździe p. Marenzi rozgościliśmy się swobodnie i Śmigłemu bardzo się nowa kwatera podobała. Pokoje były czyste i gustownie urządzone, na pierwszym piętrze, łazienka z ciepłą wodą

bieżącą i kompletny spokój, gdyż nikogo więcej z gości oprócz nas w hotelu nie było, jak zresztą prawie w całej miejscowości.

Dowód osobisty, jaki wystawił dr Boor, był wspaniały, gdyż nie było tam nigdzie napisane *menekölt*, ale zwyczajnie: taki a taki, narodowości polskiej, mieszkaniec stały powiatu Tab. Nawet gdyby dla uchodźców wprowadzono jakieś ograniczenia, to Stanisława Rogowskiego, krewnego starosty, na pewno by nie tyczyły.

Zdjęcia potrzebne do legitymacji, z których jedno miało pozostać w aktach starostwa, przygotowałem już poprzednio w Budapeszcie, ale nie „z oryginału”. Po prostu namówiłem jednego ze znajomych mi uchodźców, przypadkowo dość podobnego do Śmigłego, gdyż był łysy, miał twarz owalną i ciemne oczy, aby poszedł ze mną do fotografa. Gdy tam się znaleźliśmy i zrobiliśmy zdjęcia, już nie było mi trudno nazajutrz, po wykupieniu zamówionych odbitek, poprosić retuszerkę, aby trochę upięknszyła kolegę przez dorobienie ciemnych brwi na dodatkowych trzech odbitkach, wypadły stąd fotografie „prawie podobne”, ale niezbyt wierne, a o to mi chodziło.

Przedwiośnie nad Balatonem było urocze; śpiew licznego ptactwa, masa kwiecia wiosennego, wszędzie rozwijające się pęki młodej zieleni, spokój, ciepło i pogoda.

Prawie całe dni spędziliśmy w terenie zawzięcie malując pejzaże, bo i ja starałem się wprawiać w akwarelach pod wskazówkami Śmigłego-plastyka.

Jeśli zdarzały się dni chłodniejsze, lub wilgotne, szły w ruch farby olejne i płótna, na których powstawały portrety — mój, lub kogoś przyjezdnego, gdyż oprócz Piaseckiego od czasu do czasu przyjeżdżał ktoś umówiony, a najczęściej starosta Gallas, z którym Śmigły nadal rozgrywał zacięte boje na szachownicy, a w zamian za to zrobił mu i ofiarował piękny portret.

W rozmowach, które prowadziliśmy, Śmigły lubił wypytywać, jak mi się, jako staroście, oraz w ogóle różnym ludziom z mojego ówczesnego otoczenia, przedstawiały niektóre znane mi wydarzenia polityczne. Chętnie słuchał uwag krytycznych i zastanawiał się głośno, jak to było, że o tych sprawach był zbyt jednostronnie, jak się okazuje, informowany.

Zwłaszcza w szarych godzinach wieczornych, spędzanych we dwójkę, snuł wątek wspomnień z czasów gdy przejął na siebie w roku 1935 brzemień nowych obowiązków. Mówił o wysiłkach swoich, trudnościach i przeszkodach, przytaczał przykłady itd.

Od czasu do czasu lubił Śmigły pisać wiersze, i to jak przekonałem się wcale poprawnie. Na razie miał je w notatniku i nosił się z zamiarem podyktowania ich kiedyś na maszynę,

gdyż komuś obcemu trudno było odczytać jego charakterystyczne pismo. Gdy był w dobrym humorze to czytał mi niektóre z nich i ustnie komentował. Jak się okazało, zaczął pisać wierszem swoje odczucia w Kimpolungu, w willi byłego patriarchy Christen Mirona. Odbija się w tych wierszach męka, zawód, sąd o rzeczach i ludziach i wiara w Boga.

Przyznam się, że wiersze te, czytane mi przez niego, robiły na mnie bardzo duże wrażenie. Były jakby spowiedzią i wywnętrzaniem się, a samo czytanie ich świadczyło o dużym zaufaniu i przywiązaniu do mnie*).

Od czasu do czasu Śmigły z pewnym niepokojem wspominał, co tam tymczasem dzieje się w Rumunii, a szczególnie był niespokojny o losy tych spośród pozostałych, którzy byli z nim w jakikolwiek sposób bliżej związani.

Po potrąceniu tej struny dopiero dowiedziałem się o tym co się działo w Rumunii.

Otóż po przekroczeniu granicy, kiedy intrygi dyplomatyczne potrafiły przemienić „list żelazny króla” na nakaz internowania, grupa samochodów Naczelnego Wodza zatrzymała się w Krajowej. Na zapytanie rumuńskich władz, kogo Marszałek życzy sobie ze swego otoczenia zatrzymać przy sobie, Śmigły zdecydował — po porozumieniu się z zainteresowanymi — że pułkownik Zygmunt Wenda, major Jerzy Krzeczkowski, inż. Wędziagolski, ppłk. dr Cianciara, szofer Henryk Kutnik, służący Feliks, kucharka, nadto jeszcze dwóch szoferów wojskowych i jeden cywilny, inż. Wędziagolskiego.

Cały ten zespół przesiedział w Krajowej do 14.X.1939 r. a prócz tego byli tam jeszcze inni, jak płk Tadeusz Münnich, Lewicki i inni.

Dnia 14.X.1939 r. odebrano wszystkim broń i grupę Marszałka, pod eskortą żandarmerii wojskowej i policji, odesłano o świcie do stacji kol. Kimpolung.

Gdy pociąg zjechał na dworzec zobaczono kompanię honorową i szpalery wojska, na Marszałka oczekiwał na peronie prefekt miejscowy płk Wuldescu, kapitan żandarmerii Trifu i szereg innych dygnitarzy. Po powitaniu wymienieni zaprowadzili Marszałka do opodal leżącej willi b. patriarchy Christen Mirona, b. premiera rumuńskiego. Willa leżała w pobliskiej, górskiej wiosce Dragoslavele, nad rzeką Dembovinara. Posesja była dookoła otoczona drutem kolczastym i posterunkami żandarmerii, która kwaterowała w oddzielnym budynku pod komendą porucznika Dziordziescu, który dysponował jednym autem ciężarowym i

*) Wiersze te były drukowane w nr. 8/25 „Kultury”, r. 1949.

dwoma osobowymi. Willa miała na piętrze 6 pokoi, które zajmował Marszałek z płk. Wendą, z tego jeden pokój był gościnny, bowiem prefekt zapewnił Marszałka, iż nie będzie żadnych trudności, gdy ktoś zechce go odwiedzić, jak również oświadczył, że Marszałek może wychodzić na spacery ilekroć tylko zechce, w towarzystwie komendanta załogi żandarmerii. Na parterze mieszkał lekarz dr Cianciara, major Krzeczkowski i Wędziagolski. Tutaj też był pokój stołowy, kuchnia, spiżarnia i pokoje służbowe.

Osoby obce mogły odwiedzać Marszałka za przepustkami, wydawanymi bez trudności i w ten sposób między innymi odwiedził go inż. Piasecki, p. Sława Wendowa, płk dr Krzewski (Szczała) i inni.

Kucharka, Polka, wnet wróciła do kraju, a na jej miejsce przyjęto miejscową Węgierkę, którą poleciła sąsiadka z sąsiedniej willi p. Wasiliu.

W samym Kimpolungu, który był nie zbyt daleko, był urządzony polski obóz internowanych oficerów, gdzie między innymi przebywał ppłk Nejsarek, z wojsk łączności, osobnik ruchliwy i przedsiębiorczy, który nawiązał wnet bliską przyjaźń z miejscowym komendantem garnizonu, płk. Badulescu. Przyjaźń ta jeszcze bardziej się wzmocniła po przyjeździe do obozu żony Nejsarka z córeczką.

W styczniu 1940 r. wyjechał do Włoch inż. Wędziagolski, który jako cywil nie miał specjalnych trudności.

W lutym przybył do Kimpolungu ksiądz dziekan Antoni Zapała, kapelan wojskowy, który często w tym charakterze odwiedzał Marszałka.

Dr Cianciara przeniósł się w kwietniu 1940 r. do obozu w Kimpolungu, gdzie jako lekarz był bardziej potrzebny, ale odwiedzał Marszałka w niedziele i ewentualnie na wezwanie w razie zachorowania kogokolwiek.

W lecie 1940 r. attaché wojskowy, płk Zakrzewski w Bukareszcie wezwał do siebie dr. Cianciarego i poufnie zażądał od niego fotografii Marszałka i wszystkich osób z jego grupy, oświadczając, że należałoby pomyśleć o ucieczce Marszałka z otoczeniem przez Bułgarię na południe, a fotografie będą potrzebne do wyrobienia im odpowiednich dokumentów. Do dyspozycji na ten cel mają milion lei.

Ponieważ niedawno tak samo zorganizowano ucieczkę min. Becka, co skończyło się przytrzymaniem go przez organa rumuńskie, a nadto obostrzeniem internowania, przeto zachodziła obawa, że podobnie, prawdopodobnie prowokacyjnie, chcą postąpić z Marszałkiem. Ta obawa zadecydowała, że z propozycji

tej nie skorzystano. Ppłk Nejsarek, z którym o tym rozmawiano, rzucił przy tej sposobności nawet podejrzenie na płk. Krzewskiego, jakoby miał w tym odegrać brzydką rolę, a który, wg przypuszczeń ppłk. Nejsarka, miał się nadto dorabiać na pośrednictwie wymiany pieniędzy Smigłego. Smigły nie był przekonany co do słuszności zarzutów skierowanych pod adresem starego wiarusa legionowego, popularnego „kaprala Szczapy”.

Jeśli chodziło jednak o sam fakt konieczności ucieczki, to nie było żadnych wątpliwości, że trzeba ją przyspieszyć, Niemcy bowiem stawali się coraz aktywniejsi w Rumunii i mogli w każdej chwili zażądać wydania Marszałka. Zresztą i inicjatywa attaché płk. Zakrzewskiego tym była motywana.

Płk. Nejsarek zaproponował, że sam zorganizuje ucieczkę przy pomocy znanego mu, obrotnego przemysłowca Dudzińskiego i płk. Koguta-Wyrwińskiego.

Marszałek zgodził się na tę propozycję, a gdy Niemcy już otwarcie wkroczyli do Rumunii, przygotowania przyspieszono i w dniu 10.XII.1940 r. w nocy Marszałek opuścił Dragoslavele. przekradając się w ogrodzie willi przez ogrodzenie z drutu kolczastego w punkcie najmniej strzeżonym, gdzie już uprzednio poprzecinano odpowiednie przejście w drutach.

Opodał w ukryciu stało przygotowane auto z Nejsarkiem i Bożenką, a przy kierownicy siedział płk Kogut. Gdy Marszałek zajął miejsce w aucie, Kogut ruszył pełnym gazem i — przestudiowaną dawno dobrze trasą — popędzono na południowy zachód. Do umówionego z Dudzińskim punktu nadgranicznego dostano się szczęśliwie, a stamtąd już nad ranem, przekroczono granicę pod przewodnictwem czekającego na nich przemytnika.

Niebawem znaleźli się wszyscy po stronie węgierskiej na plebanii proboszcza, którego adres miano od Piaseckiego.

Dudziński miał zająć się jeszcze przeprowadzeniem tą samą drogą następnej partii uciekinierów z płk. Wendą oraz walizek. Wykonał to wszystko bez zarzutu.

Dla niepoznaki na miejscu w Dragoslavele ukazywali się żandarmom Wenda i Krzeczkowski, rozmawiali z oficerem żandarmerii, że Marszałek czuje się trochę niezdrów itd.

Po dwóch dniach płk Wenda uciekł tą samą drogą wraz z żoną Nejsarka a przy kierownicy siedział tym razem osobisty szofer Marszałka Kutnik. Jak wiadomo dostali się oni do Szeged i dalej do Budapesztu.

Smigły obawiał się, że represje mogą spotkać pozostałych, jak Krzeczkowskiego, Cianciare i ks. dziekana Zapałę. Jak się później dowiedzieliśmy istotnie po wykryciu ucieczki aresztowano ich, ale niebawem zwolniono.

Na moje zapytanie, czy nie lepiej było od razu na początku, przed, albo po przekroczeniu granicy, przejechać przez Rumunię i dostać się na „zachód”, dał mi Marszałek wyjaśnienie, że po pierwsze nie spodziewali się ze strony rządu rumuńskiego ograniczeń, z którymi się spotkali po paru dniach, a nawet od razu po przekroczeniu granicy, a po drugie, że nawet później, powiedzmy w Krajowej, czy Dragoslavele, można było stosunkowo łatwo, przy bałaganie rumuńskim i skłonności do przekupstwa, wydostać się z Rumunii. Wtedy jednak przysłano do niego staro znajomego gen. Faury, który, jako szef misji wojskowej francuskiej był pewnego rodzaju łącznikiem i obserwatorem w kampanii wrześniowej. Przyjechał on do Śmigłego pożegnać się, a przy tej sposobności dał do zrozumienia, że sprawy tak stoją, iż — dopóki on przebywa w swoim obecnym miejscu pobytu, żołnierze polscy z Rumunii i Węgier bez przeszkód mogą być stopniowo wysyłani na zachód, do Francji, gdyż nawet Włosi nie robią trudności uchodźcom z tranzytem. Na wypadek jednak, gdyby Marszałek sam znikł z terenu rumuńskiego, nastąpiłyby w tej sprawie niesłychane komplikacje, które by uniemożliwiły te przerzuty wojska, a bądź co bądź jest to jeszcze siła poważna.

To spowodowało, że Marszałek stracił prawie rok w bezczynności, ale teraz, gdy ponad 90% żołnierzy z Węgier i Rumunii już zdołano wyewakuować do Francji, względnie do Anglii, a Niemcy są panami w Rumunii, trudno było dalej czekać. Zresztą i same propozycje attaché, płk. Zakrzewskiego, szczerze, czy nieszczerze, już dowodziły, że konieczność jego dalszego pobytu w Rumunii już przestała być aktualna.

— Tylko że teraz, mówił Marszałek, wybrałem drogę nie na zachód, lecz do Polski. — Tam nasze miejsce i tam pójdziemy, a nasze doświadczenia z P.O.W. jeszcze się Niemcom dadzą we znaki.

Dużo na ten temat nie miał widać ochoty na razie się rozwódzić, zaznaczył tylko, że trzeba się porządnie przygotować i tu i w kraju.

Domyślałem się, że te przygotowania montuje już Pia-secki. Gdy się tylko zjawiał, zawsze dość długo konferowali z Marszałkiem, prosząc mnie tylko, ażebym uważał, by ktoś nie przeszkadzał, lub nie podsłuchiwał.

Przyjazdy te były stosunkowo dość rzadkie, ale za każdym razem przynosiły nam dużo wiadomości. Jeśli chodzi o sytuację ogólną, to coraz mniej pocieszające.

Zresztą pocziwy Czifrak, właściciel hotelu, który skrupulatnie słuchał radia, wciąż dzielił się z nami zasłyszczanymi wiadomościami, a wieczorem, gdy służba się udawała na spoczynek,

sam przy jego odbiorniku często słuchałem radia angielskiego, gdzie audycje polskie, czeskie i węgierskie dawały nam również duże naświetlenia różnych zjawisk.

Najpoważniejszym wstrząsem dla nas wszystkich było zerwanie stosunków dyplomatycznych z Węgrami przez Anglię i samobójstwo premiera hr. Pawła Teleki.

Sledziliśmy wszyscy kroki jego następcy Bardossy'ego, o którym różnie mówiono, ale w każdym razie wiedziano, że nie będzie tak twardy wobec żądań niemieckich, jak Teleki.

Okupacja chorwackich ziem przez wojska węgierskie, choć zaspakajała rewindykacyjne aspiracje Magyarów, jednak nie wywołała zbyt dużego entuzjazmu. Wiedziano, że to na życzenie Hitlera, a Hitler nikomu nic za darmo nie daje, jak mówiono, poza tym wiedziano, że Teleki, choć wzór patrioty, ale takiego kroku by nie zrobił.

Przeszło już tych kilka dni kwietniowych, gdy pewnego poranku wpadł do mnie przerażony Czifrak i zaczął mi opowiadać, że masy wojsk niemieckich jadą od Budapesztu szosą obok Balatonföldvár na południe...

Wprawdzie słyszałem w nocy jakiś ruch na niedalekiej szosie, ale myślałem, że to węgierskie pojazdy.

Marszałek już nie spał, więc poinformowałem go zaraz. Nie wydawał się zbyt zaskoczony, pokiwał głową i rzekł:

— Jak zbóje, znienacka i przez cudze pole...

Jasne, że teraz kolej na Jugosławię...

Za chwilę Czifrak znów się zjawił ze śniadaniem i zakomunikował, że właśnie słyszał w radio, iż wojska niemieckie wkroczyły do Serbii.

Śniadanie niezbyt nam smakowało tego dnia.

Śmigły obawiał się, czy wobec przemarszu wojsk niemieckich nie spotkają nas teraz jakieś szykany ze strony władz, ale dalsze wiadomości z radio nie przynosiły nic „wewnętrznie” alarmującego.

Zabraliśmy bloki i kasety z farbami, jak codziennie i skierowaliśmy się ku szosie, w kierunku wioski, gdzie zazwyczaj w sklepiku kupowaliśmy papierosy.

Szosa huczała wciąż jednostajnie. Nieprzerwanie ciągnęły auta ciężarowe z wojskiem i sprzętem wojennym, przeplatane kolumnami artylerii, lekkich czołgów i różnych machin, przykrytych brezentami.

Wszystko zmotoryzowane, porządne, czyste, jakby nowe.

Spotkany opodał żandarm zaszalutował nam, jak zwykle, i zapytał, gdzie chcemy iść. Gdy mu powiedziałem, że po papierosy, uśmiechnął się i powiedział, że — jeśli Czifrak nie zaopatrzył

się w papierosy, to chwilowo będziemy musieli się obejść, bo przez szosę na razie przejść nie można do wsi, a nie wiadomo jak to jeszcze długo potrwa.

Skierowaliśmy się więc nad jezioro i tu zaczęliśmy wypatrywać, co można by szkicować z fragmentów pięknego wybrzeża, gdy Marszałek stanął, wytyczył słuch i — jakby żartem — rzekł: „uwaga! nadchodzi!”.

Nad nami i na całym zachodnim horyzoncie niebawem zaroilo się od eskadr bombowców i myśliwców, które nieprzerwanym ciągiem, ciężko i spokojnie, regularnymi trójkątami ciągnęły na południe...

Już w południe komunikat D.N.B. podał, że został zbombardowany Belgrad i szereg „ważnych punktów strategicznych”, a wojska niemieckie posuwają się planowo...

Przejazd Niemców przez Balatonföldvár trwał dwa dni i dwie noce, aż przeredził się i wreszcie ustał prawie zupełnie.

Organizacja i dyscyplina marszu były imponujące, a wygląd wszystkich pojazdów i żołnierzy świetny. Kolej funkcjonowała normalnie, więc Śmigły dziwił się, że Piasecki nie dał znać o sobie, boć przecież w Budapeszcie na pewno lepiej się orientują, jak sprawy wyglądają.

Niespodziewanie, prawie gdyśmy zjedli obiad, zajeżdża pod hotel karetka pogotowia i ze zdziwieniem widzimy, że obok lekarza, czy felczera, wysiada z niej Piasecki...

Okazało się, że to dr Pajor poradził Piaseckiemu i dał mu do dyspozycji karetkę z sanatorium, aby pojechał po Śmigłego i przywiózł go do niego, jako chorego.

Dłå asysty dodał mu zaufanego doktora Molnara.

Oczywiście trzeba było zaraz wracać, więc Śmigły pozostał mnie, abym zlikwidował nasz pobyt w hotelu, a potem przyjechał do Budapesztu koleją, po czym ubrawszy się wsiadł do karetki. Było to 8 kwietnia 1941 r.

Karetka odjechała do Budapesztu, a przed hotelem pozostałem sam z Czifrakiem, który nic nie rozumiał...

Zacząłem mu właśnie tłumaczyć, że, gdy ostatnio był u nas ten „rokon” (krewny) z czarnymi wąsami (Piasecki), stryj prosił go, aby przyjechał w tygodniu autem po niego, gdyż — po miesiącu pobytu nad Balatonem — miał być znów badany w sanatorium. Widocznie w sanatorium uznali, że wygodniej będzie przysłać karetkę no i...

Wtem Czifrak wskazał w północno-zachodnim kierunku, skąd dochodził ponury, monotony, a coraz głośniejszy jęk motorów. Za chwilę znów w tej stronie niebo zaroilo się od eskadr bombowych.

I znów, jak poprzednio i jak w Polsce w 1939 r. we wrześniu setki piratów powietrznych leciały śmiać śmierć i lać krew i łzy słowiańskie.

Postaliliśmy, popatrzyli, Czifrak machnął ręką z widoczną desaprobatą i poszliśmy robić ostateczne rozliczenie za nasz pobyt w hotelu. Rachunki wystawiano regularnie co tydzień na — rodzeństwo „Rogowscy” i co tydzień były płacone, tak, że przyszło mi wyrównać należność tylko za ostatni tydzień.

Pozostałem jeszcze do dnia następnego, aby nazajutrz przywitać się z moją gospodynią p. Szütz na Molnar u. w Budapeszcie.

Jedne z pierwszych moich pytań po powrocie były co sły chać z Jareckim.

Otóż według informacji, jakie przyniósł „Franek”, jeden z kurierów „Bazy”, bo tak się teraz po wyjeździe rotmistrza Billewicza przezwiał dział przerzutu kurierów i w ogóle kontaktu z krajem po dawnej „dwójce” — Jarecki, wracając już z kraju, dostał się przypadkowo w Słowacji w ręce „Hlinkowców”, to jest swego rodzaju partyjnej milicji, przysposobienia wojskowego, a w danym czasie straży słowackiej, a ci wydali go w ręce Gestapo, które natychmiast odstawiło go do Nowego Sącza.

Podobno początkowo trzymał się dość dobrze, ale potem — okazało się, że — coraz więcej ludzi, z którymi się w Polsce zetknął, zamykano...

Tak np. zamknięto na Montelupich w Krakowie mojego szwagra, sędziego sądu okręgowego, dr. Mariana Łazarskiego, dr. Józefa Garbienia, siostrę znajomej Łopatkowej i innych.

Z kim się w Warszawie stykał, tego nie można było na razie stwierdzić, ale w każdym razie tam aresztowań nie było w tym czasie wśród ludzi, z którymi miał ewentualnie rozmawiać.

Aresztowanie Jareckiego było dla nas poważnym ciosem, ale równocześnie kazało wzmóc ostrożność, tym bardziej, że Gestapo mogło mieć od niego jakieś wiadomości i o nas w Budapeszcie, a ponieważ węgierskie władze bezpieczeństwa już teraz pracowały pod kontrolą Niemców, można się było wszystkiego spodziewać...

Śmigły zatrzymał się znów w sanatorium dr. Pajora na Vas utca 17, ale teraz mógł już legalnie zameldowany, mając dobry dowód osobisty.

Był w stanie chorych, poddawał się różnym zabiegom i badaniom, które ordynowano, choć osobiście czuł się zdrow i dr Pajor również mu poufale komunikował, że „niestety” nie mogą u niego znaleźć nic poważniejszego, bo i płuca i serce w porządku, żołądek również.

Ale lekarze, gdy chcą, zawsze potrafią tak opisać organizm, że leczenie staje się uzasadnione, a w tym wypadku było potrzebne, o czym wiedział dr Pajor i młody lekarz dr Molnar.

Żywe i serdeczne zainteresowanie się dr. Pajora Marszałkiem było widoczne. Zaraz też dostał Śmigły ładny pokój, o dostępie tak niekłępującym, że bez zwracania uwagi mógł przyjmować każdego i o dowolnej porze.

A ruch zrobił się dość duży, i dr Hubicki i Lipiński, prócz mnie i Piaseckiego, i p. Wendowa i Gallas na szachy przychodzili dość często.

Zjawili się też u niego, przyprowadzeni przez Piaseckiego, ks. dziekan Antoni Zapała i Dudziński, którzy już teraz uciekli z Rumunii tą samą drogą na Szeged.

Opowiedzieli oni Śmigłemu dokładnie jak to było po jego ucieczce, a raczej już po ucieczce Wendy i Kutnika, że ich trochę przytrzymano, ale potem wypuszczono bez konsekwencji.

Ks. Zapała, jako znany dziekan D.O.K.V. Kraków, był dość sympatycznie przyjęty w Duszpasterstwie Polskim dla uchodźców, gdzie szefem był wówczas, o ile się nie mylę, ks. Witosławski.

Opowiadania Zapały, że Śmigły uciekł gdzieś do Turcji i to — jak głośno się domyślał ks. Zapała, prawdopodobnie przy pomocy samych Rumunów i że nikogo ze swego najbliższego otoczenia ze sobą nie zabrał, uwiarygodniły w oczach wszystkich notatkę D.N.B., o której już wspominałem, o kierunku ucieczki Śmigłego, a równocześnie umożliwiły ujawnienie się obecnie Nejsarków i Koguta-Wyrwińskiego, toteż Śmigły dał polecenie Piaseckiemu, aby ich wezwać do Budapesztu i niech się zameldują, jak ks. Zapała i Dudziński, że teraz uciekli z Rumunii.

Gdyby się ich ktoś pytał o Marszałka, mieli mówić podobnie, jak ks. Zapała.

Ponieważ zachowanie się obydwóch pułkowników, ich nerwowość i wciąż podnoszone pretesje, budziły pewne zastrzeżenia, ks. Zapała obiecał Śmigłemu, że porozmawia z nimi i będzie się starał ich zmiłogować...

Marszałek czuł się dobrze, tylko wciąż brakowało mu spacerów i świeżego wiejskiego powietrza, choć dr Pajor często sam wieczorami wyprowadzał go na przechadzkę, lub wyjeżdżał z nim autem w okolicę.

Nadszedł już gorący na Węgrzech maj.

Sława Wendowa, która ze swoją matką mieszkała przy Frecske u. jak dawniej, też przygotowywała się do zalegalizowania pobytu swego męża, który stale jeszcze ukrywał się przed ludźmi.

Na imieniny ściągnęła go potajemnie do swego mieszkania, oczywiście nie wtajemniczając jeszcze nikogo, prócz Piaseckiego, który miał wątpliwości czy jednak należało Zygmunta już teraz ujawnić.

Na razie Zygmunt przebywał w mieszkaniu żony zupełnie potajemnie, zachowując wszelką ostrożność. Gdy ktoś znajomy przychodził, Wenda chował się w sypialni, do której zazwyczaj nikt nie zaglądał.

Tak upłynęło kilka dni, gdy pewnego razu, zdaje się 5 maja, zjawił się Piasecki w kawiarence na Parisi utca, koło poczty, gdzie zwykle, jak dawniej, koło godziny 10-tej zbierało się nasze towarzystwo. Tym razem zauważyliśmy od razu, że Piasecki jest bardzo zmartwiony i prawie ponury.

Po przywitaniu, bez większych wstępów oświadczył nam, że Wenda nad ranem zmarła na atak serca.

Po krótko opowiedział, jak wieczorem poprzedniego dnia Sława wyszła coś załatwić, a gdy ją przez okno zauważono wracającą, Zygmunt z żartów schował się za łóżko, prosząc matkę, aby powiedziała Sławie, że wyszedł na przechadzkę.

Gdy Sława zaczęła robić matce wyrzuty, że go puściła, choć nie zna miasta i nie ma papierów, Zygmunt nagle wychylił się zza łóżka i zawołał „a kuku”. W tym jednak złapał się za pierś obok serca, zachwiał się i usiadł na krześle, mówiąc, że mu słabo i strasznie go serce boli.

Gdy mimo prób ulżenia mu przez krople i nacieranie ból nie ustępował, Wendowa pobiegła do ulicznego telefonu, połączyła się z dr. Pajorem i powiadomiła go o wypadku.

Zjawił się on niebawem sam, zbadał Zygmunta, dał zastrzyk, i natychmiast zabrał go ze sobą samochodem, którym przyjechał. Mimo natychmiastowej pomocy całej ekipy lekarzy w sanatorium, zastrzyków itp. — nad ranem płk Wenda zmarł.

Piasecki opowiadał, że leży w kostnicy sanatorium pod nazwiskiem Majewski.

Marszałek już przez Pajora został uprzedzony o wypadku i Piasecki zastał go bardzo przybitego tą wiadomością. Wiadomo było, że Wendę bardzo lubi i łączył z nim pewne swoje plany na przyszłość.

Na nas wszystkich wiadomość ta zrobiła bardzo duże wrażenie, a na mnie tym bardziej, że uważałem Wendę za okaz zdrowia i siły witalnej, co stwierdziłem przy przywitaniu się z nim po jego przybyciu do Budapesztu w grudniu ub. roku.

Piasecki zwrócił się do mnie z prośbą, abym załatwił formalności z zakładem pogrzebowym, z tym, aby Zygmunta pochowali w krypcie tymczasowej na cmentarzu.

Pogrzeb odbył się w małym gronie wtajemniczonych.

P. Sława, choć niezwykle tą śmiercią przybita, nawet żałoby nie mogła włożyć, ani przyznać się przed kimkolwiek, że już jest wdową.

Nejsarek i Kogut-Wyrwiński byli także na pogrzebie, ale nie wiedzieli, że Śmigły jest w Budapeszcie, gdyż nie miał na razie ochoty z nimi rozmawiać.

Śmierć Wendy wpłynęła na Marszałka bardzo poważnie i tym bardziej pragnął się on wyrwać z Budapesztu.

Za poradą dr. Pajora wyjechał on z Piaseckim 10 maja do majątku brata Pajora, który przypadkowo w tym czasie bawił w Budapeszcie i z ochotą zabrał ich z sobą na wieś.

Była to posiadłość, jak mi później Marszałek opowiadał, zresztą dość zaniedbana, w głębokiej puszczy węgierskiej, koło Köreshegy, Czengöd, Kuller puszcza. Ponieważ notar okręgowy (körjegyző) był znajomym dr. Pajora, nie było żadnych trudności z zameldowaniem, ani otrzymaniem zezwolenia na pobyt.

Śmigły nie czuł się tam jednak dobrze, a — jak mi potem mówił — i mnie mu bardzo brakowało.

Umówił się z Piaseckim, aby mnie znów wysłał nad Balaton i żebym tam coś wyszukał, gdzie spokojnie można by przebyć parę letnich miesięcy.

Wtedy pierwszy raz usłyszałem, że Marszałek postanowił bezwzględnie na jesieni udać się do kraju.

W ten sposób znów znalazłem się nad Balatonem.

Jako bazę wybrałem znów willę „Madonna” kuzynostwa Dubay'ów, gdzie chwilowo było jeszcze zupełnie cicho i pusto, albowiem sezon zaczynał się dopiero 25 czerwca, gdy kończył się rok szkolny i rozpoczynano urlopy.

Miałem dość czasu na poszukiwania jakiegoś spokojnego zakątka, toteż objeżdżałem Balaton ze wszystkich stron.

Ostatecznie i w willi „Madonna” można by było zamieszkać, tym bardziej, że to „stryj”, więc krewny... Ale filogermańskie i prawie szalaszowskie nastawienie kuzynostwa zapewne nie przypadłyby Marszałkowi do gustu, gdyby mu przyszło z nimi pobyc dwa miesiące pod jednym dachem.

Nowego przejazdu Niemców przez te okolice już nie należało spodziewać, gdyż Jugosławia była zajęta a Grecja dogorywała, zaś kolumny niemieckie, powracające „po zwycięstwach” spotkałem jeszcze w Budapeszcie przed wyjazdem tutaj.

W swoich wędrówkach w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na letni pobyt Marszałka, przypadkowo natrafiłem wreszcie — całkiem niedaleko Balatonföldvar — na zupełnie niepozorne, małe osiedle Szantod.

Po rozmowie z kilku miejscowymi, stałymi mieszkańcami, uznałem tę miejscowość za najodpowiedniejszą dla naszych celów.

P. Molnar (tego nazwiska jest bardzo dużo ludzi na Węgrzech) akurat wpadła z Budapesztu na 2 dni, aby swoją willę przygotować na pobyt letni. Zagadnięta, czy nie wynająłaby mnie i mojemu stryjowi części willi, ale możliwie z utrzymaniem, chętnie się zgodziła, z tym jednak, że do odstąpienia ma tylko mały pokoik, zatem dwom panom byłoby niezbyt wygodnie. Znalazła się jednak rada, mianowicie proponuje, aby jeden z nas zamieszkał w sąsiedztwie u miejscowego rolnika, a „wiktować” możemy się obaj u niej, gdyż jest ona tylko z córeczką Ewą, 12-letnią dziewczynką, więc dwie osoby więcej dla kuchni nie stanowią różnicy, a że jest wdową, więc chętnie zarobić by chciała.

Suma przez nią podana, jako wynagrodzenie miesięczne, nie była wysoka. Dałem zadatek i umówiliśmy się, że ponieważ ona z córką zjeżdża 26 czerwca, my przybędziemy ok. 30 czerwca. U sąsiadów również dla siebie znalazłem pokoik z łóżkiem i pościelą, choć nie tak komfortowy, jak w willi, ale czysty i wygodny, a gospodarze sympatyczni starsi państwo, prowadzący swoje małe gospodarstwo, jako emeryci.

Gdy przywiozłem tę wiadomość Piaseckiemu i opisałem dokładnie, jak to wszystko wygląda, był zadowolony. Jedno tylko go trapiło, że p. Adam, bo tak nazywaliśmy Śmigłego między sobą, chce koniecznie nad Balaton jechać zaraz po 20 czerwca, najpóźniej 22, więc jak to urządzić...

Nie pozostawało nic innego, jak stanąć chwilowo gdzieś w hotelu nad Balatonem i wskazać znany mi z moich objazdów hotel zdrojowy w Balaton Zamardi, bardzo spokojny i wygodny. Na tym stanęło i czekaliśmy na powrót p. Adama z pusztą od Pajora.

W międzyczasie, gdy bawiłem znów nad Balatonem, moja gospodyni na Molnar ut. widocznie miała już dość takiego lokatora, który nie siedzi w domu, tylko wciąż się gdzieś włóczy, toteż wypowiedziała mi bardzo uprzejmie mieszkanie listownie. Piasecki, gdy się o tym dowiedział, był bardzo ucieszony i oświadczył, że upatrzył właśnie dobre mieszkanie, które nam będzie potrzebne organizacyjnie, a nie miał kogo tam zameldować, więc świetnie się składa, bo mogę zaraz to mieszkanie zająć.

Mieszkanie składa się z trzech pokoi, z kuchnią i łazienką, a jest kompletnie umeblowane, gdyż należy do pewnej pani, która prowadzi kawiarnię i przychodzi tylko na noc spać, wobec czego odnajmuje nam dwa pokoje. Największą zaletą mieszkania jest fakt, że cały dzień nikogo w domu nie ma.

W ten sposób stałem się firmantem-lokatorem, o ile się nie mylę, gdyż mieszkałem tam wszystkiego coś dwa tygodnie, było ono przy Pava u. 7, obok Mester u., było bardzo wygodne, czyste i z wejściem zupełnie niekrępującym, wprost z klatki schodowej. Tam można się było swobodnie zbierać do późna wieczór, gdyż gospodyni istotnie wracała ze swojej kawiarni zwykle dopiero ok. północy, a służącej nie miała, wobec tego była pełna swoboda.

W niektóre dni przed południem przychodził Piasecki i dr Hubicki, aby odbyć kolejno konferencje z różnymi ludźmi, którzy z ramienia organizacji wyjeżdżali do kraju na robotę...

Byli to przeważnie oficerowie z obozów, którzy zdecydowali się wracać i pracować przeciw Niemcom w ramach naszej organizacji.

Wtedy dopiero dowiedziałem się, że już z Marszałkiem uzgodniono nazwę organizacji — O.P.W. — „Obóz Polski Walczącej”.

Początkowe litery tej nazwy miały przypominać dawną P.O.W. — Polską Organizację Wojskową z lat pierwszej wojny światowej. Jako znak organizacji przyjęto rysunek otwartej książki (konstytucji) z położonym na niej mieczem. Znak ten był potem popularny w kraju z prasy podziemnej O.P.W., która do Powstania Warszawskiego była dość dobrze postawiona i znana, jako wydawnictwo piśsudczykowskie.

Piasecki przeczytał mi również tekst uzgodnionej z p. Adamem deklaracji-przyrzeczenia.

Tutaj miałem trochę wątpliwości, gdyż deklaracja wydawała mi się zbyt długa, jak na przyrzeczenie, i poza tezą, że bronić będziemy honoru Polski, Jej niepodległości i wartości wkładu Polski w obecnej wojnie, dalszy tekst wydawał mi się zbędny gdyż zbyt czuć było tradycją ozonowską.

Ostatecznie, ponieważ deklaracja zaznaczała, że przestaje obowiązywać w zasadzie z chwilą odzyskania niepodległości i z zawarciem pokoju, poza tym Piasecki podkreślał, że tekst aprobował sam Śmigły, przestałem na ten temat dyskutować, tym bardziej że nie chciałem robić przykrości poczciwemu Julkowi. Piasecki był bowiem dość uparty, a w danym wypadku przekonany o znaczeniu każdego słowa deklaracji. Zresztą, na razie ode mnie nie wymagał jej formalnego przyjęcia.

Gdy zesłaliśmy już do spraw organizacyjnych, Piasecki z satysfakcją opowiadał mi, że robota rozwija się świetnie. Znalazło się bardzo dużo wartościowych ochotników i wciąż przybywają nowi, a pokaźna liczba poszła już do kraju na przygotowywanie

roboty, tak że ci, którzy teraz idą, znajdują w kraju od razu punkty zaczepienia o coraz lepszą organizację.

Z nazwisk oficerów, o których była mowa, niektórych znałem jak np. inż. Biernackiego, płk. Borkowskiego, majora Zielińskiego i innych. Byli to wszyscy, moim zdaniem, rzeczywiście bardzo wartościowi ludzie, przeważnie stare wiarusy legionowe, którzy na pewno dobrze sobie dadzą radę w kraju.

Zapytany o Nejsarka i Koguta, machnął ręką i powiedział, że — dalej warcholą, a na propozycję pójścia do kraju odpowiedzieli, że dopóki nie będą mieli dokładnej pewności, że tam już robota przygotowana i nie będą dostatecznie zaopatrzeni w środki, żeby tam nie być od nikogo zależnymi, to nie decydują się.

Ks. Zapała sam już jest do nich uprzedzony i zrezygnowany. W ogóle z nimi jest najwięcej kłopotu i zmartwienia.

— Lipiński również staje okoniem — mówił Piasecki — i ma zastrzeżenia co do deklaracji. Wprawdzie współpracuje lojalnie, ale tylko ze względu na osobisty sentyment do Śmigłego, podporządkować się jednak organizacyjnie nie chce.

Odnosnie tego nie dziwiłem się. Znałem Lipińskiego dobrze z jego wypowiedzi i z pewnego uprzedzenia osobistego do Julka. Lipiński był szczerym demokratą, a w stosunku do ideologii i metod O.Z.N. miał poważne zastrzeżenie. Jego zdaniem nie był to ani faszyzm ani demokracja, tylko coś pośredniego, na co nie mógł się zgodzić i na co po wojnie absolutnie w Polsce miejsca nie będzie.

Jak się później zorientowałem, Śmigły rozumiał te zastrzeżenia i nie miał ich za złe Lipińskiemu, więc polecił Piaseckiemu i nie napierać, ale i nie odsuwać od współpracy, gdyż wierzył w lojalność i dyskrecję obojga państwa Lipińskich, samego Lipińskiego zaś uważał za wartościowego współpracownika.

Marszałek wrócił w drugiej połowie czerwca i zatrzymał się znów w sanatorium u dr. Pajora, który cieszył się nim bardzo i prosił, aby uważał jego dom za swój własny i jak najczęściej korzystał z jego mieszkania.

Śmigły, który ode mnie dokładnie wiedział, jak przygotowałem jego pobyt nad Balatonem, z góry się cieszył na powrót w te okolice, które mu bardzo odpowiadały i z niecierpliwością oczekiwał 22 czerwca, którą to datę wyznaczył na wyjazd.

Zajechaliliśmy do hotelu w Balaton Zamardi. Hotel, w tym czasie jeszcze prawie pusty, zrobił bardzo miłe wrażenie. Czysty, wygodny, z doskonałą obsługą, otoczony pięknym parkiem, a tak położony, że we wszystkich kierunkach można było z niego robić niekrępujące spacerów.

Tydzień przeleciał bardzo szybko, a że do Szantod było niedaleko, więc nie trudno było mi się porozumieć z naszą przyszlą gospodynią, czy już możemy się wprowadzić.

Nastąpiło to 29 czerwca. Oprócz p. Molnar i jej córeczki Ewiki zastaliśmy u nich jeszcze ich znajomą, żonę dyrektora poczt i telegrafów z Budapesztu, która miała u nich spędzić w gościnie parę tygodni wraz z synkiem, rówieśnikiem Ewiki.

Razem do stołu zasiadało nas więc 6 osób, licząc dzieci. Panie starały się nadrobić dobrą kuchnią brak konwersacji przy stole, gdyż tylko ja mogłem się z nimi rozmówić, albowiem poza językiem węgierskim nie znały zupełnie innego. Zresztą rozmowy były tak nieskomplikowane, że łatwo mi było uchodzić za dobrego tłumacza.

Prowadziliśmy bardzo regularny tryb życia.

Ze swej kwatery w sąsiedztwie przychodziłem ok. godz. 7-ej rano. Śniadanie jedliśmy między 7,30 a 8-mą, potem normalnie wybieraliśmy się w teren malować, a tylko w razie niepogody pozostawaliśmy w domu, najczęściej — ku wielkiej radości dzieci — malując kwiaty i martwą naturę.

Po kąpielach w Balatonie i podwieczorku, który p. Molnar podawała zazwyczaj w ogrodzie, na tarasie willi, wyruszyliśmy codziennie na dłuższe spacerowanie treningowe, minimum 10 km, bo, Marszałek uważał ten trening za konieczny, a ze względu na cel, nasze spacerowanie miały zazwyczaj charakter „na przełaj”, oczywiście wyłączając uprawne zagony, winnice i ogrody spotykane.

Od pewnego czasu podczas przechadzek Śmigły często nagle stawał i — jak zauważyłem — zaciskając zęby, chwilę stał bez ruchu. Okazało się, że dostaje nagle ataku skurczu w łydce i to tak bolesnego, że go na chwilę zupełnie unieruchamia.

Do tego doszły od czasu do czasu powtarzające się bóle żołądka.

Śmigły mówił: „ciekawa rzecz, dostawałem dość często bólów żołądka w Rumunii, ale od chwili przyjazdu na Węgry, jakby ręką uciął, mimo, że nie unikam nawet papryki. Dopiero teraz coś znów zaczyna dokuczać”.

Panie nasze od razu radziły, aby iść do Balatonföldvár, gdzie ordynuje doskonały stary lekarz, Żyd, dr Molnar.

Poszliśmy. Lekarz zbadał sumiennie Śmigłego i powiedział, że skurcz łydek następuje wskutek nabytego niedawno „platfusu”.

— Widocznie pan mało chodził przedtem piechotą, a teraz pan forsuje i to się odbija!

Dr Molnar władał biegle językiem niemieckim, więc porozumieć się z nim było łatwo. Odnośnie niedomagań żołądka, zaordynował, aby unikać wszelkich surówek, a nawet możliwie

wstrzymywać się i od spożywania większej ilości surowych owoców.

Jedna i druga diagnoza okazały się słuszne.

W czasie wizyty u dr. Molnara przypomniałem głośno Smiślemu, że czasami, w ostatnich dniach, skarżył się jakby na jakiś tępy ból około serca. Dr Molnar, gdy to usłyszał, jeszcze raz powrócił do skrupulatnego badania Marszałka, pukał, słucał, mierzył ciśnienie i skonkludował, że serce jest w zupełnym porządku. Prawdopodobnie przy większym wysileniu się spacerami następuje ból nie serca, ile mięśni sercowych. Nie jest to niebezpieczne, a krople walerianowe i trochę odpoczynku na pewno bóle usuną.

Było to zgodne i z opinią dr. Pajora, który twierdził stanowczo, że żadnych zmian ujemnych nie stwierdzono i że serce jest w najzupełniejszym porządku.

Wizyta u dr. Molnara widocznie wpłynęła bardzo dobrze na samopoczucie Marszałka.

W ciągu miesiąca lipca i sierpnia wizyt mieliśmy niedużo, prawdopodobnie ze względu na szczupłość mieszkania i obecność obcych. Od czasu do czasu, od pociągu do pociągu, zawitał do nas tylko Piasecki.

A tymczasem na terenie Polski rozgorzała nowa wojna...

Dnia 21.VI.41 r. Niemcy — mimo przedłużenia w dniu 10.I.41 r. paktu niemiecko-sowieckiego przez Mołotowa w Berlinie — napadły na Z.S.S.R. Wiadomości o tym doszły nas już w Balaton Zamardi.

Było wprawdzie cały szereg oznak i wiadomości o przygotowywaniu się Niemców na terenie okupowanej Polski do akcji, były wiadomości o koncentracji wojsk na terenie Austrii i Moraw, a nawet w Polsce, ale nikt się nie spodziewał, że konflikt tak szybko wybuchnie i tak bez oznak formalnego zaostrzenia stosunków.

Na dobitkę jeszcze w Zamardi doszła nas wiadomość, że po prowokacji koszyckiej — bo nikt nie wierzył, aby tam Sowiety bombardowały ciche prowincjonalne miasteczko — Węgry wypowiedziały wojnę Z.S.S.R. mimo, że jeszcze w przeddzień premier Bardossy zapewniał o neutralności.

Całe społeczeństwo węgierskie, z wyjątkiem klikki wojskowej z szefem sztabu generalnego gen. Werthem na czele, było przeciw mieszaniu się w tę wojnę.

Smigły przeżywał te wszystkie wydarzenia również żywo, jak wszyscy i musiałem się starać zbierać najnowsze wiadomości, z prasy, z radia i rozmów z Węgrami, aby zaspokoić jego ciekawość.

Ze swej strony nie wypowiadał się na ten temat, powtarzał tylko: no no — przyszło wcześniej, niż się należało spodziewać!

Później dopiero zaczęliśmy szczegółowiej analizować wszystko; zapamiętałem niektóre opinie Śmigłego:

— Do tego starcia musiało dojść, bo Niemcy i Rosja Sowiecka, jakkolwiek — zdawałoby się — tak różne ustrojowo — były potęgami jednakowo dyktatorsko rządzonymi i nie mogły ostać się obok siebie.

— Hitler popełnił kardynalny błąd, że nie uderzył najpierw na Z.S.S.R., lecz dopiero po zawikłaniu się w wojnę ze wszystkimi na Zachodzie. Zachód nie tylko by mu nie przeszkadzał ale nawet pomógłby mu w tej walce, czego przedsmak mieliśmy przed wojną w pewnych sugestiach i nawet próbach nacisków dyplomatycznych... nie mówią już o usiłowaniach samych Niemców (Göring i sam Hitler), aby Polska przynajmniej zgodziła się na przepuszczenie wojsk niemieckich przez swe terytorium...

— Nie mogliśmy się na to zgodzić z tych samych powodów, z jakich nie moglibyśmy się zgodzić w 1938 r. na przemarsz wojsk sowieckich do CSR, co nam też niektórzy wypominają, choć nawet oficjalnych propozycji nie było...

„Dwóch zbójów” mieliśmy za sąsiadów, mówiąc o imperializmach niemieckim i sowieckim, którzy wzajemnie znieść się nie mogli — mówił obrazowo — a pomoc któremuś z nich w walce z drugim znaczyło zdecydować się na odebranie pierwszych i najstraszliwszych ciosów we własną pierś...

— Mieliśmy z obydwojma państwami jednakie pakt o wzajemnej nieagresji, a co z tego wyszło? Żaden, ani przez jednych, ani przez drugich nie był dotrzymany — pod wymyślonymi pretekstami...

To obrazowe porównanie tak się Śmigłemu podobało, że nawet ubrał je w formę wierszowaną. Wiersz ten zabrał z sobą Piasecki do ewentualnego rozkolportowania. Sprawdziłem później, że rzeczywiście rozszedł się, bo między innymi opowiadał mi o nim kol. Leon Zamecznik w Budapeszcie.

W swych dalszych wywodach Śmigły twierdził, że jeśli chodzi o metody rządzenia, to Hitler nie różnił się od Stalina... Tu dyktatura i tam także, tu Gestapo i S.S., tam G.P.U. i NKWD, tu i tam buta, zarozumiałość, bezwzględność, terror, mordy — mniej lub więcej skryte — wiarołomność, intrygi, szantaże i powoływanie się na wolę narodu, na partie, które właściwie są tylko narzędziem i terenem gloryfikacji dyktatorów...

Obydwa imperializmy, jak w kleszczach trzymały Polskę, a „Rapallo” i jego konsekwencje dla nas nie utrzymały się tylko dlatego, że nie było między nimi wspólnego języka...

Spokój może zapanować dopiero, gdy obie dyktatury się skończą, a narody im podległe otrząsną się z transu i zaczną żyć jakimś ludzkim, kulturalnym życiem.

— Lipiński, pan także i wielu innych macie wiele zastrzeżeń i niechęci do byłych „ozonowych” prób zorganizowania społeczeństwa w Polsce przed wojną. Ja również, zwłaszcza z obecnej perspektywy, nie uważam ich za najszcześniejsze, ale były to próby wynikające z faktów istnienia sąsiedzkich, dyktatorskich ustrojów.

Trzeba było doraźnie coś zastosować, dającego pewną prężność organizacyjną, dyscyplinę społeczną i pohamować warcholstwo rozwielnionego partyjnictwa, które w Polsce było już nie do zniesienia, a w niepodległy nasz byt wносиło wszelkie nawyki z lat niewoli i walki narodu z państwem...

— Bagnetem i innymi akcesoriami przymusu zapewne, na krótką metę, można wiele zrobić, ale à la longue siedzieć na nich nie można. Nie ulega wątpliwości, że w pierwszych działaniach jakiejś poważnej akcji dyktatura jest zawsze prężniejsza niż wszelki demo-liberalizm, jeśli jednak chodzi o modus vivendi, o współżycie narodów, kulturę i wygodę życia społeczeństw, to dyktatury wszelkie je hamują i uniemożliwiają.

— Ja osobiście, choć jestem żołnierzem, zawsze lepiej się czuję w gronie kulturalnie dyskutujących, aniżeli w koszarach lub w sztabach, gdzie panuje przymus, rozkaz i sucha dyscyplina.

— Ale, wracając do „rzeczywistej rzeczywistości”, jak zwykł mawiać Bartel, obecny konflikt tym bardziej wskazuje, że nasze miejsce teraz jest w kraju... i trzeba się do tego solidnie przygotować...

— Teraz, kiedy nawet komuniści nie są krępowani paktem sowiecko-niemieckim, nie ma w Polsce żadnych hamulców w walce z Niemcami, a „Quislingów” żadnych na pewno Hitler u nas nie znajdzie...

Upalny sierpień dobiegał końca.

Przybywali teraz częściej znajomi, więc Piasecki, ks. dziekan Zapała, Lipiński i szereg oficerów, których Śmigły chciał widzieć przed ich odejściem do kraju...

Potocznym tematem rozmów teraz najczęściej była sytuacja na froncie niemiecko-sowieckim, oraz rozwój stosunków polsko-sowieckich, które śledziliśmy wszyscy już od momentu, gdy 5 lipca Sikorski spotkał się z Majskim, ambasadorem sowieckim w Londynie, co doprowadziło do podpisania układu polsko-sowieckiego 30 lipca, w konsekwencji którego już 30 sierpnia mógł gen. Anders stanąć przed mikrofonem moskiewskiego radia i przemawiać do Polaków.

Śmigły był zdania, że fakt, iż Sowiety teraz zostały zaatakowane, automatycznie sprawia iż wchodzi w koalicję antyniemiecką. Stwarza to dla nas nową sytuację i Sikorski słusznie zabrał się do nawiązania kontaktów. Coraz częściej jednak rozmowy nasze dotyczyły przygotowań przejścia do kraju i postępu organizacyjnego tamże naszego OPW-u.

Piasecki przywoził wiadomości na ogół pozytywne. Marcin — bo pod takim pseudonimem pracował w kraju major Zieliński, okazał się ruchliwym i dobrym organizatorem roboty toteż — według jego raportów — start OPW był coraz lepiej przygotowany. Ludzie przybywający z Węgier byli już teraz z miejsca przyjmowani przez umówione punkty łączności i mogli być planowo użyci.

Coraz aktualniejszą stawała się sprawa stworzenia własnej prasy podziemnej, propagującej nasze idee i to zagadnienie było żywo omawiane przez Śmigłego z Piaseckim oraz z oficerami, którzy meldowali się przed odjazdem do kraju.

Poza sprawami technicznymi i organizacyjnymi własnego wydawnictwa, równolegle omawiano i stronę redakcyjną, ustalając zasadniczy kierunek, sposób zbierania i przysyłania materiałów informacyjnych itd.

Marszałek zdecydował, że nie możemy wszyscy od razu iść do kraju, gdyż na Węgrzech, przynajmniej do pewnego czasu, trzeba będzie utrzymać mocną i pewną bazę.

Miała ona prowadzić w dalszym ciągu akcję propagandową i werbunkową wśród uchodźców, oraz wysyłkę do kraju, a z drugiej strony zbierać materiały, o które tu było łatwiej, dla naszej prasy podziemnej w kraju i starać się o sprawną jej dostawę.

Kierownikiem bazy O.P.W. na Węgrzech miał pozostać gen. dr Hubicki, a mnie wyznaczył Marszałek na jego pomocnika i zastępcę. Sprawy informacji i prasy powierzono red. Kowalcukowi, a resztę zespołu mieliśmy już zorganizować we własnym zakresie.

Śmigły zaznaczył wyraźnie, że mamy tę działalność prowadzić tak długo, póki nie dostaniemy wyraźnego rozkazu przyścia do kraju, na który to wypadek powinniśmy mieć z góry przygotowanych następców na swych węgierskich posterunkach.

Ks. dziekan Zapała miał pójść do kraju z końcem września, natomiast Śmigły z Piaseckim następnym rzutem, w październiku.

Na tym właściwie przerzuty w tym roku, aż do wiosny, miały być przerwane, zarówno ze względów organizacyjnych, jak i z powodu trudności przechodzenia granicy w zimie.

Nie znaczyło to przerywania na okres zimowy naszej łącz-

ności z O.P.W. w kraju, gdyż ta była przewidziana drogą kurierską, przez zawodowych, a pewnych łączników, doskonale znających przejścia i umiejących dawać sobie radę w każdych warunkach, nawet wśród najcięższej zimy.

Pod tym względem ja osobiście pokładałem także dużą nadzieję w doktorze Karolu Polareckim, z którym zetknąłem się jeszcze w ub. roku w Budapeszcie, a który świetnie załatwił mi szereg przesyłek do kraju — listów, pieniędzy, a nawet paczek z rzeczami.

Był to Węgier ożeniony z Polką, zarządca lasów hr. Zeleńskiego w Wysokiej pod Jordanowem, moim rodzinnym miastem.

Ponieważ hr. Zeleński, mając gros swoich majątności na Węgrzech, mieszkał w Budapeszcie, dr Polarecki musiał do niego często przyjeżdżać ze sprawozdaniami, rozliczeniami i po dyspozycje.

Podróże te odbywał oczywiście za paszportem, koleją i Niemcy nie robili mu nigdy żadnych trudności.

Początkowo dr Polarecki dość krępował się i niechętnie pośredniczył w przesyłce listów, czy pieniędzy, obawiając się rewizji granicznych i związanych z tym możliwych przykrych konsekwencji. W miarę jednak częstszych przejazdów i oswojenia się ze zwyczajami kontroli granicznej, coraz śmielej przyjmował przesyłki zwłaszcza, gdy się przekonał, jak zrecznie mu je ukrywałem, np. w podwójnym dniu kartonu z czekoladkami, we wnętrzu motków nici itp.

Oczywiście były to zwyczajne sposoby przemytnicze, ale któżby z Niemców podejrzewał statecznego Węgra, do tego doktora praw, że trudni się przemytem.

Uważam za swój obowiązek w tym miejscu oddać hołd pamięci tego zacnego i dzielnego Węgra, który umarł już po wojnie w Krakowie. Był on naszym najpoważniejszym łącznikiem aż do 1944 r., tj. do momentu okupacji Węgier przez Niemcy.

Przewoził już nie małe listy, ale całe walizy materiałów i stale szczęśliwie, bez „wpadunku”, który na pewno przypłaciłby śmiercią.

Pracował dla naszej organizacji przez cztery lata świadomie i bezinteresownie, z jedyną nadzieją, że kiedyś — po wojnie — otrzyma za swe prace jakieś polskie odznaczenie. Niestety nie doczekał się tego.

Dzięki akcji dr. Polareckiego prasa podziemna OPW w kraju miała stale i bardzo szybko źródłowe materiały ze świata przez naszą bazę w Budapeszcie, natomiast my otrzymaliśmy tą samą drogą materiały z kraju, nawet całe komplety wydawnictw pod-

ziemnych, z którymi mogliśmy zapoznawać uchodźców na Węgrzech i Londyn.

Ale wracam do roku 1941 i do naszych ostatnich tygodni w Szantod.

W związku z zagadnieniem prasy OPW w kraju, Śmigły prowadził długie dyskusje z Piaseckim, Lipińskim, ks. Zapałą i ze mną.

Chodziło przede wszystkim o materiał, że tak powiem, startowy...

Wydawnictwa OPW powinny być od razu zaopatrzone w materiał ciekawy, nowy i nieszablony, podawać czytelnikowi w Polsce nie tylko aktualności chwili, lecz orientować go w najbardziej aktualnych zagadnieniach, rozpatrywać śmiało problemy i stawiać jasne wnioski.

Wszystko to miało mieć zadanie pogłębiania patriotyzmu i usztywniania w nieprzejednanej postawie wobec zaborcy-okupanta.

Omawiane koncepcje skrzętnie notowali Piasecki z Lipińskim, a i sam Śmigły dość dużo pisał, zwłaszcza wieczorami, gdy zostawaliśmy sami.

Jako jedno z ważnych zagadnień uważał Marszałek ujęcie w skrócie i popularnie odpowiedzi na nurtujące naród pytanie „czy Polska wojny mogła uniknąć?”.

Postanowił to napisać sam, jako najlepiej znający wysiłki przedwrześniowych czynników, decydujących w tych sprawach.

Rękopis powstał dość duży, niestety trudny do odczytania*).

Lipiński zaproponował, że przyśle do Szantod swoją żonę z maszyną do pisania i Marszałek będzie jej mógł, nie tylko ten artykuł, ale i inne notatki podyktować.

Propozycję przyjęto i p. Ola wnet zjechała na kilka dni, które Śmigły intensywnie wykorzystał do dyktowania.

Marszałkowi widocznie bardzo zależało na każdym zwrocie artykułu i na jego układzie, toteż p. Ola przepisywała go 3 razy. Po przeglądnięciu pierwszego maszynopisu Śmigły stwierdził, że tekst należy gdzieś uzupełnić, a całość podzielić dla przejrzystości na rozdziały, co też zaraz zaznaczył na marginesach.

Po ponownym przepisaniu z tymi uzupełnieniami okazało się, że jeszcze trzeba porobić drobne poprawki, aby ostatecznie czystopis wyszedł jak najpoprawniej. P. Lipińska przepisała więc artykuł po raz trzeci, a Marszałek obydwa poprzednie maszynopisy i swój rękopis, jako już teraz zbędne, oddał mi do spalenia.

Był to jedyny wypadek, w którym nie usłuchałem rozkazu,

Tekst ten zamieszczamy na stronie 125 i następnym.

lecz rękopis wraz z maszynopisami zachowałem sobie na pamiętkę. Obecnie oryginały znajdują się w archiwum Biura Historycznego W.P. w Warszawie.

Drugą pamiętką, jaka mi z tych czasów pozostała, to podyktowane p. Lipińskiej przez Śmigłego jego wiersze, o których już wspominałem.

Całość materiałów w czystopisach przekazał Marszałek Piaseckiemu, a ich przesyłką do kraju zajął się zaraz najbliższy współpracownik Piaseckiego, dzielny i sprężysty organizator „dr Gall” (dr Lebedowicz).

Ks. dziekan Zapała wpadł do nas jeszcze raz, aby się pożegnać przed wyjazdem do kraju.

Przy pożegnalnym obiedzie potoczyła się rozmowa na tematy ogólne.

Najaktualniejszymi były teraz dalsze sukcesy Niemców w Rosji. Ks. Zapała zauważył, że Lipiński z Kowalczykiem muszą się „dość nagimnastykować” w swoich prelekcjach czwartkowych w YMCE, aby tłumnie słuchającym uchodźcom zręcznie przedstawiać sytuację, podać wszystko, co wiemy, o postępach w nawiązywaniu ponownie stosunków z Z.S.S.R., a nie narazić się przy tym na nieprzyjemności, bo zapewne Niemcy też do YMCI wysyłają swoich konfidentów.

— Ale zresztą i „Więści Polskie” podają dość dużo tych informacji, prawdopodobnie dzięki opiece, jaką otacza uchodźctwo polskie dr Józef Antal, dyr. Departamentu w Min Spraw Wewn. w Budapeszcie.

— Np. że nowomianowany ambasador Polski w Moskwie, Kot, był przyjęty 9 września przez Kalinina, wiedzieliśmy natychmiast.

— Tak, rzekł w pewnym momencie Marszałek, postępy porozumienia między rządem polskim na emigracji, a Związkiem Sowieckim są równie szybkie, jak posuwanie się armii pancernych niemieckich pod Moskwę i Leningrad.

— Zresztą, ciągnął Śmigły, w obecnych warunkach Sikorski słusznie zabrał się do nawiązania kontaktów...

— No, zobaczymy, jak to się wszystko dalej ułoży, westchnął ks. Zapała i począł żegnać się, aby zdążyć na pociąg do Budapesztu.

I nasz pobyt nad Balatonem dobiegał końca.

Śmigły ustalił z Piaseckim, że nieodwołalnie w październiku idą do kraju, ale przedtem chciał jeszcze być parę dni w Budapeszcie, ażeby pozatławić niektóre niezbędne sprawunki, przygotować się do drogi i na miejscu czekać na możliwość wyjazdu tj. na powrót z kraju kuriera „Staszka”.

POWRÓT

Hrabina Marenzi była rozpromieniona, że „profesor” znów do niej wrócił nie sądziła jednak, że będzie u niej tak krótko i że potem — już go nigdy nie zobaczy...

Do ostatecznego wyjazdu z Budapesztu pozostawało jeszcze około trzy tygodnie, potem dwa, jeden i wreszcie liczyliśmy już dni...

Na razie przejście przez zieloną granicę odbywało się w ten sposób, że umawiano się poufnie z którymś z kurierów tzw. „Bazy”. Bliżej nie znałem wówczas tej organizacji, przebywając przeważnie na prowincji. Według dorywczych informacji, była to zakonspirowana komenda AK na Węgry mająca bezpośredni kontakt z Londynem. Jak się później dowiedziałem na czele Bazy stał płk. Roztworowski, zastępował go płk Matuszczak i płk Korkozowicz. Baza miała kilka działów funkcyjnych, między którymi był dział kurierski, jako odrębna placówka, który — przy pomocy dobranych przewodników, przeważnie górali z Podhala — przerzucał materiał i ludzi do umówionych z AK w kraju punktów.

Kierownikiem tego działu był Paweł, czy Piotr Zalewski, który się również podawał za Jaworskiego, a miał być technikiem czy inżynierem budowlanym przed wojną w Brześciu n/ Bugiem i podobno w rzeczywistości nazywał się Wagner. Był to dość przystojny słusznego wzrostu jasny szatyn, lat około 35, energiczny i ruchliwy, ale na ogół mało sympatyczny, przynajmniej dla naszego grona, które w tym czasie jeszcze nie podlegało AK i Baza jak i przedstawicielstwo polityczne na Węgrzech raczej niechętnie się do nas odnosiło.

Zastępcą Zalewskiego był Mgr Wacław Felczak, zdaje się z Poznania, gdyż był konsul węgierski i lektor języka węgierskiego na Uniwersytecie w Poznaniu Hidyjanos często wspominał, że to jego wychowanek. Był to dwudziestokilkuletni szczupły brunet, ruchliwy i odważny, bo sam kilkakrotnie był w Polsce na zielono i miał brawurowe przejścia. Mówił świetnie po węgiersku i dlatego był prawą ręką Zalewskiego.

Jako kurierów, jak już wspominałem, miano przeważnie górali — przemytników, jak Staszek z Chochołowa, Franek z Krościenka, Janek z Sanoka i inni, choć byli także ochotnicy i z innych sfer, którzy raz zakosztowawszy przygody nielegalnego przejścia przez granicę, chętnie podejmowali się przechodzić i nadal. Wielu z nich, chętnych do zarobków ubocznych, podejmowało się przemycać do kraju listy i pieniądze dla osób prywatnych, a gdy nie przeprowadzali kogoś z polecenia Bazy, to chętnie brali ze sobą do Polski, kto się zgłaszał spośród uchodźców i zapłacił umówioną kwotę.

Na ogół wywiązywali się ze swych zobowiązań uczciwie i sumiennie, a Zalewski i Felczak patrzyli na to przeważnie przez palce.

Otóż Piasecki umówił swoje przejście „z jeszcze jednym panem” ze Staszkiem z Chochołowa. Ponieważ Staszek był właśnie wysłany do Polski, więc trzeba było czekać, aż wróci, co miało nastąpić około dwudziestego października. Zazwyczaj taki kurier odpoczywał w Budapeszcie kilka dni i wracał do Polski, bo nie chciał, aby lokalne władze niemieckie w kraju zwracały uwagę na jego zbyt długą nieobecność. Poza tym chodziło mu o zarobek, bo każde przejście jednak przynosiło dość dobre dochody.

Wreszcie Piasecki przyniósł wiadomość, że Staszek jest i że 25 października wraca sam więc będzie mógł ich przeprowadzić.

Teraz przygotowania stały się już gorączkowe. Śmigły prosił mnie o zakupienie mu różnych potrzebnych do podróży i pobytu w Polsce rzeczy, jak odpowiednie, solidne obuwie obciskające kostki, sweter wełniany itp.

Ponieważ ze sobą, oprócz małej podręcznej walizeczki, nic nie mógł zabrać więc umówiliśmy się że walizki jego zostaną u hr. Marenzi na przechowaniu, a przy sposobności prześlę mu później resztę potrzebnych rzeczy jakąś okazją. Przesłanie tych rzeczy nie wydawało mi się trudne, gdyż miałem na myśli dr. Karola Polareckiego, o którym już wspominałem. Wszystkie obrazki i płótna, które malował, oraz trochę pamiątek i notatek złożył w płaskiej walizie samochodowej, jedynej pozostałości po swym aucie, które pozostało w Rumunii. Rzeczy te miały być przechowane u mnie i miałem się starać po wojnie dostarczyć je do

kraju. Maszynkę do parzenia kawy, kasetę z szachami itp. drobiazgi, których Marszałek używał do ostatniego dnia, pozostawił jak były, u hr. Marenzi, która traktowała je jak najcenniejsze pamiątki, stale leżące na tym samym miejscu, na którym leżały przy jego wyjeździe.

Śmigły był coraz bardziej skupiony i rzadko widziałem go już uśmiechniętego, albo przejętego czymś innym, aniżeli sprawami związanymi z zamierzonym pójściem do kraju i czekającą go tam pracą. Gdy nieśmiało próbowałem proponować, abym mógł mu nadal towarzyszyć i w drodze do Polski, kładł mi rękę na ramieniu i mówił: że to na razie musi już tak pozostać, jak ułożyli z Piaseckim.

— Przywiązałem się do Pana bardzo — mówił — i naprawdę będzie mi Pana brakować, ale po pierwsze, musi Pan teraz — po naszym odejściu — pomóc Hubickiemu w robocie, bardzo dla nas ważnej, a nie widzimy kogo innego na to miejsce. Po drugie, trzech — to już zbyt duża grupa do przejścia granicy a zresztą, możliwe, że już na wiosnę wezwiemy Pana do przyjazdu, to znów się spotkamy.

Na wspólnej konferencji, z udziałem gen. Hubickiego i inż. Piaseckiego, Marszałek omówił szczegółowo, czego od nas oczekuje.

Podkreślił, że będziemy właściwie jedyną bazą dla ich kontaktu z zachodem, zdobywania i pośredniczenia w przekazywaniu wiadomości w obydwie strony, przynajmniej póki sytuacja ogólna na to pozwoli. Niemniej ważną jest sprawa oddziaływania na uchodźstwo cywilne i wojskowe na Węgrzech. Należy nie dopuścić do osłabienia antyniemieckiego nastawienia, do ulegania oportunistom i sprytniej propagandzie niemieckiej, do osłabienia „czucia z krajem” i trzeba w dalszym ciągu wyławiać wartościowe elementy do zasilania nimi naszych szeregów.

Na moje zapytanie, jak mamy ustosunkować się do komunistów, których wprawdzie wśród uchodźców jest bardzo mało ale — jak już przy innej sposobności opowiadałem Marszałkowi — wśród miejscowych natrafiłem na kilku miłych i szczerze nam życzliwych, z którymi będzie można niejedno zrobić — Śmigły przypomniał, co już mówił nad Balatonem i dodał:

— Nie należy zapominać, że dziś jesteśmy we wspólnym froncie walki z Niemcami, nie należy jednak posuwać się zbyt daleko, dopóki nie damy instrukcji po zapoznaniu się z sytuacją w kraju. Sprawa właściwie dopiero się klaruje... Nie wiemy, na jakich warunkach nawiązał rząd w Londynie porozumienie i czy warunki te będą utrzymane, ani też, jak daleko posuną się Niemcy i z jakim rezultatem.

— Mam wrażenie, że zima — co do tego — będzie rozstrzygająca, bo „gen. mróz najlepszym armiom lubi płatać figle” a nie wiemy, jak Niemcy są na to przygotowani...

— Masy broni pancernych i lotnictwa nie we wszystkich warunkach decydują...

Z Lipińskim również Marszałek prowadził długie rozmowy. Lipiński choć formalnie do organizacji nie należał, oświadczył gotowość przybycia do kraju na wezwanie Śmigłego, a do tego czasu zapewnił go o najściślejszej współpracy z naszą komórką na Węgrzech.

Trochę kłopotu miał Marszałek z uporczywym żądaniem Sławy Wendowej, aby ona mogła iść do kraju, tym bardziej, że popierał ją w tym i Piasecki. Tu jednak spotkali się ze zdecydowanym oporem Śmigłego, który w dłuższej pogawędce z panią Sławą potrafił ją przekonać, że na razie to jest niemożliwe, a gdy się rozpatrzą w kraju, to wtedy będą mogli zadecydować zgodnie z jej własnym, jak i organizacyjnym interesem. Do tego czasu jest ona potrzebna dla O.P.W. tutaj.

Wczuwając się w moje przyszłe zadania, rozmyślałem przede wszystkim nad formą i sposobami naszej łączności z krajem. Chodziło mi o ustalenie szyfru, który by nas uniezależnił od pamięci i solidności kurierów, ani nie narażał na dekonspirację, w razie jakiegoś niepowodzenia w przesyłce korespondencji.

Mając długoletnie doświadczenie w tych sprawach, wpadłem wreszcie na szyfr, który nie potrzebował, ani skomplikowanego klucza, ani jakichkolwiek nawet zapisków, a dla niewtajemniczonego był nie do odczytania. Mógł być on ukryty w banalnej formie zwykłego prywatnego listu. Można go było zatem używać dowolnie i pewnie nawet w zwyczajnych listach, przesyłanych przez pocztę, i podlegających cenzurze.

Piasecki, któremu wyłożyłem zasady szyfru, po prostu osłupiał, tak mu się pomysł wydawał genialny i nie wiedział jak mi zań dziękować. Ustaliliśmy też zaraz, że stale będziemy się tym szyfrem posługiwać, tym bardziej, że — przy zastosowaniu tylko drobnych wariantów założenia — można było używać szyfru na różnych kierunkach i stopniach organizacyjnych, bez zagrożenia dekonspiracji samej zasady, przyjętej na innych odcinkach korespondencyjnych.

Dla wytchnienia i równocześnie, aby nie przerywać „treningu”, kiedy tylko można było robiliśmy z Marszałkiem dłuższe spacerunki po okolicznych wertepach Swabhegy i Janoshegy, przy czym Śmigły starał się być ubrany tak, jak miał iść do kraju, z wyjątkiem ciepłego swetra, który mu na drogę zakupiłem, a który miał go chronić od zimna w nocy w górach.

Na przechadzkach był przeważnie zadumany i małowówny, jakby pochłonięty nurtującymi go myślami i planami.

Wśród szczupłej garstki wtajemniczonych w fakt pobytu na Węgrzech Śmigłego, a nawet świadczących cały szereg drobnych usług, związanych z jego obecnością czy życzeniami, tylko dwoje najmłodszych członków O.P.W. nie miało dotychczas sposobności, nie tylko zetknięcia się z nim, ale zobaczenia go z daleka, do czego mocno wzdychali. Piasecki jednak z dziwnym uporem nie chciał stworzyć okazji, aby te tęsknoty zaspokoić, uważając to za sprzeczne z zasadami konspiracji. Mnie jednak było żal tych dwojga młodych ludzi, oddanych całkowicie sprawie O.P.W., wiernych, ofiarnych, a bezwzględnie dyskretnych i zaufania godnych. Był to redaktor János Kowalczyk i jego młodsza, dwudziestokilkuletnia koleżanka z „Wieści Polskich” Nina Adamczykówna.

Wiedzieć, że Śmigły jest na Węgrzech i że niebawem ma iść do Polski, a nie mieć sposobności nawet go zobaczyć, to było dla nich tak przykre, że nie mogli tego nawet ukryć przede mną, jakkolwiek zdawali sobie sprawę, że w konspiracji robi się tylko to, co organizacyjne jest niezbędne.

Ich lojalna rezygnacja z zaspokojenia gorących marzeń w imię dyscypliny organizacyjnej choć byłoby to dla nich niezwykłym przeżyciem, wzruszała mnie głęboko.

Z każdym z nich jednak zaaranżowałem sprawę osobno i pod największą dyskrecją.

Nina Adamczykówna, młode, miłe i wesołe stworzenie, a przy tym bardzo inteligentna i poważnie myśląca, złożyła przyrzeczenie organizacyjne na ręce Piaseckiego już przed kilku miesiącami. Była ona ulubienicą pani Sławy Wendowej, która siostrzanym uczuciem darzyła samotną dziewczynę, córkę niezżyjącego już zesłańca i matki sybiraczki, tęskniącej do córki w dalekim Radomiu wraz z jej starszym bratem. Zawierucha wrześnieowa zapędziła ją na Węgry, a wrodzone zalety i przypadek, przede wszystkim zaś wychowanie obywatelskie, zdobyte przed wojną, zbliżyły ją do naszego grona, gdzie się czuła jak w rodzinie. Język węgierski opanowywała systematycznie i coraz lepiej.

Umówiłem się z nią, aby w oznaczonym dniu i godzinie kiedy miałem z Marszałkiem udać się na zwykły spacer, była już w pewnym punkcie naszej trasy. Miała przechodzić obok nas z przeciwnej strony, niby przypadkiem, podejść do Śmigłego i zapytać po węgiersku, która godzina. Podstęp się udał doskonale. Marszałek trochę zaskoczony, nie rozumiejąc czego to młode dziewczę chce od niego, zwrócił się do mnie z zapytaniem. Gdy mu wyjaśniłem, że dziewczyna przeprasza i zapytuje, która go-

dzina, pokazał zegarek z którego odczytałem głośno czas po węgiersku. Dziewczę podziękowało, dygnęło i wolno poszło w kierunku skąd przybyliśmy.

Śmigły nie podejrzewał niczego, choć, roziskrzone zacięciem i zrozumiałym zdenerwowaniem oczy dziewczęcia przez cały czas były skierowane na niego, a piękny uśmiech z podziękowaniem za informację również należał do niego.

Po odejściu Adamczykówny Śmigły odezwał się: — Ładna dziewczyna, ale zupełnie typ słowiański!

Nie mogłem mu niestety wyjawić, że miał rację i że był tak spostrzegawczy. Nina była uszczęśliwiona, a — dziękując mi potem — zauważyła, że nie wyobrażała sobie, że Śmigły jest tak przystojny i ujmujący z bliska, gdyż dotychczas знаła go tylko z ilustracji w pismach i z portretów po biurach.

Piaseckiemu trzeba przyznać, że w czasie gdy byliśmy ze Śmigłym nad Balatonem, rozwinął dość energicznie organizację O.P.W. Zastosował system „piątek”, tak, że tylko pięciu ludzi się znało, a z tych tylko jeden znał wyższą piątkę, której był członkiem. Kontrola stanu i przegląd zaangażowanych w poszczególnych piątkach odbywała się w ten sposób, że odpowiedzialny za piątkę miał ją w umówionym czasie zaalarmować i zebrać — bez zwracania uwagi otoczenia — w jakimś punkcie miasta, w kawiarni itp., a Piasecki, względnie przez niego upoważniony członek „sztabu”, znajdował się tam niby przypadkiem albo mimochodem i miał sposobność przyrzeć się całej piątce. Przy tym systemie trudno mi było znać wszystkich obecnie należących do organizacji. Gdy z którymś z nich musiałem się zetknąć, aranżował to Piasecki, dając mi hasło i ustalając miejsce gdzie się spotkamy.

W ten sposób też po południu w dniu 24 października poznałem dr. Galla (dr Józef Lebedowicz). Zgłosił się on u mnie z hasłem i przedstawił pseudonimem, jako dr Gall. Sympatyczny, dobrze zbudowany i robiący wrażenie energicznego człowieka, mężczyzna, lat około czterdziestu, szef naszej służby przerzutów, przyszedł do mnie celem omówienia ze mną szczegółów wyjazdu Śmigłego w dniu 25 października, a więc nazajutrz.

Tę datę znałem już z narady ostatniej u Śmigłego, kiedy ustalono ostatecznie, że Marszałek wyjeżdża z Piaseckim, ale — na wyraźne jego życzenie — ja mam ich odprowadzić aż do samej granicy.

Dr Gall uzgodnił ze mną, że umówioną już taksówką przyjadę ze Śmigłym na godzinę czternastą na Keleti P.U., czyli dworzec wschodni, ale po drodze zmienimy przynajmniej raz taksówkę.

Umówiliśmy się, że po wyjściu z auta — każdy osobno — przyjdziemy na peron i zajmiemy miejsce w pociągu pośpiesznym, idącym na Hatwan, w wagonie przed którym będzie stał dr Gall z gazetą. W wagonie wsiądziemy do przedziału, w którym będzie już na nas czekała młoda, przystojna Węgierka „Margit” w czarnym kapelusiku. Będzie miała ona już obok siebie zarezerwowane dla nas miejsca. Bilety wręczył mi dr Gall od razu dla mnie i dla Marszałka. Były one wystawione na dzień 25 października do stacji kolejowej Rozsnyo (po słowacku Rožnawa).

Wspomniana młoda Margit, umiejąca także po niemiecku, miała być naszą „pilotką” aż do granicy i miałem z nią potem wrócić z Rožnawy następnym pociągiem do Budapesztu. Zadaniem jej, niby przygodnej znajomej współpasażerki, było ewentualnie ułatwić nam porozumienie się z organami władz, gdyby tego zaszała potrzeba, a w razie jakiegoś wydarzenia, np. przytrzymania itp., miała natychmiast wracać i szczegóły zakomunikować dr. Gallowi. Była to jej stała funkcja i miała już w tych sprawach dostateczną praktykę na danej trasie przerzutu.

W miłej pogawędce, jaka się przy tym wywiązała, dr Gall wspomniał, że w miesiąc później, następną turą ze Staszkiem, on sam ma iść do Polski i prosił mnie o adres krakowski dr. Polarowskiego, dla późniejszego kontaktu. Równocześnie nadmienił, że gdy przybędzie do kraju, będzie się starał trochę zaopiekować moją szwagierką i dziećmi, bo wiedział już o aresztowaniu szwagra dr. Azorskiego, więc i ten adres mu podałem.

Po odejściu dr. Galla w jakiś czas później nadszedł Janusz Kowalczyk. Ponieważ zdecydowałem i jemu ułatwić zobaczenie Śmigłego, a przy tym mógł mi być do pewnego stopnia pomocny, umówiłem się z nim aby jutro od godziny 13 piętnaście czekał przed kawiarnią Gerbeau, na Erzsebet ter, gdzie około 13 trzydzieści przyjdę z Marszałkiem i gdzie mamy zmieniać taksówkę. Zadanie Kowalczyka polegało na tym, aby uważał, czy nie nawinie się ktoś z Polaków, a w takim wypadku żeby odciągnął od nas jego uwagę rozmową i jak się da. Ucieszony niezmiernie Janusz zapowiedzianą okazją, serdecznie mi podziękował i odprowadził do przystanku tramwajowego. Pojechałem na Swabhegy.

U Śmigłego zastałem już Piaseckiego, bardzo przejętego jutrzejszym wyjazdem. Omówiliśmy ostatnie szczegóły. Śmigły prosił abym przyszedł wcześniej, bo chciałby jeszcze zrobić pożegnalny spacer. Ustaliliśmy, że przybędę o godzinie dziewiętej, gotów do podróży.

Moje przygotowania nie były skomplikowane, bo — na przejazdkę pociągiem tam i z powrotem — wystarczyło mi moje zwykłe ubranie sportowe, jesionka z podpinką i mocne półbuciki.

Mój podróżny neseser ze świńskiej skóry był stale zaopatrzone we wszystkie potrzebne w drodze drobiazgi, nie wyłączając nawet miniaturowej apteczki i opatrunków, które też czasem przydać się mogą. Na wszelki wypadek, jak zwykle, postanowiłem wziąć trochę jedzenia. Pani Marenzi wystąpiła z kolacją pożegnalną, do której ustroiła się w wieczorową suknię. Nasze wizytowe ubrania niezbyt harmonizowały z tym jej ubiorem i stosunkowo wystawnym przyjęciem.

Nastrój był nieszczególny. Rozmowa się nie kleiła, mimo wysiłków Śmigłego, który widocznie chciał odwrócić uwagę wszystkich, a zwłaszcza pani Ireny od faktu, że to jednak jest rzeczywiście wieczór pożegnalny...

— W jakże innym nastroju — mówił Marszałek — wypada mi teraz wyjeżdżać z Węgier, niż niespełna przed rokiem z Rumunii...

Domyślaliśmy się, co miał na myśli. Wówczas wyjeżdżał zmuszony nieprzyjemnymi okolicznościami, opuszczał środowisko upokarzające charakterem internowania, jechał w nieznanne...

Dziś opuścić mu przychodzi kraj, który mu — mimo wszystko — dał parę chwil spokoju i wytchnienia, pozwolił na skoncentrowanie się i przygotowanie akcji poważnej, choć ryzykanczej, a ludzie, z którymi los go zetknął są mu tak szczerze i serdecznie oddani...



Korzystając z pretekstu, że przed wyjazdem należy odpocząć, pożegnaliśmy się niebawem i odjechaliśmy z Piaseckim do miasta.

O godzinie dziewiątej byłem u Marszałka. Cekał już gotów do spaceru, toteż zaraz wyruszyliśmy w przepiękny w tym dniu poranek. Szedł zamyślony i milczał. Niebawem zawróciliśmy.

Pani Marenzi przygotowała śniadanie, podczas którego z trudem powstrzymywała łzy. Kłopotliwą sytuację przerwał sygnał samochodowy. Podjechało zamówione przeze mnie auto. Wyniosłem przygotowaną walizkę do auta i swój neseser. Wracając zauważyłem wzruszającą scenę; Marszałek całował z uczuciem w rękę panią Marenzi, a ta pochylając się ucałowała go w czoło i kreśliła nad nim znak krzyża.

Ostatnie spojrzenie na dom i otoczenie, ostatni ukłon stojącej u drzwi kobiecie i za chwilę mijaliśmy charakterystyczną sylwetę wieży wodnej, aby spuścić się serpentynami w dół, do miasta.

Na Erzsebet ter zatrzymaliśmy się parę minut po godzinie trzynastej trzydzieści. Zapłaciłem szofera, który zaraz odjechał.

Rozglądałem się szukając innej taksówki, ale jakoś żadnej nie było w pobliżu.

Poprosiłem Marszałka, aby chwilę postać na miejscu, przy walizce, a sam odszedłem na róg ulicy, gdzie zdawało mi się łatwiej będzie złapać wolny pojazd.

Minąłem Kowalczuka, któremu oczyma wskazałem Śmigłego.

Na szczęście rychło złapałem wolną taksówkę i niebawem ruszyliśmy dalej na dworzec. W aucie Śmigły zapytał mnie, czy nie zauważyłem tego „łapsa” w okularach, który mu się tak przyglądał. Uspokoiłem go, że owszem widziałem, ale to nie żaden agent, tylko znany mi reporter, który się wszędzie szwenda. Nie jest on wcale niebezpieczny, a przeciwnie, gdyby trzeba było, to nawet by nam pomógł.

Marszałek się uśmiechnął i zaczął mówić, że się tak świetnie orientuję w Budapeszcie, ale w tym momencie stanęliśmy pod dworcem i trzeba było wysiadać.

Ruszyliśmy na peron, każdy osobno, jak było umówione.

Na dworcu wszystko odbyło się wg. ustalonego z Gallem porządku. W wygodnym przedziale drugiej klasy spotkaliśmy już resztę kompletu. Pilot-Węgierka siedziała przy oknie, Śmigły miał zarezerwowane miejsce również przy oknie naprzeciw niej, Piasecki usiadł obok niego, ja przy Węgierce, a obok mnie Staszek. Młody, lat około dwadzieścia, sympatyczny góral z Chochołowa, ubrany z miejska, nawet dość solidnie i starannie. Do odjazdu było jeszcze około 5 minut, gdy w drzwiach przedziału stanął dr Gall i rzucił krótko w stronę Piaseckiego:

— Zalewski jest na peronie!

Piasecki widocznie się zmieształ i podszedł do drzwi, gdzie natknął się na Zalewskiego, przechodzącego korytarzem wagonu. Ten zdążył przez szybę zauważyć mnie i Staszka. Kiwnął nań palcem i zawołał:

— Staszek chodźno tu, coś ci powiem!

Staszek wyszedł, a po chwili, podczas której Zalewski zdążył mu powiedzieć parę słów, pociąg ruszył i Zalewski wyskoczył w ostatniej chwili, wołając jeszcze do Staszka: „pamiętaj! — Hatwan!”.

Staszek jeszcze z kimś rozmawiał na korytarzu wagonu po czym wszedł do przedziału czerwony i wzburzony.

— Zalewski powiedział mi, że ni mom brać nikogo ze sobom, a ci dwaj panowie — wskazał na mnie i na Piaseckiego — musom się wrócić z Hatwan do Budapesztu. Jak tam nie wysien-

dom, to w tym samym wagonie jedzie Felczak z jesce jednym, dadzom znać i zandermy węgierskie nos wszyckich zabierom.

Zalewski jak już nadmienilem, był szefem placówki łączności z krajem z ramienia Bazy, podległej czynnikom londyńskim i z tego tytułu uważał się za przełożonego Staszka, jako kuriera, stąd zrozumiiała konsternacja chłopca po takiej rozmowie...

Konsternacja i wśród nas była poważna. Wiedzieliśmy, że Zalewski za wszelką cenę starałby się, abyśmy nie wyjeżdżali do kraju, ale żeby aż do tego stopnia się posunął, iżby denuncjować nas do węgierskiej żandarmerii, tegośmy się nie spodziewali. Wyraźny jednak rozkaz, jaki otrzymał Staszek, oraz fakt, że na korytarzu istotnie znajdował się Felczak przy wejściu po jednej stronie, a drugi jakiś młodzieniec na drugim końcu wagonu, kazał nam się domyślać, że Zalewski jest zdecydowany na wszystko. Widać było, że o naszym wyjeździe dowiedział się w ostatniej chwili, o Śmigłym jednak widocznie nic nie wie, skoro wskazał tylko na dwóch, których osobiście znał i domyślał się, że robimy jakąś robotę „Piłsudczykowską”...

Za oknami migały wioski, drzewa i pola. Słońce skryło się za chmurami, ale mimo to pogoda była dobra i widoki czyste. Chmurno i ponuro było tylko wśród nas. Zastanawialiśmy się, co robić. Szantaż to tylko, czy rzeczywiście naśle nam żandarmów?

— Wysiadajcie obaj panowie, ja sobie sam dam radę ze Staszkiem, zwłaszcza że Marcin będzie czekał, a tu — szkoda ryzykować! rzekł w końcu Śmigły.

— Pani i tak pojedzie do końca, to będziecie wiedzieć, jak poszło, a pan panie Julianie — zwrócił się do Piaseckiego — przybędzie następną turą. Uprzedzę Marcina.

Istotnie, cóż było robić. Piasecki oddał Śmigłemu jakiś pakiecik i nie rozmawialiśmy więcej, aby nie zwrócić uwagi Felczaka, który spacerował po korytarzu.

Gdy pociąg zaczął skakać na zwrotnicach i ukazały się zabudowania stacyjne Hatwanu, dyskretnie uściśniliśmy rękę Śmigłego i zabraliśmy się do wyjścia.

Felczak, obok którego przechodziliśmy, uśmiechnął się złośliwie, zrobił miejsce do przejścia, a gdy pociąg stanął — wysiedliśmy z wagonu. Ponieważ pociąg stał na tym dworcu około 10 minut, postanowiliśmy zaczekać na peronie, aż odjedzie.

W pewnym momencie zobaczyliśmy, że idzie komendant dworca z dwoma żandarmami i — ku naszemu przerażeniu — kieruje się wprost do wagonu, w którym zostawiliśmy Śmigłego...

Parę minut trwał ich pobyt w wagonie, ale, gdy dano sygnał do odjazdu wojskowi wyszli sami...

Kamień spadł nam z serca. Widocznie nikogo nie zabrali i Śmigły jedzie dalej.

Staliśmy z Piaseckim na peronie przed pociągiem, ale o kilka wagonów bliżej ku lokomotywie. Pociąg powoli ruszył.

Już jeden wagon przesunął się przed nami, gdy nagle powzięłem decyzję: za żadną cenę nie można puszczać Marszałka samego!

— Julek! ja jadę — krzyknąłem z cicha — i wskoczyłem na najbliższy stopień rozpędzającego się już pociągu. Jakiś niemiecki oficer otworzył drzwi, podtrzymał mnie za ramię i uprzejmie pomógł wejść.

Jeszcze przez okno zauważyłem, jak biedny Piasecki stał samotny i patrzył za nami. Pociąg już nabrał pędu i wykluczone było teraz próbować wskoczyć. Gdy się rozejrzałem, stwierdziłem, że trafiłem na wagon oficerski, pełen niemieckich oficerów. Przeprosiłem najbliższego z nich, jakiegoś kapitana, że spóźniłem się i w ostatniej chwili skoczyłem do tego wagonu, ale machnął przyjaźnie ręką i powiedział: że to nie szkodzi, ale do cywilnego wagonu będę mógł przejść dopiero, gdy przyjdzie konduktor, bo drzwi są zamknięte. Okazało się, że jest to dość towarzyski i rozmowny człowiek, gdyż nie poprzestał na tej uwadze i podtrzymywał rozmowę, wypytując o okolice, chwalać widziane gospodarstwa itd. Było mi to o tyle na rękę, że w razie nadejścia konduktora, czy żandarmów kontrolnych, nikt nie miałby nic przeciw jakiemuś, widać dobru znajomemu niemieckiemu oficerowi. Dla niego mój niezbyt wyrobiony język niemiecki był prawdopodobnie dowodem, że jestem Węgrem, dla nich znów, mój jeszcze gorszy węgierski też w tym wypadku nie byłby dziwny.

Na najbliższej stacji, na której się pociąg zatrzymał, zauważyłem, że Felczak z towarzyszem swoim wysiedli i skierowali się od razu ku wyjściu z peronu. Upewniło mnie to, że nie widzieli ani nie wiedzieli, że — mimo wszystko — jadę dalej...

Gdy nadszedł konduktor przepuścił mnie bez trudności do wagonu cywilnego, w kierunku, gdzie był Śmigły ze Staszkiem. Trafiłem na ten wagon niebawem i stwierdziłem, że Staszek jedzie w innym przedziale. Śmigły zaś z Węgierką tam, gdzie ich zostawiliśmy. Byli sami, gdyż wagon był prawie pusty.

Staszek ucieszył się i poinformował mnie, że żandarmi w Hatwan wylegitymowali tylko Felczaka i jego towarzysza i doszli do Staszka, który stał na korytarzu, ale, że ten długo szukał swojego dowodu, a pociąg już miał ruszać, w ostatniej chwili — po przeglądnięciu jego legitymacji — wyszli, nie mając czasu widocznie na dalsze legitymowanie.

Następnie poinformował mnie Staszek, że ten pociąg dojeżdża tylko do Rożnawy i wraca rano. My, jak przyjedziemy, we-

dług relacji Staszka, zaraz siądziemy do taksówki, do której on pierwszy wsiądzie. Do tego czasu nie mamy się z nim stykać i w ogóle się nie znamy.

Poinformował mnie jeszcze, że tą taksówką pojedziemy razem ze trzy kilometry pod jedną górkę, która będzie z lewej strony, a potem prosto po stoku do góry, taksówka zaś odjedzie z Margit z powrotem do miasta. Węgierka tam się prześpi na umówionej kwaterze i rano odjedzie do Budapesztu.

Śmigły był mile zdziwiony, gdy mnie zobaczył i uśmieł się, gdy mu mu opowiedziałem, w jaki sposób kiwnąłem ludzi Zalewskiego i jak się znalazłem w pociągu.

— No to świetnie, będzie mi milej jechać dalej, a gdy pan wróci jutro do Budapesztu niech pan uspokoił Julka, bo może nawet lepiej, że teraz nie idzie.

— Pan widział, gdyśmy się raz razem kąpali w Balatonie, jakie Julek ma straszne żyłaki na obu nogach? On nie mógłby bardzo forsować, tym bardziej, że nie ma żadnego treningu jak my.

Pozwoliłem sobie zauważyć, że — skoro już tak się stało — uważam za swój obowiązek nie puścić go samego i pójdę razem z nim do Polski, jak razem trenowaliśmy... Wiadomość o naszym przejściu zawiezie przecież Węgierka, która na to tu jedzie.

Po dłuższych obiekcjach, że jestem źle wyekwipowany itd. ostatecznie jednak Śmigły się zgodził, że z nim pójdę, z tym jednak, że zaraz ze Staszkiem, to znaczy w ciągu miesiąca, wrócę z powrotem do Budapesztu. W gruncie rzeczy był rad.

Już przy oświetlonych wagonach podjeżdżaliśmy do Roznawy.

Na słabo oświetlonym peronie zauważyliśmy, jak przy kolejarzu odbierającym bilety od podróżnych, stało dwóch żandarmów wojskowych i bacznie przyglądali się przechodzącym. Wyszliśmy jednak bez przeszkód, widocznie nie budząc podejrzeń, tym bardziej, że nasza Margit głośno po węgiersku coś tam niby nas nawoływała.

Taksówka już czekała, a w niej, obok szofera, Staszek. Gdyśmy się już ulokowali i mieliśmy ruszać nagle Śmigły przypomniał sobie, że w wagonie pod poduszką ławki, na której siedział zostawił pakiet z pieniędzmi. Staszek, gdy to usłyszał, wyskoczył natychmiast z pilotką i pobiegli na peron. Dość długo trwało zanim wrócili, ale Margit zwróciła Śmigłemu znaleziony pakiecik, który zawierał coś z dziesięć tysięcy dolarów, jak mi później Śmigły nadmienił. Okazało się właśnie, że to był pakiet, oddany mu w Hatwan przez Piaseckiego przy pożegnaniu. Piasecki miał bowiem

dowód, że w niedalekich Koszycach naprawdę nie było sowieckich samolotów...

Trochę jakby stało się widniej. Może to jest złudzenie, gdy oczy oderwać od dalekiej iluminacji Betliaru, zdaje się, że człowiek brnie w coraz większy pokład sadzy. Nagle doganiam stojącego nieruchomo Smigłego, a tuż niedaleko widzę sylwetę Staszka na tle jakiegoś szarego zagajnika. Też stoi nieruchomo więc i ja automatycznie znieruchomiałem. Zdaje mi się, że słyszę jakieś stąpania i trzask łamanych gałązek. Za chwilę Staszek pada na ziemię, my robimy to samo. Chwila niepewności i wyczekiwania... Potem Staszek się podnosi, a na tle jaśniejszym sylwetka Staszka wykonuje jakiś ruch, jakby coś rzucał i znów pada na ziemię. Za chwilę podniósł się swobodnie, podszedł do nas i mówi, że słyszał stąpania, myślał, że to strażnicy, ale potem przekonał się, że to musiał być jeleni, bo prędko uciekł, gdy on rzucił w jego kierunku kamieniem. Granicę już żeśmy przeszli, ale teraz trzeba się wystrzegać patroli słowackich i służby leśnej, więc dalej należy zachować się ostrożnie. Według przewidywań Staszka za pół godziny powinniśmy być na miejscu, gdzie ma podjechać umówiony samochód.

Była godzina pierwsza w nocy, więc szliśmy już co najmniej dwie godziny, wobec czego te pół godziny wytrzymam, zwłaszcza wobec perspektywy wygodnej jazdy samochodem.

Teraz teren stale się obniżał i posuwanie się naprzód było jeszcze gorsze, zwłaszcza przez jakieś gąszcza, to szpilkowe, to liściaste, albo w ogóle pomieszane i do tego często z cierniami które samego Staszka nieraz zatrzymywały i zmuszały do szukania przejścia nieco dalej w prawo lub w lewo. W pewnym miejscu przechodziliśmy chyłkiem pod jakimś ogrodzeniem, potem mur, znowu krzaki i koryto strumyka. Opoдал obrys jakby altanki na wzgórzu, niezłe utrzymana dróżyna z żywopłotami a z dala sylwety zabudowań. Staszek zdołał nam szepnąć, że przechodzimy przez park Andriasjego.

Niebawem przełazimy przez wyrwę w murowanym ogrodzeniu, potem znów dziki rów, krzaki, znów ześlizgujemy się po stromym stoku, aby nagle znaleźć się na jakimś, jak mi się zdaje, zaniedbanym torze kolejowym. Tor ze swoimi progami to niezbyt wygodna droga, a wypada nam iść po nim dość długo. Na szczęście tor się kończy a potem wchodzimy na jakąś drogę leśną. Wyboista jest i nie równa, ale zawsze to droga. Niedługo się nią niestety nacieszyliśmy, bo Staszek znów zaczął się wspinać po prawym jej zboczach a my za nim. Trochę wyżej zaczął dmuchać tak przejmująco zimny wiatr, że moja jesionka nie chroniła ciała należycie. Jak na złość Staszek się zatrzymał i polecił nam cze-

kać na niego na tym wydmuchówku, bo on idzie zbadać, co jest z samochodem...

Stanęliśmy ze Śmigłym w jakimś zagłębieniu za pniem grubego drzewa, które choć trochę osłaniało nas od wiatru.

Śmigły, oparty plecami o pień drzewa, a bokiem przytulony do mnie, zdawał się drzemać, albo o czymś dumać.

Wtem słyszę półszept Marszałka.

— To pojutrze niedziela! Gdy dobrze pójdzie, będziemy już w Polsce...

— Tak, ale do kościoła w Chochołowie nie będziemy mogli pójść, zauważyłem żartem. Po chwili znów mówi Marszałek:

— A swoją drogą te nasze niedzielne msze w Szantos miały swój urok...

— Prowizoryczna kaplica, gromadki ludzi stojące pod drzewami w cieniu, słuchające śpiewu ptactwa, zamiast organów, to było coś nastrojowego! Tam można się było modlić naprawdę!

— A jak to niedawno było, westchnąłem od siebie.

Prawdopodobnie jednakie refleksje wywołała moja uwaga, bo jednakowoż zamilkliśmy.

Nagle w dali, pod nami, błysnęło jakieś światełko, przesunęło się tu i tam, lecz zaraz zgasło. Znów zamigotało, jakby nieco bliżej i znów zgasło. Chwila napięcia i ciszy. Słychać stąpanie, a niebawem wyłania się przed nami sylwetka Staszka. Okazuje się, że to on świecił latarką elektryczną, chcąc zbadać jakieś ślady na drodze.

— Cosik się stało widać, że auta ni ma, mówi, bo miał być na drugim, a tu już trzecio dochodzi...

W tym z dala doszło nas sapanie motoru, a niebawem między drzewami rozbłysły słabe światła reflektorów auta. Staszek zsunął się po stoku ostrożnie, najpierw przyglądał się sylwetce wozu, aż, gdy nabrał pewności, że to umówiony, błysnął znów w jego kierunku latarką. Auto zatrzymało się i po krótkiej rozmowie Staszka z szoferem znów ruszyło dalej, aby za chwilę nawrócić i stanąć opodal. Pośpieszyliśmy teraz w dół po zboczu. Moje opuchnięte w kostkach nogi po dłuższym spoczynku tym bardziej mi dokuczały, ale nadzieja rychłego, wygodnego odpoczynku w aucie kazała przetrzymać ból i jakoś się dowlokłem.

Stara, czteroosobowa limuzyna okazała się dość dobra, a okutani w przygotowane wewnątrz kożuchy poczuliliśmy się błogo po tym forsownym nocnym marszu i zimnie.

Staszek nas poinformował, że teraz — jeśli nie zajdzie nic nadzwyczajnego — to pojedziemy przez całą Słowację aż nad polską granicę pod Tyrstynę. Gdyby nas ktoś zatrzymał nie mamy się nic odzywać, bo szofer będzie odpowiadał. Najlepiej zawińmy

się dobrze w kożuchy i śpijmy. Rada była dobra, a że po przemarznięciu ciepło i pozycja siedząca rozmarzyły nas dostatecznie nietrudno było o sen. Wprawdzie początkowo zwyciężała ciekawość, którądy jedziemy, ale po kilku, czy kilkunastu serpentynach w dół, wśród lasu, znaleźliśmy się nagle w całkiem zimowym krajobrazie. Wszystko zawiane śniegiem, że trudno odczytać jakiś drogowskaz, późna noc, więc ani świateł w domach nie widać, a w dodatku mogliśmy oglądać okolicę w wąskich odcinkach z przodu, bo nasza limuzyna, jak ją z pozoru oceniłem, nie miała bocznych okien, gdyż były zasłonięte blachą czy dyktą, przynajmniej tak mi się zdawało, a tylko koło szofera było boczne okno, no i szyba frontowa. Pudło całe raczej było podobne do wagonetki dla przewożenia drobnego towaru, niż do pojazdu osobowego. W danym wypadku jednak nadawało się dla nas tym bardziej, zwłaszcza, że siedzenia były wygodne.

Niebawem posnęliśmy. Obudziliśmy się dopiero, gdy już było całkiem widno i słychać było jakiś gwar. Auto stało i szofer wyszedł. Zauważyliśmy, że stoimy na ulicy jakiegoś miasteczka, a szofer rozmawia z dwoma żandarmami. Palili razem papierosy i widać było, że są starymi znajomymi.

Po chwili szofer zajął swoje miejsce, zapuścił motor, odchylił na chwilę drzwiczki, aby żandarmom krzyknąć „na straż!”, trzasnął drzwiczki i pomknęliśmy dalej. Wnet minęliśmy ostatnie domy i znów znaleźliśmy się w lesie, w którym gdzieniegdzie ponad drzewami zarysowały się wysokie śniegiem przysypane góry. Staszek nas poinformował, że miasto, które zostawiliśmy za sobą to Lipt. SV Mikulas.

Po lewej ręce to Małe Tatry, a po prawej Wielkie Tatry. Rzeka nad którą i wzdłuż której jedziemy to Wag, dopływ Orawy. Widać z tego, że jechaliśmy przez cały czas przecudną drogą między Małymi i Wielkimi Tatrami, niestety nie widzieliśmy nic, śpiąc w kożuchach. Dobrze, że one były, bo tu zima na dobre i bez nich nawet w aucie bylibyśmy porządnie zmarzli. Tak jednak podróż była znośna, a nawet przyjemna.

Tatry zostawiliśmy za sobą jadąc w kierunku zachodnim, niebawem jednak skręciliśmy w prawo.

Dochodziła godzina dziesiąta rano, gdy wjechaliśmy w jakąś małą miejscowość, jak się później okazało Tvrdošín. Podjechaliśmy pod jakiś dom z szeroką zamkniętą bramą, która się jednak zaraz otworzyła, aby się zamknąć po przepuszczeniu auta do środka obszernej sieni. Tu wysiedliśmy, i szofer, mężczyzna rostry i miły, lat około trzydziestu, zaprosił nas do drzwi po lewej stronie.

Znaleźliśmy się w miłym, jasnym i czystym pokoju, o dwóch łózkach pełnych pierzyn i poduszek z czyściutką pościelą. Szafa stół, kilka krzesel, a w kącie umywalnia z wielką miednicą i wiadrem wody oraz z czystymi ręcznikami uzupełniały umeblowanie. Na ścianach zupełnie dobre oleodruki świętych postaci. Wszystko czyniło przytulne i miłe wrażenie. Zaraz podano doskonałą gorącą kawę ze śmietanką, chleb, bułki i masło, a potem przyniesiono dzban gorącej wody do mycia. Po posileniu się i umyciu do pasa, oraz nóg, wpakowaliśmy się ze Śmigłym do łóżek. Staszek wyszedł spać do innej izby i zapowiedział, że obudzi nas około godziny czwartej po południu, gdyż dopiero wieczorem pojedziemy dalej. Objaśniał nas, że to samo auto podwiezie nas na jakieś pięć kilometrów od granicy, a potem już pójdziemy polami naprzelaj do Chochołowa. W Chochołowie — snuł swoje opowiadanie Staszek — odpoczniemy ze dwa dni wygodnie u jego matki i potem pojedziemy do Szaflar, gdzie już ma czekać Marcin z autem, bo tak się z nim umówił. Gdyby go przypadkiem w Szaflarach nie było, to pojedziemy koleją do Krakowa.

Na wypadek, gdybyśmy przypadkiem wpadli w ręce Niemców, to Staszek podkreślił, że bezwarunkowo nie znamy go, ani on nas.

Zeszliśmy się przypadkowo...

Ale to musiałby być jakiś wyjątkowy pech, dodał Staszek, bo on tu zna każdy kamień, a w Chochołowie „jego chłopcy” też czuwają...

Ja nie zapomniałem obłożyć swoich kostek okładem z kwaśnej wody i niebawem posnęliśmy w puchu pierzyn.

Po godzinie szesnastej Staszek rzeczywiście nas obudził. Sen bardzo nas pokrzepił więc, umywszy się, rażno zabraliśmy się do przygotowań na dalszą drogę. Starłem się przede wszystkim tak opakować swoje rzeczy w neseserze, aby te już nie gruchotały i nie dawały żadnych odgłosów, bo mieliśmy przecież przekroczyć granicę bardziej pilnowaną aniżeli słowacko-węgierska. Nogi już mi trochę skłęśły, więc tylko obandażowałem kostki porządnie bandażem elastycznym, który mi przyniesiono z apteki aby zabezpieczyć je przed ponownym zwichnięciem. Kawalek mocnego kija, jako laska, uzupełnił ekwipunek.

Na pogwarce ze Staszkiem upłynął nam czas do zmroku, ale czekaliśmy głębszych ciemności, poza tym szofer jeszcze miał coś pilnego załatwić i na razie nie wracał.

Staszek bawił nas opowiadaniem, jak przeprowadzał Marcina, a potem ks. Dziekana. Chwalił, że trzymali się dobrze, ale zauważył z komplementem, że my idziemy nie gorzej, choć w gorszą pogodę, bo, gdy z nimi szedł, to nie było jeszcze tak zimno, no

i było całkiem sucho. Uzupełniając swoje wskazówki powiedział nam, że gdy przekroczymy granicę, to mamy przebyć jeszcze jakiś kilometr przez pole, które zresztą pewnie przymarzło, a potem mamy rzekę Czarny Dunajec, nie głęboką ale rwącą i szeroką. Za rzeką są zaraz chałupy Chochołowa i do jego domu parę kroków. Jeżeli nie będzie Niemców na moście, to przebiegniemy przez most i zaraz będziemy w domu. Pójdziemy znów tak, jak ubiegłej nocy, jeden ze drugim na odległość taką, żeby się widzieć. Z Niemcami śpasu ni ma! Robić to, co i on, a gdyby się przypadkiem natknął na Niemców, bo będzie szedł na przodzie, to będzie się starał uciekać w bok, żeby Niemców odciągnąć, ale my się nie mamy ruszać, aż Niemcy pobiegną za nim. Wtedy musimy wracać do tego miejsca gdzie wysiądziemy z auta. Na taki wypadek szofer będzie czekał jeszcze ze dwie godziny na drodze, niby coś naprawia przy wozie i zawiózłby nas do siebie. Gdybyśmy się zaś natknęli na straż słowacką to mamy uciekać dalej na wschód, do Polski...

Jak praktycznie Staszek był wdrożony do konspiracji przekonałem się, gdy zapytałem go, jak się nazywa na nazwisko.

— Po co wom to wiedzieć? Jak przeżyjemy, to po wojnie jeszcze się spotkamy, a jak by się co stało, to lepiej nie wiedzieć!

Z tych samych względów nie powiedział nam nazwiska szofera.

Już mocno się ściemniło, gdy wreszcie nadszedł szofer. Dobra jajecznicza ze skwarkami, szklanka grzanego wina i w drogę.

Szlak drogi był ciemny bo wyjeżdżony, ale fosy obok, drzewa i pola były białe od śniegu. Noc pochmurna i wydawała się wcale ciepła.

Jeśliby geograficznie chcieć określić nasz punkt przejścia granicy polsko-słowackiej, należałoby napisać, że jest to pod 37,30 długości wschodniej i 49,20 szerokości północnej, dla nas jednak wyraźniej będzie, gdy określe, że Chochołów leży mniej więcej w połowie drogi między zachodnim krańcem Wysokich Tatr, a wschodnią kończyną Beskidu Babiogórskiego, na granicy Orawy i Nowotarszczyzny.

Z Tvrdosina jechaliśmy przez Trstanę, potem wioski słowackie Cimova i Vilamova, przez jakiś most, aż wreszcie auto stanęło, a my, zgodnie z instrukcjami Staszka, wyskoczyliśmy na pole w lewo od drogi.

O ile z auta wydawało się, że pole jest równe, to przy zetknięciu się z nim okazało się, że mamy iść wciąż wpoprzek zagonów, co było o tyle nieprzyjemne i uciążliwe, że wąskie zagony dzieliły od siebie głębokie bruzdy, przez które trzeba było przeskiwać, aby nie zapaść się po kolana w śniegu, który zalegał

bruzdy. Grzbiety zagonów były przez wiatr obmiecione ze śniegu i czarniawe. Na szczęście nie były zbyt błotniste, ale i tak parę kilometrów na przełaj po takich zagonach i to truchtem „abisyńskim”, to wyczyn sportowy nie lada.

Po prawej stronie miniliśmy wieś Głodówkę, a potem Suchą Horę, jeden kilometr od granicy polskiej.

Sylwetkę Śmigłego widziałem przed sobą na jakieś trzydzieści do pięćdziesięciu kroków i starałem się tę odległość utrzymać.

W pewnym momencie Śmigły stanął, a za chwilę podbiegł do niego Staszek. Przykucnęliśmy wszyscy w bruzdzie i Staszek zauważył, że już jesteśmy na granicy. Słowackie patrole rzadko tu kiedy podchodzą, a on wyczeka troszkę, czy nie będzie gdzieś słyhać Niemców. Pójdziemy teraz, jak dotąd, trochę naprzód, a po jakichś trzystu metrach weźmiemy się na prawo w skos.

Zagony polskie, już nieco szersze od słowackich i z nie tak głębokimi bruzdami, leżały nie w poprzek naszej drogi, lecz wzdłuż, co ułatwiało marsz.

Ruszyliśmy nie bez pewnego wzruszenia, że przekraczamy granicę Ojczyzny, na razie obsadzonej przez wroga.

Wracał oto naczelný wódz, aby podjąć walkę na nowo. Samotny Śmigły, poprzedzany płatnym przewodnikiem góralem i w towarzystwie jednego tylko swojego byłego żołnierza...

W kraju garść wiernych, a poza tym rozżalone za klęskę wrześnieową społeczeństwo...

Czy przez te reminiscencje, czy może dlatego, że pole przez które teraz przechodziliśmy było dziwnie łaciate, bo — wśród przyprószonej śniegiem powierzchni odbijały się gęsto czarne plamy, nie pokryte śniegiem, widocznie na tak zwanych oparzeliskach — dość, że w pewnym momencie nagle straciłem z oczu sylwetkę Śmigłego i nie orientowałem się, w którym iść kierunku. Padłem na ziemię przypadkowo, bo teren się nagle załamał, gdy niespodzianie z lewej strony, może w odległości jakich czterdziestu kroków usłyszałem miarowy tupot podkutych kilku par butów, a — leżąc z twarzą tuż przy ziemi, — zobaczyłem na skrawku poświaty na horyzoncie kilka poruszających się głów. Nie zauważyli nikogo i maszerowali spokojnie ku granicy polną drogą, która w tym właśnie miejscu przecinała pole. Jeszcze nie oprzytomniałem z nagłego wrażenia, gdy poczułem dotknięcie ręki. To Staszek przyszedł mnie poszukać i pełzał, bo też zauważył Niemców.

Gdy wyczuliśmy, że się dość oddalili, pociągnął mnie za sobą i rzucił szeptem:

— Teraz biegiem do mostu, bo oni nieprędko wrócą i most jest wolny... Opodal leżał na ziemi Śmigły, który poderwał

się, gdy nas rozpoznał i teraz już prawie biegiem, zjechawszy po jakimś stoku dostaliśmy się w pobliże mostu, tak, że można już było go rozeznać.

Staszek polecił nam trochę przeczekać, bo na wszelki wypadek sam sprawdzi, czy tam przypadkiem kogo nie ma, a jak gwizdnie — mamy podbiec za nim.

Sprężystym krokiem podszedł do mostu i niebawem widzieliśmy jego sylwetkę przy poręczach, gdy nagle rozległ się gwizd i kilka postaci w hełmach wyskoczyło naprzeciw Staszka...

Na chwilę zmartwiałem. Zdawało mi się, Staszek przepadł...

Ale nie miałem czasu się zastanawiać, co mamy teraz sami począć, gdy dwóch osobników w hełmach podbiegło do nas i najczystszą góralszczyzną przyciszonym głosem zawołało:

— Pódcie haft, warciutko!

Okazało się, że byli to górale z Chochołowa, którzy pełnili służbę warty straży pożarnej i dlatego byli w hełmach i przy toporkach. Każdej nocy kilku ich musiało obchodzić wieś i czuwać, aby gdzieś nie było pożaru. Wiedzieli, że tej nocy Staszek ma wrócić i trzymali się blisko mostu, toteż Staszek wpadł prawie w ich objęcia. Dwaj górale, którzy do nas podbiegli, kazali nam iść za sobą i szybko wskoczyli do najbliższego miedzucha, czyli przesmyku między dwoma zabudowaniami. My tuż za nimi. Jeszcze jeden miedzuch, jakieś podwórze pełne nawozu i szopa, a w niej Staszek z resztą towarzystwa, razem coś ośmiu chłopów.

Staszek, widać przyzwyczajony do komenderowania w swym gronie, zaraz wyznaczył, że Karol i Kuba zaprowadzą nas, to jest mnie i Śmigłego, tytułowanego stale profesorem, do domu Karola, a on tam potem przyjdzie. Poszliśmy znów między jakieś opłotki, popod uśpione chałupy, znowu dwa miedzuchy i wreszcie stanęliśmy pod domostwem cichym i ciemnym, gdzieś po drugiej stronie wsi, bo zaraz było widać pustą przestrzeń i wyżej jakieś grupy drzew, a z prawej strony zarysowywała się sylweta kościoła. Jeden z górali pomacał po węglach domu, znalazł klucz, otworzył i wpuścił nas do środka, zamykając drzwi za sobą na rygiel. Dopiero gdy zapalił małą naftową lampę można było się rozglądać po typowo góralskiej izbie-kuchni. Duży piec, parę ław pod ścianami, coś ze dwa krzesła i stół, a dalej łóżko szerokie, pełne poduszek i pierzyn, na ścianach kilka obrazów świętych, a jeszcze w kącie parę gratów gospodarskich. Usiedliśmy na ławach. Karol, to jest właściciel domu, rozpałił pod blachą tlejący tam ogień i nastawił garnek z wodą.

— Zaraz zrobię herbaty, powiedział, a tymczasem może chcecie się rozzuć i zmienić onucki, bo — zdaje się — że trzeba

będzie iść jeszcze dzisiaj dalej. Zanim Staszek przyjdzie to se trochę odpocniecie!

Nogi mieliśmy przemoczone, toteż zdjęliśmy obuwie i Karol porozwieszał nasze mokre skarpetki nad kuchnią dając nam jakieś duże ręczniki, czy kawałki płótna, abyśmy nogi „do sucha wytarli”.

Wyciągnęliśmy zapasowe skarpetki, ale Karol wyjął ze skrzyni pod ławą znów kawałki materiału i powiedział, że same skarpetki to na nic.

Zaraz przemokną od wilgotnej skóry. Trzeba nogi dobrze owinąć onucami. Posłuchaliśmy jego rady i okazało się, że była bardzo dobra. Niebawem zrobił herbatę i podał nam w garnuszkach, wyciągnął gdzieś z komory cukier, bochen chleba, masło, ser, kiełbasę i coś tam jeszcze, zapraszając uprzejmie do jedzenia. Posiłek się przydał po przechadzce. Była godzina jedenasta w nocy.

Gdy nadszedł Staszek długo z Karolem omawiał, co w międzyczasie, a raczej wczoraj się przydarzyło. Dowiedzieliśmy się z tego, że zjechało trochę gestapowców z Zakopanego, zrobili rewizję w domu Staszka, pozabierali mu wszystkie rzeczy, jakie miał, a które przeważnie kupował na Węgrzech i wypytywali jego matkę o niego, gdzie jest, co robi itp. Matka mówiła, że wyjechał do Krakowa, więc nakazali, jak tylko wróci, aby zgłosił się zaraz do Komendy Straży Granicznej w Chochołowie, ale na wszelki wypadek zostawili w chałupie Staszka dwóch gestapowców, którzy tam teraz nocują. Widocznie czekają na Staszka...

Staszek strapiiony obliczał, że poniósł szkodę na jakieś dwadzieścia tysięcy złotych. Zmartwienie było tak widoczne, że aż Śmigły się wtrącił, pocieszając, że jakoś mu pomogą na nowo taką sumę zdobyć, a grunt, że go nie dostali w ręce.

Staszek się rozpozgodził i zdecydował, że wobec tego nie ma co pozostawać dłużej w Chochołowie, tylko trzeba się zaraz zabierać do Krakowa.

— Kuba! tu zwrócił się do starszego, szczupłego górala, ty zaraz zaprzęgaj konie do woza i jedź do Cichego. My pojedziemy tam na bliższe drogi i poczekamy cię w stodole przy figurze. Jakby się kto pytał, co tak po nocy jeździsz, to powiedz, że ci koń zachorował i jedziesz do weterynarza do Nowego Targu. Weź na wóz dwa kłodzki, żeby było na czym siedzieć i worek ze siewką i owsem.

Kuba kiwnął głową, że rozumie i wyszedł, a Staszek zachęcając nas do jedzenia i sam się posiliwszy, oświadczył, że trzeba nam zaraz ruszać.

— Idziemy koło cmentorza, to będzie jakie ze trzy kilometry do tego miejsca, gdzie Kuba pojedzie, potem siądziemy na wóz i rano będziemy w Szaflarach, ino nie pojedziemy szosom,

a polnom drogom, działami. Legitymacje oraz wszelkie węgierskie papiery i pieniądze kazał nam zostawić u Karola, żeby przy nas nic nie było, a sam dał nam paczkę banknotów obiegowych w Polsce. Umówił się z nami, że sam będzie szedł piechotą dość daleko przed wozem i gdyby kogoś spotkał, a zwłaszcza patrol niemiecki, to zaświeci latarkę i będzie z nimi głośno rozmawiał, a my wtedy powinniśmy zeskoczyć z wozu i schować się gdzieś w krzaki aż wszystko przejdzie.

Poszliśmy na przełaj do niedalekiego cmentarza na wzgórzu, a potem przez pola w jakieś może pół godziny dostaliśmy się pod okap stodoły na skraju wsi Ciche. Było rzeczywiście cicho. Bo nawet pies nigdzie nie zaszczekał. Kuba jakoś się spóźniał, gdyż musieliśmy czekać z dobrą godzinę, a tymczasem zaczęła się nieprzyjemna mokra zadymka, wiatr ciął z boku strzępami wilgotnego śniegu i robiło się coraz chłodniej. Staszek twierdził, że to lepiej, bo na taką pogodę Niemcy nie lubią chodzić, zwłaszcza po polnych drogach.

Wreszcie nadjechał Kuba. Jego wóz, to zwykła gnojarka z desek, a snop słomy, na którym się usadowiliśmy, choć przykryty derką, nie był wygodnym siedzeniem, gdyż zapadał się to w jedną to w drugą stronę. Wolałem iść koło wozu zwłaszcza, że droga była niesłychanie wyboista. Śmigły owinął się kocem i skulony jakoś siedział, a mnie nawet lepiej było iść koło wozu, bo przynajmniej rozgrzewałem się trochę marszem. Wlekliśmy się noga za nogą, a im wyżej na dział, tym wiatr bardziej zaciął. Obok drogi widziałem jeszcze nie wykopane kartofliska i zagony z główkami kapusty. Wszystko przysypane śniegiem przedwczesnej zimy. Godzina za godziną upływały w monotonnej jeździe. Skurczona sylwetka Śmigłego nasuwała mi natrętnie obraz Napoleona, wlokącego się w odwrocie spod Moskwy. Prawdopodobnie tak samo furką wiejską, skurczony od zimna, jechał przez śniegiem zasypane bezludne pola... Nareszcie zaczęło dnieć, zamieć się uspokoiła i przed nami ukazał się tor kolejowy a opodal stacja kolejowa Szaflary.

Była godzina 7 rano 27 października 1941 roku.

Teraz według wskazówek Staszka, musimy się rozdzielić. On pojedzie osobno i do niego nie mamy się przyznawać.

Zsiedliśmy z wozu opodal stacji. Staszek szedł przodem, a my we dwójkę nieco w tyle.

W poczekalni były dwie osoby, mało na nas zwracające uwagę. Otworzyło się okienko od kasy, za którym zobaczyłem kolejarza w niemieckim mundurze. Trochę zrobiło mi się nieprzyjemnie, ale, gdy przede mną stojący góral zagadał po polsku i w tym samym języku z intonacją góralską, otrzymał odpowiedź

domyśliłem się, że kolejarz to Polak, tylko mundur, a zwłaszcza czapka obce.

Bez żadnych trudności zakupiłem dwa bilety trzeciej klasy do Krakowa za pieniądze, które uprzednio dał mi Staszek. Niebawem nadjechał pociąg od strony Zakopanego. Wsiadliśmy do przedziału. Pociąg ruszył, a w przedziale, prócz nas, jechała para młodzieży szkolnej, oboje w wieku około piętnastu lat. W Nowym Targu przysiadł się jeszcze granatowy policjant i jakaś kobieta z koszykiem, z którego wciąż coś wyjmowała i jadła. Ten widok widocznie podziałał, bo Śmigły zwrócił się do mnie, że szkoda iż nie wzięliśmy ze sobą jedzenia. Ja uśmiechnąłem się, z dumą zdjąłem neseser i pokazałem moje zapasy.

Śmigły wyciągnął scyzoryk, ukrajał kromkę pysznego buda-peszteńskiego chleba, płat wędzonej paprykowanej słoniny i kawałek czerwonej słodkiej papryki. Ja zrobiłem to samo. Posiliwszy się zapaliliśmy po węgierskim papierosie i oglądaliśmy przez okno widoki podhalańskie.

Dopiero teraz stuknąłem się w myśli w głowę. Przecież ten policjant obok musiał zauważyć naszą typowo węgierską zakąskę i pewno teraz kombinuje, skąd my to mamy.

Gdy wyszedł na chwilę na korytarz, poszedłem za nim, żeby zobaczyć, czy przypadkiem nie knuje przeciw nam. Stał jednak spokojnie przy oknie i palił papierosa. Ja stanąłem przy drugim oknie i z ciekawością przyglądałem się zgliszczom spalonego dworca kolejowego w Jordanowie przez który przejeżdżaliśmy. W pewnym momencie policjant odezwał się: ja także byłem na Węgrzech i wróciłem dopiero tego roku w sierpniu...

Ja roześmiałem się i mówię, że pewno moja papryka i słonina nasunęły mu myśl, że to ma coś wspólnego z Węgrami.

— Właśnie wczoraj w Zakopanem poznałem sympatycznego podoficera Węgra, a że bardzo lubię paprykę, więc dał mi trochę ze swoich zapasów, a nadto kawałek słoniny i chleba.

— No myślę, że to łakoma rzecz. U nas teraz tłuszcz na kartki, a chleb jak glina i też na kartki w mieście, bo na wsi jeszcze jakoś sobie radzą.

Nie wiem czy mi uwierzył, czy nie, ale nie zdawał się przywiązywać wagi do tego wypadku. Opowiadał, że żałuje, że wrócił, bo tu ciężko i nieprzyjemnie służyć pod kontrolą i rozkazami Niemców, ma jednak żonę i dwoje dzieci a majątku żadnego, więc co robić. Wysiadł w Kalwarii, a my niebawem zbliżyliśmy się do Krakowa a potem wjechaliśmy już pod szklane kopuły dworca krakowskiego. Staszek jechał innym wagonem i w ogóle się do nas nie zbliżał. W międzyczasie porozumiałem się ze Śmigłym, że — jeśli Marcina nie będzie na dworcu, to

— pojedziemy do domu mego szwagra na osiedlu oficerskim, a potem jakoś się rozpatrzmy. Gdy wyszliśmy przed dworzec zawałęm dorożkę z parą — jak mi się zdawało — dobrych koni i kazałem jechać. Tymczasem konie, choć ładne, zamiast ruszyć kłusem zaczęły iść krokiem karawaniarskim. Denerwowało mnie to i już chciałem zapytać dorożkarza, czy przypadkiem piechotą nie będziemy prędeż, gdy zobaczyłem Marcina, rozglądającego się między przyjezdnymi. Zauważył mnie, podbiegł i nie mało się zdziwił, gdy obok mnie zobaczył Śmigłego. Po przywitaniu usiadł z nami i kazał jechać o ile sobie dziś przypominam na Grzegórzki, na ul. Czarnieckiego 10.

Zajechaliśmy pod dość solidną jednopiętrową willę, gdzie u dr. Żaka była przygotowana kwatera. Dr Żak, zresztą mój stary znajomy, pracował w Zarządzie Kopalni Jaworzyńskich, które należały do Związku Miast. Podczas okupacji Zarząd ten miał Gauleitera, podobno przyzwoitego Niemca, który Żaka zatrzymał do pomocy w administracji.

Przyjęto nas bardzo sympatycznie, ale Żak zaraz poznał Śmigłego i był bardzo zaskoczony, gdyż Marcin nie uprzedził go dla kogo szuka przejściowej kwatery. Tym bardziej starał się wraz z żoną, aby było jak najlepiej. Dali nam do dyspozycji własną sypialnię, wyborne śniadanie i wszystkie wygody.

Dopiero teraz Śmigły wyjaśnił Marciniowi, jak się stało, że zamiast Piaseckiego przyjechałem z nim ja i że Julek przyjdzie niebawem osobno. Ponieważ Marcin zapewnił, że w Warszawie wszystko przygotowane. Śmigły zdecydował, że najdalej pojutrze, a więc 29 października wyjadą, a przedtem chciałby jeszcze porozmawiać tutaj z ks. Zapałą.

Na drugi dzień zjawił się Dziekan i odbyli krótką konferencję, a 29 października Śmigły odjechał z Marcinem do Warszawy, pożegnawszy się bardzo serdecznie z państwem Żakami, a mnie szczególnie czule uściskał i ucałował, dziękując za towarzystwo w trudnej podróży, ale polecając mi wrócić ze Staszkiem na Węgry i tam pomóc dr. Hubickiemu, a tu, powtórzył znów, wezwie nas gdy będzie potrzeba.

Ponieważ Staszek, jak mówił Marcin, dopiero za dwa tygodnie miał wracać, więc postanowiłem tymczasem też skoczyć do Warszawy i umówiłem się z Marcinem, że Staszek przed odjazdem zgłosi się u mnie w mieszkaniu szwagra na osiedlu oficerskim, gdzie zaraz przeniosłem się po wyjeździe Śmigłego. Tymczasem brat pani Żakowej wyrobił mi doskonały dowód osobisty na nazwisko Andrzej Lacek, rzekomo emerytowany nauczyciel, urodzony w Plewaniu na Wołyniu. Z tym dowodem mogłem

się już dość śmiało poruszać, gdyż był on formalnie zameldowany w podkrakowskiej gminie.

Szwagier, dr Marian Łazarski, siedział jak już wspomniałem z dr. Józefem Garbieniem, z Cyrankiewiczem i innymi w więzieniu na Montelupich, Żona jego z dwojgiem dzieci dawała sobie jakoś radę, a należąc do Patronatu nad więźniami miała możliwość od czasu do czasu posłać mu paczkę i przynajmniej wiedzieć czy jest zdrow, czy go nie wywieźli itp. Ucieszyła się mną bardzo, ale i bała się o mnie, gdyż — jak mówiła — Gestapo przy rewizji u szwagra zabrało moje fotografie i wypytywali się bardzo usilnie, gdzie jestem i czy piszę do nich...

Do Warszawy wyjechałem 30 października i zajechałem do znajomej wdowy po inż. Namiotkiewiczu, która z synem, siostrą, bratem i rodzicami mieszkała na Pradze przy ul. Żółkiewskiego, a pracowała jako farmaceutka na Pl. Teatralnym, w aptece. Mąż jej, porucznik, zginął w kampanii wrześniowej. Popularnie w rodzinie nazywaliśmy ją panią Kazią. Ona dopiero wprowadziła mnie w warszawski klimat okupacyjny. Pouczyła jak się zachowywać w różnych okolicznościach, gdzie się jakie grupy zbierają w których lokalach, co ile mniej więcej kosztuje itd.

Z Marcinem zetknąłem się jeszcze ze dwa razy w kawiarni. Powiedział mi, że dla Śmigłego znalazł świetną kwaterę, że ma już dobre papiery i że czuje się doskonale, a mnie wspomina ze szczególną sympatią, zwłaszcza moją decyzję pójścia z nim, gdy Piasecki został. Piaseckiego spodziewają się za jakieś dwa tygodnie, bo ma przyjść z Frankiem a Staszek zgłosił się do mnie w Krakowie u szwagierki, jak umówiliśmy się, 12 listopada. Powiedziałem Marcinowi, że jeszcze z Krakowa wysłałem kartkę do Budapesztu, więc spodziewam się, że już wiedzą żeśmy się szczęśliwie dostali.

Oczywiście, w myśl zasad konspiracji, nawet mi na myśl nie przyszło zapytać Marcina, gdzie ulokował Śmigłego i pod jakim nazwiskiem.

Sama Warszawa robiła ponure wrażenie. Wprawdzie główne arterie komunikacyjne były oczyszczone z gruzów i grobów ulicznych, bruki i trotuary jako tako naprawione, ale zburzone bombami i wypalone kamienice, sterczące kikuty kominów i zwisy ruin wywoływały grozę i żal. Tramwaje przepełnione, wejście i wyjście dla Polaków tylko tylnym pomostem, bo przedni pomost i część wozu od przodu, oddzielona barierką, była „Nur für Deutsche”.

Patriotycznym obowiązkiem było, jak mnie poinformowano, — nie płacić za bilet w tramwaju, bo to napełniało kasę nie-

miecką. Jeśli już koniecznie ktoś chciał wydać swoje 50 groszy, to kładł je do ręki konduktora, silniej przyciskając monetę do jego dłoni. Znaczyło to, że prywatnie dla niego i wtedy konduktor biletu nie wydawał. Ale, jak była zgrana publiczność przekonałem się, gdy raz weszła kontrola do tramwaju, w którym jechałem. Okazało się, że wszyscy mieli bilety, należycie skasowane, a i mnie jakaś nieznana sąsiadka taki bilet wsunęła do ręki. Skąd go wzięła, jak i kiedy, nad tym się już nie zastanawiałem. Godną uwagi była ruchliwość i przedsiębiorczość warszawiaków. Handel, rzemiosło i różne spekulacje kwitły. Przemycano — mimo obław — masy towarów, prowiantów i różnych rzeczy, a nierzadko w tym pomagali sami Niemcy, zwłaszcza z Wehrmachtu. Gestapowcy natomiast zachowywali się brutalnie. Potrafili za lada jakieś niedopatrzenie, czy nieprzepisowe nawet przejście przez ulicę, bić po twarzy, kopać i wymyślać. Przechodnie nie reagowali, jakby tego nie widzieli, bo wiedzieli, że na nic by się zdała ich interwencja, najwyżej SS-man zastrzeliłby śmiałka na miejscu, albo zabrał do aresztu, skąd już trudno się wyrwać.

Prasę podziemną kolportowano licznie i pomysłowo. Na przykład: szedłem raz Pl. Teatralnym z panią Kazią Namiotkiewiczową na obiad do jakiejś prywatnej jadłodajni. Gdyśmy wracali, przeprosiłem ją, że chcę kupić w kiosku papierosy, a ona mi szepnęła:

— Po kupieniu paczki papierosów, gdy nie będzie nikogo przy panu, niech pan powie: „proszę trzy egipskie”. — Coś pan za to dostanie... Gdy tak zrobiłem, dostałem jakąś „gadzi-nówkę”, ale pani Kazia nie pozwoliła mi oglądać na ulicy. Później przekonałem się, że wewnątrz był tajny biuletyn Armii Podziemnej, odbity na szapirografie.

Inna znajoma, pani Zofia Świostek-Orłowska, dentystka, gdy u niej byłem z wizytą, opowiadała mi, że jej kucharka Antosia codziennie jej przynosi biuletyny, które dostaje u rzeźnika, przy zawijaniu w papier mięsa lub wędlin.

Takich i innych sposobów było mnóstwo, toteż Warszawa była na ogół dobrze informowana i „nastawiana”.

Pewnego razu po południu szliśmy z panią Kazią ul. Świętokrzyską. Było nieznośne zimno, siąpił kapuśniaczek z płatkami śniegu, toteż ogromnie żał mi się zrobiło, gdy zobaczyłem pod murem dwoje bosych i obdartych dzieciaków, jedno może trzy latka, a drugie około dwa lata starsze, które cichutko błagały przechodniów o jakąś jałmużnę. Wynędzniałe i sine z zimna były okropnym obrazem najskrajniejszej nędzy. Sięgnąłem do kieszeni, aby wyciągnąć portfel, gdy wtem dzieciaki nagle się poderwały i czmychnęły gdzieś tak szybko, że nie mogłem się

zorientować. Zresztą nie miałem czasu, bo w tym momencie pani Kazia wciągnęła mnie po prostu do najbliższej bramy. Tam dopiero powiedziała mi, że za nami ukazał się patrol SS i że to były dzieci żydowskie z getta. Tam jest straszliwy głód i nę-dza, więc często można takie biedactwa spotkać na ulicach, bo mimo niebezpieczeństw, zawsze niektórzy potrafią się wykraść. Ludzie na ogół okazują im dużo litości i jak mogą wspomagają ale gdy Niemcy takie maleństwa złapią, to natychmiast topią w gliniankach, a ofiarodawców również przymykają, dlatego też tak się pilnują te dzieciaki, tak są czujne na ukazanie się munduru niemieckiego i tak szybko uciekają w razie niebezpieczeństwa.

Kupić można było w Warszawie wszystko, czego ktoś za-pragnął, ludzie spekulacją do wszystkiego dochodzili, a handlował prawie każdy, czym się dało.

Mając w perspektywie powtórne przejście granicy, zakrzęta-łem się koło mojego ekwipunku po smutnych doświadczeniach przy przejściu w tę stronę. Na „Kercelaku” kupiłem parę wygodnych, wysokich trzewików, dość mocnych i jak mi się zdawało, trudno przemakalnych. Zamiast ciężkiego nesaseru, postanowiłem trochę potrzebnych rzeczy wziąć do torby z mocnego płótna, zaś na wypadek śniegu, zaopatrzyłem się w obszerny kitel, czyli płaszcz lekarski biały z kapturem. Rękawice ciepłe i dwie pary grubych wełnianych skarpet, komplet ciepłej bielizny i sweter miały uzupełnić ekwipunek podróży.

Od pani Namiotkiewiczowej dostałem komplet opatrunków, leków i proszków, nawet maść na odmrożenia i świetny „dermatoid”, to jest maść szybkoogojącą skaleczenia, w drodze nieocenioną.

Nie mogłem zbyt długo siedzieć w Warszawie, bo a nuż Staszek przyjdzie po mnie wcześniej. 8 listopada odjechałem więc z powrotem do Krakowa.

Panią Namiotkiewiczową oczywiście poinformowałem z grubsza, że pracuję w takiej, a w takiej organizacji i że będę mógł do niej od czasu do czasu napisać drogą organizacyjną, a nawet przysłać jakiś drobiazg przez naszych ludzi. Uprzedziłem ją, że postaram się aby ktoś z organizacji nawiązał z nią kontakt, a ponieważ była to dobra patriotka, sprytna i dyskretna, dotychczas w żadnej akcji podziemnej nie zaangażowana, była dla nas bardzo cennym nabytkiem. Z czasem oddała nam nieocenione usługi, gdyż wielu ludzi z Węgier przychodzących, kierowaliśmy do niej, do apteki na Pl. Teatralnym. Było to o tyle wygodne, że punkt był świetny, dla każdego przyjezdnego dostępny, każdy mógł wstąpić bez budzenia podejrzeń i kupić jakiś proszek,

a gdy zapytał o panią Kazię, to także nie było nic nadzwyczajnego. Jako hasło rozpoznawcze ustaliliśmy odezwanie się, że „przynosi pozdrowienia od Bazia”, czyli ode mnie, przy czym dyskretnie wręczał ode mnie własnoręcznie napisaną karteczkę z banalnym pozdrowieniem.

Po powrocie do Krakowa czekałem parę dni na Staszka. Ze względów bezpieczeństwa, spiałem na zmianę u różnych znajomych.

Po paru dniach siostra ks. Zapały dała znać, że koniecznie chce się ze mną widzieć. Poszedłem tam zaraz i zastałem górala z Chochołowa, który przyjechał poprzedniego dnia z polecenia Staszka, abyśmy zaraz przyjeżdżali do Chochołowa.

Tego samego dnia wyjechałem z góralem do Nowego Targu, a stamtąd mieliśmy iść piechotą do Chochołowa. Na wszelki wypadek pocziwy dr Żak wyrobił mi zaświadczenie gauleitera kopalni Jaworzno, że jadę w teren zakupić dla kopalni konie, co do pewnego stopnia, tłumaczyłoby moje szwendanie się po Podhalu. Mój towarzysz uważał jednak, że w nocy iść nie należało, bo gestapowcy patrolują i o biedę nie trudno. Trzeba było przespać się w Nowym Targu, rano może nawet jakąś furmankę uda się złapać. On ma tu znajomych to będzie można przenocować. Ponieważ ja miałem w Nowym Targu ciotkę, więc poszedłem do niej na nocleg. Góral przyszedł po mnie rano. Szliśmy trochę piechotą, a trochę okazijnymi furmankami, które jechały do Czarnego Dunajca, więc w tym samym kierunku. Pod wieczór dostaliśmy się do wsi Ciche. Tutaj już czekał na nas Karol i zawiadomił, że Staszek poszedł wczoraj wieczór, bo tak był umówiony z szoferem i nie mógł już na mnie czekać, za tydzień jednak ma wrócić to mnie zabierze. Tymczasem wyszukaliśmy melinę u swoich znajomych w Cichym, bo w Chochołowie za blisko granicy i bardziej niebezpiecznie.

Moja znajomość pomocy sanitarnej w nagłych wypadkach i porządny zapas leków i opatrunków pomogły mi szybko w zdobyciu sympatii u miejscowych górali, zresztą prawie samych przemysłowców, toteż byłem bardzo „wzięty”, jako — podobno — doskonały lekarz, tym bardziej, że istotnie udało mi się w wielu wypadkach niejednemu przyjść z pomocą przy nagłych bólach, czy poważniejszych skaleczeniach. Kiedy jeszcze zobaczono mój biały kitel lekarski, sława moja się ugruntowała, a z nią różne świadczenia, czy w żywności, czy w ofiarowanych noclegach.

Po tygodniu gdy Staszek jeszcze nie wracał, Karol postanowił pójść sam do TvrDOSina, bo znał osobiście szofera i dowiedzieć się coś bliższego, kiedy po Staszka ma jechać. Gorliwość Karola i decyzja wypadu na Słowację wynikała stąd, że

gestapo nagle się nim zainteresowało i tylko dzięki przypadkowi uniknął aresztowania, nie było go w domu, gdy po niego przyszli. W tej sytuacji zdecydował się ze mną wiać na Węgry. Do tego doszedł jeszcze drugi ochotnik do ucieczki, niejaki Ludwik z Kuźnic, który też schronił się w Cichym przed gestapo a znał się dobrze z Karolem. Postanowiliśmy teraz nie czekać na powrót Staszka, ale umówić się z szoferem w Tvrdosinie przez Karola, żeby podjechał do nas pod granicę, jak normalnie, gdy miał jechać po Staszka i w ten sposób w tamtą stronę nas podrzuci.

Karol znał dobrze przejście na Słowację do punktu, gdzie miało czekać auto, ja znów podjąłem się przeprowadzić ich ze Słowacji na Węgry od Tvrdosina do Rożnawy, to jest trasą, którą przebyliśmy ze Staszkiem. Karol wrócił niebawem z konkretną datą, kiedy mamy przyjść do umówionego miejsca, gdzie szofer zgodził się na nas poczekać.

W oznaczonym dniu, gdy się ściemniło, Karol przeprowadził nas przez granicę, przeszliśmy tym samym pamiętnym mostem przez Czarny Dunajec a potem w pole na zachód ku granicy. Śnieg był po kolana, toteż za moim przykładem obydwaj towarzysze przybrali się na biało, a że była równocześnie zadymka śnieżna, więc okoliczności nam sprzyjały. Przebyliśmy szybko granicę, ale tam wąskie i głębokie zagony słowackie znów dały się nam dobrze we znaki, tym bardziej, że były już całkowicie zawiane śniegiem, więc zapadaliśmy co chwila w głębokie bruzdy. Mróz był około 10 stopni, więc przy puszystym śniegu, wnet nasze buty i spodnie mocno zeszytniały, a my, mimo forsownego marszu, przemarzliśmy porządnie. Na dobitek złego musieliśmy przejść w bród jakąś rzekę, gdyż most, za którym miał czekać szofer, był akurat obsadzony przez straż słowacką. Woda w rzece po pas wydała nam się bardzo ciepła, jak w wannie, że nie chciało się z niej wychodzić, ale potem oblodzieliliśmy, jak sople lodowe. Na szczęście po kilkuset metrach marszu natknęliśmy się na czekające nas pod jakąś szopą auto, a gdy zajechaliśmy do garażu w Tvrdosinie, przy gorącej herbacie i zakąsce mogliśmy mokre ubrania trochę podsuszyć.

Podróż odbyła się jak poprzednio, bez żadnych przygód, niby zwyczajna przejażdżka i znów koło godziny drugiej w nocy stanęliśmy na tym samym miejscu, gdzie poprzednio czekaliśmy ze Śmigłym na auto. Staszek już czekał z kimś drugim i zdziwił się bardzo, gdy zobaczył nas trzech wysiadających z auta. Karol go zaraz poinformował o wszystkim, a ja tymczasem, rozpoznawszy w towarzystwie Staszka dr. Galla, opowiedziałem mu krótko, że Śmigły jest w Warszawie pod opieką Marcina, a już

od Staszka wiedział wszystko jak przeszliśmy. Gall powiedział mi, że Piasecki przed dwoma tygodniami poszedł przez Tatry z Frankiem i pewno już jest w Warszawie, bo tak samo jak i ja dali już znać z Krakowa kartką, że tam byli...

Przypomniałem Gallowi jeszcze raz adres szwagrowej w Krakowie oraz poinformowałem go o Kazi w aptece w Warszawie kreśląc do niej parę słów, jak było umówione, po czym obaj ze Staszkiem odjechali. Dr Gall był w ten sposób pierwszym z naszej organizacji, którego skierowałem do pani Kazi i miał jej dać znać, że szczęśliwie udało mi się przebrnąć z powrotem.

Zostaliśmy we trójkę sami i teraz ja musiałem się zabawić w przewodnika, ponieważ żaden z towarzyszy jeszcze tu nie był. Staszek przed odjazdem zdążył nam jeszcze wręczyć dość sporą sumę w walucie węgierskiej, a my oddaliśmy mu wszystkie nasze posiadane pieniądze z Polski. Noc była dużo jaśniejsza niż przed miesiącem, gdyśmy szli ze Śmigłym, a że wiele szczegółów zapamiętałem, jakoś już przy brzasku dnia udało mi się doprowadzić moich górali prawie na to samo miejsce na wzgórzu, na które drapaliśmy się po wyjściu z auta w Rożnawie. Drogę i samą Rożnawę mieliśmy teraz jak na dłoni. Zejście na dół i dostanie się do miasta już nie było sztuką, tylko buty i spodnie mieliśmy niemożliwie zablocone.

Na ulicach w Rożnawie ruch już był duży, toteż weszliśmy do pierwszej napotkanej gospody, gdzie, imponując góralom moją węgierszczyzną, zadysponowałem dla całej trójki litr gorącego wina, chleb, ciepły boczek, a potem kawę. Na podwórzu gospody doprowadziliśmy swój wygląd do jakiegoś takiego wyglądu. U fryzjera, gdzie wstąpiliśmy się ogolić, dowiedzieliśmy się, że najbliższy pociąg do Budapesztu odjeżdża około godziny jedenastej. Na dworcu zakupiłem dla wszystkich bilety i już spokojnie bez żadnej kontroli, dojechaliśmy do Budapesztu. Ja czułem się tym pewniej, że Karol zwrócił mi moją legitymację węgierską, a nawet przepustkę z K.E.O.K., którą miałem, jadąc ze Śmigłym. Rzymską cyfrę oznaczającą październik przerobiłem łatwo na listopad.

Był ciepły, spokojny wieczór, gdy zaszliśmy do pani Szütz na Molnar utca. Staruszka niezmiernie ucieszyła się z mojego powrotu. Dała nam zaraz wszystkim herbaty i jakąś przekąskę, a nadto dla moich górali, którzy zresztą byli ubrani z miejską, odstąpiła do dyspozycji sąsiedni pokój z dwoma łózkami. Była pewna, że to jej się opłaci. Ludwik z Karolem poszli zaraz spać, byli zmęczeni i trochę wytrąceni z równowagi nagłą zmianą swoich losów.

Ja chciałem dowiedzieć się, co sływać u znajomych i pokazać się po powrocie, więc przebrawszy się i umywszy poszedłem do najbliższej mieszkającej Niny Adamczykówny. Właśnie wybierała się do redakcji „Więści Polskich”, gdzie urządzano koleżeński wieczór z okazji imienin, czy urodzin redaktora Janusza Kowalczuka. Odprowadziwszy ją do przystanku tramwajowego, sam pojechałem do Lipińskich. Zdziwieni byli ogromnie, bo nie spodziewali się mojego tak rychłego powrotu, a w ogóle myśleli, że już pozostanę w kraju. Oczywiście opowiedziałem im pokrótce wszystkie nasze przygody przy przejściach i w kraju, omijając tylko nazwiska i szczegóły w danym wypadku zbędne, a konieczne do zachowania w tajemnicy. Dr Lipiński twierdził, że Piasecki przyjechał z Hatvan mocno skonsternowany i speszony, był jednak rad, że mnie udało się odjechać tym samym pociągiem ze Smigłym, a moja kartka z Krakowa do Niny uspokoiła wszystkich, toteż Piasecki zaraz zdecydował się iść z Frankiem. Na drugi dzień była niedziela, więc jak zwykle zebraliśmy się rano na nabożeństwie polskim w kaplicy gimnazjum O.O. Piaristów przy Petöfi-Sandor ter.

Po zakosztowaniu koszmaru okupacji w Polsce i przy porównaniu bądź co bądź łatwiejszego i bez porównania spokojniejszego życia uchodźców na Węgrzech, tym bardziej byłem zadowolony z powrotu i z faktu, że tej zimy przynajmniej nie będę jeszcze musiał spędzać w tamtych warunkach.

EPILOG

Epilog właściwie wiąże się z formą powieściową, do której moje wspomnienia nie mają pretensji, niemniej zdaję sobie sprawę, że cierpliwy czytelnik może być zainteresowany dalszym losem przynajmniej niektórych osób wymienionych w tekście wspomnień, przeto postaram się streścić je tak, jak je znam osobiście, względnie z relacji osób trzecich.

Więc przede wszystkim sam marszałek Edward Rydz Śmigły.

Gdy znajdzie się ktoś na cmentarzu powązkowskim, cywilnym, w Warszawie, to wchodząc czwartą bramą i doszedłszy do kwatery IV, znajdzie narożny grób nr. 139. Skromny kopczyk z ziemi ze skromnym drewnianym krzyżem, na którym zwyczajna tabliczka głosi, że tu leży Adam Zawisza † 7.XII.1941 r. Jest to właśnie grób marszałka Śmigłego. Dla lepszej orientacji mogę podać, że z jednej strony sąsiaduje z nim grób oznaczony nazwiskiem Antoni Zawadowski 26.VIII. 1941 r., a z drugiej Stanisław Rowiński 25.IV. 1938 r.

O śmierci Śmigłego dowiedzieliśmy się na Węgrzech stosunkowo późno, bo prawie w połowie 1942 roku. Dlaczego inż. Piasecki tak długo zwlekał z podaniem nam tej tragicznej wiadomości, nie mogłem dociec. Przypuszczam, że nie wierząc bardzo w powagę swojego osobistego autorytetu w naszej grupie na Węgrzech, a potrzebując naszej współpracy, starał się przez jakiś czas przynajmniej utrzymać nas w mniemaniu, że pracujemy dla Śmigłego. Sam prowadził jednak w kraju energicznie rozpoczęte ze Śmigłym dzieło, a mając dość duże środki, pozostawione przez Śmigłego, rozwinął pracę bardzo solidną i z pozytywnymi rezultatami. Wydawnictwa wydawane konspiracyjnie

przez O.P.W. cieszyły się dużym uznaniem, nie tylko w samej organizacji, ale i u ogółu społeczeństwa oraz w A.K., z którą nawiązał kontakt a niebawem podporządkował jej O.P.W. co i nam nakazał na Węgrzech.

O działalności O.P.W., jej sukcesach i trudnościach dowiedziałem się dopiero bliższych szczegółów w roku 1947, gdy po powrocie do kraju zetknąłem się z dr. Gallem. Od niego dowiedziałem się, że marszałek Śmigły Rydz przez Marcina uzyskał kwatery u wdowy po generale Maksymowicz-Raczyńskim i z miejsca po przyjeździe do kraju rozpoczął energiczną akcję organizacyjną. Niestety w dniu 7 grudnia, a więc w pięć tygodni po zainstalowaniu się w Warszawie umarł nagle na serce. Zaalarmowani natychmiast przez panią Raczyńską Piasecki, Gall i Marcin zastali już stygnące zwłoki. Profesor dr Lott z dwoma innymi lekarzami już nic nie mogli uczynić. Przy pomocy wezwanego ks. dziekana Zapały udało się bez przeszkód pochować Marszałka pod nazwiskiem i w grobie, który opisałem wyżej. Gdy na Wszystkich Świętych, w dniu 1 listopada 1947 roku, pierwszy raz z państwem Lebedowiczami byłem przy grobie Marszałka, grób był starannie utrzymany, udekorowany zielenią i kwieciami, a dominującym akcentem były dwie duże chryzantemy, skrzyżowane na kształt buławy marszałkowskiej. Cztery płonące znicze i wieniec zawieszony na krzyżu dopełniały dekoracji.

W późniejszych latach, również z okazji Wszystkich Świętych, byłem jeszcze kilka razy przy tym grobie i zawsze stwierdzałem, że ktoś z wielkim pietyzmem dba o staranny wygląd tej skromnej mogiły. Obserwując grób z pewnej odległości mogłem zauważyć, że od czasu do czasu przystępowało do niego mniej lub więcej liczne towarzystwo, panie dodawały kwiatów, albo zapalały nowe świece, czy znicze, a panowie stawali na baczność i w skupieniu modlili się. Niestety nie rozpoznałem w nich znajomych osób. W każdym razie przekonałem się, że grono wtajemniczonych, że tu właśnie spoczywa Marszałek, było dość liczne. Władzom również ten fakt jest wiadomy, i nieraz przychodziło na myśl: że może nadejdzie czas kiedy zostanie przywrócone zmarłemu właściwe nazwisko i będzie postawiony choćby jakiś skromny trwały nagrobek.

Inżynier Julian Piasecki kierował pracami O.P.W. do sierpnia 1944 roku, to jest do czasu gdy zginął w Warszawie w czasie powstania. Powstanie było też końcem akcji O.P.W.

Generał dr Stefan Hubicki wrócił z żoną Reną do Polski w roku 1945. Początkowo mieszkał w Białogonie pod Kielcami, następnie przeniósł się do Sławkowa pod Olkuszem, gdzie ordynował jako lekarz Ubezpieczalni Społecznej. W roku 1952

względnie 1953 przeniósł się do Serocka nad Narwią, gdzie był Kierownikiem Ośrodka Zdrowia i ordynującym lekarzem w Ubezpieczalni Społecznej. Umarł w listopadzie 1955 roku. Zawsze pogodny, wyrozumiały i godzący się ze swoim losem.

Były wojewoda stanisławowski Stanisław Jarecki jakoś przetrzymał ciężkie przeżycia za okupacji niemieckiej, jednak po wyzwoleniu pozostał pod zmienionym nazwiskiem i w roku 1952 został aresztowany. Jak mnie informował nasz wspólny znajomy starosta Fiala, w roku 1954 odbył się proces Jareckiego w Warszawie, na którym jako świadek występował Fiala i były wojewoda Kostek-Biernacki. Jarecki został skazany na osiem lat więzienia; nie doczekał zmiany „w październiku”, bo umarł w maju 1955 roku.

Profesor dr Wacław Lipiński powrócił do kraju z żoną w 1942 roku i był bardzo czynny w ramach tzw. „Konwentu”, niepodległościowej grupy, wybitnie demokratycznej.

Z listów Piaseckiego, które nas dochodziły na Węgry wiedzieliśmy, że stosunki między Lipińskim a Piaseckim, układały się jak najgorzej. Lipiński został skazany na karę śmierci. Ułaskawiony i przeniesiony do więzienia zmarł we Wronkach, w niespełna trzy miesiące wśród zagadkowych okoliczności, żonie Oldze, jak mi się skarżyła w liście, nawet zwłok nie pokazano.

Dr Piotr Małaczyński, były wicewojewoda krakowski, zginął z ręki gestapo w roku 1944 po zajęciu Węgier przez Niemców.

Inspektor Zieliński „Marcin”, zginął również z ręki Niemców w czasie okupacji w Warszawie.

Dr Józef Garbień, wyrwał się jakoś z więzienia na Montelupich w 1942 r., a po wojnie był dyrektorem szpitala w Chorzowie, gdzie zapadł na zdrowiu i umarł w 1956 roku. Przed śmiercią przeżył tragedię, gdyż w związku z aresztowaniem pułkownika Radosława Mazurkiewicza aresztowano i żonę dr. Garbienia, która spędziła dwa lata w więzieniu w Fordonie skąd powróciła jako zupełna ruina fizyczna.

Dr Marian Łazarski również w 1942 roku zwolniony z więzienia na Montelupich, umarł na serce jesienią 1954 roku.

Dr Franciszek Pajor, nasz wielki przyjaciel w Budapeszcie, jako Żyd przeżył wielką tragedię po wkroczeniu Niemców w 1944 roku. Sanatorium na Was utca Niemcy skonfiskowali, jego wysłano w charakterze lekarza powiatowego na teren okupowanej przez Węgrów Chorwacji rozdzielając z żoną i dzieckiem. Dr Pajor skończył tragedię samobójstwem.

Po zajęciu Węgier przez Niemców w 1944 roku z rąk gestapo zginęło wielu Polaków, bądź bezpośrednio zamordowanych, bądź

wysłanych na stracenie do ciężkich obozów w Mauthausen i in. Tak zginął konsul Fietowicz, prezes Komitetu Opieki nad Polakami Sławik, jego zastępca Pysz. prof. Firkiewicz i wielu innych.

Pułkownik Eugeniusz Kogut-Wyrwiński również został uprowadzony przez Niemców razem ze swoim kolegą płk. Słysiem i los ich jest mi nieznanym. Podobno płk Słyś zginął, ale Kogutowi miała się udać ucieczka.

Były starosta Leon Gallas był przerzucony do Polski również w czasie okupacji, po czym z ramienia O.P.W. był reprezentantem na województwo krakowskie. Po wyzwoleniu, w 1945 roku, był aresztowany i wkrótce zmarł na serce pozostawiając osieroconą żonę i dzieci.

Naczelnik Władysław Klimczak zmarł w grudniu 1943 roku w Budapeszcie w szpitalu, zdaje się na wrzód żołądka.

Dr Karol Polarecki szczęśliwie przetrzymał okupację niemiecką, jednak odznaczenia za swą ofiarną pracę przeciw Niemcom i pomoc dla akcji podziemnej nie doczekał się, zmarł bowiem w Krakowie w pierwszych latach po wyzwoleniu.

Nina Adamczykówna powróciła do Polski po wielu ciężkich przejściach i w roku 1946, na miesiąc przed ślubem, zachorowała na tyfus i zmarła w szpitalu w Kielcach i tam jest pochowana, jak mnie informował dr Hubicki.

Ks. dr dziekan Zapała przetrwał i po wojnie był proboszczem w Limanowej czy też okolicy, gdzie, jak mnie informowano, miał przed kilku laty umrzeć.

CZY POLSKA MOGŁA UNIKNĄĆ WOJNY?

Takie oto pytanie ciśnie się na usta każdego Polaka, ba i nie tylko Polaka, gdyż wojna polsko-niemiecka rozpętała niepamiętną w dziejach zawieruchę wojenną, która ogarnęła całe kontynenty, a Polsce przyniosła okrutną klęskę. Ogrom nieszczęścia, jakie dotknęło naród cały tak silnie oddziaływa na psychikę Polaka, że choć wojna jeszcze nie skończona, choć oczekuje się zwycięstwa, trudno jest każdemu z nas oprzeć się temu natrętnemu pytaniu. Gra toczy się o zbyt wielką stawkę, zbyt wiele ważnych sił działało, abyśmy na to pytanie mogli odpowiedzieć zdawkowo, musimy to uczynić po dokładnej rozwadze, by jeśli odpowiedź wypadnie „nie” — uspokoić swoje sumienie i dalej walczyć, jeśli zaś odpowiedź wypadłaby „tak” — rozważyć należy kto zawinił i dlaczego tak się stało.

W naszym języku politycznym utarły się dwa określenia, gdy chodzi o kierunki polskiej polityki zewnętrznej tzn. polityka Piastowska lub Bolesława Chrobrego i Jagiellońska. Cechą pierwszej jest walka z naciskającą od zachodu niemieczyzną i obrona granic zachodnich Polski a nawet ekspansja na zachód dla odniemczenia słowiańskich niegdyś ziem. Cechą drugiej jest rozwijanie Państwa Polskiego w kierunku wschodnim i to przy pomocy tworzenia jednostek państwowych sfederowanych z Polską lub w inny sposób z Państwem Polskim silniej związanych.

Kiedy niektórzy nasi współcześni propagowali jedną z tych koncepcji politycznych, zalecając je nowopowstałemu Państwu Polskiemu, odnosiło się wrażenie, że niezbyt dobrze zdają sobie sprawę, że układ sił sąsiedzkich w tamtych okresach historycznych był nieco odmienny, niż po roku 1918 i że polityka zewnętrzna Polski w bardzo dużym stopniu zależeć musi od tego, co się dzieje poza wschodnią i zachodnią granicą Polski.

W czasach, kiedy Piastowie walczyli z niemieczyzną, tu i ówdzie ulegając jej naporowi, Rosja rozbita na małe grupki państwowe przeżywała ciężki okres niewoli tatarskiej, a później odrabiała z trudem skutki tej niewoli, nie stanowiąc dla Polski niebezpieczeństwa. Unia Polski, Litwy i Rusi nie tylko na czas dłuższy przekreśliła obawę z tej strony, ale wytworzyła dalsze nawet możliwości ekspansji na wschód. Zapoczątkowało to długi okres tzw. polityki jagiellońskiej i to ponadto w tym szczęśliwym czasie, kiedy Niemcy rozbite z kolei na małe państwka, przechodziły okres walk politycznych i religijnych, pogrążając się w 17 stuleciu w chaosie wojny 30-letniej. Pamiętać również należy, iż rozwój Polski w kierunku wschodnim

nie byłby tak łatwy, gdyby nie zwycięstwo pod Grunwaldem, które na czas dłuższy złamało siłę Zakonu Krzyżackiego, tego silnego bastionu niemczyzny i zahamowało odnowę sił niemieckich na wschodzie.

Wskutek unii z Litwą, Polska zbliżyła się do Rosji i zetknęła się z granicami tężejącego organizmu państwowego Rosji, już z końcem XV w. Rosja wtedy scalona pod berłem carów odzyskała swą samowiedzę polityczną. Polska aktywność polityczna kieruje się na wschód, zwycięstwami na polach bitew, torując sobie drogę do dalszej ekspansji.

Ani więc w okresie Piastów ani Jagiellonów (po Grunwaldzie) nie było takiego dłuższego okresu, w którym by równocześnie — poza naszymi granicami wschodnią i zachodnią istniały siły gotowe wspólnie i równocześnie działać przeciw Polsce. Kiedy jednak w osiemnastym wieku wyrastają silne na zachodzie Prusy Hohenzollernów z tendencją rozrostu na wschód i kiedy Rosja Piotra Wielkiego wyraźnie poczyna dążyć na zachód — Polska nie jest w stanie przeciwstawić się tym siłom, ulegając z końcem XVIII w. rozbiorem.

Ten krótki rzut oka na przeszłość dość wyraźnie świadczy, że niebezpieczeństwo dla Państwa Polskiego istniało i z jednej i z drugiej strony tj. ze wschodu i z zachodu i że Polska mogła się rozwijać i działać tylko wtedy, gdy przynajmniej z jednej strony mogła być bezpieczna. Jej bezpieczeństwo zewnętrzne warunkowane jest słabością albo obu, albo przynajmniej jednego z jej sąsiadów.

Nieodmiennym więc zadaniem polskiej polityki zewnętrznej było i zostało tworzenie takiej konstelacji politycznej, która temu warunkowi bezpieczeństwa zewnętrznego czyniła zadość.

Z taką treścią tradycji politycznej weszliśmy w okres dziejów nowoczesnych. Kongres Wiedeński w 1815 r. przypieczętował los Polski na dłuższy okres i dopiero układ francusko-rosyjski z 1893 r. podważył przeszło stoletnią zgodę państw zaborczych. W konsekwencji tego układu Niemcy i Rosja w 1914 roku znalazły się po przeciwnych stronach. Sytuację tę rozumiał Józef Piłsudski gdy rozpoczynał walkę o niepodległość skierowaną przeciw Rosji, rozumiał zresztą, że wtedy i tylko wtedy Polska może się odrodzić, gdy Niemcy i Rosja znajdą się w obozach przeciwnych.

Pakt francusko-rosyjski posłużył również za faktyczny punkt wyjścia dla Romana Dmowskiego. Dmowski będąc uczniem Adama Popławskiego, twórcy idei wszechpolskiej i redaktora „Przeglądu Wszechpolskiego” we Lwowie, tworzy Nar. Demokrację, stara się realizować idee Popławskiego, niezawsze będąc im wiernym i dopasowując je do swych założeń taktycznych. Toteż jego polityka przechodzi różne koleje, opiera się aż do ostatnich czasów zależnie od okoliczności, to na Rosji, to na Francji — partnerach paktu z 1893 r. i jest bez kompromisu antyniemiecka. Przeszłość jakby odbiła się dalekim echem w ideologicznych kierunkach polskiej polityki przed 1914 r. a uparte trwanie przy tych kierunkach, o ile z jednej strony miało wpływ na kształtowanie się i wyrabianie polskiej opinii publicznej, nie zawsze jednak odpowiadało koniecznościom aktualnej polityki.

Po 1918 r. Polska znów znalazła się pomiędzy tymi samymi dwoma „kamieniami młyńskimi” jak nazywa Zeromski Rosję i Niemcy. Jednak wojna światowa spowodowała wiele zmian i to nie tylko w granicach tych państw, ale i w ustroju wewn.-politycznym, co w rozmaity sposób oddziaływało na cele ich polityki zagranicznej.

Traktat Ryski z 1921 r. zawarty przez Polskę i Rosję i decyzja konferencji Ambasadorów z 15/III. 1923 r., ustaliły naszą granicę wschodnią.

Zwycięstwo oręża polskiego z 1920 r. dawało Polsce możliwości

uzyskania znacznych obszarów na wschodzie. Jednak silny wpływ Anglii i Francji na Polskę, wywierany w tym celu, aby nie szła ona zbyt daleko w żądaniach, zrobił swoje. Państwa te ciągle miały na uwadze możliwość zbliżenia się do Rosji w przekonaniu, że bolszewizm się załamie i odrodzi się carska Rosja. Nie chciano zatem zbyt krzywdzić tej przyszłej Rosji, niedawnej aliantki w wojnie 1914-1918, kosztem Polski i okrawać boleśnie terenu ewentualnej ekspansji gospodarczej.

Traktat Wersalski stworzył nowy układ w Europie: powstało kilka nowych państw niepodległych, Liga Narodów, a Polska otrzymała swe granice zachodnie, dostęp do Bałtyku i przymierze z Francją. Mimo okrojenia Niemiec, Traktat Wersalski nie był całkowitym wykorzystaniem zwycięstwa. Przyczyną tego był fakt, iż Anglia obawiając się przewagi Francji nie zdecydowała się na rozczłonkowanie Niemiec. Jak pewien Anglik dowcipnie się wyraził, zdawało się nam Anglikom, że Francuzi natchmiami staną się Niemcami, a Niemcy upodobnią się do Anglików. Popelniono więc błąd, który 20 lat później dał Hitlerowi możność rozpętania nowej pożogi wojennej.

Przymierze Polski z Francją było asekuracją przeciwko Niemcom, gdyż Rosja Sowiecka po wojnie z Polską i wobec dużych trudności wewnętrznych nie stanowiła bezpośredniego niebezpieczeństwa, groźna natomiast była polityka Kominternu, która przez infiltrację komunizmu do państw burżuazyjnych usiłowała przygotować rewolucję światową, dzięki czemu — rozkomunizowane od wewnątrz państwa miały spaść jak dojrzały owoc z drzewa w objęcia Rosji Sowieckiej. W ten sposób odbyłaby się rewolucja zupełnie albo prawie zupełnie bez interwencji zbrojnej. Na terenie międzynarodowym Rosja weszła do Ligi Narodów i tam stawiała do walki z faszyzmem, dyktatorami i tym podobnymi plagami, uniemożliwiającymi wprowadzenie raju komunistycznego. Uwikłana jednak na Dalekim Wschodzie nie zdradza intencji o charakterze wojskowym w stosunku do swych sąsiadów zachodnich, przyłącza się natomiast do każdej akcji papierowej traktatów, umów, zapewnień, gwarancji itp., aby po okresie dłuższego impasu, akcją tą nadrobić słabość faktyczną. Nie zostawia jednak Polski w spokoju, zanim nastąpiła decyzja Rady Ambasadorów w sprawie wschodnich granic Polski rozwija na pograniczu intensywną akcję dywersyjną, trzymając Polskę w dużym napięciu. Akcją taką powtarza kilka lat później, dając dowód swego zasadniczo wrogiego stosunku do nowej Polski. W tym okresie jednak wydaje się, jakby tradycje imperialistyczne dawnej carskiej Rosji zupełnie przycichły. Sowiety oficjalnie deklarują zasadę nie wtrącania się do cudzych spraw, wysuwając jeno swój taran bojowy Kominternu, który rzekomo działa zupełnie samodzielnie. Toteż ze strony polskiej poddawano czujnej obserwacji te dwie różne linie polityczne, nie tolerując działalności komunistycznej wewnątrz kraju.

Niemcy przedhitlerowskie, tzw. Druga Rzesza, przeżyły nieudatły zamach komunistyczny, Republikę Wejmarską aż do prezydentury Hindenburga, oznaczającej stopniowy nawrót do rządów autorytatywnych. Silna partia wojskowa oparta o Reichswehrę, a politycznie o junkrów pruskich miała wówczas duże znaczenie, wpływając na układ polityki wewnętrznej. Z jednej strony Streseman zbliża się do Brianda i Ligi Narodów, gdzie jakiś czas Niemcy odgrywają znaczną rolę ku zadowoleniu zresztą Anglii, która po cichu popierała zrównoważenie wpływów francuskich na kontynencie przez Rzeszę. Niemcy wciągane zostają do utrwalenia porządku w Europie.

Z drugiej strony Reichswehra przygotowuje się do rewanżu za klęskę z 1918 r., nawiązuje kontakty z Sowietami, nawracając do tradycyjnej polityki pruskiej i bismarckowskiej.

Na wschodzie szuka źródeł surowców dla przyszłej rozprawy orężnej oraz sprzymierzenia, aby przy jego pomocy i na jego terenie rozbudować przemysł wojenny, obchodząc w ten sposób rygory Traktatu Wersalskiego. Trudno powiedzieć ile było szczerości, a ile podstępny w całej tej akcji. Jeśli nie działała tutaj jakaś centralna myśl polityczna, to w każdym bądź razie działał pewien automatyzm tradycyjnej polityki Niemiec, które nie były ani politycznie doszczętnie rozbite, ani też potencjał ich nie został tak zniszczony, by nie mógł być odbudowany w kierunku w jakim szła aktualna myśl polityczna.

Wysiłki Rzeszy ułatwiała bardzo koalicja, która zadowolona z oficjalnej polityki niemieckiej, gotowa w imię pokoju poczynić szereg ustępstw, dopuścić Niemcy jako równorzędnego partnera do współdziałania, nie chcąc widzieć ukrytego nurtu, który prowadził ku nowej rozprawie wojennej. W imię tego pokoju koalicja przymykała oczy na niesłabnące tendencje antypolskie Niemiec, które nieustannie wysuwają sprawę Pomorza i Gdańska, licząc, że koalicja nie będzie robiła wielkich trudności w razie formalnego postawienia przez Niemcy żądań rewindykacyjnych w stosunku do Polski. Faktyczna słabość militarna Niemiec w tym czasie oraz przewaga pod tym względem Polski stały jednakże na przeszkodzie tym żądanom. Traktat w Locarno, ustalający zachodnie granice Niemiec, a przemiłczający ich granice z Polską, był dla Polski b. ważkim ostrzeżeniem, zwłaszcza, że jego pierwsza redakcja, autorem której był Mussolini, otwierała właściwie drogę do rewizji wschodnich granic Niemiec.

Na terenie Ligi Narodów Polska znacznie ustępowała w tym czasie zręcznemu Benesowi, Francja zaś, nawet wtedy, gdy robić to należało, niedość dobitnie akcentowała swe przymierze z Polską. W tym układzie stosunków Polska stać się mogła kozłem ofiarnym, złożonym na ołtarzu „pokoju”.

Ówczesna polityka Niemiec, której przedstawicielem przed Hitlerem był przez dłuższy czas Stresemann, była dla nas o tyle niebezpieczna, że Polska, mając znaczne trudności wewnętrzne, i kwestię mniejszościową, stać się mogła terenem rekompensaty dla Niemiec, których współpracę więcej poczęły sobie cenić państwa zachodnie, niż ubogiej Polski.

Słabą pozycję Polski wzmacnia dopiero postawa Marszałka Piłsudskiego, który aktywizując politykę na terenie Ligi Narodów, wysuwa Polskę przed Czechosłowację i formalnie przynajmniej załatwia sprawę stosunku z Litwą. Nawiasem mówiąc, sprawa Litwy była stale komentowana na niekorzyść Polski, stając się bardzo dokuczliwą na terenie międzynarodowym. Wydaje się, że niedaleko prawdy będzie leżało przypuszczenie, iż polityka Waldemarsa była układana w tym czasie nie w Kownie, lecz w Berlinie.

Do sprawy litewskiej dochodziła sprawa Rusinów w Małopolsce Wschodniej, znajdująca wielu orędowników wśród wrogów Polski, a sympatyków nawet wśród przyjaciół i robiąca nam stale złą opinię w świecie. Dodać należy, że nawet decyzja Ambasadorów, uznająca nasze granice wschodnie, podał, jako jeden z motywów, że Polska uznała konieczność nadania autonomii dla Wschodniej Galicji.

Mimo te wszystkie okoliczności — słabość militarna Niemiec oraz przymierze z Francją, dawało Polsce dość silne poczucie bezpieczeństwa na granicach Zachodnich. Niemniej jednak, możliwość dalszych ustępstw ze strony Zachodu wobec Niemiec, a co za tym idzie i militarna ich odbudowa, mogła w sposób przykry i nieoczekiwany zaskoczyć Polskę, skazaną prawie na własne siły, mającą z drugiej strony bardzo niepewnego sąsiada w Rosji Sowieckiej.

W tych warunkach dążenie do utrwalenia dobrych stosunków z sąsiadami dokonywuje się z wielkimi trudnościami.

Zagrożenie Rosji na Dalekim Wschodzie przez Japonię oraz dążenie Stalina do skupienia uwagi na wewnętrznej przebudowie społeczno-gospodarczej wytwarza w Moskwie życzenie normalizacji stosunków na zachodniej granicy Z.S.S.R. Wobec równoczesnego zagrożenia Polski ze strony Niemiec Marszałek Piłsudski korzysta z okazji do osłabienia wzgl. rozbitcia współdziałania Berlina i Moskwy i podchwytując inicjatywę sowiecką, w następstwie czego dnia 25 lipca 1932 r. podpisany zostaje pakt o nieagresji z Rosją.

Porozumienie z Niemcami w tym czasie okazuje się jeszcze niemożliwe. Odwrotnie, Niemcy sami zaostrzają stosunki z Polską przez wojnę celną, przez aktywizację mniejszości niemieckiej w Polsce, oraz sprawę Gdańska.

W takich okolicznościach zbliża się do władzy w Niemczech, a następnie w 1933 r. obejmuje ją — Adolf Hitler. Autor „Mein Kampf” u” w początkach sprawowania przez siebie władzy nie usiłuje od razu realizować swego programu międzynarodowego, mając wiele trudności wewnętrznych i postępując niepewnie i ostrożnie, z obawy przed sąsiadami niezadowolonymi sobie sprawy z procesu, jaki się w Niemczech dokonywuje. Pierwszy Marszałek Piłsudski orientuje się w możliwościach rozwoju hitleryzmu, wysuwając propozycję wojny prewencyjnej już przy pierwszej okazji pogwałcenia przez Hitlera Traktatu Wersalskiego, a mianowicie przy powiększaniu sił Reichswehry. Francja jednakże na to nie godzi się, wobec czego Hitler ośmiela się coraz bardziej. Tak więc osłabienie jednego przeciwnika nie udaje się i to nie z winy Polski. Krótko po tym następuje pakt o nieagresji z Niemcami, podpisany 26 stycznia 1934 r.

Wobec niemożności zaradzenia wzrastającemu niebezpieczeństwu niemieckiemu w drodze wojny prewencyjnej i na tle coraz dalej idącej i coraz bardziej dla Polski niebezpiecznej ustępliwości Paryża wobec Berlina — Piłsudski decyduje się na zawarcie z Niemcami paktu o nieagresji. Pragnie odroczyć zbrojną rozprawę polsko-niemiecką do chwili, kiedy Anglia i Francja zaniepokoją się na tyle ekspansją niemiecką, iż zrozumieją konieczność bezwzględnego poparcia Polski — w swym własnym interesie. Pakt o nieagresji z Niemcami podpisany został 26 stycznia 1934 r.

Koalicja i cały świat przyjęły pakt o nieagresji Polski z jej obywatelami sąsiadami z dużą ulgą, jako zapewnienie pokoju w tej części Europy, która wydawała się beczką prochu. Przeciętny obywatel francuski odetchnął, że nie grozi mu już żadna awantura wojenna o Gdańsk, czy o „korytarz”. Nie zdawano sobie oczywiście sprawy z tego, iż takich beczek prochu w Europie okaże się znacznie więcej. Przekonano się o tym dopiero później, gdy wzrastające na sile Niemcy wysuwać zaczynały coraz to nowe żądania. Dla Polski jednak pakt o nieagresji na czas dłuższy przytłumił sprawę pretensji niemieckich, które skierowały się gdzie indziej.

Zbliżeniu polsko-niemieckiemu towarzyszy akcja ministra spraw zagranicznych Francji Barthou. Barthou jeździł do Polski i namawiał na układ z Rosją dla przepuszczenia wojsk rosyjskich przez teren Polski w wypadku wojny Francji z Niemcami, montując przy tym system tzw. gwarancji zbiorowych. Polska jednak na ten system gwarancji nie godzi się, nie chcąc ryzykować uzależnienia się od Rosji Sowieckiej, której zbyt ufać nie mogła, wyprowadzenie bowiem Rosji na arenę zachodnio-europejską — jak chciał tego Barthou — mogłyby się stać niebezpieczne tak dla Polski, jak i dla Europy. Układ taki mógłby stać się zmarnowaniem, a w każdym bądź razie byłby zaprzeczeniem polskiego zwycięstwa w 1920 r. Zresztą to, co robili i mówili komisarze zagraniczni Sowieci,

a zwłaszcza Litwinów w gabinetach politycznych Europy, często było zyczną tylko zasłoną istotnych zamiarów Rosji Sowieckiej. Przyjęcie koncepcji Barthou, którą Polska odrzuciła i co stało się powodem długoletniego dąsania ze strony Francji — groziło Polsce przede wszystkim tym, iż stałaby się ona terenem wojny, z którego zwycięska Rosja niełatwo by się dobrowolnie wycofała.

Ponadto udział Polski w ewentualnym konflikcie stałby się całkiem drugorzędny, a Polska własnowolnie zepchnęłaby się do roli przedmiotu targu pomiędzy przeciwnikami.

Na tego rodzaju rolę ani faktyczna siła wojskowa, jaką Polska wtedy rozporządzała w stosunku do sąsiadów, ani też silne poczucie samodzielności państwowej nie pozwalały. Układ taki dla Polski mógłby być tylko aktem rozpacz, nie mówiąc już o tym, że zbliżenie się do Rosji, skierowane przeciw Niemcom wywołałoby z ich strony natychmiastową kontrakcję. Sprawy Gdańska i mniejszości niemieckiej ożyłyby natychmiast i zachodnia granica Polski stać by się mogła naprawdę „palącą”. W tych warunkach może tych kilka lat, dzielących od podpisania paktu Barthou, do czasu przewidywanej wojny z Niemcami byłyby dla Polski niezmiernie uciążliwe. Zresztą niedaleka przyszłość pokazała, iż Francja była partnerem bardzo pacyfistycznym, zaś pakt Barthou miałby istotnie raczej papierowe znaczenie dla Francji, przy czym Polska zapłaciłaby za niego zbyt drogo.

Niestety politycy francuscy posiadali bardzo mały zmysł rzeczywistości, a również nie jest wykluczone, że kierowali się chęcią zepchnięcia ciężaru niemieckiego ze swych ramion na plecy Polski i Rosji.

Kiedy bowiem w marcu 1936 r. Niemcy łamiąc swe traktatowe zobowiązania, obsadzają wojskiem zdemilitaryzowaną strefę nadreńską — min. Beck ponawia propozycję przeprowadzenia wojny prewencyjnej z Niemcami, oświadczając ambasadorowi francuskiemu, że jeżeli Francja zareaguje czynnie na samowolę niemiecką — Polska stanie natychmiast u boku Francji. Niestety Francuzi ograniczają się znów do gadania i papierowych protestów, marnując powtórnie okazję do stłumienia tanim jeszcze kosztem niemieckiego niebezpieczeństwa. Francja bała się panicznie wojny i łudziła się ciągle, że za pomocą dalszych ustępstw na rzecz Niemiec oraz rozmaitych kombinacji dyplomatycznych uda jej się wojny uniknąć. Skutkiem postawy Francji Polska ani w r. 1933, ani w r. 1936 nie była w stanie wcielić w życie swego planu uratowania Europy przez zgniecenie w zarodku niemieckich ambicji i przygotowań odwetowo-wojennych.

Po podpisaniu paktu nieagresji z Polską, Niemcy w latach 1934-36 z nieśląbnącą energią zbliżają się do Polski, usiłując przy jej pomocy realizować swój program wschodni. Na czym polegał ten nowy program?

Wynikał on przede wszystkim z przesłanek ideologicznych, antykomunistycznych, uważanych za ewangelię, ogłoszoną w „Mein Kampf”. Realizując tę ewangelię, w dniu 10.II.35 r. Goering, w rozmowie w marsz. Piłsudskim, wysuwa sugestie wojenne przeciwko Rosji. Odpowiedź udzielona przez Piłsudskiego brzmiała, że zbyt wielka jest granica polskorosyjska, aby miał na niej istnieć uciążliwy dla Polski stan wiecznego pogotowia wojennego (baionette au canon). Goering po tej rozmowie wyraził się, iż marsz. Piłsudski „hat gestutzt.” (zesztywniał) na te sugestie.

Wkrótce po tym, w dniu 18.VII.35 r. kanclerz Hitler w rozmowie z ambasadorem Lipskim proponuje Polsce wspólną krucjatę przeciwko Rosji. Hitler obawiał się rewolucji rosyjskiej i nie życzył sobie mieć wspólnej granicy z Rosją. Parokrotnie ponadto kanclerz Hitler przypominał Polsce

gen. Schleichera, która dąży do porozumienia z Rosją Sowiecką kosztem Polski, ale on Hitler skończył z tą polityką bezpowrotnie.

W tym okresie Niemcy są jeszcze bardzo niepewni Włoch. Kanclerz Hitler odzywa się o Mussolinim w sposób gwałtowny, posądzając go o zbyt dalekie interesowanie się sprawami Austrii. Na początku 1939 r. poseł włoski w Warszawie robi nawet demarche u min. Becka w sprawie zbliżenia się Polski z Niemcami.

Pomimo tej oficjalnej polityki Niemiec w stosunku do Rosji — myśl porozumienia z nią nurtuje w mózgach nie tylko ludzi przedhitlerowskiego okresu, ale i narod.-socj. reżymu. Tak więc gauleiter Prus Wschodnich Erick Koch, był zdecydowanym zwolennikiem porozumienia z Rosją. zaś gen. von Seeckt uważał, że należy je uskutecznić bez obawy o wpływ tego porozumienia na wewnętrzne stosunki niemieckie. Również wielu hitlerowców młodego pokolenia lansowało już dość dawno myśl tego porozumienia. Mimo różnic ideologicznych myśl taka znajdowała zwolenników i była niejako pielęgnowaną tradycją polityki Bismarcka i Reichswehry, gdy oficjalna polityka niemiecka podjęła na początku 1939 r. inicjatywę w tym kierunku, miała wewnątrz grunt już urobiony. Ideologiczne motywy poszły w ką, doraźne cele taktyczne wyszły na plan pierwszy. Rozpoczęło rozbijanie „klucza sklepienia europejskiego” jak Napoleon nazwał Polskę.

Ale w owym czasie do oficjalnego porozumienia z Rosją jest jeszcze daleko, przeciwnie, zawiązuje się pakt antykominternowski, wydaje się, że obie strony stoją na przeciwległych biegunach i nigdy i pod żadnym pozorem zbliżyć się do siebie nie będą w stanie. Jeszcze 16 lutego 1937 r. Goering zapewnia marsz. Śmigłego Rydza o nieprzejednanym stanowisku Niemiec wobec Rosji. Jeszcze 5 stycznia 1939 r. podczas wizyty Becka w Berchtesgaden, Hitler zapewnia go, że każda polska dywizja zastępuje jedną dywizję niemiecką na wschodzie i utrzymuje, że jest zainteresowany gospodarczo Ukrainą.

Jeśli chodzi o stosunek oficjalnych czynników polskich odnośnie polityki niemieckiej, zasługuje na podkreślenie informacja Rauschninga, który jeszcze przed paktem o nieagresji bawił w Polsce i konferował z marsz. Piłsudskim.

Manifestacyjne oświadczenia Goeringa i samego Hitlera nie zasugerowały zbyt ludzi w Polsce. Poza nieliczną grupką konserwatywnych publicystów nie było w Polsce żadnego poważnego odłamu, który by miał zaufanie do Niemiec, pragnął z nimi sojuszu i wspólnej walki — nawet przeciw drugiemu odwiecznemu wrogowi: Rosji. O negatywnym stanowisku czynników decydujących wspominaliśmy już wyżej. Zarówno marsz. Piłsudski, jak i po jego śmierci min. Beck odnosił się do propozycji niemieckiej z jak największym chłodem oraz rezerwą i nigdy ich nie zaakceptował. Polska zdawała sobie sprawę, że nikomu w Niemczech nie przyszło do głowy, aby zrzec się na stałe pretensji do zachodnich dzielnic Polski, agitacja wśród mniejszości niemieckiej w Polsce i jej postawa, jak również los polskiej mniejszości w Niemczech, aż nadto dobrze uwidoczniły, jaką wartość mają oświadczenia niemieckie. Nie mogło być wątpliwości, że w razie przyjęcia niemieckich propozycji w odniesieniu do Rosji, po najpomyślniej nawet przeprowadzonej kampanii — wojska niemieckie, przeszedłszy raz przez Polskę, nie chciałyby się wycofać co najmniej z naszych dzielnic zachodnich, a pozostała część Państwa Polskiego spaść by musiała do roli wasala Rzeszy.

Dlatego też ze strony polskiej nie zaniedbano zbliżenia się do Francji i nawiązania ścisłego kontaktu z Anglią — co jeśli chodzi o stronę dyplomatyczną zakończyło się pewnym sukcesem.

Ambasador francuski Noel w swoim raporcie z Warszawy z dnia 2 maja 1939 r. pisze, że marsz. Piłsudski nie miał żadnych iluzji co do natury i wartości paktu z Niemcami i w ostatnich miesiącach swego życia dał temu wyraz w obecności swych współpracowników i wyższych wojskowych. Oczywiście i te poglądy w rozmaity sposób przeniknęły do społeczeństwa.

Jeśli chodzi o opinię publiczną, to jej postawa była wyraźna. Wydaje się, że nie znalazłby się w Polsce nikt, kto by mógł i chciał iść na współdziałanie z Niemcami za cenę tak znacznych ustępstw terytorialnych.

Ponieważ mocarstwa zachodnie nie mogły się zdobyć na stanowczą wobec Niemiec postawę i kontynuowały nieszczęsną politykę ustępstw — Polska, aby nie stać się pierwszą, pozostawioną własnemu losowi, ofiarą Hitlera — musiała prowadzić grę taktyczną zmierzającą do zyskania na czasie i możliwego odroczenia konfliktu. Mimo dwukrotnego już odrzucenia propozycji wojny prewencyjnej z Niemcami — polityka polska nie traciła nadziei, że dalszy rozwój wydarzeń przekona wreszcie państwa zachodnie, jak groźny dla nich samych jest nieustanny wzrost potęgi niemieckiej, słowem że nastąpi zmiana sytuacji, która umożliwi Polsce, nie tylko realne zacieśnienie przymierza z Francją, lecz i nawiązanie bliskich stosunków z Anglią — tą samą Anglią, która od czasu Wersalu nie chciała zaciągać żadnych zobowiązań w Europie, a zwłaszcza na wschód od Renu.

Tymczasem Rosja rozwija w dalszym ciągu na terenie międzynarodowym akcję antynarodowo-socjalistyczną. Skrzyżowanie to nastąpiło w wojnie w Hiszpanii. W Rosji odbywają się procesy przeciwko zdrajcom i jakby przypadkiem padają głosy tych, którzy ze strony rosyjskiej wyciągali rękę do koncepcji porozumienia z Niemcami. W stosunku do Polski, Rosja zachowuje się poprawnie, interweniuje tylko na korzyść Czechów we wrześniu 1938 r.

Mimo tych pozorów warto zwrócić uwagę na pamiętniki gen. Kriwickiego, b. szefa wydziału zagranicznego G.P.U., który popadłszy w niełaskę Stalina, uszedł cało do Ameryki i tam ogłosił pamiętniki, wydrukowane na kilka miesięcy przed obecną wojną. Otóż Kriwicki przytacza szereg faktów i spostrzeżeń, z których wynika, że pomimo pozorów i zewnętrznych dekoracji, Stalin uparcie dążył do porozumienia z Hitlerem i to już wkrótce po dojściu Hitlera do władzy i że nigdy osobiście go nie atakował, uważając, że, przeciwnie, porozumienie z Hitlerem jest możliwe. Pamiętniki Kriwickiego, dodać należy, ukazały się zanim się rozpoczęły owe rozmowy niem.-rosyjskie w 1939 r., zakończone paktem o nieagresji 22 sierpnia 1939 r.

Hitler na początku swego panowania, w obawie przed komunizmem, układał swój program wschodni i szukał w pakcie o nieagresji z Polską podstawy do wspólnej akcji antyrosyjskiej. Później jednak, po zbliżeniu się do Włoch i po pierwszych sukcesach terytorialnych, rośnie w siły i w pewność siebie, stając się bardziej niezależnym, zaś bezkarne zbrojenia dają mu do ręki również i argument najważniejszy, argument siły. Zaczyna więc swój program wschodni realizować inaczej — poprzez Sowiety i Słowację, komplementując jeszcze Polskę — sięga po jej ziemie.

Niewątpliwie „oburzyła” Hitlera również „niewdzięczność” Polski, która zbliżyła się do Francji i Anglii. I tak 25 października 1938 r. Ribbentrop wysuwa wobec amb. Lipskiego na przyjęciu w Berchtesgaden propozycję co do zwrotu Gdańska i autostrady przez Pomorze, wzamian ofiarując 25-letni pakt o nieagresji i uznanie zachodnich granic Polski (za kulisami jednak szantażuje Polskę i przygotowuje rozruchy w zachodnich dzielnicach Polski). Zamienne jest, że Ribbentrop, wiedząc o dążeniu Polski do wspólnej granicy z Węgrami proponuje Polsce zamiast: za autostradę i Gdańsk — wspólna granica polsko-węgierska. Otrzymał na to

odpowiedź, że Polska popiera jedynie dążenia rządu węgierskiego. Fakt ten rzuca nieco światła na trudności zrealizowania tego wspólnego dążenia Polski i Węgier. Jeszcze z początku 1939 r. Niemcy ponawiają nacisk na Polskę, aby przystąpiła do paktu antykominternowskiego — chodziło tu niewątpliwie o pokrzyżowanie planów angielsko-francuskich co do Rosji i o szantażowanie Sowieców, aby zmusić je do bliższych rozmów z Niemcami.

5 maja 1939 r. Mołotow obejmuje stanowisko komisarza spraw zagranicznych. Imperialistyczne tradycje rosyjskie dojrzały już w umyśle samego Stalina i jego najbliższych. Zaczną się wkrótce rozmowy z Niemcami, których oczywiście nie mógł prowadzić Litwinow, skompromitowany wobec Niemców, musiał przyjąć Mołotow, człowiek o innym nastawieniu, takim jakiego aktualne zamiary Stalina wymagały.

Mołotow jednak zapewnia Polskę o przychylnym stanowisku Rosji w razie wojny z Niemcami, mało tego — obiecuje pomoc materialną. Już po podpisaniu paktu z Niemcami tj. 22 sierpnia 1939 r., Rosja podkreśla, że pakt ten ma na celu tylko pokój i że rozmowy z Anglikami i Francuzami zostały odłożone jedynie na później.

Tak to Rosja do ostatniej chwili symulowała respektowanie traktatów, kryjąc chytrze w zanadru nóż, którym ugodziła Polskę w plecy 17 września 1939 r.

Symulacja była tak doskonałą, że poseł polski Grzybowski, kiedy go Mołotow zaprosił do siebie z 16 na 17 września w nocy, spodziewał się czegoś nieprzyjemnego, może nawet wypowiedzenia paktu o nieagresji z 1932 r., ale nigdy interwencji zbrojnej.

W marcu 1939 r. nastąpiło nieoczekiwane zajęcie Czech i Moraw oraz Klajpedy przez Niemcy. Akcja Hitlera nie była notyfikowana żadnemu państwu i poważnie zagroziła Polsce od południa. Był to dzwon alarmowy. Ale nie tylko dla Polski. Bo już i na Zachodzie a przede wszystkim w Anglii zagarnięcie przez Rzeszę Czech olbrzymie zrobiło wrażenie. Hitler uroczystie zapowiedział w Monachium we wrześniu 1938 r., że Sudety są jego ostatnim żądaniem terytorialnym w Europie i że nie chce mieć Czechów w swym państwie. Anglia temu wierzyła. Bezceremonialne i cyniczne złamanie danego słowa niesłuchanie oburzyło cały naród angielski, a fakt, że Hitler odrzucając jak niepotrzebny łachman ogłoszone dawniej hasło „zjednoczenia wszystkich Niemców w ramach Rzeszy”, wysunął dla uzasadnienia aneksji Czech nową koncepcję „Lebensraum” — otworzyło wreszcie oczy rządowi angielskiemu na istotę dążeń hitlerowskich Niemiec. Anglia pojęła, że ekspansja niemiecka nie ma granic, że stanowi więc ona również dla samej Anglii i całego Imperium Brytyjskiego niezmiernie groźne niebezpieczeństwo. A zrozumiawszy to — Anglia skończyła natychmiast z niecelową, więcej: szkodliwą polityką ustępstw i przeszła do politycznego przeciwnatarcia.

Na tę chwilę czekała zaś od dawna polska polityka zagraniczna. Wstrząs psychiczny, jakiemu uległa opinia publiczna W. Brytanii, rewizja zasad rządzących dotąd polityką angielską — stworzyły warunki, umożliwiające aktywne zainteresowanie Anglii sprawami Europy Środkowo-Wschodniej i nawiązanie ścisłych węzłów między Warszawą i Londynem. Ta okazja została przez Polskę doskonale wykorzystana. Stanowcze odrzucenie żądań w sprawie Gdańska i Pomorza, z jakimi przy końcu marca 1939 r. zwrócili się do Warszawy Niemcy, wzmocniło jeszcze w Anglii szacunek dla Polski i przekonanie, że Państwo Polskie jest cennym partnerem, z którym warto nawiązać bliższą współpracę dla zahamowania dalszej ekspansji niemieckiej. Energiczna akcja dyplomacji polskiej podchwytowała nowe tendencje polityki brytyjskiej, zmierzając do oparcia współdziałania

polsko-angielskiego nie na mgławicowych deklaracjach, lecz na konkretnych zobowiązaniach politycznych i wojskowych. Akcja ta została uwieńczona pełnym powodzeniem. 30 marca 1939 r. premier Chamberlain ogłasza w Izbie Gmin gwarancję brytyjską dla Polski, a 6 kwietnia min. Beck składa wizytę w Londynie i deklaruje, że Polska uważa się za związaną wobec Anglii takimi samymi zobowiązaniami niesienia pomocy, jak i Anglia wobec Polski. W ten sposób jednostronna gwarancja brytyjska przekształciła się w dwustronny sojusz polsko-angielski. Sojusz na razie jeszcze prowizoryczny — ale już w pełni obowiązujący. A po upływie kilku miesięcy, 25 sierpnia 1939 r., podpisany został w Londynie formalny układ przymierza między Polską a Wielką Brytanią.

Układ ten był prawdziwą rewolucją w polityce angielskiej. Dość wspomnieć, że był to pierwszy od czasów Napoleona sojusz wojskowy, jaki Anglia zawarła w czasie pokoju na kontynencie europejskim. Triumf polityki polskiej był tym większy, że Anglia wywierała równocześnie nacisk na wiecznie wahającą się i ustępującą przed Niemcami Francję, skłaniając ją równocześnie do zajęcia energiczniejszej postawy wobec Rzeszy. W tym stanie rzeczy sojusz polsko-francuski nabiera nowych rumieńców życia, a w maju 1939 r. dochodzi do zawarcia ścisłego porozumienia sztabowego, ustalającego dokładne terminy ofensywnych operacji armii francuskiej i lotnictwa angielskiego przeciw Niemcom, w wypadku napadu niemieckiego na Polskę.

Te układy sztabowe nie zostały niestety przez Francuzów wykonane. Dowództwo francuskie nie podjęło we wrześniu wielkiej ofensywy, mimo, że jak się później okazało — na „linii Zygryfda” było wtedy niecałe 10 dywizji niemieckich. Co więcej — Francuzi w ogóle zwlekali z wypowiedzeniem Niemcom wojny i gdyby nie stanowcza postawa Anglii, kto wie, czy Francja nie „wykonałaby” postanowień sojuszu z Polską zupełnie tak samo, jak „wierna” była w 1938 r. sojuszowi z Czechosłowacją...

Ale młody sojusz polsko-angielski doskonale wytrzymał próbę życia. Jeżeli rząd angielski nie wypowiedział wojny Niemcom od razu 1 września — co wywołało oburzenie w społeczeństwie brytyjskim, a protesty w parlamencie — to uczynił tak właśnie ze względu na wahanie się Francji, którą Londyn bezskutecznie namawiał do stanowczego kroku. Gdy nie pomogła dwudniowa argumentacja i naciski dyplomatyczne i gdy francuski minister spraw zagranicznych Bonnet, mimo trwania od kilkudziesięciu już godzin walk w Polsce, nie chciał się wyrzec nadziei uniknięcia wojny przez załatwienie sprawy drogą jakiejś konferencji na wzór Monachium — Anglia zrezygnowała z efektu solidarnego wystąpienia obu mocarstw zachodnich i na własną rękę wypowiedziała wojnę Niemcom. W kilka godzin później naśladuje ją w tym Francja, która była za słaba duchem, by zdobyć się samodzielnie na decyzję uczciwego dotrzymania sojuszu wobec Polski, ale za słaba również by zostać na boku i nie pójść w ślady Anglii, gdy ta wyrzekła już decydujące słowo.

Anglia nie udzieliła Polsce we wrześniu 1939 r. realnej pomocy wojskowej. Dziś rozumiemy już dlaczego tak się stało. Bo wierząc przez szereg lat Niemcom i zaniedbując zbrojenia, Wielka Brytania była jeszcze w 1939 r. zupełnie do wojny nie przygotowana. W przeciwieństwie do Francji — Anglia nie miała prawie wcale armii lądowej. R.A.F. była dopiero w powijakach, choć mimo to samoloty brytyjskie przeprowadziły kilka nalotów na północne Niemcy. A wojna na morzu wraz z blokadą nie mogła dać natychmiastowych wyników.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę ówczesny stan pogotowia wojennego Anglii — tym wyżej cenić musimy lojalność i bohaterstwo brytyjskiego sprzymierzeńca. Mimo całego swego nieprzygotowania, Anglia nie zawahała

się z wypełnieniem sojusznicych zobowiązań i wypowiedzeniem Niemcom wojny. A po kapitulacji Francji Wielka Brytania nie ugięła się ani przed groźbą inwazji, ani przed perspektywą niszczenia kraju przez wroga lotnictwo, lecz mimo trudnych okoliczności postanowiła prowadzić walkę aż do zwycięskiego końca.

Sojusz polsko-angielski nie przyniósł tak szybkich, natychmiastowych skutków, jakich oczekiwali szerokie koła społeczeństwa polskiego. Nie umniejsza to jednak jego politycznej wartości i doniosłości. Dzięki temu układowi Polska nie została sama, jak Austria czy Czechosłowacja, a wybuch wojny polsko-niemieckiej zapoczątkował równocześnie wielką wojnę europejską a nawet światową. Po klęsce i haniebnej kapitulacji Francji sojusz polsko-angielski umożliwił naczelnym władzom Rzeczypospolitej znalezienie nowych podstaw ich wojskowo-politycznej działalności. Mamy zaś prawo sądzić, że zarówno na przyszłej konferencji pokojowej, jak i później nawet, w naprawę już Nowej Europie, przymierze polsko-angielskie odegra ważną rolę.

Kiedy stało się jasne, że Polska nie zgodzi się na autostradę i na przyłączenie Gdańska do Rzeszy oraz, że pospiesznie zbliża się do Anglii — 28 kwietnia 1939 r. Hitler w czasie mowy swej w Reichstagu wypowiada pakt o nieagresji z Polską. Odpowiada mu na to min. Beck 5 maja w Sejmie polskim.

Jako przegrzywka do tej akcji dyplomatycznej następują przesunięcia wojskowe niemieckie, zaczyna się żywa działalność hitlerowska w Gdańsku oraz przygotowanie mniejszości niemieckiej w Polsce do czynnego wystąpienia.

„Piąta Kolumna” przygotowana na długo przed tym, zaczyna działać.

Na Śląsku ma ona za zadanie wywołanie powstania, dającego możliwość interwencji z zewnątrz.

W miesiącach letnich położenie pogarsza się z dnia na dzień. Goering w rozmowie z amb. Lipskim daje do zrozumienia, że wojna z Polską jest możliwa, ale obiecuje interweniować u Hitlera.

Dla ratowania sytuacji, 22 sierpnia zaczyna się mediacyjna akcja angielska.

Granica polska stale jest jednak naruszana przez Niemcy, od tygodni trwa napięcie w Gdańsku, co grozi w każdej chwili wybuchem.

Po obu stronach zgromadzono znaczne siły wojskowe.

Anglia i Francja interweniują nieustannie, aby Polska zachowała spokój i nie prowokowała Niemców. Wskutek tego opóźnia się mobilizacja powszechna.

Anglia dalej pośredniczy.

29 sierpnia Hitler żąda za pośrednictwem amb. ang. Hendersona, aby do Berlina przybył przedstawiciel Polski z pełnomocnictwami do załatwienia sporu.

30 sierpnia, Henderson jest u Ribbentropa, który mu przeczytał szczegóły żądań rewindykacyjnych w stosunku do Polski, nie dał mu jednak tekstu do ręki i oświadczył, że warunki te są już nieaktualne, bo żaden pełnomocnik Polski nie przybył do Berlina.

31 sierpnia amb. Lipski otrzymuje polecenie z Warszawy zapoznania się z żądaniami, ale nie w charakterze pełnomocnika, lecz ambasadora, nie zostaje jednak już przyjęty.

Wieczorem tego samego dnia nie może już rozmawiać telefonicznie z Warszawą, połączenia zostały przerwane, natomiast radio niemieckie o godz. 21 podaje „nieaktualne” warunki, które zresztą nigdy nie zostały przedstawione Polsce na drodze dyplomatycznej.

Żądania niemieckie szły w kierunku oddania Gdańska, plebiscytu na Pomorzu i gwarancji dla mniejszości niemieckiej.

Charakterystyczne jest, że Niemcy nie wysuwali żądania zwrotu Śląska, w ukryciu jednak przygotowali powstanie, które miało być wzmocnione przez korpus ochotniczy zorganizowany na stronie niemieckiej, co jednak zostało udaremnione przez polskie władze.

Oczywiście przewrotność niemiecka była tutaj zbyt widoczna, podobnie jak cała komedia z „wysunięciem” tych warunków była jedynie manewrem propagandowym na chwilę przed wojną.

Wieczorem 31 sierpnia i w nocy na 1 września radio niemieckie rozbrzmiewało propagandą antypolską jeszcze silniej zaprawioną kłamstwem, niż poprzednio. O godz. 4,45 zaczęły się działania wojenne przeciwko Polsce.

Polska a Czechy

Opinia polska często zadaje sobie pytanie, czy gdyby inaczej ułożyły się stosunki z Czechami, gdyby Polska i Czechosłowacja utworzyły solidarny front antyniemiecki, czy zdołałoby to zahamować dynamizm niemiecki i wpłynąć na bieg wydarzeń. Skoro zaś do współdziałania tego nie doszło, to jakie złożyły się na to przyczyny?

Jeszcze w latach przed wojną światową 1914 r. Czechy rozpoczęły swą panslawistyczną politykę, widząc w Rosji, jako w największym słowiańskim państwie, naturalną przewodniczkę słowiańszczyzny. Rosja chętnie brała na siebie tę rolę, a Czesi już wtedy uważali się za naród bardziej powołany do tej akcji niż Polska. Wy pływało to prawdopodobnie z faktu, że Polska i Rosja od wieków trwały w stanie wrogim względem siebie, jak i z tego, że Czesi uważali się za naród znacznie wyżej stojący pod każdym nieomal względem. Stąd odnoszenie się do Polaków było nieco protekcyjne, a nawet lekceważące, jako do czynnika, który nie ma warunków do odegrania wybitnej roli na arenie międzynarodowej.

Tendencje te zarysowują się bardzo wyraźnie już w czasie konferencji pokojowej w Wersalu, gdzie Czesi zdobywają sobie duży wpływ kosztem Polski. Dość wspomnieć o chęci zagarnięcia całego Śląska Cieszyńskiego, a gdy się to nie udaje, wyznaczony zostaje plebiscyt. W styczniu 1919 r. Czesi napadają podstępnie na wschodnią część Śląska Cieszyńskiego, zapędzając się aż pod Skoczów. Polska będąca w stanie wojny z Rosją, dąży do ugody i zmuszona jest przyjąć jako granicę rzekę Olzę, zostawiając na zachód od tej granicy około 200.000 ludności rdzennie polskiej i patriotycznej, która dała duży wkład w walkę o Polskę i później w odbudowę Państwa Polskiego. Sam Massaryk przekonany jest wtedy, że Polska wojny w 1920 r. z Rosją nie wygra, że jest tylko państwem sezonowym i że wiązać się z nią zbyt nie warto, zwłaszcza, gdy się ma za sprzymierzeńca Francję, małą Ententę i duże możliwości porozumienia się z Rosją pod auspicjami Francji, co oczywiście odbyć się mogło tylko kosztem Polski.

Ta polityka, początkowo Massaryka, a później Benesza — zaciążyła nad stosunkami polsko-czeskimi. Na terenie Ligi Narodów Benesz przez dłuższy czas ma lepszą pozycję niż Polska, a na wewnątrz Czesi prowadzą wynaradawiającą politykę w stosunku do Polaków na Zaolziu. Ponadto irredenta ukraińska znajduje dla siebie wygodny azyl w Czechach, skąd prowadzi swą działalność na terenie Polski. W Pradze istnieje uniwersytet ruski, mniej dla nauki a bardziej jako schronienie dla ruchu ukraińskiego i antypolskiego. Od czasu do czasu Polska posyła noty, ale otrzymuje odpowiedzi więcej niż niewystarczające.

Tym niemniej przed 1930 r. i jeszcze później — ze strony polskiej zostały poczynione próby nawiązania bliższych stosunków. Próby te trafiały na życzliwy grunt w armii czeskiej, a katastrofa Żwirki i Wigury dała okazję do bardzo serdecznej manifestacji ze strony tej armii.

Mimo tych objawów, polityka czeska nie odchodzi ani na krok od swych tradycyjnych założeń, a mianowicie: z jednej strony opiera się na gwarancjach francuskich, z drugiej strony — ciąży zawsze ku Rosji, widząc w niej dla siebie stałe oparcie i marząc o wspólnej granicy z Rosją — poprzez Małopolskę Wschodnią.

Po przyjściu do władzy Hitlera, kiedy marsz. Piłsudski „opukuje Europę”, aby zorientować się gdzie są siły, które by skłonne były do współdziałania z Polską — Benes nie zmienia swego stanowiska, mimo wyraźnej skłonności ze strony polskiej.

Na przeszkodzie stały tutaj dwie sprawy: zasadniczo inny stosunek do Rosji, tradycyjnego wroga Polski, zawsze ewentualnego sprzymierzeńca Czech oraz sprawa mniejszości polskiej w Czechach, której wynarodowienie leżało w zasadach czeskiej polityki wewnętrznej. Ponadto Czesi nie zmieniali swego stosunku do irredenty ukraińskiej.

Po pakcie o nieagresji Polski z Niemcami, Czesi od razu nawiązują stosunki z Sowietami i dają u siebie bazę dla antypolskiej propagandy bolszewickiej.

Tak więc Polska i Czechosłowacja wskutek dziedzicznych obciążeń polityki czeskiej nie doszły ze sobą do porozumienia. Wymuszenie na Czechach Zaolzia było już tylko logicznym następstwem wytworzonego stanu rzeczy. Powiększone Węgry, mające wspólną granicę z Polską miały w tej części Europy dostarczyć Polsce tego, czego Polska nie mogła uzyskać od Czechosłowacji tj. ścisłego związku politycznego.

Zasadniczą jednak przyczyną faktu, że Polska nie poparła czynnie Czechosłowacji w rozgrywce o Sudety — było stanowisko mocarstw zachodnich. Polska doskonale zdawała sobie sprawę, że zarówno Francja jak i Anglia ani materialnie ani psychicznie nie są przygotowane do wojny i za wszelką cenę będą jej się starały uniknąć. Owszem, Francja chętnie wmanewrowałaby Polskę do wojny, w obronie Czechosłowacji, ale sama — mimo łączącego ją z Czechami sojuszu — zupełnie nie kwapiła się do poparcia Pragi z bronią w rękę. Wszystko więc przemawiało za tym, że gdyby Polska w jesieni 1938 r. wystąpiła po stronie Czechosłowacji — mocarstwa zachodnie zamiast czynnej pomocy udzieliłyby nam — pochwały, a na wypadek wojny przyjęłyby wyczekującą postawę widza... Zachowanie się Francji w Monachium najzupełniej potwierdza to przewidywanie. Przy ówczesnym stanie zbrojeń niemieckich Polska nie mogła liczyć z pomocą samej tylko Czechosłowacji na zwycięstwo nad Rzeszą, zwłaszcza, że — pomijając nawet problematyczną wartość żołnierza czeskiego — po „Anschlussie” Austrii granica Czechosłowacji była otwarta od południa dla wojsk niemieckich, które mogły tak samo obejść z boku fortyfikacje w Sudetach, jak na wiosnę 1940 r. obeszły od północy linię Maginota. Polska była gotowa podjąć wspólną akcję przeciw Niemcom, sama dwukrotnie proponowała wojnę prewencyjną — ale nie mogła i nie chciała stawać się ofiarą na przykładzie której mocarstwa zachodnie uczyłyby się dopiero o sile wojskowej Niemiec i nienasyconych ambicjach Hitlera. Pozostało jedynie czekać aż Anglia i Francja przebudzą się wreszcie do czynu.

W r. 1938 na porozumienie polsko-czeskie było już za późno. Przedtem Polska dążyła do współpracy, a nawet sojuszu z Czechosłowacją, lecz polityka czeska nie chciała zamienić oddalanej Rosji na bliską Polskę i uważała, że Polska z jej „korytarzem” jest bardziej zagrożona przez Niemcy, niż Sudety. Czechom brakowało śmiałej decyzji i dalekowzrocz-

ności politycznej, brak też było szczerości w stosunku do Polski. To wszystko odbiło się ujemnie na stosunkach polsko-czeskich.



Narodowy socjalizm nie zna stopnia nasycenia, jest ruchem dynamicznym, zmuszonym do stałej walki i zdobyczy. W tym nastawieniu psychicznym wszystkie środki są dobre, nie ma żadnych umów, żadnych zobowiązań, których warto by było dotrzymać, jeśli one w najmniejszym stopniu krępować miałyby ruch naprzód. Śladem jednej koncepcji idzie druga, za drugą trzecia. Za rasizmem, polityka wschodnia, za nią „Lebensraum”, za nim władztwo nad światem — nie ma końca, nie ma spoczynku, dopóki cały świat nie zostanie zdobyty dla Niemiec. Ale czy i wtedy ten spoczynek by nastąpił? Chyba, że nasycenie wywołałoby bezwład, akumulatory by się wyczerpały. Wtedy nastąpiłby proces rozkładu, którego tragicznych rozmiarów nikt przewidzieć nie jest w stanie. Ale o to już niech bołą głowy narodowych socjalistów. Tymczasem „Vorwärts”! Zdobywać i niszczyć co na drodze dla jakiegoś przyszłego porządku, opartego na mechanice myśli i uczuć, na mechanice ustroju narodowo-socjalistycznego.

Państwa, narody, kultury, społeczności są tylko pionkami na szachownicy, wartość ich jest dla hitleryzmu tylko wartością taktyczną. Tworzy się umowy przy akompaniamencie uroczystych przyrzeczeń, aby w następnej chwili zrywać je, jeśli stoją na przeszkodzie lub są już niepotrzebne, a dawnych sprzymierzeńców porzuca się i niszczy, gdy stoją na drodze, po której kroczą szeregi armii niemieckiej. „Polityka winna służyć prowadzeniu wojny” — mówił Ludendorff. Hitler bezlitośnie obdziera naród niemiecki z kultury zachodniej, wyrwać chce z korzeniami z duszy niemieckiej to, co rzeźbiło ją przez długie wieki, tresując w zamian mózgi i serca, organizując nowe siły, wydobyte z mroków pierwotnej duszy germańskiej. Utrzymał i rozwinął jedno-nowoczesną organizację, wyzyskawszy społeczną i indywidualną dyscyplinę niemiecką, umiejętności techniczne i zdolność do pracy zespołowej. Wszystkie te zalety zaprzął do przygotowania i prowadzenia wojny totalnej.

Dokonał eksperymentu na wielką skalę, tak, że nie tylko obserwatorzy z zewnątrz oczom swoim nie wierzyli, ale i wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania. Przez scentralizowanie problemów, przez rozdział czynności stworzył w krótkim czasie imponującą siłę. Ten wynik przyspieszał jego działania polityczne, a powodzenie w zaborach cudzych ziem rozuchwalało go. Maszyna organizacyjna, popędzana przez dynamizm ideologiczny zaskoczyła świat i samego jej twórcę. Trzeba było działać szybko, aby maszyna nie stanęła. Rozpetane siły zaczęły ciągnąć same. Toteż ostatnie miesiące przed wojną są jakby kalejdoskopem różnych pociągnięć na terenie międzynarodowym, które cechuje pośpiech, aby w chwili, gdy nastąpi maksymalne natężenie maszyny wojennej, cele polityczne, przeciwko którym zamierza się zwrócić, były gotowe. Co państwa zachodnie rozkładały na lata, u Niemców trwało miesiące. Nie zauważono tego procesu w porę, nie doceniono go, myślano nie tylko starymi kategoriami politycznymi, ale nie brano pod uwagę czarodziejskich skutków dynamiki organizacyjnej, pomnażającej wyniki niewspółmiernie do wkładu energii. Naród niemiecki, ograniczony w swych codziennych potrzebach, zaciągnął pas na zapadłym brzuchu i ruszył na rozkaz „Führera”, zorganizowany w armie, zaopatrzone w doskonałe środki walki. Poprzez Polskę — na podbój świata.



— Czy Polska mogła uniknąć wojny?

— Nie tylko Polska, lecz i cała Europa mogła być uniknąć długiej niszczącej wojny kosztem krótkiej i stosunkowo łatwej operacji wojskowej, gdyby przyjęto polską propozycję wojny prewencyjnej z Niemcami, z którą zwrócił się do Francji w roku 1933 marsz. Piłsudski, a którą powtórzył w roku 1936 min. Beck. Po odrzuceniu tej propozycji stale praca naprzód ekspansja hitlerowskich Niemiec musiała wcześniej czy później doprowadzić do wojny — chyba, że wszystkie państwa poddawałyby się Hitlerowi bez walki, jak Austria i Czechy.

— Polska mogłaby uniknąć wojny z Niemcami za cenę wojny z Rosją, gdyby zgodziła się na antysowieckie sugestie Hitlera oraz Goeringa i poszła razem z Niemcami na wschód. Lecz wtedy, nawet po całkowitym wspólnym zwycięstwie, straciłaby na pewno dzielnice zachodnie i stałaby się wasalem Rzeszy. Toteż odmowna odpowiedź, jakiej udzielił Goeringowi marsz. Piłsudski, była całkowicie uzasadniona.

— Rodzi się jednak pytanie następne: czy mianowicie koncepcja min. Barthou, koncepcja aliansu z Rosją mogłaby zapobiec wojnie? Jest to wątpliwe, a gdyby nawet Niemcy zostały wtedy pokonane — Rosja Sowiecka szukałaby niewątpliwie rekompensaty na Polsce i odwetu na klęskę 1920 r. Ponadto czy istnieje pewność, że imperializm rosyjski nie wyciągnąłby ręki do Niemiec, jak to uczynił w roku 1939?

— Więc może uniknęlibyśmy wojny przez sojusz z Czechosłowacją? Przeciwnie: idąc razem z Czechami w 1938 r. mielibyśmy wojnę o rok wcześniej, wojnę bez udziału pacyfistycznie jeszcze nastawionych i zupełnie nieprzygotowanych mocarstw zachodnich, wojnę — bez żadnych widoków zwycięstwa.

— Czy wręcz Polska mogłaby uniknąć wojny przez bezpośrednie rokowanie z Niemcami? Czy może powinna była zgodzić się na oddanie Gdańska i eksterytorialnej autostrady przez Pomorze? — Wydaje się pewne, że autostrada byłaby co najmniej „koniem trojańskim”, a zgoda na nią byłaby jeszcze większą lekkomyślnością, niż ta, którą popełnił ks. Konrad Mazowiecki w XIII w., dając Krzyżakom ziemię Dobrzyńską. Zresztą byłby to jedynie początek. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że po przyjęciu pierwszych żądań Hitlera nastąpiłyby dalsze, że po Gdańsku i Pomorzu przyszłyby kolej na Śląsk, Poznańskie itd. — aż do zupełnego zniszczenia Niepodległości Polski i całkowitego podporządkowania Jej Niemcom. Przecież o taktyce stopniowania żądań Hitler pisał już w „Mein Kampf”, a wypróbował ją z powodzeniem na Czechosłowacji! Polska nie mogła więc w żadnym wypadku liczyć na możliwość zaspokojenia pretensji niemieckich kosztem ograniczonych ofiar ze swej strony, nie mówiąc już o tym, że poczucie honoru i jednomyślna postawa całego Narodu Polskiego nie pozwalały na oddanie bez walki żadnej części naszego terytorium.

Polsce pozostawało jedno: oprzeć się na Anglii i Francji, co też uczyniła. Ale nie była to rzecz prosta i łatwa, bo przez szereg lat Anglia nie chciała się w ogóle mieszać do spraw Europy Środkowo-Wschodniej, Francja zaś, panicznie bojąc się wojny, czyniła Niemcom coraz to dalej idące ustępstwa i to nie zawsze ze swojej kieszeni... Należało przeczekać, aż rozwój wydarzeń zmieni postawę Londynu i Paryża, należało uwchwycić chwilę, kiedy mocarstwa zachodnie zrozumieją konieczność ścisłej współpracy z Polską. To zadanie polityka polska spełniła w sposób możliwie najlepszy, zawierając w sprzyjającym momencie sojusz z Anglią i zacieśniając stosunki z Francją. Dzięki temu Polska we wrześniu 1939 r. nie została odosobniona — mocarstwa zachodnie przystąpiły do wojny. Ale już na to, aby Francja, wypełniając umowę wojskową z Polską, zaatakowała po wybuchu wojny

Niemcy, a Anglia bombardowała z powietrza Rzeszę — wpływu nie mieliśmy. We wrześniu nie pomogła nam czynnie ani Francja, ani Anglia, gdyż do wojny nie były przygotowane i nie spodziewały się tak szybkiego jej wybuchu, utwierdzając zresztą i Polskę w tym przekonaniu.

Stwierdzić więc należy, iż Polska wojny uniknąć nie mogła, jeśli nie chciała skończyć niesławnie. Poniosła i ponosi olbrzymie ofiary, ale dała początek wojnie wyzwoleniczej spod supremacji niemieckiej.



Po upadku Polski w XVIII w. nastąpiło jakby samobiczowanie narodu. Sobie i tylko sobie przypisywali Polacy winę upadku. Nawet nauka polska, czy to ulegając uczuciom ogólnym, czy też dla celów wychowawczych, dopatrywała się przyczyn upadku w nieświecym zresztą stanie wewnętrzno-politycznym.

Stosunkowo niedawno rozważać zaczęto krytycznie ten tragiczny dla Polski moment dziejów na tle stosunków międzynarodowych oraz ówczesnego układu sił politycznych w Europie i w tym układzie sił dopatrzone się jednej z ważnych przyczyn rozbiorów.

Dzisiaj żyjemy pod świeżym wrażeniem klęski, powstają w nas te same uczucia samooskarżenia, jak u naszych pradziadów po rozbiorach.

W blasku zwycięstwa topnieją wszystkie winy, w mroku klęski nawet słabości i omyłki urastają do rozmiarów zbrodni. Ludzie szukają winnych, głoszą pomstę za swój zawód, za swoje nieszczęście.

Nie tylko dlatego należy zdobyć się na sąd krytyczny, aby wyzwolić się z zamętu uczuć, nie tylko dlatego należy sięgnąć myślą w splót wydarzeń historycznych i dociekać prawdy, ażeby przez samooskarżenie nie umniejszać i nie poniżać własnych wartości — ale dlatego, aby móc radować się chwałą przyszłego zwycięstwa nad złem, aby odetchnąć pełną piersią, a nieuszczipłone siły oddać z wiarą w Polskę — Polsce.

Edward RYDZ-SMIGŁY

**NIEZNANE
LISTY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO**

s. 142

W roku 1935 — może w ostatnich tygodniach życia marszałka Piłsudskiego, może raczej wnet po jego zgonie — otrzymaliśmy, Leon Wasilewski i ja, paczkę jego listów, pisanych z zesłania syberyjskiego. Przyniosła je nam zamieszkała wówczas na Żoliborzu starsza już pani; wręczając je — prosiła o to tylko, by nie ogłaszać tych listów przed jej śmiercią.

Paczka zawierała 34 listy z okresu od 31 grudnia 1889 r. do 11 grudnia 1891 r. List ostatni, trzydziesty piąty, pisany był w sierpniu 1893 r., już po powrocie z Syberii do kraju. Dwa pierwsze z tych listów pisane były do Stanisława Landy'ego, przebywającego wtedy w Irkucku; jeden — do krewniaka w Wilnie, jeden do Celiny Bukont w Wilnie; wszystkie pozostałe do Leonardy Lewandowskiej.

Paczkę tych listów otrzymaliśmy w momencie, gdy po paru latach pracy badawczej i przygotowawczej rozpoczynaliśmy w „Niepodległości” — wydawnictwie Instytutu Badania Najnowszej Historii Polski — w Warszawie, druk listów Józefa Piłsudskiego z okresu jego konspiracyjnej pracy z lat 1893-1908 (1). Tę samą metodę badawczą i przygotowawczą zastosowaliśmy do listów syberyjskich; opracowane przez nas — zaopatrzone w niezbędne uwagi i przypisy — czekać miały w ukryciu do momentu, ustalonego przez ich właścicielkę-adresatkę.

Ogłoszenie ich dziś wymaga przedstawienia tła i warunków, w jakich były pisane. Przede wszystkim: za co poszedł Piłsudski na Sybir?

Na przełomie lat 1886-1887 nieliczna grupka „terrorystów” rosyjskich w Petersburgu z czołową w niej postacią Al. Uljano-

(1) Listy te ukazywały się w każdym zeszycie „Niepodległości”, poczynając od nr 30 (tom XII) z lipca r. 1935 do nr. 55 (tom XX) z września 1939 r. Druk tych listów (ogłoszono razem 128 listów z okresu: luty 1893 prawie do końca r. 1898) przerwała wojna we wrześniu r. 1939. Wszystkie ukazywały się podpisane przez nas obu, choć Leon Wasilewski zmarł w grudniu r. 1936.

wa starszego brata późniejszego Lenina — postanowiła dokonać zamachu na cara Aleksandra III. Byli to epigoni bohaterskiej, ale wtedy rozbitej już i nieistniejącej „Narodnej Woli” — garstka młodych studentów o zbyt śmiałych zamierzeniach, zespoli o charakterze przypadkowym, epizodycznym, bez zaplecza w zamierających wtedy rosyjskich sferach rewolucyjnych, czy nawet wśród młodzieży uniwersyteckiej. Zamach na cara przygotowywano w ciągu paru miesięcy; nie wykonano go jednak, gdyż policja przypadkowo wpadła na ślady spisku i 1/13 marca 1887 r. aresztowała na ulicy sześciuosobową grupę z gotową bombą czekającą na przejazd cara na rocznicowe nabożeństwo żałobne. Następnie na podstawie zeznań jednego z ujętych, aresztowano kilkunastu innych, bardziej lub mniej z tym spiskiem związanych.

Sprawę „piętnastu zamachowców” rozpatrywała „specjalna sesja Senatu” w Petersburgu w dniach od 27 kwietnia do 1 maja r. 1887. W wyniku tego procesu wszyscy oskarżeni zostali skazani na śmierć na szubienicy; wraz z wyrokiem jednak odczytano uchwałę o zwróceniu się do cara z wnioskiem o złagodzenie kary; ostatecznie pięciu, z Uljanowem na czele, otrzymało wyroki śmierci; stracono ich w twierdzy szlisselburskiej 8/20 maja 1887 r. Innym wyroki śmierci zamieniono bądź to na bezterminowy pobyt w twierdzy szlisselburskiej, bądź też na długie lata katorgi syberyjskiej.

Z tą właśnie „frakcją terrorystyczną Narodnej Woli” — bo tak sama siebie nazywała — los związał, w nierównym jednak stopniu, grupkę młodych Polaków z Wilna: Józefa Łukaszcwicza, Bronisława i Józefa Piłsudskich, Konstantego Hamoleckiego i Tytusa Paszkowskiego. Z tej polskiej garstki rolę nader czynną przy boku Uljanowa odegrał w spisku Łukaszcwicz, starszy o dwie klasy gimnazjalny kolega braci Piłsudskich, podówczas studiujący w Petersburgu; to on, przy pomocy Uljanowa, skonstruował bombę, jakiej użyć zamierzano w zamachu; Bronisław Piłsudski, wówczas także studiujący w Petersburgu, wciągnięty został do spisku przez Łukaszcwicza; na prośbę spiskowców udzielił im swego studenckiego mieszkania na tajny druk „programu Frakcji”, wykonał też kilka ich poleceń — zdobywał w Wilnie potrzebne spiskowcom chemikalia, pożyczał im pieniądze, pośredniczył w staraniach o zdobycie dla nich większej sumy, udzielił wreszcie w wileńskim mieszkaniu swej ciotki parodniowej gościny jednemu ze spiskowców petersburskich, przybyłemu do Wilna na parę dni dla załatwienia spraw, związanych z przygotowaniem zamachu na cara.

Józef Piłsudski, przebywający wtedy w Wilnie — gdyż po rocznych studiach w Charkowie wniósł podanie o przeniesienie go na wydział lekarski w Dorpacie — czas oczekiwania na załatwienie formalności, związanych z tym przeniesieniem, wypełniał pracą w tajnych kółkach młodzieży wileńskiej. W

sprawie „piętnastu” rolę miał bardzo ograniczoną, wykonał bowiem tylko parę nikłych w treści próśb i poleceń brata Bronisława. Mimo to został aresztowany 22 marca r. 1887 i po dziewięciodniowym zamknięciu w więzieniu wileńskim — 2 kwietnia — odwieziony pod silną eskortą do twierdzy Piotra i Pawła w Petersburgu. Władze rosyjskie w toku śledztwa nie zdołały ustalić „stopnia winy” wszystkich, ani wytropić jaskrawszych dowodów przeciw Józefowi Piłsudskiemu. Toteż wyłączono go ze śledztwa, ale zatrzymano w twierdzy, gdyż miał stanąć i stanął przed sądem jako świadek. Po ogłoszeniu wyroku sądowego w sprawie „piętnastu” — został 20 kwietnia (2 maja) 1887 r. skazany w drodze administracyjnej na pięć lat zesłania do Syberii Wschodniej (2).

Piłsudski przebywał w Kireńsku do lipca r. 1890, kiedy to przeniesiony został do Tunki, niewielkiej wsi w kraju Buriatów, leżącej w odległości około 200 wiorst od Irkucka, w pobliżu gór Sajańskich. W trakcie tej przeprowadzki zatrzymał się, za zgodą władz, na parę tygodni w Irkucku. Z Kireńska wyjechał w połowie lipca, do Tunki przybył 6 sierpnia 1890 r. i spędził tu ostatnie, niecałe dwa lata swego wygnania.

W Kireńsku zastał Piłsudski kilkunastu Polaków; wegetowała tu — dogasając — niewielka garstka powstańców z r. 1863; byli to przeważnie żandarmi powstańczy, ze szczególną surowością traktowani przez władze carskie: pozbawiono ich prawa do korzystania z ogłaszanych amnestyj, toteż i w ćwierć wieku po powstaniu tkwili jeszcze wśród tych syberyjskich lasów i śniegów. Władze lokalne były pobłażliwsze i życzliwsze — w każdym razie paru z powstańców — może i nie żandarmów powstańczych — potrafiło zdobyć tu sobie i majątek, i szacunek otoczenia. Kontakty młodego Piłsudskiego z nimi nie mogły ulegać wątpliwości, trwalsze ślady jednak pozostały tylko po zawartej tu przyjaźni z rodziną Stanisława Landy'ego, u którego Piłsudski spędzał „całe dnie” i „wkrótce stał się jakby członkiem rodziny”. Przyjaźń z przybyłą tu nieco później Leonardą Lewandowską, siostrą i szwagierką małżeństwa Landy'ów, starszą o kilka lat od Piłsudskiego, przerodziła się wnet w pierwsze w życiu głębsze i trwalsze uczucie.

Stanisław Landy, do którego pisane były dwa pierwsze z ogłaszanych tutaj listów, należał do pionierów ruchu socjalistycznego w Polsce; aresztowany przez Rosjan za tę działalność, w okresie oczekiwania na proces wziął czynny udział

(2) Wydarzenia, związane z tą sprawą, szczegółowo przedstawiłem w szkicu pt. „Niedoszły zamach 13 marca 1887 r. i udział w nim Polaków”, w „Niepodległości”, tom X, na str. 21-35, poza tym w książce mej: „Józef Piłsudski, 1867-1901, W Podziemiach Konspiracji”, wydanej w Warszawie, w r. 1934-1935, na str. 85-107. Wyzyskałem tam materiały, polskie i rosyjskie, zdobyte w r. 1932, w wyniku osobistych poszukiwań w Moskwie, Leningradzie i Charkowie. Tamże wszystkie te źródła wymieniłem.

w gwałtownym proteście więźniów w Cytadeli warszawskiej z powodu zamordowania przez straż uwięzionego Józefa Bajtego 12 lipca r. 1879, za co wraz z Wacławem Sieroszewskim skazany został na 12 lat katorgi, zamienionej później na zesłanie (3). W drodze na Sybir, w centralnym więzieniu w Wyżnim Wołoczku nad Wołgą, partię, w której siedł, połączono z grupą skazańców z Odessy. Była wśród nich Polka, Felicja Lewandowska, skazana na długie zesłanie syberyjskie. Poznali się w drodze, na „barce areztanckiej”, płynąc z Niżniego Nowgorodu; po przybyciu do Irkucka zaręczyli się. Stąd Stanisław Landy „wyprawiony” został do wsi Zawołoka w okręgu Kireńska, później do Żdanowa nad Niżnią Tunguską — miejscowości „oddalonej i bezludnej”. Po ośmiu miesiącach, w grudniu r. 1880, przybyła tu do niego, w wyniku niełatwych zabiegów, narzeczona, Felicja Lewandowska. Po dwóch latach wspólnego życia, w najprymitywniejszych i najcięższych warunkach, w październiku 1882 r. uzyskali zgodę władz na osiedlenie się w bardziej ucywilizowanym Kireńsku. Landy znalazł tu pracę u jednego z powstańców styczniowych, który dorobiwszy się znacznego majątku — prowadził „duże interesy” — „miał dostawy do kopalni złota”. W Kireńsku spędzili Landy'owie sześć lat; w listopadzie r. 1888, w trosce o dzieci, które trzeba było oddać do szkół, przenieśli się — po wielu staraniach — do Irkucka, „stolicy Syberii Wschodniej”. Tu, dzięki przyjaznemu poparciu ze strony paru polskich zesłańców, uzyskał Landy pracę w firmie milionera syberyjskiego Gromowa; z czasem wybije się na czoło i zostanie kierownikiem głównym tego olbrzymiego przedsiębiorstwa (4).

Żona jego, Felicja (lub Feliksa) z Lewandowskich — pochodząca zapewne z Ukrainy lub z Odessy, należała do tzw. „południowej grupy” rewolucjonistów rosyjskich; władze car-

(3) Zob. o tym u F. Perla: „Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim”, tom pierwszy, Kraków, 1910, na str. 70-71; o J. Bajtym u L. Krzywickiego „Wspomnienia”, Warszawa, 1957, tom pierwszy, na str. 199, tom drugi na str. 84-85 i 450. Szczegóły w relacji siostry Bajtego w „Niepodległości”, tom XV, str. 400-403. Wreszcie u W. Sieroszewskiego: „Dziesiąty pawilon” w tomie „Pamiętniki-Wspomnienia”, Kraków, 1959, na str. 176.

(4) Krótkie wzmianki o Felicji Lewandowskiej u W. Sieroszewskiego w „Ciupasem na Syberię” w tomie „Pamiętniki-Wspomnienia” na str. 213 i 251. Szczegóły, podane w tekście, czerpię ze wspomnienia Felicji z Lewandowskich Landy'owej pt. „Stanisław Landy na Syberii”, ogłoszonego w „Kronice ruchu rewolucyjnego w Polsce”, zeszyt 2/6, Warszawa, 1936, na str. 104-108. Landy'owie po latach przenieśli się z Irkucka do Moskwy. Landy zmarł w Petersburgu 12 grudnia 1915 r. Pracę u Gromowych w Irkucku uzyskał dzięki pomocy zatrudnionych tam Polaków: Bolesława Szestakowicza, skazanego za pomoc, okazaną Jarosławowi Dąbrowskiemu w jego ucieczce z więzienia w 1863 r. oraz Stachiewicza, ożenionego z Lidią Figner, młodszą siostrą głośnej rewolucjonistki Wiery Figner, z kierownictwa „Narodnej Woli”.

skie w r. 1879 dokonały pogromu tej grupy. Lewandowska była jedną z oskarżonych w „procesie 28-miu”, jaki toczył się w Odessie w lecie r. 1879: pięciu głównych oskarżonych — Lizoguba, Czubariowa, Dawidenko, Wittenburga i Łogowienko — skazano na śmierć; wyrok wykonano; inni otrzymali wyroki skazujące na długie lata katorgi. Felicji Lewandowskiej, liczącej wtedy 26 lat, i „jeszcze czterem innym” złagodzono karę, zamiast katorgi: zesłanie (5).

Nie zdołałem, niestety — w emigracyjnych warunkach pracy — ustalić: kiedy, za co i na jaką karę skazana została młodsza siostra Felicji Lewandowskiej, Leonarda; nie znalazłem żadnego śladu, który pozwoliłby określić, od kiedy przebywała w Syberii i gdzie początkowo. Tylko z ogłaszanych tu listów Piłsudskiego do niej wynika, że przybyła — nie wiadomo skąd — do Kireńska na wiosnę lub w początku lata 1889 r., a więc zapewne w jakieś pół roku po wyjeździe Landy'ów do Irkucka. Z pierwszego listu Piłsudskiego do niej widać, że opuściła Kireńsk 19 marca r. 1890, udając się do siostry i szwagra w Irkucku. W liście do niej z 22 kwietnia r. 1890 Piłsudski pisał: „Winszuję tobie, dziś kończy się twoje wygnanie, i ty zupełnie swobodna!”... Zatrzymała się jednak w Irkucku u siostry i czekała na przejazd Piłsudskiego z Kireńska do Tunki. Przybył by się z nią pożegnać, w początku drugiej połowy lipca r. 1890. Po tym pożegnaniu wyruszyła z Irkucka do rodziny w Rosji 30 lub 31 lipca. Miała być w Wilnie, toteż Piłsudski, wyzyskując okazję, wysyłał przez nią listy do krewniaka w Wilnie i do Celiny Bukontówny tamże. Do Wilna wszakże nie dojechała. Toteż listy Piłsudskiego do „Wiciuka” i do Bukontówny zachowały się u niej. Tak samo zatrzymała dla siebie i zachowała dwa listy Piłsudskiego do jej szwagra, Stanisława Landy'ego (6).

W ogłaszanych tu listach Piłsudskiego do niej trzy momenty wymagają obszerniejszego komentarza.

Dzisiejszego czytelnika uderzy w nich niewątpliwie ostry i niespodziany zwrot w ich wzajemnym stosunku, ujawniony tak

(5) O „grupie południowej” zob. u J. Kucharzewskiego: „Od białego caratu do czerwonego”, tom piąty, na str. 218-230; nie ma tu u niego żadnej wzmianki o Lewandowskiej. Krzywicki w swoich „Wspomnieniach”, tom drugi, na str. 42, 54, 431-432 pisze z uwielbieniem o Lizogubie, ale o Lewandowskiej nie wspomina. Wł. Burcew w części drugiej swej pracy: „Za sto lat”, Fond Wolnoy Russkoj Priessy, Londyn, 1897, na str. 100, wymieniając nazwiska oskarżonych i skazanych w Odessie, podaje, niechybnie omyłkowo: „Feliks Lewandowski, 26 lat”.

(6) W Rosji przebywała zrazu w Orle, potem — krótko — w Mikolajewie pod Odessą, później znowu w Orle, wreszcie — na czas dłuższy nieco osiadła w Odessie. Nie wiem, kiedy przybyła do Polski. Była jednak w Warszawie już w lecie r. 1893. Poznałem ją osobiście w r. 1935, o czym zob. w szkicu moim „Skoro nie szablą to piórem” w „Kulturze” nr 5/151 1960, na str. 128-129.

jaskrawo w liście ostatnim — już z Ciechocinka, z sierpnia r. 1893. Powody tego zwrotu musiały być zawarte w kilku listach brakujących. Braki te — w dwóch okresach: między 20 maja r. 1891 a 11 grudnia tegoż 1891 r. oraz między grudniem 1891 a sierpniem r. 1893, stwierdziłem, wspólnie z Leonem Wasilewskim, bezpośrednio po otrzymaniu oryginałów od właścicielki. Nie zdołaliśmy ustalić powodów tego braku. Może listy brakujące zaginęły, może zostały celowo zniszczone przez adresatkę. Do takiej supozycji upoważnia w pewnej mierze list z 11 grudnia r. 1891, dający pewne, zresztą także tylko ułamkowe światło w tej sprawie; ocalał on może dzięki temu, że adresatka potraktowała go omyłkowo jako list o rok wcześniejszy i w tym mylnym mniemaniu dołączyła go do zbioru pod numerem 24, gdy — jak to z treści jego ponad wszelką wątpliwość wynika — jest w rzeczywistości listem nr 34, o rok późniejszym.

Obszerniejszego nieco komentarza wymagają również dwa listy: nr 13 z 20 sierpnia 1890 r. i nr 21 z 26 listopada 1890 r., oba z krótkimi wzmiankami o Bronisławie Szwarcem. W literaturze o Piłsudskim utrwalił się sąd o przyjaźni zawartej przez Piłsudskiego ze Szwarcem już na Syberii i o wpływie Szwarcego na młodego wygnańca. J. Grabiec-Dąbrowski w swoich wspomnieniach o „Czerwonej Warszawie przed ćwierć wiekiem” (Poznań, 1925, na str. 79) jeśli nie posunął się najdalej, to w każdym razie przyczynił się najbardziej do powstania i utrwalenia tej legendy. Pisał bowiem, że pod wpływem Szwarcego młody Piłsudski stawał się „jakby łącznikiem między pokoleniami” i że — dzięki Szwarzemu — „wiele cech istotnych hasła powstania styczniowego przeniósł do (późniejszego) programu P.P.S.”. Listy tunkińskie Piłsudskiego z krótkimi tylko wzmiankami o Szwarzem przekreślają tę legendę. Piłsudski — to prawda — nasyci późniejszą P.P.S. tradycjami roku 1863, co najjaskrawiej wystąpi w Organizacji Bojowej z lat 1906-1908. Później sam też często wspominał o Szwarzem i nazywał go swoim „starym przyjacielem”. Ale przyjaźń ta musiała się ukształtować w okresie późniejszym, we Lwowie, w kilka lat po powrocie z Syberii. W Tunce Piłsudski i Szwarce wspólnie ze sobą krótko, gdyż Szwarce już w r. 1891, w kilka miesięcy po przybyciu Piłsudskiego z Kireńska, wrócił do kraju.

Wreszcie — komentarza wymaga list nr 8 z 21 lipca r. 1890 z ostrym i surowym sądem o ojcu. W literaturze o Marszałku istnieją sprzeczne próby: z jednej strony usprawiedliwienia eksperymentów gospodarczych ojca w Zułowie, z drugiej — ostrego ich osądzenia. Powtarzają się więc zarzuty: „bałaganiarstwa” i „rozpaczliwej nieudolności”. Najdalej w zarzutach posuwa się na ogół rzetelny i prawdomówny Ludwik Krzywicki („Wspomnienia”, tom 3-ci, na str. 262-263). Jest jednak w tych przykładach i osądach sporo tej przesady, która zwykle towarzyszy akcji niewięficznej powodzeniem. Synowie już

w młodości wypowiadali o gospodarce ojca sądy bardzo surowe. Bronisław w dzienniku szkolnym przytaczał z gospodarki ojca jaskrawe, drastyczne przykłady, nie szczędząc ostrych uwag. Po latach, jako dorosły człowiek, w relacji udzielonej Wacławowi Sieroszewskiemu, powie o ojcu: „umysł wszechstronny, encyklopedyczny, ale do pracy praktycznej niezdolny”; „do maniactwa uparty”. Młodszy syn Józef sąd swój najostrzejszy wyraził w ogłoszonym tu liście do krewniaka w Wilnie; w listach innych też nie brakuje, co prawda ogólnych i łagodniejszych, wzmianek, będących wyrazem troski o majątkowy stan własny i rodziny.

Jak zaznaczyłem już wyżej, ogłaszając dziś syberyjskie listy Piłsudskiego, stosuję tę samą metodę, jak i w wypadku jego listów konspiracyjnych, ogłaszanych przed wojną w „Niepodległości”, z tą tylko różnicą, że nie wprowadzam żadnych poprawek, nawet tam, gdzie autor popełnia omyłki ortograficzne czy stylistyczne; zachowuję jak najściślej ówczesną pisownię autora, a także jego bardzo swoistą metodę w używaniu znaków pisańskich — a więc posługiwanie się przecinkiem raczej w wyjątkowych tylko wypadkach, i bardzo częste nieużywanie kropek między zdaniem, mimo, iż nowe zaczyna dużą literą.

Poza tym odbiegam od tyle jeszcze od przedwojennej metody w „Niepodległości”, iż nie chcąc obciążać listów nadmierną ilością przypisów wyjaśniających, uznałem za wskazane większość ich wyodrębnić i dać je nie pod każdym z listów, lecz tu, w uwagach wstępnych, a to tym bardziej, że wiele postaci pojawia się w tych listach wielokrotnie, powtarza się też wiele spraw, kwestii, szczegółów. Wreszcie tu również podaję, we własnym przekładzie, polskie brzmienie zdań, zwrotów, powiedzeń czy luźnych wyrazów, użytych i wyrażonych przez autora po rosyjsku.

A więc — postacie:

Adaś — jeden z młodszych braci J. Piłsudskiego, Adam, ur. w r. 1869; zmarł w czasie ostatniej wojny.

Awerburg — urzędnik akcyzy, u którego Józef Piłsudski pracował w Kireńsku zarobkowo, jako pisarz kancelaryjny.

Bałabucha Siergiej — student medyk z Kijowa, syn właściciela znanej cukierni, na zesłaniu pracował jako lekarz.

Bohoraz — znany później pisarz rosyjski Tan.

Broniś — Bronisław Piłsudski, starszy o rok od Józefa, skazany w sprawie niedoszłego zamachu na cara Aleksandra III na 15 lat katorgi na Sachalinie. Zmarł w Paryżu w r. 1918.

Bukont Celina — córka drobnego szlachcica w okolicy dworu Adamowskiego Kacpra Billewicza, dziadka matki Marszałka; Bukontówna od dzieciństwa wychowywała się w Adamowie razem z matką Marszałka. Przyjaźń, zawarta w dzieciństwie, wiąże je na całe życie. Bukontówna pozostanie aż do zgonu matki Marszałka najwierniejszą jej towarzyszką i pomocnicą w sprawach domu i wychowania dzieci. W domu Piłsudskich uważana była za członka rodziny.

Celina, Celinka — zob. Bukontówna.

Ciocia — zob. Lipmanówna Stefania.

Maniłow — bliżej nieznan. Wł. Burcew w „Za sto let” wymienia na str. 112 Wiktora Maniłowa, skazanego w Charkowie w r. 1882 na cztery lata katorgi; na str. 127 mówi o próbie jego ucieczki z okolic Wiercholeńska w r. 1886, aresztowany wnet potem w Moskwie.

Demon — zob. Diemjanowskij.

Diemjanowskij Włodzimierz — Ukrainiec z Połtawy; według Burcewa sądzony w Charkowie w r. 1882.

Engel — według Burcewa (str. 125) aresztowany w Charkowie w końcu r. 1885; skazany na 5 lat Syberii Wschodniej; próbował jesienią r. 1886 uciec z rejonu Akmolińska.

Feliksa — Lewandowska-Landy'owa Felicja.

Janek — jeden z młodszych braci Józefa Piłsudskiego, Jan ur. w r. 1876; prawnik, adwokat w Wilnie; poseł na Sejm, wicemarszałek Sejmu w r. 1930, minister skarbu w r. 1931; w r. 1939 aresztowany przez Rosjan, przeszedł przez więzienia na Łubiance i w Butyrkach; zmarł w Anglii, w Penley, 21.XII. 1950.

Jemieljanczenko — według Burcewa (str. 129) aresztowany w Odessie w r. 1887, zbiegł z Syberii w r. 1892; aresztowany ponownie w r. 1895.

Juszczyński Stefan, działacz z polskiego „Proletariatu”, z grupy Marii Bohuszewiczówny; aresztowany w Warszawie w r. 1885; po dwóch latach Cytadeli warszawskiej wywieziony do Syberii Wschodniej; przebywał w Tuncie; jest autorem krótkiego wspomnienia: „Z pobytu w Tuncie”, ogłoszonego w „Niepodległości” tom IV 1934 na str. 179-183.

Katkow Michaił — publicysta rosyjski, profesor, redaktor „Moskiewskich Wiedomości”, ur. w r. 1818 zm. w r. 1887; propagator carskiego panslawizmu, zagorzały wróg polskości i ruchów wolnościowych rosyjskich.

Kranichfeld Wiktor — ożeniony z Ewelina Ulanowską, związany ze „sprawą jakucką”.

Lidja Pawłowna — zob. Łojko.

Lipmanówna Stefania — wnuczka po kądzieli szambelana Wincentego Billewicza, spokrewniona blisko z rodziną Piłsudskich; w r. 1863 skazana na zesłanie; po powrocie przebywała w Żułowiu u Piłsudskich, później w Wilnie; w r. 1892 przeniosła się z Litwy do Woroneża dla pracy zarobkowej; zmarła w r. 1909; pochowana na wileńskiej Rossie.

Lola — Helena Landy'ówna, urodzona 19 marca, stąd: „solenizantka w jeden dzień ze mną”.

Ludka — siostra J. Piłsudskiego, Ludwika, zamężna za Ludwikiem Majewskim, ur. w r. 1879, zmarła w 1924.

Łacki Włodzimierz, należał do warszawskiego „Proletariatu”; aresztowany w Warszawie jednocześnie z Juszczyńskim — zob.; wspomina o nim Juszczyński w „Niepodległości”, W. Sieroszewski w „Pamiętnikach-Wspomnieniach” na str. 509.

Łojko Lidja aresztowana w Charkowie w r. 1886, razem z Balabuchą — zob.; Piłsudski mógł ją znać, czy słyszeć o niej za czasu swoich studiów w Charkowie.

Mancewicz Michał — należał do warszawskiego „Proletariatu”; aresztowany w Warszawie razem z Juszczyńskim; urodzony w pobliżu Prużany, gdzie ojciec jego zarządzał ogromnym kluczem lasów, „puszczą Rożańską”; „wychowaniec puszczy” — stąd jego zamiłowanie do „włóczęgi po tajdze syberyjskiej”. O jego pobycie w Tuncie zob. u Kazimierza Pietkiewicza „Michał Mancewicz i jego czasy” w „Niepodległości” tom III 1931, na str. 226-250.

Michalewicz Afanasij, Ukrainiec, lekarz, aresztowany w południowej Rosji w r. 1884; skazany na 5 lat Syberii Wschodniej — zob.

u Burcewa na str. 121. Żona jego — Katarzyna. Dzieciom jego udzielał lekcji zrazu Br. Szwarce, po nim Józef Piłsudski.

Morejnis Misza — nieznan; Burcew wymienia na str. 117: Fanni Morejnis z Odessy, wyrok w r. 1883 — 4 lata katorgi.

Michał — zapewne Aleksander Sulkiewicz, Tatar z pochodzenia, jeden z najwybitniejszych działaczy rodzącej się wtedy P.P.S., niezrównany przemysłnik „bibuły” partyjnej.

Oleś — Aleksander, syn Stanisława i Felicji Landy'ów.

Pauli — według Burcewa (str. 115) aresztowany w Petersburgu w drukarni tajnej, w r. 1883; w r. 1886 próbował uciec z Jenisiejska; ale schwytany — osadzony został za karę w kraju Jakutów. Z czasem zde-maskowany zostanie jako tajny współpracownik policji.

Profesor — zob. Rymkiewicz Dominik.

Rklicki — zesłaniec, Rosjanin z Ukrainy; w Tuncie znany był wśród zesłańców ze swej tęsknoty do pszczelnictwa; marzył o pasiece, bo — jak mówił: „do czegoś więcej jestem zdolny?”. Z czasem został wybitnym statystą i ekonomistą; otrzymał szereg nagród naukowych; jego opowiadania o Tuncie ukazywały się w najpoczytniejszych pismach rosyjskich.

Rymkiewicz Dominik — w r. 1893 należał do grupki socjalistów polskich w Wilnie, pracował w jednym z banków; „profesor” — to jego pseudonim konspiracyjny.

Siergiej Pawłowicz — Bałabucha, zob.

Szwarc Bronisław — postać niemal czołowa w Komitecie Centralnym z r. 1862; za pobytu w Tuncie miał za sobą 28 lat odbytej kary: twierdzy szlisselburskiej i turkiestańskiej, więzienia w Tomsku, zesłania w Syberii; mimo podeszłego wieku był pełen zapału; w oczach jego niepodległość kraju jest jedynym godnym Polaka celem, powstanie zbrojne zaś jedynym środkiem do tego celu; do młodego ruchu socjalistycznego ustosunkowany był z dużą dozą życzliwości, raziło go jednak stanowisko „proletariatchyków” w sprawie polskiej; nazywał ich „czerwonymi organicznikami”. Długi pobyt w twierdzach, w samotności, odbił się na jego umysłowości i psychice; w twierdzy czytać mógł tylko książki o treści filologicznej i geograficznej, bo innych mu nie dawano; Juszczyński pisze o nim: „Nie było zdaje się na świecie takiej małej rzeczki lub miłośnicy, o której by nie wiedział... zajmował się astrologią i wyniki swoich studiów astrologicznych przenosił na misternie kreślone mapy, na których były wyrysowane nieistniejące morza, góry, rzeki”. O tych czy podobnych „bzcikach” myślał Piłsudski, pisząc do Leonardy Lewandowskiej o Br. Szwarcem.

Tichomirow Lew — ur. w r. 1850, zm. w r. 1917; znany działacz „Narodnej Woli”; w r. 1888 wyrzekł się swej rewolucyjnej przeszłości, ogłaszając broszurę: „Dlaczego przestałem być rewolucjonistą?”. Pozwolono mu wrócić do Rosji. L. Krzywicki porównuje go z postacią Szatowa z „Biesów” Dostojewskiego. Był może jedynym wśród Rosjan działaczem, który zrywając z ruchem — po „czystoserdecznej” spowiedzi nie zdradził nikogo.

Tonkowied — zesłaniec, miał skład spirytusu, wyróżniał się zamożnością.

Ułanowska Ewelina — działaczka rewolucyjna; zob. o niej u Burcewa na str. 130; żona Kranichfelda — zob.

Us — zesłaniec, Ukraińiec, ożeniony z siostrą Michalewicz — zob.

Wanda, Wandeczka — córeczka St. i Felicji Landy'ów.

Wiszniałow — Rosjanin, zesłaniec, b. żołnierz z głośnego procesu o przygotowanie ucieczki Nieczajewa.

Wilczyński — niechybnie Władysław Wilczyński, z warszawskiego

„Proletariatu”, aresztowany w Warszawie razem z Juszczyńskim i Mancwiczem — zob.

Wojnicz Michał Wilfred — „proletariatczyk”, aresztowany w Warszawie, razem z Juszczyńskim — zob.; za pobytu na Syberii próbował popełnić samobójstwo; wkrótce potem zbiegł zagranicę; z czasem został znanym antykwariuszem w Londynie i N. Jorku. Ożenił się z Angielką, powieściopisarką; dorobił się znacznego majątku i miał rozległe stosunki w Anglii i Ameryce.

Zinio, Ziniak — Kazimierz, jeden z młodszych braci J. Piłsudskiego, ur. w r. 1871; w r. 1939 aresztowany przez Rosjan w Wilnie, razem z bratem Janem; więziony na Łubiance w Moskwie; zmarł w Bucharze w listopadzie r. 1941.

Zula — Zofia, zamężna Kadenacowa, starsza siostra Józefa Piłsudskiego, ur. w r. 1865; zmarła w Wilnie w r. 1935.

„Głos” — znany tygodnik warszawski, założony w r. 1886, skupiający odłamy radykalno-demokratycznej inteligencji różnych odcieni, redagowany przez Jana Popławskiego i Józefa Bohusza-Potockiego.

„Jakucka historia” — próba zbrojnego buntu więźniów politycznych w Jakucku 21 marca r. 1889 r. Władze, tłumiąc bunt, spowodowały śmierć sześciu więźniów, 27 innych oddano pod sąd. Sądzeni w Irkucku w r. 1892, skazani na osiedlenie w okręgu jakuckim.

Kara — więzienie-katorga, odległa o 450 klm od Czyty, w Syberii Wschodniej. Brutalne zachowanie się władz więziennych wywołało długotrwałą głodówkę, oraz kilka samobójstw. Wydarzenia to z jesieni r. 1889.

„Sprawa irkucka” — sprawa o „bunt więzienny w Irkucku”.

„Sprawa I marca” — sprawa o niedoszły zamach na cara Aleksandra III z 1/13 marca r. 1887 r.

Suginty — majątek, należący do matki Józefa Piłsudskiego, w powiecie wilkomirskim, na pograniczu z powiatem wileńskim.

Wyrażenia rosyjskie:

„Chałuj” — prostak, chamowaty. „Chochły” — Ukraińcy. „Etapnym poriadkom” — od etapu do etapu. „Jamsczyk” — woźnica. „Kazionnyj” — rządowy. „Koczerga” — pogrzebacz. „Mozole” — odciski. nagniotki. „Posobje” — zasilek, zapomoga, „Soborowat” — namaszczać Olejami Św. „Sprawnik” — poprawnie: „isprawnik” — urzędnik policyjny. „Tabiel” — dzień galówkowy: „Wolost” — gmina. „Wolnyja komandy” — grupy więźniów politycznych, uprzywilejowanych o tyle, że mieszkali mogli poza obrębem więzienia i nosić ubrania własne. „Zajawienie” — doniesienie, meldunek. „Zasiedatiel” — asesor, ławnik. „Zatiaznoj” — przewlekły. „Zwoszczyk” — poprawnie: izwoszczik” — dorożkarz.

Poza tym:

„Brodnie” — obuwie syberyjskie, używane przeważnie w myślistwie („brodziło się” w lesie, bagnie, płytkiej rzece). „Nadziratiel” — inspektor, dozorca, w danym wypadku urzędnik policyjny, odwiedzający zesłańców co parę dni dla stwierdzenia ich obecności. „Oczaldonić się” — upodobnić się do Sybiraka: ludność syberyjska nazywała zesłańców „warnakami”, zesłańcy zaś Sybiraków — „czaldonami”, w obu wypadkach był w tych nazwach odcień ni to lekceważenia, ni to pogardy. „Solewarka” — warzelnia soli. „Ugolowno-katorznoj” — przestępca kryminalny, skazany na katorgę. „Wpried do rasporiażenija” — aż do wydania zarządzeń.

Wyjaśniony wyżej wyraz „chałuj” używany był w Rosji także jako pogardliwa nazwa gorliwego, ale nieporadnego służącego.

Inne wyrażenia i zwroty rosyjskie wyjaśniłem w odsyłaczach pod listami, w których były przez autora użyte.

Wł. POBÓG-MALINOWSKI

Paryż, w kwietniu 1962.

OD REDAKCJI

Przedmowa p. Wł. Pobóg-Malinowskiego została, z powodu braku miejsca, skrócona w części dotyczącej stosunku J. Piłsudskiego do rosyjskich ruchów rewolucyjnych. Opuszczono również ustęp dotyczący ojca Józefa Piłsudskiego i jego gospodarki.

Nr 1

[*Do Stanisława Landego w Irkucku*]

Kireńsk 31/XII.89¹. Kochany Kolego! Winszuję wam świąt i nowego roku no i życzę czego już sam nie wiem co powiedzieć by nie wpaść w zwykły szablonowy nastrój noworocznych wizyt² sądzę że i tak wiecie że wam życzę najlepszego a że wszystko jedno po mojem życzeniu nie posypią się na was dary boskie i ludzkie jak z rogu obfitości zakończę tę kwestyę. Piszecie do siostry byśmy się rozpisali i podali zajawienie że potem gdy wielu kolegów już się rozpisało my nie chcemy przeciągać niepotrzebnie tę sprawę, my zdaje się prościej się obejdziemy. Wilczyńskiemu przysłała propozycja od Borejszów jechać do Ilimskiej solewarki i Wilczyński wziął się do tej kwestyi zaczął się rozpytywać o zdanie i okazało się że nikt na seryo nie myślał o tej kwestyi jako o rzeczy godnej naszej uwagi i tracenia sił na nią, no i mniej więcej już prawie postanowiono że po świętach będziemy się rozpisywać. Sprawę³ tę więc liczyć już można za skończoną, tylko jakoś w duszy strasznie niezręcznie pomimo woli gniewasz się na siebie że pierwiej się⁴ o tem nie pomyślano byłoby lepiej odrazu się zgodzić na propozycyę sprawnika niż teraz ustąpić z raz obranej pozycyi. Głupio, głupio i głupio jakoś się czuję po tej historii. Myślałem o tem by się sprzeciwić dalej ale po zgodzie Wilczyńskiego i Wieszniakowa będzie to wyglądało jak jakieś walki z wiatrakami dlatego też ostatecznie postanowiliśmy przyłączyć się do drugich i machnąwszy na wszystko ręką rozpisywać się u szanownego nadziratiela. Tak więc zakończy się kwestya nadziratielska w Syberyi. Teraz więc runie

ostatnia przeszkoda przejazdu czyjegokolwiek z Kireńska do innych lepszych miejsc zdaje się że wszyscy prawie zechcą skorzystać z tego. Wilczyński ten już teraz usiedzieć niemoże tak mu się chce wyrwać z Kireńska. Wieszniakow marzy o paszporcie który mu teraz zapewne wydadzą bez przeszkód. Siostra wasza zapewne wybierze się nakoniec do was. Co do mnie to ja chciałbym wybrać się z tego błota dokądkolwiek choć do drugiego błota byle zmienić miejsce, ale zatrzymuje mię jedna rzecz. Jak wicie teraz nie otrzymuję pensyi od rządu i⁵ żyję tylko na to co zarabiam. Otóż lękam się przenieść się dokądkolwiek by nie stracić tego zarobku i nie zostać zupełnie na miejscu. Ma się rozumieć na przejazd na opłatę niektórych długów które się narobiło tutaj mogą mi jednorazowo wysłać z domu, ale ciągle⁶ mi wysyłać pieniądze nie będą tembardziej że sam tego nie życzę. Waham się więc i sam nie wiem co począć. Przenieść się do Irkucka ależ wy pisaliście że o miejsce teraz nadal trudno w Irkucku i lękam się bym po przyjechaniu nie był komu ciężarem, jeżeli zaś otrzymam miejsce w Irkucku to i wtedy będzie nademną wisiąła wciąż jak miecz Damoklesa groźba wysłania z Irkucku a czy znajdę jakie miejsce w Tunce albo Bałagańsku. Napiszcie mi jak radzicie postąpić, wy lepiej znacie zapewne warunki jak miejscowe tak też i Tunki (i) Bałagańska. Co do mnie to ma się rozumieć przeniósłbym się z ochotą dokądkolwiek gdyż Kireńsk mię potężnie znudził, a tem bardziej mi będzie nieprzyjemnie zostać tutaj gdy się wszyscy stąd rozjadą. Posyłam Wam list z Tunguski który dziś zaledwie otrzymałem. Tunguszczenie wogóle nie mają dobrej opinii u administracyi i raz po raz gadają⁷ o tem że ich wyszłą do Jakucka gdyż okazują oni szkodliwy wpływ na miejscowych włościan nie wiem w czym ten wpływ się wyraża ale że to być może i jest w rzeczywistości wnoszę z tego że wogóle włościanie bardzo się o nich dobrze odzywają i chwają nadzwyczaj. Taki sam wpływ zdaje się będzie wywierał i Siergiej Pawłowicz na swoim miejscu on też zamierza urządzać tam szkołę, zacznie leczyć włościan i pędzić wogóle żywot bardzo czynny niektóre listy jego pełne⁸ są zapału i idealizacyi swego położenia. Dalibóg tak zachęcająco ludzie prawią o życiu na wsi że nieraz mię zbiera ochota uciec i zakopać się na wsi zdala od wszelkiego naczalstwa i wszelkich ograniczeń. Doprawdy znudziło mię nadzwyczaj być „presztuplikom”⁹ (sic) i niekiedy strasznie mi się chce zrzucić tę nazwę z siebie i stać się wprost obywatelem. Ale na nieszczęście nie tak to łatwo to zrobić. No jak się wy czujecie po gryppie czyż jeszcze ona u was panuje u nas bowiem zdaje się mrozy terazniejsze prędeż od wszelkich lekarstw i doktorów wystraszą ją z miasta. W mieście już się zdaje że zmniejsza

epidemia ale na wsi grasuje silnie w wielu wioskach powiadają niema domu gdzieby nie było chorych. No bywajcie zdrowi kochany kollego przyjmcie serdeczne uściśnienie.

Od wasz Zi

Rodzynie waszej serdeczne pozdrowienia załączam. Proszę przeprosić odemnie Aarońskiego że nie piszę teraz do niego ale już późno i czasu niema a miałem stały zamiar napisać dziś do niego. Napiszę z przyszłą pocztą.

1) W dacie: „31/XII” poprawione z pierwotnego „29” (?). 2) Pierwotnie: „wizytek”, może: „wizytów”. 3) Pierwotnie „Sprawa”. 4) Po: „pierwej” skreślone: „się”. 5) Po: „i” skreślone: „zmu”. 6) „Ciągłe” poprawione z pierwotnego: „ciggle” (?). 7) W wyrazie: „gadają” pierwsze trzy litery poprawione z pierwotnego: „gaw”. 8) W wyrazie: „pełne” ostatnie „e” poprawione z „a”. 9) „priesztuplikom” — napisane po rosyjsku; poprawnie winno być: „priestupnikom” (przestępca). Piłsudski użył tu ludowego wyrażenia syberyjskiego.

Nr 2.

[*Do Stanisława Landego w Irkucku*]

Kireńsk 19/III.90 r. Kochani kolledzy! Dzisiaj siostra wasza wyjechała z Kireńska do was, przed wyjazdem zmuszoną była tak wiele biegać do różnych osób¹, że nie zdążyła napisać do Was słów kilku i poruciła mnie bym uwiadomił Was o jej wyjeździe. Tem ohotniej biorę się za to że teraz jeszcze bardziej czuję winę przed wami, kochani przyjaciele. Mając wciąż nadzieję że pozwolenie przyjdzie i że będę mógł pojechać z waszą siostrą prosiłem ją pozostać do mego projektowanego wyjazdu, sądziłem że i jej wygodniej będzie jechać razem ze mną, nie mówiąc o tem że postarałbym się uprzyjemnić jej nudną drogę swoją osobą lecz mnie byłoby łatwiej dobić się czego kolwiek od starostów, jamszczyków na stacyach et caetera. Z tego powodu wyjazd jej² pobyt jej w Kireńsku przedłużył się o całe trzy tygodnie, a wy zapewne w ciągu tych trzech tygodni i³ naczekaliście się jej dostatecznie i niepokoiliście się o nią dostatecznie, by mieć jeżeli nie na słowach to może na dniu duszy do mnie mimowolnego sprawcy tego spóźnienia pewną pretensyę. Lecz

finał okazał się daleko gorszym od początku. Rzecz w tym że ostatecznie gdy pozwolenie wciąż nie przychodziło nie czułem się w prawie dłużej zatrzymywać waszą siostrę i ryzykować takim sposobem w czasie świąt Wielkiejnocy, gdy jej nieobecność może wam być osobliwie przykłą, zmusić ją być gdzieś w nudnej Orlinie lub Żygałowie, dlatego też sam prosiłem ją by ostatecznie naznaczyła dzień wyjazdu, jeżeli nie otrzymam w przeszłą subbotę pozwolenia i (chcę tu wykazać moją bezstronność i szukać w niej usprawiedliwienia dla siebie) pomimo że 19 Marca dzień moich imiennin i przykro by mi było dzień ten spędzić tylko wśród Wieszniakowych i jemu podobnych prosiłem waszą siostrę by naznaczając najbliższy dzień po subbotcie wybrała jako dzień odjazdu poniedziałek. Lecz ostatecznie winy to mojej nie zmniejsza droga się teraz trochę popsowała, osobliwie zaś pod Irkuckiem i nieporozumienia na stacyach pocztowych z woźnicami i starostami teraz mogą się częściej zdarzyć⁴, i teraz to w takim czasie wasza siostra zmuszoną była jechać jedna. Nie myślcie że żartuję ale ja seryo mówię że mię to męczy że sprawilem tyle przykrości i wam i jej. Zresztą nie niepokójcie się zbytecznie o nią, po pierwsze sprawnik czy to przez wzgląd⁵ na was czy też wogóle jako grzeczny kawaler rozkazał dać waszej siostrze dla drogi niezwykłą „konewkę”(?) w której wożą aresztantów po etapach (a wszak siostrę waszą powieźli⁶ „etapnym poriadkom”)⁷ a⁸ „powozkę” to jest sanie zwykle pocztowe — kryte. Rzeczy ciepłych ma wasza siostra z sobą dostatecznie osobliwie do Kaczuga, gdyż Tatjana Pietrowna (wdowa po umarłym popie Grzegorzcu) prosiła ją odwiedzić kilka ciepłych rzeczy siostrze w Kaczugie. Z Kaczuga być może i będzie chłodniej, gdyż ciepłych rzeczy będzie mniej, ale nie sądzę by zbyt przemarzła. Więcej zdaje się o wyjeździe waszej siostry nic powiedzieć nie mogę, zakończę więc o tej kwestyi prośbą o przebaczenie mi pomimowolnej mojej winy. Zapewne do świąt nie otrzymacie odemnie listu dlatego też powinszuję wam ich teraz i złożę życzenia najszczerze byście zawsze⁹ mieli swym udziałem szczęście i¹⁰ powodzenie w swych zamiarach. A zatem bywajcie zdrowi nie piszę dłużej, gdyż czekając wciąż pozwolenia zupełnie przerwałem pisanie listów i dziś muszę jeszcze kilka listów napisać. Przyjmcie serdeczne pozdrowienia od waszego

Zi

P.S. Tera tylko przypomniałem że Lola bywa solenizantką w jeden dzień ze mną proszę ją serdecznie ucałować odemnie, toż samo i Olesia i Wandę.

(Na górnym marginesie pierwszej strony listu): 20/III przez nieostrożność zaleli mi list naftą, przepraszam ale nie mam zupełnie czasu pisać inny trzeba iść do Awerburga.

1) W oryginale: „doróżnych” — razem. 2) Przed: „pobyt” skreślone: „wyjazd jej”. 3) Po: „i” skreślony nieczytelnie krótki wyraz. 4) Przed: „zdarzyć” skreślone: „sp”. 5) „Wzgląd” ponad wierszem, nad skreślonym: „pamięć”. 6) Przed: „powieźli” skreślone: „odpraw”. 7) W oryginale: „etapnym poriadkom” po rosyjsku. 8) Pierwotnie: „ale”. 9) Przed: „zawsze” skreślona nieczytelnie jedna litera. 10) Przed: „i” skreślone: „up”.

Nr 3.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Kireńsk 25/III. Kochana Olesiu! Dziękuję ci bardzo żeś napisała z Ust'kutu przyznam się niepokoiłem się niekiedy o ciebie myślałem że mogą ci w niektórych miejscach stawiać trudności, lecz i to prawda żeś jechała dotychczas tylko po kireńskim okręgu a co będzie w innych okręgach jeszcze niewiadomo lękam się też byś nie przemarzała za Kaczugiem gdzie zdasz większą część swych ciepłych rzeczy. Teraz zawsze gdy wyjdę na ulicę myślę o tobie, gdy wiatr gniewam się że tobie musi być niedobrze gdy noc światła i księżyc jasno świeci cieszę się że możesz bez wypadków jechać i nocą. Co do mego przyjazdu do Irkucka to się zapewne odłoży do wiosny. Diemjanowski mi telegrafował z tą pocztą że prośba moja odesłana do Jenerał Gubernatora i dlatego odpowiedź się spóźni. Nie rozumiem poco też taka ważna osoba jak sam pan Jenerał Gubernator czyżby to stało w zależności od sprawy 1-go Marca czy też od Irkuckiej naszej sprawy. Zresztą chociażby odpowiedź i przysłała zaraz bardzo wątpię bym mógł wyjechać z Kireńska. Tu u nas kilka dni było tak ciepło że wczoraj zamiast śniegu wyobraź sobie padał deszcz i ma się rozumieć drogę zupełnie zepsuł w mieście i we dnie i w nocy stoją kałuże (nawet w nocy nie zamarzają). Ma się rozumieć pocieszam siebie nadzieją że wiosna prędzej nastąpi i wcześniej będę mógł wybrać się z¹ Kireńska, ale to jeszcze kto wie jak to będzie. Ty pytasz co ja robię. Boże ty mój rano wstaję idę do Awerburga peckam się u niego do późnego wieczora. Chwała Bogu roboty wiele a ja ją jeszcze rozciągam żeby dłużej przebyć tam później wracam do domu piję herbatę chodzę po pokoju

myślę o tobie, wspominam niekiedy lepsze czasy, to pomyślę trochę o przyszłości poczytam trochę no i walę się spać ot i wszystko. Zrobiłem się tylko trochę rozdrażniony i trudno to mi skrywać do tego stopnia że nawet u Awerburga pozwalam sobie może trochę zbyt wiele, tak że ten ostatni niekiedy z ostrożnością do mnie podchodzi no przy przepisywaniu u niego robię masę całą omyłek i tylko. Mieszkam póki co u Wieszniakowa w sali w kącie przy² łóżku stoi stół i na nim wszystko co mnie może być potrzebnem. Zaraz po wyjeździe twoim układałem rzeczy ale mnie rozgniewały różne frazesy Aleksiejewny i Wieszniakowa „z tego garnku doskonale będzie karmić psa” „a z tego doskonale twito (?) zrobić można”³ ja i uciekłem od tej gadaniny do Awerburga gdzie i przesiedziałem do wieczora no później ma się rozumieć bardzo ciężko mi było. No ot masz i sprawozdanie z całego tego dnia. Nie będę tobie opowiadał o tem co ja wtedy myślałem, poco o tem rozgadywać wszystko jedno pióro nie zdoła tak dobrze wylać⁴ różne odcienie myśli i te nielogiczne przeskoki z jednego przedmiotu na drugi jakby to można było zrobić w rozmowie (tu zatrzymałem się i ledwie może nie wypłatałem ci figla gdyż ty przy twej skłonności czerwienieć poczerwieniałabyś a może to w tej chwili byłoby ci nie na rękę). 26/III. Wczoraj przestałem pisać gdyż przeszkodzili mi kończę więc list dzisiaj, ot napisałem się u Awerburga wyobraź sobie na trzech palcach powyskakiwały mozole i palce bołą jakgdyby je kto szpilkami pokłół. O zdrowiu swoim muszę ci też choć cokolwiek napisać byś mi⁵ później nie wyrzucała że nie dotrzymuję obietnicy. Prawie cały czas miałem katar sądząc że⁶ to z powodu wilgotnego powietrza moja wina zaś była tylko jedna że raz poszedłem do Awerburga bez paltotu nie gniewaj się Olesieńka bardzo już ciepło było a wiatru ja w pokoju nie czułem. Zresztą kamfora doskonale pomaga od kataru, tak że teraz zupełnie zdrowym się czuję. Lowenko (?) przejechał przez Kireńsk i jego nie widziałem dowiedziałem się o tem tylko na następny dzień tak że ani radzić się ani brać u niego świadectwa nie mogłem. Ale czy wiesz że teraz już mój zamiar przeniesienia się do was już nie jest sekretem Diemianowski napisał o tem do Wilczyńskiego a ten kiep nosił się z tym listem po mieście i pokazywał go wszystkim prosząc by go w całości przeczytali przy czem by wszyscy zrozumieli poco to on robi nasze nazwiska które tam były wymienione we frazesie „Piłsudski i Lewandowska dożno byt’ uże ujechali”⁷ podkreślił⁸ ołówkiem, ot kiep! Napisz mi jaki teraz u ciebie stosunek z Diemj. i czy on rozgadał twoim o nas ciekawym; Jak znalazłaś dzieci? Słowem napisz o wszystkim wszystkim co tylko tobie do głowy przyjdzie

choćbyś plotła jak się to mówi trzy po trzy to i temu byłbym rad, gdyż czułbym ciebie koło siebie. A jak mnie Olesi nie staje! No ale nie będę sobie woli dawał w rozpisywaniu⁹ uczucia. Sama zapewne czujesz jak to przyjemnie być zdala od miłej osoby, a gdy się rozpiszesz o tem a później przeczytasz co napisałeś to wszystko wydaje się nieodpowiednie do tego co się czuje wychodzi jakoś błado i nawet fałszywie. No bywaj miła moja zdrową całuję cię serdecznie twoim pozdrowieniem. Awerburg prosił kłaniać wam wszystkim prosi mnie on o to co tydzień więc za cały miesiąc zawczasu kłaniam się wam wszystkim od niego niziutko niziutko. Dowidzenia tw.

Ziu

(Na górnym marginesie pierwszej i czwartej strony listu):

Diemjanowskiemu i Wojniczowi kłaniaj. Diemjan. powiedz że napiszę z przyszłą pocztą teraz strasznie palce bolą a wiesz że tyle napisać i do Kotka i do Bronisia. Wieczorem na dobranoc pocałuj od Ziuczka plamkę na łapce.

(Na górnym marginesie drugiej i trzeciej strony):

Otrzymałem list od Sierg. Pawł. dosyć dziwny i tajemniczy prosi nie gniewać się za długie milczenie ale powiada że do rozjaśnienia¹⁰ jakiejś sprawy nie może pisać. Nie rozumiem. Czyżby oni podali zajawienie?¹¹

1) Woryginalu: „wybrać się z Kireńską”. 2) Przed „przy” skreślone: „na”. 3) Wyraz: „można” bez zamykającego cudzysłowu. 4) Wyraz nieczytelny; prawdopodobnie: „wylać”, może „wybrać” i przed nim — zdaje się — skreślone: „o d”. 5) Pierwotnie: „mię”. 6) Wyraz: „że” wpisany ponad wierszem. 7) Ujęte w cudzysłowie zdanie woryginalu po rosyjsku; w swoim nazwisku dał tu Piłsudski końcówkę polską: „i”, nie rosyjskie: „ij”. Po polsku: „Piłsudski i Lewandowska niechybnie już wyjechali”. 8) Przed: „podkreślił” skreślone: „Po”. 9) Po wyrazie: „rozpisywaniu” skreślone: „tego”. 10) Woryginalu: „rozjasnienia”. 11) Przed: „zajawienie?” skreślone: „prośbę?”.

Nr 4.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Kireńsk 8/IV. Kochana moja Olesiu! Tak mi nieprzyjemnie, że z przeszłą pocztą nie zdążyłem posłać ci listu osobliwie gdy sam otrzymałem od ciebie, pochodzi to z tej prostej przyczyny

że poczta którą oczekiwano we środę a nawet we Czwartek przeszła w Poniedziałek w nocy, teraz jak widzisz jestem ostrożniejszy i piszę w niedzielę. Przeklęta ta poczta wypłatała nam figła nietylko dlatego że list mój nie poszedł do ciebie, lecz i z tego że z policyi też nie posłano gubernatorowi różnych wiadomości o mnie. Ech żeby wtedy gdy był sprawnik w Irkucku podpędzić go dać o mnie swoją opinię pojechałbym z tobą do Irkucka a teraz prośbę¹ i wszystko przysłałi tutaj po opinię sprawnika przy czem objawiono mi od gubernatora że prośba moja pójdzie „naczalniku kraja”². Twoja rzecz postarać się o to by jaknajprędzej odpowiedzieli i koniecznie telegrammą wtedy może zdążę na pierwszym parostatku wyjechać z Kireńska. Piszesz że tobie tęskno bezemnie, droga ty moja, gdy się tak przywiąże do człowieka jak my z tobą gdy się z nim bok obok przeżyje czas pewien wtedy po rozstaniu kaźden drobiazg przypomina przeszłe czasy. U ciebie teraz to nie tak silnie się odzywa a u mnie te same miejsca te same wrażenia, tylko teraz ja jeden je otrzymuję i nie dzielę się tem z nikim, wrażenia ja mówię nie w jakim wysokim sensie nie w najzwyczajniejszym. Jak święta spędziłem pytasz. Wyobraź sobie byłem i u Szwedowych i u Boryski wszędzie przyjmowano mnie jako wyjątkowego gościa traktowano do objedzenia się i cackano się jak nie wiem już z czym aż nieprzyjemnie było. Lidka dura i ta z pewną kokieterią do mnie przystępowała. Zapewne teraz faceci myślą że to ty mnie nie puszczałaś w gościnę. A wiesz że gdy szedłem do Bezpałkownicy officyną tak mi się odrazu przypomniały stare czasy gdy (powiem, chociaż ty się na mnie już raz gniewałaś za to) się o ciebie starałem. Wiele wiele rzeczy przez głowę przeszło tak że byłem nadzwyczaj roztargniony i nic absolutnie nie wiem co tam do mnie z początku gadali. No a dalej w czasie świąt jadłem piłem et caetera nawet w końcu całą noc grałem w winta (było to wczoraj). Ot widzisz bawię się jak umiem i nie moja już wina że czegoś czy raczej kogoś mi nie staje (a czyja mileńka?). Dziękuję ci serdecznie za telegrammę; a co widzisz kochana Leosiu, jak to dobrze wychodzi już szanowna Pani zupełnie swobodna, gdzie się Pani przecucia i temu podobne bzdurstwa podziały, czy nie stracisz tego (pardonnez le mot) nierozumnego przekonania że tobie nic się nie udaje że wszystko idzie naprzekór twoim żądaniom i z twoich nikogo z Rosyi nie wysłali do Syberyi i ciebie nie zostawiają tutaj. Daj pokój Olesiu nie obrażaj Pana Boga takimi myślami. Wiem że trzeba ci Ziuczka ależ nie wszystko się daje człowiekowi, a oprócz tego teraz choć krucha ale zawsze nadzieja przyświeca że może i pojedę z tobą do Rossyi. W tym tygodniu otrzymałem kilka listów i wszystkie niezbyt przyjemne. Ciozia biedna w kłopotach strasznych pieneznych wyjeżdża z

Wilna Zinio biedak chory czyli raczej był chory i paskudnie od niego otrzymałem list taki że się nieledwie rozplakałem jak dziecko, dobry z kośćmi, jak to mówią, chłopiec³. Broniś pisze że bardzo postarzał⁴ sądząc z fotografii to samo piszą mi z Wilna, Celinka wprost mówi że wyglądam nie bratem swego rodzeństwa a ojcem. A i jak się to Olesieńce podoba? Ot i wszystko o mnie. At przepraszam zapomniałem o zdrowiu i o kwaterze. Zdrowie moje ni to ni sio od tego czasu gdy jeszcze przy tobie zaczęło⁵ coś trząść się w ciele nie poprawiam się bardzo, jestem osłabiony, męczę się prędzej niż to było pierwiej, tak że dziewiąty rober w czasie winta ledwie usiedziałem ale wogóle nie gorzej niż to było przy tobie teraz nawet lepiej gdyż rzadziej bywa bicie serca i trzęsienie się. Widzisz jak dokładnie ci opisuję swoje zdrowie przy pierwszym zobaczeniu się dasz mi zato po porządku wszystkie paluszki na łapkach wyciąłować (wszak niewiele żądam). Co do kwatery to jak ci pisałem⁶ przenieśliem się do Wiszniakowa ale on myśli się stąd wynosić ma się rozumieć i ja z nim bardzo być może przeniesiemy się do Jadrychińskich gdzie mieszkaliśmy 4 lipca zeszłego roku mnie wszystko jedno gdyż mam zupełną pewność że wkrótce mnie w Kireńsku nie będzie a gdzie będę mieszkał ten miesiąc tu czy tam to niewiele mię obchodzi. Diemjanowski w listach a Wilczyński w rozmowie nigdy nie mogą opuścić żadnej⁷ okazji by nie uszczypnąć mnie lub ciebie. Diem. pisze że ty otrzymałaś swobodę ale nie wyjeżdżasz z Irkucka. Wilczyński nieraz tak nakreśli rozmowę że ledwie się wstrzymuję by nie rozśmiać się na te usiłowania postawić mnie w niezręczne położenie, chociaż facet niekiedy strasznie mię gniewa i niedawno z tego powodu (to jest jego niedelikatności) zacząłem bardzo oziębłe do niego się odnosić. Teraz masz całe sprawozdanie z Kireńskiego mego życia, dodaj do tego pracę u Awerburga i będziesz miała wszystko zdaje się nic a nic nie opuściłem i zadowolnię ciebie mego srogiego Cerbera, który mię strzeże jak oka w głowie. Aha napisz mi koniecznie tak żebym otrzymał list przed wyjazdem czy ty będziesz cokolwiek mówić Landym o mnie, a to przy przyjeździe w razie mej niewiomości o tem będę strasznie w niezręcznem położeniu i absolutnie nie będę wiedział z jakiego tonu zaczynać. Proszę cię zrób to. Pamiętasz, jak ci mówiłem że pod tym względem ja swego zdania nie wypowiadam to absolutnie twoja rzecz rozsądzić co lepsze moja rola w tym wypadku zupełnie passywna oni bliżsi są tobie niż mnie. Zapomniałem zdać ci sprawę jeszcze z pieneznych interesów. 10 rubli odesłałem dla Laskowskiego przez Kiernik w końcu tego miesiąca odeślę zapewne dzieśięć rubli dla Wilujcew a że otrzymam pensyę⁸ zapewne i w maju za pół miesiąca odeszłę i pozostałe 10 r. Wilujcom a na drogę

pożyczę pieniądze u Tonkowidowej albo u Awerburga jak będzie zrzęcniej. Z Wiszniakowym jeszcze się nie umówiłem o płacę kilka razy rozpoczynałem tę kwestyę ale facet wykręca się widocznie niezręcznie mu mówić ze mną o tem sędzę w każdym razie że nie weźmie odemnie więcej 7-8 rubli miesięcznie⁹. Niedawno otrzymałem list od¹⁰ Katieryny Karłowny z Jakucka prosi mię napisać jej twój adres przeprasza że nie odesłała dotychczas długu, trzeba i do niej napisać, a tu taka kupa listów się zebrała odrazu że sam nie wiem od czego zaczynać z tą pocztą poszlę przynajmniej sześć listów już całą kupę napisałem a mam jeszcze zamiar pisać dalej; No a jak ty żyjesz teraz co porabiasz, ma się rozumieć gawędzisz gawędzisz i nagawędzić się nie możesz z Feliksą? Ty piszesz że Wandeczka się zmieniła bardzo a nie piszesz czem mianowicie. Aha: piszesz Lola¹¹ kwadratna to po kacapsku moja miła a po polsku kwadratowa. Omyłki w twoim liście są ale niezbyt już wiele. Jedno ci tylko powiem że ty w pisaniu rz i ż przypominasz mi Wilczyńskiego który pisząc po rosyjsku nie chce rozpatrywać gdzie pisać jat¹² a gdzie je¹³ i pisze wszędzie albo jedno albo drugie ty też zdaje się wszędzie piszesz rz. Tylko mileńka ty moja nie zrażaj się tem że ja się niekiedy pośmieję trochę z twojej pisaniny polskiej nie myśl wiele nad ortografją a to listy twoje nie będą tak bezpośrednio płynące od ciebie jak to jest teraz, i jeszcze jedno na miłość Boga pisz ty wszystkie przy i przez przez rz a nie sz ty takim sposobem zupełnie przeinaczasz język, no przepraszam mileńka za te uwagi nie gniewaj się za to na mnie i pisz choć z omyłkami ale po polsku bo po kacapsku jakoś nieprzyjemnie będzie otrzymywać od ciebie, *mojej* Olesi, listy. Jeżeli nie zdążę napisać do Diemjanowskiego powiedz mu że napiszę obszernie z następną pocztą, posyłkę oddałem Michajle. Szurka niezdrowa rodzice ją przywozili do Kireńska dla przyjęcia komunji i ani rusz nie zgadzali się ponieść ją do doktora ledwie z Wiszniakowym namówiliśmy ich poradzić się u doktora i wziąć dla niej lekarstwo. Co do pocztowych facecyi(?) zebrałem dane od Michajły a ty musiałaś mu oddać te co brałem u Hellisa. No bywaj zdrowa całuję cię serdecznie serdecznie twoim pozdrowienie tw.

Ziu

1) Wyraz „prośbę” pierwotnie: „prośba”. 2) Wyrazy w cudzysłowie — po rosyjsku. 3) Przed: „chłopiec” skreślone: „to”. 4) Przed: „postarzał” skreślone: „na fo”. 5) Po: „zaczęło” skreślone: „się”. 6) Po: „pisałem” skreślone: „to”. 7) Pierwotnie: „żadnych”. 8) Wyraz: „pensyę” wpisany ponad wierszem. 9) Wyraz: „miesięcznie” wpisany ponad wierszem. 9) W oryginale tylko: „o”. 11) Przed: „Lola” skreślone: „Loli”. 12) Wyraz: „jat” w oryginale wyrażony jest przez odpowiedni rosyjski znak pisarski. 13) Wyraz: „je” w oryginale po rosyjsku: „e”.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Kireńsk 22/IV Kochana Leosiu! Dziś nie otrzymałem listu od ciebie a oczekiwałem go, ma się rozumieć zawód podobny nie należy do przyjemnych, cóż robić sądzę że nie mogłaś napisać i rzecz skończona nie sądzę bym za to miał pretensję do ciebie, tem bardziej że jest to jak raz odpowiedź twoja na przepuszczoną pocztę z mojej strony. Dziś otrzymałem list od ciotki, biedna w strasznie kiepskim humorze z powodu stosunku z mojem rodzeństwem, teraz z powodu interesów pieniężnych zmuszoną jest wyjechać z Wilna na wieś i rozpacza że w razie gdybym wrócił nie mogłaby mnie mieć u siebie nie mogłaby mię często widywać. Tak mię teraz Kireńsk znudził że dałbym już nie wiem co by się z niego wyrwać liczę dni które mi pozostały do przebycia tutaj, a gdy pomyślę że może na mą prośbę otrzymam odpowiedź odmowną to wprost mi włosy na głowie stają, takż niebardzo mi się podoba perspektywa pobytu w Tuncie a lękam się że mię nie puszczą na długo do Irkucka i poproszą zaraz wyjechać stamtąd. Osobliwie gdy nie będzie do kogo zwrócić się z prośbą o zostawienie mię w Irkucku. Jenerał gubernator wyjeżdża na Lenę Świętlickiego niema (zdaje się że też wyjechał)¹ być może więc że pomniejsi² urzędnicy będą się lękali na swoją odpowiedzialność zostawić mię w Irkucku no ale może jakkolwiek to się urządzi. Teraz ja zaczynam bywać w towarzystwie byłem u Tonkowida, u sledowatiela poznałem się u nich z urzędniczą³ gawiedzią słowem staram się zabić teraz czas jak mogę ma się rozumieć najwięcej czasu spędzam u Awerburga a u niego jak na złość w ostatnich czasach nie było prawie zupełnie roboty tak że aż niezręcznie było zostawać na obiedzie po bezczynności jakiej u niego używałem. Teraz tylko kupa roboty co mię bardzo cieszy gdyż można będzie dłużej siedzieć u niego i pracować, a przy pracy czas dosyć prędko leci, a to dla mnie główne. Wybacz że piszę tak mało ale i czasu nie mam, gdyż kupę mam listów do pisania i głupstwo⁴ chciałem napisać a zatem serdecznie całuję twoje rączki i zostaję two

Ziu

Twoim serdeczne pozdrowienie posyłam

(Na górnym marginesie pierwszej strony):

nie chciałem ci pisać ale niedobra ty Olesieńko że nie napisałaś

(reszta — jeden wiersz — oddarta).

(W środku drugiej strony listu między wierszami:

Winszuję tobie dziś kończy się twoje wygnanie i ty zupełnie swobodna!

1) W oryginale pierwotnie: „wyjeChał”. 2) Poprawione z pierwotnego: „pomniejsze”. 3) Przed „urzędniczą” skreślone: „różną”. 4) Przed: „i głupstwo” skreślone: „i coś”.

Nr 6.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Kireńsk 4/V 90. Kochana Olesiu! Jaka ty niedobra że ostatnią pocztą nie pisałaś do mnie, po tem byłem całe dwa tygodnie bez poczty i dotychczas siedzę bez wiadomości od ciebie. Dzisiaj wieczorem przysły¹ aż dwie poczty z Irkucka nie wiem jeszcze co one mnie przywiozły, chcę wierzyć że otrzymam teraz pozwolenie na przejazd do Was² ale lękam się też niekiedy że ta nadzieja mię zawiedzie. Jutro wyjaśni się wszystko. Jakoś dziwnie myśleć że może za tygodni parę już wyjadę z Kireńska po tylu miesiącach siedzenia w Kireńsku trudno przyzwyczaić się do myśli że za kilka tygodni już się tam nie będzie. Rzeka w tym roku pośpieszyła 30 kwietnia³ poruszyła się (z) miejsca a ostatecznie ruszyła wczoraj, dzisiaj ona już się prawie oczyściła od ldu. Lodochód nie był z ważnych i przyznam się niezbyt się nim interesowałem nie chcąc sobie przypominać zeszłorocznego oczekiwania i oglądania Leny w tym czasie. Pamiętasz? pamiętasz? jak przesiadywałem u ciebie noce całe w oczekiwaniu przejścia rzeki? ale co tam wspominać stare czasy być może nowe będą jeszcze lepsze niż stare. A ot kiepska nowina. Jeżeli otrzymam teraz pozwolenie to zapewne niezbyt prędko się wybiorę stąd. Jeżeli pozwolą mi jechać bez konwoju to będę musiał czekać prawie końca Maja by się doczekać parostatku, gdyż do tego czasu żaden parostatek nie pójdzie w wasze strony, jeżeli zaś nie pozwolą mi jechać bez konwoju będę musiał oczekiwać 15 Maja gdy się kończy bezdroże oficjalne i gdy będę mógł ograniczyć się tylko dwóma końmi. Nie masz wyobrażenia, jak mi to nieprzyjemnie. Nie mówiąc o tem że odkładam⁴ tym sposobem czas naszego spotkania ale ja wiem też że ty zapewne bardzo

śpieszysz do domu i gdy ja późno przyjadę nie będziesz długo ze mną tak więc spotkamy się tylko poto by się zaraz prawie rozstać. Nadzwyczaj to nieprzyjemne ale przyjm to pod uwagę że jeżeli mi i pozwolą jechać do Irkucka to nie będę mógł przybyć do was wcześniej niż w końcu Maja a to nawet (w) początku czerwca. Dzisiaj przenieśliśmy się na nową kwaterę. Póki co zajęliśmy oficynę w domu Wołowicza i to nie całą a dwa tylko pokoje od 15 czy 20 Maja zajmiemy cały dom Wołowicza gdyż do tego czasu Asokin ma go oczyścić. Ale mnie nowa kwatery tak się nie spodobała gdyż tuż za drzwiami mieszkają jacyś faceci kuchnia wspólna więc można być przygotowanym że będą tam ciągle kłótnie że nie czekając długo uciekłem do Wilczyńskiego i teraz u niego piszę listy — mam zresztą zamiar pomieszkać u niego i dłużej. Cały ten czas siedziałem bez roboty u Awerburga tak się okoliczności złożyły że kilka tygodni prawie zupełnie nie było co pisać ot gniewałem się wtedy. Pamiętasz przy tobie była zawsze cała kupa pracy a po twoim wyjeździe jak na złość ani trochę tak że więcej połowy dnia byłem zupełnie swobodny i w ostatnich dniach gdy z dnia na dzień oczekiwaliśmy przejścia rzeki i poczty nie wiedziałem zupełnie za co się wzięć by tu czas jakkolwiek ubić. Nawet nie można było grać w winta gdyż Wieszniakow zachorował na garło tak że i rozmawiać nie mógł. Zostawiam teraz czyste miejsce by jutro po otrzymaniu twoich listów dopisać. Otrzymałem pocztę jeden⁵ twój list nie mogę ci pisać dłużej gdyż zapotrzebowali mię do Awerburga od niego też wyszły swoje listy. Pomimo więc swego przyzwyczajenia nie dopisuję listu. Bywaj zdrowa serdecznie, serdecznie cię całuję kochana Olesiu Tw

Ziu

Diemjano. powiedz że W.W. bardzo zdetonowany i przelękniiony⁶ jeszcze Was. Was. nie widziałem i dlatego trudno mi powiedzieć o wrażeniu jakie na nim zrobi jego list. Część Słowackiego mnie przysłałi.

Nie wiem czy otrzymałem pozwolenie.

Kiepskie listy otrzymałem z domu. Znerwowałem się strasznie.

1) Pierwotnie: „przeszła”. 2) W wyrazie: „Was” duże „W” przerobione z pierwotnego: „I” (?). 3) Przed: „Kwietnia” skreślone: „por.”. 4) „Odkładam” wpisane dodatkowo ponad wierszem, nad skreślonym: „przeciągam”. 5) Przed: „jeden” skreślone: „z”. 6) Wyrazy: „W. W. bardzo zdetonowany i przelękniiony” wpisane dodatkowo ponad wierszem.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Kireńsk 19/V 90 r. Droga moja Olesieńko! Serdecznie ci dziękuję za twoje długie listy, nie masz wyobrażenia jaką mi one sprawiają przyjemność, każdy raz po przeczytaniu twego listu czuję tak jakgdybym pogadał z tobą odrazu wspomnienia mię ogarniają „Minuwszeje prochodit predemnoju wołnujas' kak morie okiean”¹ jak widzisz nastroją aż mię nawet poetycznie! Zresztą ostatni twój list pisany 11 Maja nie bardzo mnie pocieszył. W przeszłym liście opisując swą rozmowę z Goremykinem nie tak mi ją opowiadałaś, w przeszłym liście brzmiała nuta zupełnej pewności i jak ja byłem rad po otrzymaniu twego listu wszak tam wprost stało że on „obiegał” spełnić moją prośbę i to jaknajprędzej. Tydzień który upłynął zdawał mi się wiecznością całą codzien liczyłem ile mi zostaje chwil do spędzenia bez ciebie, przedstawiałem sobie różne obrazy naszego spotkania słowem gdy miała przyjść terazniejsza poczta byłem już w strasznie napiętym stanie i nagle spadłem z obłoków na ziemię. W ostatnim liście charakter twojej rozmowy z Gor. nie nosi tej cechy pewności, która mię tak ucieszyła w przeszłym liście i ma się rozumieć po tak napiętym stanie przyszła apatya i teraz zupełnie straciłem nadzieję bym stąd wylazł. W każdym razie, droga Olesieńko, nie wiem jak ci dziękować za twoje starania w mojej sprawie, niezbyt tobie było przyjemnie szwendać się do² kancelaryj różnych. Biedulka ty moja ile ja tobie nieprzyjemności przez siebie samego przyniosłem pamiętasz w Kireńsku gdy mieszkaliśmy razem wszystkie wygody były na mojej stronie, a nieprzyjemności na twojej. Kochana Olesieńko jeżeli tobie choć cokolwiek jest nieprzyjemnem chodzenie w mojej sprawie to nie chodź zostaw niech rzeczy tak idą jak chcą, sądzę nawet że twoje starania nie pomogą nic a nic w razie gdyby rzeczywiście nie zechcieli mię przeprowadzić. Ja wiem że ty się trochę pogniewasz na mnie za ten ustęp ale cóż robić gniewaj się ale ja nie chcę byś miała jakiegokolwiek przykrości z powodu mnie. Ty piszesz o odpowiedzi o mojej sprawie z Pitra tak jakgdybyś rzeczywiście wierzyła że choć cokolwiek z tego wyjdzie, co do mnie wątpię i bardzo nawet, być może że wątpię dlatego że zbyt dziwnem mi się wydaje bym mógł nagle w tak prędkim czasie znaleźć się w kraju ale w każdym razie jestem głęboko przekonany że nic z tego nie wyjdzie i dlatego też ze smutkiem myślę że być może że 19 marca widzieliśmy się bodaj czy nie ostatni raz a w każdym razie musiało to być

pożegnanie na długo bardzo długo. Zawsze w takich chwilach gdy myślę o tem wydaje mi się że gdyby mi pozwolono było znowu zacząć od 4 lipca zeszłego roku tobym inaczej siebie prowadził, zawsze mi się zdaje że nie dostatecznie byłem z tobą że nie dostatecznie nacieszyłem się z tobą i nakoniec że nie umiałem postępować tak jakbym musiał postępować. Dzień za dniem przechodzą w mej pamięci i ja żałuję tych dni gdy stosunek nasz zdawał się być najzwyczajszym stosunkiem, lecz głównie mężczy mię to, że nie zdołałem ani w części spełnić swego zadania, które przed tem tak jasnym mi się przedstawiało. Ty się domyślasz o czem ja mówię. Ja jestem pewnym że moje „ja” w niczem dodatkiem nie wpłynęło na ciebie. Twój³ pogląd ogólny został ten sam co i był pierwiej co byś ty nie mówiła, ja to czuję. Nawet więcej mnie się zdaje że spotkanie nasze w drodze życiowej być może dodało tobie goryczy w twych⁴ myślach. Nie chcę ci objaśniać dlaczego tak myślę ale tak przynajmniej teraz sędzę. Ja nie przeczę, kochana Leosiu, że⁵ stosunek nasz wiele ci chwil w Kireńsku uprzyjemnił, że nawet na pewien czas zrobił cię spokojniejszą lecz... no ale dosyć o tem nie chcę teraz gadać o tem by⁶ nie wywoływać wilka z lasu by melancholja cię opanowała. Jeżeli to tobie nieprzyjemnie co tu napisałem przebac kochana Olesieńko, pisałem to co czułem, a myśli te dyktowała mi moja miłość ku tobie. Chcesz bym ci napisał o swoich. Otrzymałem z zeszłą pocztą list od Zuli list niezbyt przyjemny. Suginty rzeczywiście sprzedane, i pozostałe majątki bardzo być może zostaną sprzedane, 1 Lipca gdy nadejdzie termin⁷ bankowy. Wogóle Zula napisała mi dosyć detalicznie o naszych interesach i wyglądają⁸ one nader opłakanie. Lecz głównie nieprzyjemnymi są wiadomości o dzieciach. Starsi chłopcy nic nie robią, Zinio niezdrów, Janek uczy się kiepsko, Mania i Ludka uczą się dobrze ale zostają prawie że bez żadnego dozoru i wpływu słowem niezbyt przyjemne rzeczy. Od Bronisia otrzymałem z tą pocztą list facet nadzwyczaj teraz zajęty zawalili go kancelarską robotą powiada że odetchnąć nie ma czasu, przyznam się zazdroszczę mu bardzo. tak chciałbym by teraz u mnie wiele było obowiązkowej roboty. gdyż uspokaja ona. No ale dosyć o tem późno już trzeba się spać położyć. Całuję cię serdecznie Tw

Ziu

Jeżeli nie zdążę napisać do Diemj. powiedz mu że zbieram teraz materyały do obszernego sprawozdania o winotorgowli⁹ niech będzie cierpliwym.

Twoim serdeczne pozdrowienia załączam.

1) W oryginale po rosyjsku; po polsku: „Przeszłość przechodzi przede mną, falując, jak wielkie morze” (dosłownie: „morze-ocean”). 2) Przed: „do” skreślone: „po”. 3) „Twój” poprawione z pierwotnego: „Twoje”. 4) Przed: „twych” skreślone: „ty”. 5) Przed: „że” skreślone: „że już to że ja”. 6) Przed: „by” skreślone: „g”. 7) Przed: „termin” skreślone: „rata”. 8) Przed: „wyglądają” skreślone: „nie”. 9) „Winotorgowli” w oryginale po rosyjsku; po polsku: sklep z wódką, handel wódką.

Nr 8.

[Do Wincentego, krewniaka w Wilnie]

Irkuck 21/VII Kochany Wiciuku! Facetka która ci ten list wręczy jest to moja koleżanka w wygnaniu i dobra moja znajoma przyjm więc ją tak jak przyjaciela twoich przyjaciół. Od niej możesz się dowiedzieć jak ja żyję co zamierzam robić co robiłem et caetera. Być może że na czas pewien zostanie ona w Wilnie jeżeli zaś znajdzie tam jakiegokolwiek¹ zajęcie to może zostanie ona w Wilnie zupełnie w takim razie sądzę że pomożesz jej urządzić się² w Wilnie zarekomendujesz jej jakich takich znajomych żeby facetka nie czuła się obcą w naszym grodzie. O tem dosyć chęć przystąpić do interesu. Rzecz w tem kochany bracie że ja niedawno podawałem prośbę do Ministerstwa by mnie pozwolili na dwa lata które mnie zostają do przebycia w Syberyi przenieść się pod nadzór do Rossyi dla zarządu majątkami. Do podania podobnej prośby skłoniły mnie następujące³ powody. Jak wiesz sam baćka⁴ mój nie odznacza się rządnością a co główne uczciwością w wyborze środków chciałem więc po przybyciu do kraju baćkę usunąć a samemu wziąć się do pracy nie chcę by odpowiedzialność za koniec naszych majątkowych interesów spadła i na mnie gdyż baćka rządzi mając moją plenipotencję. Lecz⁵ odpowiedź z ministerstwa przyszła odmowna niema więc co i mówić o tem⁶. Lecz nie pozostawiłem tej myśli i teraz przyszedłem do przekonania że najlepiej byłoby dla mnie wydzielić swoją część zupełnie, takim⁷ sposobem mógłbym zawsze część jakąkolwiek zachować w razie krachu pozostałego dobra. Sam ja nie mogę wziąć się za to i potrzebuję człowieka któryby mnie zamienił. Nie znam dokładnie warunków naszych i nie wiem czy mógłbym mieć jakiegokolwiek dochód z tego co otrzymam przy wydziale, (zresztą chęć wydzielić sobie i część należną Bronisiowi masięrozumieć zrobić to można tylko

nieofficyjalnie). Nie mogę więc wprost komukolwiek proponować podobne zajęcie gdyż nie wiem czy mogę dać jakiegokolwiek wynagrodzenie za pracę. Ale przyszło mi do głowy zaproponować tobie kochany Wiciuku zając się tą sprawą to jest jeżeli znajdziesz że można z tem cokolwiek urządzić i że człowiek który się tym zajmie może mieć jaki taki dochód to chcę⁸ ciebie kochany Wiciuku prosić wzięść odemnie plenipotencyę i wydzieliwszy moją część i Bronisia zarządzać nimi. Teraz muszę list skończyć. Napiszę zaś za kilka dni obszerny list o tem list ten zapewne otrzymasz pierwiej niż niniejszy dojdzie do rąk twoich.

No bywaj zdrów serdecznie cię całuję twój

Ziu

Rodzinie pozdrowienia załączam
Kolegom kłaniam.

1) W wyrazie: „jakiegokolwiek” środkowe drugie „k” poprawione z pierwotnego: „j”. 2) Wyraz: „się” wpisany dodatkowo ponad wierszem. 3) Pierwotnie: „następujący”. 4) „Baćka” — ojciec; przed: „baćka” skreślone: „że”. 5) Przed: „Lecz” skreślone: „dlatego”. 6) Przed: „tem” skreślone: „sa” — może: „sw”. 7) Przed: „takim” skreślone: „do”. 8) Przed: „chcę” skreślone: „wo”.

Nr 9.

[Do Celiney Bukontówny]

Irkuck 29/VII Kochana Celineczko! Piszę ten liścik przed samym wyjazdem panny Lewandowskiej koleżanki mojej z Ki-reńska. Nie mogę więc pisać długo gdyż czasu po temu nie ma, a ty Celineczko możesz się u tej panny rozpytać o wszystkim co się mnie tyczy. Proszę posłać do niej Adasia czy Ziniaka, ona ma ode mnie¹ list dla nich. Teraz na czas pewien zostałem w Irkucku stolicy naszego kraju, po tygodniu wyjeżdżam do Tunki adres mój taki Sieło Tunka Irkutojskiej Gubernii i okruga Osip. Osip. Piłs.² Proszę serdecznie podziękować odemnie Grzybowskiemu za pieniądze były mi wtedy bardzo potrzebne postaram się odesłać mu je lub oddać kiedy przyjadę do Wilna, a wszak to niezbyt już wiele do tego czasu zostało jakichś półtora roku i tylko i będę może swobodnym. Piszę „może” gdyż niekiedy strach mię bierze że mogą mi dodać lat parę jeszcze.

No ale dowidzenia. Całuję cię serdecznie Tomaszowi pozdrowienie
załączam Twój.

Ziu

1) Przed: „mnie” skreślone: „ci”. 2) Adres w oryginale po rosyjsku; przed: „siele” skreślone: „l”.

Nr 10.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Irkuck 31/VII Kochana moja Olesieńko! Jak widzisz jestem nadzwyczaj akkuratnym w dotrzymywaniu swych obietnic, pierwszy bowiem list ze wszystkich które muszę napisać jest list do ciebie. Chciałaś bym ci opowiedział co było po twoim wyjeździe. Ja wróciłem do domu i robiłem wszystko by zabić jakkolwiek czas do przyjazdu Feliksy i Stanisława którzyby mnie przywieźli najnowsze¹ wiadomości o tobie, moja miła. Przyznam ci się że ani rusz nie mogłem sobie wyobrazić by rzeczywiście czas na który się rozstajemy był tak długim te półtora roku nie mogły się w głowie mojej pomieścić. To jest nie miałem w myśli nic określonego coby mnie dawało prawo myśleć że ten czas się skrócił ale wprost nie wierzyłem by całe półtora roku do końca mego terminu przeszło dla nas w rozstaniu. Łatwiej więc mi było zapomnieć że ciebie niema². Później wieczorem przyjechali Stanisławowstwo. Feliksa masięrozumieć była bardzo rozstrojona, opowiedziała mi o tem jak się zbieraliście wracać nazad do Irkucka i tym wzbudziła we mnie pewne nadzieje że może się wkrótce z tobą zobaczę później siedliśmy grać w szachy ze Stanisławem Feliksa zaś siedziała przy nas i rozmawialiśmy prawie cały czas o tem, czy wrócić do Irkucka czy nie. Cały ten czas nie tak czułem brak ciebie lecz gdy zostałem jeden i usłyszałem szept Stan. i Feliks. on ją uspakajał i układał spać wtedy ciężko mi się zrobiło. Mnie nie było kogo pocieszać nie było kogo popieścić, a tak niedawno była Olesieńka. Nazajutrz byłem na zajęciu u Miszy i od niego znowu dowiedziałem się o was najświeższe nowiny, i on mi też mówił o chęci powrotu do Irkucka. I dotychczas żyję niekiedy nadzieją że wy wróćcie. Niekiedy mnie się przedstawia inne położenie że dojedziecie do Krasnojarska i tam z powodu choroby M. Mar. zostanieie na

zimę, wtedy ma się rozumieć dołożę wszelkich starań by być w Krasnojarsku a ty wszak w takim wypadku poszukasz mnie miejsce. Teraz codzień z Miszą po lekcji rozmawiamy o was (dwaj zakochani) o trudnościach drogi o tem gdzie wy teraz co robicie et caetera. Przyjdę do domu znowu rozmowa z Feliksą o was (tu raczej specjalnie o tobie) i mnie przyjemnie rozmawiać o tobie mileńka ty moja. Feliksa dotychczas znerwowana, staram się ją wyciągnąć na rozmowę o różnych postronnych rzeczach osobliwie wspomnienia o czasach przeszłych to ją ożywia i daje rozrywkę. Wyobraź sobie że mnie znowu chcieli odprawiać dziś wezwali mię do policyi i objawili papier gubernatora że pozwolono mi zostać na tydzień od końca tamtego terminu to jest do jutra, powiedziałem policmajstrowi że jechać nie mogę że Łobzow mnie nie zrozumiał że ja prosiłem do Subboty. Policm. nadzwyczaj grzecznie się ze mną obszedł zaproponował swoje usługi i przez telefon rozmówił się z Łobzowym ten poszedł do gubernatora i także przez telefon dał znać że mogę zostać do Subboty wszystko to w ciągu jakichś dwudziestu minut, ot to rozumiem! Widocznie że mam łaskę u pana policm. radził mi nawet zostać tutaj na dwa miesiące twierdził że mnie pozwolą napewno i że mnie widocznie klimat Irkucki dobrze służy gdyż bardzo się poprawiłem od przyjazdu do Irkucka. Lecz w Subbotę jadę napewno, nie chcę już dłużej odciągać swój wyjazd. W Piątek z pocztą napiszę do ciebie do Tomska a z Tunki napiszę do Wilna na adres Celinki. A jaką kupę listów trzeba mi napisać. Wszak za czas twojej bytności tutaj ja nie pisałem zupełnie i korespondencya nadzwyczaj zapuszczona. Dziecko ty moje drogie jak ty się miewasz, biedotka zapewne droga cię bardzo męczy osobliwie jeżeli i matka i córka całą drogę płaczą. Zapewne często miewacie trudności z pisarzami na stacyach o konie. Wogóle kłopotów zapewne w drodze massa. List przerwali mi St. i Fel. przyszli z miasta. Fel. chodziła³ do Liziety. Później siedliśmy grać w szachy i ot już prawie że dwunasta godzina. Dzisiaj widocznie żadnego więcej listu nie napiszę. Napisz mnie list z Krasnojarska do Tunki opisz jak jechałyście czy bardzo się zmęczyłaś i czy nie zostanieie czasami w Krasnojarsku do wiosny, chociaż ja sądzę że lepiej by było gdybyście powrócili do Irkucka niż męczyć się taką długą drogą. No dziecinko moja bywaj mi zdrowa i wesola całuję cię serdecznie serdecznie twój

Ziu

Jeżeli dojedziesz do Wilna poszukaj sobie tam miejsca mnie daleko przyjemniej byłoby zobaczyć się z tobą w Wilnie niż w innym jakim miejscu.

1) Przed: „najnowsze” skreślone: „ręka”. 2) Przed: „niema” skreślone: „i u”. 3) Przed: „chodziła” skreślone: „otrzyma”.

Nr 11.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Irkuck 3/VIII Kochana miła Olesieńko! I tak mileńka ty nie wrócisz jak ja miałem nadzieję, zresztą to może lepiej dla ciebie i z mojej strony było dosyć egoistycznie cieszyć się że może nie dojedziesz do Rossyi i zostaniesz choć na czas pewien w Syberyi. Wczoraj Stan. otrzymał list twój z Czeremchowa, mamy przynajmniej choć jakietakie nowiny o tobie. A nudno mnie tu bez ciebie osobiwie teraz gdy mnie zęby silnie się rozboleły i długo w nocy zasnąć nie mogę. We dnie zawsze się jakoś to tym to owym rozerwać można lecz wieczór i noc to najgorsze tak silnie się wtedy czuje samotność i tęsknotę ku tobie droga moja Olesieńko. Jutro jadę już do Tunki absolutnie nie wiem jak się tam uda urządzić pieniędzy u mnie niezbyt wiele gdyż popierwsze 10 rubli zgubiłem a za lekcję nie wiem czy co zarobię gdyż uczeń mój wczoraj zachorował i zajęcie przerwane, dzisiaj nawet nie wybrałem się do niego, jutro pojedę i zobaczą ostatecznie niechby zwrócili to co wydałem na zwoszczyków i to byłoby dosyć. Gdy ty tu byłaś jakoś nie mogłem myśleć o tem co będzie w Tunce a teraz to mię trochę przestrasza no ostatecznie do końca roku jakkolwiek dociągnę a dalej jeżeli się zajęcie nie znajdzie to sam nie wiem co będę robił. Przyjdzie się w takie przenosić miejsce gdzieby jakiegokolwiek się zajęcie znalazło. A czy to się uda? Wogóle mnie męczy taka niepewność najbliższej przyszłości w jakiej pozostają. Może zresztą jest to skutek znerwowania, gdyż po twoim wyjeździe tego sobie rozstroilem nerwy a teraz w dodatku te przekłete zęby spokoju mnie nie dają. A ty jak się czujesz, ciężko zapewne i tobie mileńka osobiwie z tą durą Miną Markowną. Lękam się żebyś nie zapomniała wysłać mnie z Krasnojarska fotografię twoją, w liście pisanym do Krasnojarska zapomniałem przypomnieć tobie o tem. Z Tomska też napisz mnie koniecznie dokładnie o wszystkim. Czy zostajesz jeszcze przy zamiarze jechać do Wilna. Seryo mileńka poszukaj sobie tam miejsca, tam najprędzej możemy

się z tobą zobaczyć i oprócz tego mnie przyjemnie będzie wiedzieć że ty moja mileńka mieszkasz w moim kochanem Wilnie. No wybacz droga że tak krótko do ciebie ten raz będę pisał ale zęby nie dają mi zastanowić się nad czem kolwiek jedynie wtedy dają mi spokój gdy uda się zasnąć. Całuję cię serdecznie, serdecznie tak jak cię kocham twój

Ziu

Nr 12.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 13/VIII Kochana moja Olesieńko! Jak widzisz jestem już w Tuncie i już od tygodnia z przeszłą pocztą nie zdążyłem napisać do ciebie w części z powodu swego niedbalstwa gdyż przyjechałem prawie przed odejściem poczty, to jest w wigilję wieczorem a że byłem tego zmęczonym gdyż kilka nocy przedtem i w Irkucku (od bólu zębów) i w drodze nie spałem więc zasnąłem tego i obudziłem się nazajutrz tak późno że mi powiedzieli że się już na pocztę spóźniłem. Martwiło mię to bardzo że opuściłem okkazyę pogadania z tobą miluchna ty moja ale pocieszyłem się tym że w następnym liście będę ci mógł daleko obszerniej i dokładniej opowiedzieć o sobie. Zacznę od początku w niedzielę 5 sierpnia o godzinie 2 wyjechałem z Irkucka drogę odbyłem jako tako: widoki w drodze ładne lecz jazda nieznośna gdyż z powodu strasznych gór i błota jechaliśmy nader powoli tak że tylko w poniedziałek o godzinie 7 wieczorem zjawiłem się do Tunki, tu spotkałem Michalewicza i zjechałem do niego, po herbacie i krótkiej z nim pogawędce położyłem się spać i nazajutrz wstałem dosyć późno do Mich. przyszli Juszczyński i Tarkowski. Z nimi i poszedłem szwendać się po mieście. W ten sam dzień przeniosłem się do Mancewicza i Juszczyńskiego i u nich przemieszkałem do dziś dnia kiedy się przeniosłem na własną kwaterę nająłem ją w centrze wioski z opałem i z wodą za 2 r. 50 kop. miesięcznie jak widzisz w stosunku z Kireńskimi cenami to wcale nieźle. Kwatera akurat prawie taka jak u Aarońskiego była w domu Aleksiejewskiego może trochę mniejsza ale chyba niezbyt wiele. W tym liście nie będę ci szczegółowo opisywał ani ludzi Tunkińskich ani mego położenia opowiem ci tylko ogólne wrażenie. Nie mileńka Tunka nie dla mnie. Jest to dziura co się zowie, ludziom mogącym i ży-

czącym mieć zajęcie fizyczne (polowanie, rąbanie i spławianie drew, uprawa ziemi itd.) dla tych Tunka może być rajem gdyż swoboda w tym względzie jaknajszersza rozjazdy są pozwolone w obrębie 40 wiorst chociażby i na 10 dni I Jaby'm może wciągnął się w te zajęcie gdybym miał o co zaczepić się, gdybym miał posobije gdy zaś tego niema trzeba szukać zajęcia a tu kompletnie nic znaleźć nie można po pierwsze dlatego że to wieś i inteligentnej pracy tu niezbyt wielka potrzeba, po wtóre zandarmi tyle piszą donosów że wszyscy się lękają naszych jak dyabeł święconej wody. Te donosy i przestrogi dawane obywatelom względem zesłanych dochodzą do ostatecznych granic głupoty. Zresztą być może i uda mnie się znaleźć coś jest przynaj-(mniej) na to nadzieja zajęcie za 15 rubli miesięcznie co przy tutejszej taniości wystarcza, za miesiąc się wyjaśni czy te zajęcie¹ mnie się dostanie czy nie wtedy będę mógł o sobie powiedzieć coś pewnego. Co do ludzi to ogólne wrażenie robią oni wcale nieźle przynajmniej większość, ale ton tutaj trochę nazbyt nihilistyczny dosyć ci powiedzieć że ja napewno będę tu uchodził za arystokratę a to nie zbyt mnie się podoba. Z facetów dotychczas najwięcej mnie się podobał Juszczynski dosyć miły prosty facet i mniej ma nihilistycznych popędów niż inni, pomiędzy innymi i Mancewicz tym duchem zarażony. Zresztą żyć tu można u ludzi jeszcze silnie tętni życie czuć jeszcze bardzo od nich Rossyą z tego więc powodu rozmowy bywają dosyć ożywione, oprócz tego ludzie grają i w szachy i w winta tak że nie brak i rozrywek, gazet i żurnalów mnóstwo ostatnie wszystkie są „Głos” też się otrzymuje. Według rozkazu twego donoszę ci o dniach pocztowych. Poczta przychodzi tutaj zwykle w Subbotę i w bardzo złą drogę chyba w Niedzielę a odchodzi stąd we Wtorki o godz. 2. Co do mego zdrowia to czuję się nieźle, spaceruję codzien prawie, tylko te błoto przekłete, takiego nigdy nawet na Łogowej ulicy w Kireńsku nie bywało no milusiańka a ty jak się miewasz list twój z Razgonnej pisany 5 sierpnia otrzymałem 11 sierpnia w Subbotę serdecznie ci Olesiu dziękuję wielką mnie przyjemność tym listem sprawiłaś, zawsze choć jakakolwiek wiadomość o tobie a tak tęskno bez ciebie tak chce się widzieć i uścisnąć Leosieńkę a tu jeszcze całe lata przede mną. A wiesz że nadziratielska kwestya tutaj jeszcze nierozstrzygnięta gdyż nikt prawie nie rozpisuje i ja czuję się bardzo niezręcznie: rozpisać się to niezręcznie przed tutejszymi facetami, nie rozpisywać się wyjdzie jak gdybym² rozpisał się w Kireńsku jedynie by się przenieść do innego miejsca. Słowem niewygodne położenie nie wiem jak się z niego wykręcić Zapewne zresztą że nie będę się rozpisywał, chociaż bardzo się lękam by to cza-

sami nie stanęło na przeszkodzie przy przeniesieniu się w inne miejsce gdy tego zajdzie potrzeba Słowem zupełnie niespodziewany kłopot. Myślałem o tem jak też i nadal do ciebie pisać i postanowiłem jeszcze dwa listy napiszę na adres Celinki a ty ją poproś by ci je odsyłała tam dokąd się udasz z Wilna a później będę oczekiwał adresu od ciebie. Ot³ szelma wszak ty ten list będziesz czytała w mojem Wilnie gdy ja będę tu kisnął w jakiejś Tunce. No miła bywaj zdrowa i wesoła całuję cię serdecznie serdecznie do następnego listu dowidzenia twój

Ziu

1) W oryginale wyraz: „zajęcie”, zapewne wskutek podziału na dwa wiersze: „zajęćcie”. 2) W oryginale: „jak gdybym”. 3) Przed: „Ot” skreślone: „A”.

Nr 13.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 20/VIII. Kochana miła Olesieńko! Z ostatnią pocztą nie otrzymałem od ciebie listu, bardzo to mię zmartwiło jakoś markotno bywa nie wiedzieć co się dzieje z tobą moja miła nie otrzymywać od ciebie żadnych wiadomości. Ja zdaje się regularniej od ciebie piszę: ot¹ dzisiaj tylko co wróciłem z polowania, czuję trochę zmęczenie a pomimo to piszę do ciebie, ma się rozumieć nie jest to żadna ofiara, gdyż po pierwsze przyjemnie mnie pogawędzić z tobą a powtóre ty mileńka nie otrzymując odemnie listu gotowaś wyfantazyować co sobie, wszak ty do tego tak jesteś zdolną, a mnie te twoje fantazy nieźbyt się podobają. Rozliczyłem że ty po przyjeździe do Wilna nie zastaniesz jeszcze mego listu i będziesz zmuszoną czekać go (ma się rozumieć jeżeli zechcesz) całych półtora tygodnia i mnie to niepokoi czy dójdą moje listy do ciebie czy domyślisz się zostawić swój adres Celince by wiedziała dokąd je tobie posyłać. No ale teraz przechodzę do sprawozdania o mojej osobie gdyż postanowiłem pod tym względem zadowolnić twoje wymagania i opisywać ci jak najdokładniej całe moje życie mam bowiem nadzieję że ty ze swej strony odwdzięczysz się mnie tym samym. Naprzód o ludziach: Polacy. Manc. facet szwendający się wciąż po polach i lasach to poluje to kosi siano to drwa spławia to jego zajęcie co do jego charakteru trudno mnie² dotychczas cokol-

wiek określonego powiedzieć w każdym razie wątpię bym mógł stać z nim na bliskiej stopie, na poufałej to może być gdyż facet ze wszystkimi poufałe i żartobliwie się trzyma, ale blisko trudno gdyż on zdaje się człowiek co łatwo sam się bez tego obchodzi. Juszcz. to facet uczuciowy³ o ile Manc. wciąż chodzi o tyle ten wciąż siedzi w Tunce z tym można zejść się bliżej gdyż facet ma w sobie serdeczności dosyć wiele chociaż to przykryte⁴ powłoką trochę grubowatą i żartobliwą (ton panujący tu ogólnie); Szwarz facet sympatyczny ma się rozumieć na przyjaciela dla mnie trochę za stary ale z nim nadzwyczaj przyjemnie rozmawiać gdyż facet widział i czytał bardzo wiele i pomimo że ma on kilka biczków ale to dodaje tylko wesołości w rozmowie z nim. Później Chochły Rklicki i Us. tego ostatniego nie widziałem dotychczas wcale obydwaj wciąż też szwendają się za Tunką Rklicki zaś facet dosyć gruby i nieopolerowany bezwątpienia nie mógłbym z nim być bliżej (widzisz omyliłaś się); Tarkowski facet dosyć porządny widać że wygnanie dało mu się już we znaki ale niema w nim tego trochę nihilistycznego⁵ tonu i to mnie się w nim podoba. Michal. facet niemłody ale interesujący się wszystkim prawie lecz trochę pedantyczny. Barinow druga edycja Wieszniakowa tylko bez zawadyactwa i nachalności ostatniego Lebediew trochę z bziakiem Bogorodzki miamla jakaś nic więcej. Ot i wszyscy faceci. Co do facetek, Łojko facetka może i porządna i rozmówna tylko strasznie bije wciąż na efekt (teatralka)⁶ Gubarewa⁷ rozkapryszone dziecko i wszyscy z nią jak z dzieckiem się obchodzą Kolenkina⁸ nic o niej powiedzieć nie mogę nie znam jej prawie wcale Kryłowa⁹ staruszka starająca się¹⁰ postępować we wszystkim z zasady i według przekonań. Ot i wszyscy. Duch wogóle tu czy to z powodu braku ludzi¹¹ z rodzinami (1 Michal), czy to z powodów innych trochę nihilistyczny i grubowaty. Ot i wszystko co o ludziach powiedzieć teraz mogę. Teraz o sobie. Pisałem ci w przeszłym liście o kwaterze. Obiaduję u Manc. Juszcz. gdzie też obiaduje i Łojko. Samowar mam u gospodyni mego mieszkania chociaż dotychczas nigdy nie piłem herbaty w domu wciąż to tu to ówdzie wieczorem bywałem. Grałem już trzy razy w winta, pięć partyj w szachy i dwa razy chodziłem na polowanie czytam póki co bardzo mało. Ot i masz moje wszystkie zajęcia. Co do mego zdrowia nie niepokój się Michalewicz wziął mię w swoje ręce. Już mię wysłuchiwał osobliwego nic nie znalazł oprócz „prituplenia tona”¹² w wierzchołku prawego płuca. On jako doktor i higienista straszny rygorysta i gotów mnie zamęczyć różnymi prawidłami higienicznymi i dezynfekcyjnymi. Dotychczas ma się rozumieć ja jeszcze nie przyzwyczałem się do Tunki i czuję się

jakgdyby gościem i przechodniem tutaj zresztą takie uczucie będzie u mnie panowało zapewne czas cały gdyż w Kireńsku było u mnie to samo dopóki nie znalazłem w Kireńskim życiu interes silniejszy i pobudzający do życia ma się rozumieć ja mówię tu o 4 Lipca. Jak teraz sobie przypominam to tylko od tego czasu ja poczułem pewne przywiązanie do Kireńskiego życia, oswoiłem się z niem i byłem w Kireńsku jak w domu, seryo to tobie mówię. A ty mileńka! gdzież to ty będziesz ten list mój czytała. Ja wciąż nie przestaję marzyć że ty zostaniesz w Wilnie że tam znajdziesz jakie miejsce i osiądziesz. Jakby to dobrze było. Ja kocham i Wilno i ciebie nic więc dziwnego, że chciałbym byście były razem przez to i Wilno staje się milszem gdy ty tam jesteś i będąc w Wilnie będziesz w środku¹³ mych interesów i dążeń, dlatego to ja i marzę o pobycie twoim w Wilnie. Teraz często zajmuję się wyliczaniem tygodni które mnie zostały do końca terminu wyobraż sobie całych 85 tygodni. Zresztą teraz przyszedłem do przekonania że mnie napewno dadzą jeszcze jakich dwa lata po pierwsze za sprawę 1 Marca a nie za co innego zostałem zesłanym chociaż dalibóg mógłbym im dać słowo honoru że więcej do podobnych spraw 1 Marca mięszać się nie będę raz się oparzyłem i to bez osobliwej chęci do tego teraz po nauczce tem bardziej będę ostrożnym; powtóre zaś ta głupia sprawa Irkucka takoz mnie może zaszkodzić Ot jak się to przychodzi pokutować za grzechy młodości i niedoświadczenia Dlatego to gdy zaczynam wyliczać tygodnie zawsze później nieprzyjemnie się robi gdy pomyślę że te wyliczania do niczego nie prowadzą że po tych 85 tygodniach trzeba będzie zacząć liczyć znowu od setki. Fe paskudztwo! A jeszcze w Tuncie nie znajduję zajęcia to wtedy choć strzelaj się, słowem teraz niekiedy żałuję że przeniósłem się do Tunki w Kireńsku miałem przynajmniej zabezpieczony kawał chleba a tu straszna niepewność co za dwa miesiące będzie gdy wszystkie grosze wyjdą. No ale dosyć o nieprzyjemnych rzeczach. Przynajmniej choć ty porzuciłaś tę głupią Syberyę choć ty znajdujesz się w lepszych warunkach. No mileńka bywaj zdrowa i wesoła całuję cię serdecznie serdecznie tak jak cię kocham twój

Ziu

napisz mi prędzej swój adres gdyż do Wilna na adres Celinki napiszę jeszcze tylko jeden list.

(*Na górnym marginesie drugiej strony listu*): Ah, jeszcze Dienisow facet nader gadający i lubiący towarzystwo ale jakoś mnie się niepodoba.

(*Na górnym marginesie trzeciej strony listu*): Zapomniałem o parze Gołubiatnikowych to młodzi facet i facetka i sprawiają wrażenie ludzi 18 lub 17 lat którzy miesiąc temu się pożenili.

1) W oryginale poprawione z pierwotnego: „od”. 2) Wyraz: „mnie” wpisany dodatkowo ponad wierszem. 3) Wyraz nieczytelny — prawdopodobnie: „miastowy”. 4) Po: „przykryte” skreślone: „pod”. 5) W wyrazie: „nihilistycznego” — „l” poprawione z pierwotnego: „c”. 6) „teatralka” (teatralny sposób bycia) — po rosyjsku. 7) W oryginale: „Gubarewa” po rosyjsku. 8) W oryginale: „Kolenkina” po rosyjsku. 9) W oryginale: „Kryłowa” po rosyjsku. 10) Przed: „starająca się” skreślone: „po”. 11) Przed: „ludzi” skreślone: „rodzi”. 12) W oryginale: „prituplenija tona” (przytłumiony ton) — po rosyjsku. 13) Przed: „środku” skreślone: „centrze”.

Nr 14.

[*Do Leonardy Lewandowskiej*]

Tunka 24/VI 90¹ Leosiu! Nie pisałem ci tak długo, dlatego że nie miałem siły i serca ci powiedzieć, że stosunek nasz taki jakim był nadal pozostać nie może. Leosiu! Zapomnij o mnie, jam ciebie nie godzien i jeżeli możesz przebac mi. Chciałbym... lecz nie wszystkiego cobym ci chciał powiedzieć papieru nie starczy więc wszystko jedno Miła, droga bądź szczęśliwa Dowidzenia może na zawsze

Ziu

1) Data najwyraźniej omyłkowa, gdyż 24 czerwca był Piłsudski jeszcze w Kireńsku.

Nr 15.

[*Do Leonardy Lewandowskiej*]

Tunka 16/IX Kochana Olesiu! Z ostatnią pocztą otrzymałem list od ciebie i śpieszę nań odpowiedzieć. Chcesz wiedzieć co mnie skłoniło do napisania ostatniego mego listu do ciebie. Miła Leosiu! Detalicznie opisać ci tego nie mogę. Osobiście mógłbym

ci to powiedzieć. Lecz zrozumiej że *listownie* nie mogę ci mówić o rzeczach, gdzie zamieszana jest tajemnica trzeciej¹ osoby. Wogóle zaś oto co zaszło. Ja kochając ciebie oddałem się drugiej osobie. Ja piszę kochając ciebie gdyż pomimo że się starałem wmówić w siebie że tak nie jest, miłość moja ku tobie droga Leosiu była silniejszą, jak się to ostatecznie okazało. Zrozumiesz więc łatwo że postąpiłem bardzo nieładnie, mówiąc łagodnie, względem ciebie jakoteż względem i innej. Stosunek ten był bardzo krótkim, gdyż z powodu istnienia we mnie innego uczucia stosunek ten i dla mnie i dla niej był zbyt męczącym Skończyło się na tem, żeśmy się rozeszli ona z goryczą na mnie, ja z jedną jeszcze płamą w mem życiu. Oto więc co było. Ty mię pytasz Leosiu czemu ci napisałem taki list bez wymienienia przyczyny i powodu zerwania stosunku. Droga, miła! cóżem ci miał pisać. Pisałem ci ten list z rana po niespanej nocy, którą spędziłem kompletnie jak waryat, pisałem ci go płacząc niedłwie. Napisać ci że cię nie kocham — nie mogłem gdyż byłoby to nie prawdą. Zostawiać stosunek z tobą w dawniejszym stanie, to jest oszukiwać ciebie też nie byłem w stanie. Napisałem więc to co w danej chwili czułem i myślałem. Ot masz i wszystko. Kochana, (chciałem powiedzieć moja lecz się wstrzymałem) jeszcze jedno ci powiem: Nie umiem ci wyrazić tej radości gdy otrzymałem twój list w którym spostrzegłem że ty miła Leosiu, z tych kilku słów które ci napisałem, prawie rozumiałaś mój stan i powody które mię skłoniły do tego kroku i że ty możesz przebaczyć mi i zapomnieć o tem. Lecz proszę cię o jedno. Pomyśl o tem czy możesz zupełnie puścić to w zapomnienie czy możesz potem wszystkiem czuć tak samo jak dawniej i mieć ku mnie zaufanie. Ja cię proszę pomyśl o tem silnie i seryo, gdyż jeżeli to niemożliwe, to my nawet kochając się wzajemnie będziemy tylko sobie zatruwali życie.

Takbym chciał prędeziej mieć od ciebie odpowiedź. Ot co Leosiu jeżeli ty po dojrzałym i dobrym namyśle przekonasz się że ten wypadek nie zostawi śladu nie mówię w stosunku twoim ku mnie lecz w twem sercu i uczuciu zatelegrafuj mi tak „Piszi”². Jeżeli zaś przekonasz się że po zaszłem ty nie możesz patrzeć na mnie tak jak dawniej nie zwracaj uwagi na to że będzie to na razie ciężko, pomyśl wszak to cała³ przyszłość od tego zależy, wtedy telegrafuj „nie piszi”⁴. Nie będzie to oznaczać że nie będziemy pisywali do siebie⁵ gdyż jaką by nie była twa odpowiedź ja zawsze chciałbym wiedzieć co się z tobą dzieje i jak ty żyjesz. Tylko proszę cię raz jeszcze zastanów się! Aha jeszcze jedno. Ty piszesz że w swem uczuciu do mnie w tobie zawsze była część uczucia macierzyńskiego, ma się rozumieć że podobne

uczucie zbyt jest wyrozumiałem i wybaczącem i zresztą ja ciebie kocham nie jako matkę i niema we mnie ani trochę synowniego uczucia i wcale sobie nie życzę byś w danym wypadku roztrząsała jak matka, dlatego też proszę cię odrzuć na ten raz to uczucie i myśl jak kobieta, która kocha i chce być kochaną.

Wybacz Leosiu że ci nie piszę obszerniej. Doprawdy wierzę mi mnie bardzo ciężko i trudno pisać jak o tem tak też i w ogóle nie wiedząc jeszcze czy się nasz stosunek zachowa.

Dowidzenia twój

Ziu

1)) Przed: „trzeciej” skreślone: „nawet”. 2) W oryginale: „Piszi” (pisz) — po rosyjsku. 3) Wyraz: „cała” poprawiony — pierwotnego wyrazu odczytać się nie da. 4) W oryginale: „nie piszi” (nie pisz) — po rosyjsku; przed rosyjskim: „nie” skreślone: „nie” polskie. 5) Pierwotnie: „ciebie”.

Nr 16.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 15/X Kochana moja Olesieńko! Nakoniec moge napisać do ciebie mnie nadzwyczaj była nieprzyjemną w ciągu tego miesiąca myśl że ty odemnie listu nie otrzymasz tak długo czułem się jak gdyby winnym przed tobą chociaż w rzeczywistości nic zrobić nie mogłem. Do Wilna napisałem dla ciebie z Tunki trzy listy wielka szkoda żeś się nie domyśliła napisać samej do Celinki z prośbą wysłać tobie moje listy wszak adres jej masz u siebie na wszelki wypadek jeszcze raz piszę ci jej adres: Wilno Bolszaja ulica dom Gorodskoj Ratuszi Magazyn Grzybowskago Gże Celinie Bukont¹. Dziękuję ci mileńka że ty tak często pisywałaś do mnie trudno ci wypowiedzieć jak przyjemnie mi było na poczcie kaźden raz gdy otrzymywałem list na którym rozpoznawałem charakter ręki mojej Olesi. Bardzo to niedobrze że nie mogłem pisywać do ciebie wciąż i zmuszony byłem tak długo zachowywać milczenie nie mogę ci z tego powodu w jednym liście skreślić cały ten czas nie mogę ci dać tak dokładnego sprawozdania z mego życia z moich myśli jakbym to mógł zrobić pisując częściej. Teraz już zupełnie ustanowiłem się w Tunce, trochę się nawet do niej przyzwyczailem. Mieszkam jeden i sam już² teraz prowadzę gospodarstwo. Z początku stołowałem się u Manc. i Juszc. i Łojko lecz później

to się rozpadło i do zimy kaźden myśli o sobie. Jak ja gospodarzę trudno ci to opowiedzieć. Przez dzieñ palę w piecu niekiedy raz w tydzieñ zgotuję sobie jakiegokolwiek świñstwo a to tak poprzestaję na herbacie mleku i jajach. Długo nie mogłem przybrać się do wymiatania i u mnie było tak brudno że aż strach, nakoniec dzisiaj wymiotłem pokój ot i całe moje gospodarstwo. Tutaj zrobiłem się myśliwym, chodzę na polowanie bardzo często lecz na nieszczęście niezbyt często co ubijam chociaź i zdarza się niekiedy że i zastrzelę³ zająca albo jakiegokolwiek ptaka. Co do zajęcia płatnego, co mię najwięcej interesowało to wszystko spetzło na niczem. Była nadzieja na lekcycę u jednego kupca tutejszego, u⁴ którego dotychczas zawsze dawali lekcycę nasi, ale kupiec ten niedawno otrzymał oficjalną reprimandę za to i przeląkł się tak że nadzieja ta pękła jak bańka mydlana. Postanowiłem więc podać prosbę do ministerstwa. W Prośbie tej opisałem moje połozenie i proszę by mnie albo pozwolili rozjeźdzać swobodnie po Irkuckiej gubernii albo przenieśli do Irkucka gdyż przy takich warunkach mógłbym otrzymywać jakiegokolwiek zajęcie z którego czerpałbym środki dla życia. Póki zaś⁵ przyjdzie odpowiedź z Petersburga napisałem do domu by wysłali chociaźby rubli 40 bym mógł czas ten przeżyć jakkolwiek. Nie wiem co z tego wyjdzie może zaproponują otrzymywać podobnie w kaźdym razie sądzę że odpowiedź będzie taka że będę mógł spokojnie myśleć o jutrzejszym dniu i nie nerwować się z powodu tej niepewności środków utrzymania. A taka niepewność męczy mię nadzwyczaj. Sam nie wiem czego się trzymać co myśleć o najbliższej przyszłości dlatego to często szukam czegokolwiek żeby się zapomnieć żeby mię nie prześladowała ta myśl dokuczliwa. Z tego to powodu zacząłem tak często chodzić na polowanie z tego też powodu niekiedy Tunka wydaje mi się czemś obrzydliwym skąd chciałbym drapnąć jaknajprędzej. Co do ludzi Tunkińskich to i dotychczas trudno mi coś pewnego o nich powiedzieć. Jakoś mnie do ludzi nie ciągnie nie staram się wcale poznać bliżej charakter i przekonania facetów i facetek a wprost zadawałniam się zetknięciem się pochodzącem ze zwykłych przyczyn i potrzeb codziennego życia, wogóle nie szukam bliskości w stosunkach z nimi i jakoś zamykam się sam w sobie. Nie mogę napewno powiedzieć skąd to pochodzi czy to wpłynęło na mnie tak wygnanie że zupełnie prawie zniszczyło interes w poznawaniu ludzi czy też po tak bliskich stosunkach jakie były u mnie w Kireńsku z niektórymi i osobliwie z tobą moja ty miłeńka nie chce się jeszcze zawiązywać bliźsze stosunki z innymi. Zapewne jak jedno tak i drugie tak wpłynęło na mnie. Słowem teraz jestem zupełnie samotnym duchowo, niekiedy mnie z tym

bardzo dobrze niekiedy zaś i trzeba przyznać że dosyć często wprawia mię to w jakiś apatyczny lub bardzo rozdrażniony stan.

Co ty moja miła porabiasz w Rosyji jak twój stan moralny. Ach Olesieńko jak chciałbym teraz właśnie gdy jesteś w kraju być z tobą widzieć ciebie. Ale do tego jeszcze zostało całych półtora roku i to jeżeli mnie nie dodadzą jakich parę latek. Półtora roku to nie żarty. Gdy o tem myślę zawsze przenoszę się do tych czasów co były półtora roku temu. Ileż to wypadków ile zmian zaszło w mem życiu w usposobieniu⁶, poglądach wszak to półtora roku temu mnie wypuścili w Kireńsku z więzienia i sama pomyśl tylko ile z tego czasu zaszło rzeczy. Gdy tak myślę te półtora roku które mnie pozostają do końca terminu wydają się mnie czemś nieskończonem. Niekiedy zaś gdy przeszłości nie tykam do końca terminu zdaje się zostaje zupełnie niewiele tak niewiele że się lękam że w tym czasie nie zdążysz zrobić tego lub owego co się zamierzało. Chociaż częściej napastuje mię pierwsze usposobienie gdyż wogóle teraz z przeszłością wiele mam do czynienia, często bowiem bawię się we wspomnienia. Niekiedy z taką jaskrawością występują przedemną obrazy naszego wspólnego życia w Kireńsku że widzę jak najdokładniej siebie ciebie otaczające warunki, osoby przeżywam znowu te uczucia i myśli co mną wtedy władały. Często myślę że wtedy gdy byliśmy razem nie umiałem korzystać ze szczęścia które było koło mnie. Że tyle chwil z tych które byliśmy razem zeszyły na marne nie zostawiwszy żadnego wspomnienia żadnej pamiątki⁷. Nie mogę sobie przebaczyć, że ciebie moja miła ja tak często rozdrażniałem, smuciłem. Pamiętasz w Irkucku mileńka gdy na ulicy (pamiętam nawet to miejsce) u ciebie wystąpiły na oczy łzy biedotka ty moja, twój Ziuczek niedobry był wtedy. Na nieszczęście wszystko to przeżyte już i wiele chwil które chciałoby się wrócić przeszły i wiele chwil które poraz drugi by się chciało przeżyć minęły. Ma się rozumieć że i przyszłość mię zajmuje często marzę o niej myślę o tobie o naszym spotkaniu się w Rosyji. No dosyć o tem wracam do rzeczywistości. Żeby nie zapomnieć zdam ci dokładne sprawozdanie ze stanu mego zdrowia. Doprawdy rzadko kiedy się tak dobrze czułem jak tutaj. Wyobraź sobie nocowałem parę razy w polu przy ogniu nogi przy polowaniu na kaczkę moczyłem ciągle i nic mi się nie stało nawet kataru nie miewałem. Ma się rozumieć stan ten zdrowia musi dodatnio wpływać na moje usposobienie. Pamiętasz dawniejsze moje myśli o suchotach o tem że nie przeżyję dwóch lat et caetera. Teraz znikły one zupełnie wogóle o chorobach i wszelkich słabościach teraz jakoś i myśleć nie mogę jest to wprost wpływ dobrego stanu zdrowia. Nic to dziwnego, chodzę bóg wie ile jestem prawie wciąż na świeżem powietrzu

prawie 3 razy co tygodnia całe dni spędzam w lesie. Ot i jutro na cały dzień mam zamiar pójść na polowanie. Jutro będę polował na twoje szczęście może się ono lepszym okaże od mego. Aha Leosieńko co ja ciebie chciałem prosić. Wiesz w listach swoich ty tak straszne herezye wypisujesz po polsku że aż włosy stają na głowie. Czytaj Leosieńko po polsku jaknajwięcej zrób to dla mnie ja tak chciałbym żeby moja Olesieńka dobrze umiała po polsku¹. Chciałem niektóre twoje wyrażenia wypisać z² listów, ale lękam się że może i za tę uwagę trochę się obrazisz i będziesz do mnie pisała listy pilnując siebie a to zawsze robi listy trochę sztucznie a ja chciałbym mieć wiadomości od ciebie wprost z głowy płynące bez żadnego pośrednictwa roztrząsania i zastanawiania się. Z domu dawno już nie otrzymywałem wiadomości gdyż Ciocia wyjechała do Libawy i Poługi a tak nikt mnie nie pisze ani słowa. Od Bronisia otrzymałem parę listów facet teraz w dosyć dobrym humorze i listy jego lepsze sprawiają wrażenie niż pierwiej. O Tatjanie Iłarionownie jeszcze nie pisał ani słowa znaczy się że ona jeszcze tam nie dojechała no Olesieńko bywaj zdrowa i wesoła całuję cię serdecznie tw

Ziu

(*Na górnym marginesie szóstej strony listu*): Niedawno otrzymałem listy od Wilczyńskiego (zapytuje o tobie) i Siergieja Pawłowicza ten prosi o twój adres i wiadomości o tobie.

1) Adres ten w oryginale po rosyjsku. 2) Wyraz nieczytelny; może być: „jak”. 3) Pierwotnie: „strzelam” lub: „strzelić”. 4) Przed: „u” skreślone: „ale”. 5) „Zaś” poprawione z pierwotnego: „co”. 6) Pierwotnie: „usposobbieniu”. 7) W wyrazie: „pamiętki” — „a” poprawione z pierwotnego: „ę”. 8) W oryginale razem: „popolsku”. 9) „z” poprawione z pierwotnego: „i”.

Nr 17.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 22/X Kochana miła moja Olesieńko! List twój drugi z Orła otrzymałem pełno tam wymówek pod moim adresem za to że nie piszę do ciebie. Ach mileńka ty moja teraz tylko gdy list twój otrzymałem domyśliłem się że mogłem nie czekając listu od ciebie z adresem pisać wprost „do wostriebowanija”¹ do Orła, przychodziła mi taka myśl i pierwiej ale nie chciało mi się by listy moje długo leżały na poczcie w Orle twoje

nazwisko jest znanem i w takim razie list mógłby na tyle leżeć w oczy że koniec końców doszedłby tylko do cudzych rąk, ma się rozumieć to tylko zmniejsza moją winę gdyż nie domyśliłem się przytem że mógłbym napisać list zupełnie niewinny zawierający kilka słów o zdrowiu położeniu et caetera, lecz i to przychodziło mi na myśl ale ja przytem myślałem że gdy otrzymasz taki lakoniczny list możesz o mnie powziąć Bóg wie jakie wyobrażenie i nawet zmartwić się a ja wcale nie życzę sobie być przyczyną twego zmartwienia. Jak widzisz więc moja ty miła że wina moja zmniejsza się przy tych okolicznościach prawie do zera i dlatego to mam nadzieję że wina ta będzie mi przez moją srogą panię wybaczoną. Żeby zaś wyprosić te przebaczenie z pokorą listownie całuję rączki szanownej pani. Sądzę że potem nie będziesz miała serca gniewać się dalej na mnie A list twój trochę mię rozśmieszył i uradował zarazem Ty piszesz że moje milczenie tylko w takim razie może być usprawiedliwionem gdybym² ja zapomniał zupełnie o twojem istnieniu lecz zarazem list twój dowodził że wcale podobnej myśli nie wierzysz że więc wydaje się ci ona niemożliwą. Bardzo cieszę się z tego powodu gdyż w tym czasie gdy zmuszony byłem nie pisywać do ciebie często przychodziło mi na myśl że ty według swego (arcynierozumnego dodam od siebie) zwyczaju możesz o tem kto wie co³ pomyśleć. O swoim życiu dalibóg prawie że nie mam co powiedzieć chciałem ci opisać dzień po dniu cały ten tydzień lecz zacząłem go przypominać i okazało się że już zapomniałem co w przeszłym tygodniu było, jest to dowodem że dzień mój tak jest do dnia podobny drugiego, że po pewnym przeciągu czasu trudnem bywa odróżnić je jeden od drugiego Wiem tylko że w tym tygodniu chodziłem parę razy na polowanie i raz grałem w szrubę więcej zaś zdaje się nic nie było interesującego w tym czasie. Oprócz tego nie wiem już gdzie się przeziębilem i teraz czuję się trochę niezdrowym bolą mię zęby, tęgi katar mię opanował i tak dalej bardzo to mię smuci gdyż jutro znowu zbierałem się pójść na polowanie by skorzystać z ładnej jesieni która teraz stoi w Tunce. Jeżeli nie będzie lepiej to nie pójdę, widzisz jak siebie szanuję i to wierz mi jedynie przez pamięć na ciebie i na twoje rozkazy wydane przed twoim odjazdem do Rosyi. Widzisz jaki grzeczny twój Ziuczek. Nie myśl żebym się napraszał na pochwałę od ciebie nie ja wprost sam sobą się zachwycam pod tym względem to przyznać muszę od czasu gdy stałaś się opiekunką mego zdrowia spostrzegam wpływ widoczny umiałaś zaszcześcić we mnie twoje myśli o mojem zdrowiu, tak że teraz daleko więcej i staranniej szanuję je niż to było do 4 Lipca, cóż robić zawsze wszak jesteście ostrożniejsi z cudzą własnością niż ze swoją własną.

Bardzo mię cieszy że interesa twoich bliskich są tak dobre jak ty piszesz tylko mileńka nie rozumiem poco ty marzysz o tem żeby mnie pomagać, mój ty miły Boże czyż nie znajdzie się tam w Rossyi czegokolwiek lub kogokolwiek gdzieby lepiej było wsunąć grosze niż tam przesyłanie do mnie i poco mnie one. Teraz rzeczywiście potrzeba⁴ mi geld'u no ale i to głupstwo tak to ładnie wszystko przejdzie że ja proszę ciebie Olesieńko! i nie myśl ty o tem by mnie posyłać pieniądze. Co ty tam pisałaś o Aleksandrze Jegorownie nic z tego nie rozumiałem i dlatego nim nie napiszesz jaśniej nie mogę wypełnić twego żądania. Jaka ty śmieszna⁵, chcesz bym ci napisał cokolwiek o Feliksie i dzieciach jak gdybym ja mógł wiedzieć o nich⁶ więcej od ciebie. Otrzymałem od Feliksy jeden liścik w którym ona mi napisała że i ona za przykładem Stanisława zachorowała na listowstręt i że pisać nie może chociaż napisała że już u nich jest fortepjan płacą zaś 15 rubli miesięcznie i grywają z Nik. Jakow⁷ duety oto i wszystkie szczegóły ich życia które mi są wiadome. Wogóle teraz prawie od nikogo nie otrzymuję listów Nie wiem czemu się tak zeszło. No Leosieńko wybacź że tak krótko i głupio piszę ale głowa mi od kataru boli i żadnych myśli zebrać nie mogę dowidzenia⁸ całuję cię mocno mocno two

Ziu

1) „Do wostriebowanija” (poste-restante) — po rosyjsku. 2) Pierwotnie: „gdyby”. 3) „Co” poprawione z równie krótkiego — nieczytelnego — wyrazu. 4) Przed: „potrzeba” (pierwotnie: „potrzebę”) skreślone: „mam”. 5) Pierwotnie: „śmieszna”. 6) Przed: „o nich” skreślone: „coko”. 7) „Nik. Jakow.” (niechybnie: Nikołaj Jakowlewicz) — po rosyjsku. 8) Przed: „dowidzenia” skreślona — nieczytelnie — jakaś litera zaczętego wyrazu.

Nr 18.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 29/X Kochana miła Leosieńko! Z tą pocztą od ciebie nie otrzymałem wiadomości, pomimo że rozumiem że nie co tydzień że będziesz ty mnie pisała, mnie było jakoś nieprzyjemnie wracać z poczty bez listu od ciebie. No ale cóż robić trzeba się godzić z losem tem bardziej że ty mileńka częściej dotychczas odczuwałaś tę nieprzyjemność z mojej winy. W przesyłanym liście pisałem ci że czułem się w ten dzień niezadowolony. W nocy później u mnie była silna gorączka i zaczął się bronchit (zatiężny katar)

i tak¹ byłem niezdrów w ciągu kilku dni a tu na złość zaczęła się zima uderzyły mrozy wypadł śnieg tak że dotychczas nie przyszedłem do zupełnie normalnego stanu i trochę kaszlam. Jak widzisz recenzja szczerza i dokładna naumyślnie to zaznaczam żebyś nadal wierzyła mi na słowo gdy ci napiszę że jestem zdrowy a nie postępować tak jak Ciocia która wszelkim moim słowom w tym względzie nie wierzy i nie przestaje niepokoić się o swego Ziuka. Kiedy łaska ty tych głupstw nie rób. Ja wiem że ty bez niepokojów żyć nie możesz że gdy już absolutnie nie masz się czego nerwować i lękać o kogo wtedy będziesz w nienormalnym stanie dopóki się odkryje możliwość męczyć siebie różnymi nieuzasadnionymi strachami. Wiem że teraz mam honor być jednym z głównych przedmiotów niepokoju mojej pani i dlatego proszę cię wierzyć moim słowom nie będę skrywał przed tobą ani stanu mego zdrowia ani mego nastroju moralnego. Takie postanowienie pochodzi nietylko stąd, że ci przyrzekłem tak postępować ale oprócz tego wpływa na to i to że sam jestem pewnym siebie w tym względzie dawniejszy niepokój mój że nie powrócę do Kraju znikł zupełnie i teraz szczerze i silnie wierzę że tam będę. Na taką zmianę usposobienia wpływa i to że rzeczywiście już nie tak wiele mi do końca zostało no a oprócz tego tam w kraju do wszystkiego innego co tam mnie oczekuje dodała się jeszcze jedna osobka o której pani moja wie dobrze jak wiele ona dla mnie znaczy i jak silnie chcę ją zobaczyć, żądanie więc moje być w kraju od pewnego czasu (29 lipca) silnie się zwiększyło a że ja pod względem swych żądań najczęściej bywam optymistą więc stosownie do siły żądania wzrasta i nadzieja że ono nie zostanie zawiedzionem. To psychologiczna strona tego zjawiska no a oprócz tego działa na mnie bezwątpienia i to² że od wyjazdu³ z Kireńska bezwątpienia bardzo się poprawiłem fizycznie, a to osobliwie w wygnaniu silnie na nastrój duchowy oddziaływa.

Zarazem donoszę ci że teraz jem znowu obiady codziennie obiaduję teraz z Mancewiczem gotujemy obiady na trzy dni więc co 6 dni trzeba gotować obiad nie bardzo to mnie przyzwyczajonemu do życia pod tym względem kosztem cudzej pracy podoba ale cóż robić trzeba nieść z pokorą krzyż co nam Bozia z nieba posyła. Zresztą zima wogóle wniosła pewną zmianę w życie nasze. Ludzie zmuszeni do siedzenia w domu, gdyż dotychczas częściej prawie spotykaliśmy się w lesie niż gdzieindziej, częściej się z sobą widują i jakoś stosunki są więcej ożywione. Zresztą poskarżyć się na tutejszych facetów nie można w większości są to ludzie u których chęć podzielenia się ze swymi myślami nie wymarła zupełnie z tego powodu tu dosyć często zdarza się prowadzić jakąkolwiek rozmowę tyjącą się tak zwanych „wyższych interesów”

nawet zdarza się czytamy razem cokolwiek. Ot ta strona życia tutejszego bardzo mi się podoba ożywia ona jakoś człowieka i dodaje mu otuchy i energii. Przypominam sobie że ci w jednym z listów pisanym zaraz po przyjeździe do Tunki pisał wrażenie odniesione przy znajomości z kolegami nowymi, nie pamiętam dokładnie zdanie⁴ moje o wszystkich lecz niektóre chciałbym sprostować lub dopełnić. Gołubiatnikow przypomina mnie tego⁵ Ziuka którym byłem zaraz po przyjeździe do Kireńska to jest trochę zielono w głowie lecz chęci wspólnego życia z ludźmi chęci zbliżenia się z nimi massa, no a z tego powodu że w Tuncce jak zresztą i wszędzie w wygnaniu wyrabia się u ludzi dosyć wybitna cecha indywidualistyczna, więc facet trochę niezadowolony z życia tutejszego, zresztą facet z charakteru wiele się różni odemnie u niego niema namiętności i nerwowości jak u mnie i z tego powodu wygnanie na nim się nie tak odezwie jak to było ze mną. Rklicki o nim zdaje się dałem niezbyt przychylnie zdanie, ono nieprawdziwe, teraz ja go lepiej trochę poznałem i znalazłem wyobraź sobie w⁶ w nim wiele cech nadzwyczaj podobnych do mnie, taksamo on skłonny jest do marzycielstwa i wiele czego innego no ale też i są różnice on straszny flejtuch i⁷ pod tym względem przypomina trochę Demjanowskiego a zresztą facet dobry i w towarzystwie nawet przyjemny gdyż facet ma dużo dowcipu i wesołości. Pisałem ci zdaje się że Gubarewa na drodze do zakochania się we mnie nie wiem ale mnie się to i dotychczas zdaje że gdybym się postarał tobym prędko jej zawrócił głowę no ale ja niekiedy staram się o przeciwne i gdy spostrzegnę że facetka z jakichkolwiek powodów mile na mnie spogląda staje się wprost niegrzecznym by zatać dobre wrażenie. Ot miałem z nią komedycę. Ona była niezdrową i prosiła mnie bym przyszedł u niej przenocować (u niej bywają halucynacje). Wieczorem przychodzę i znajduję facetkę w histerycznym płaczu Zdenerwowałem się i nie wiedziałem co przedsięwziąć i prosiłem ją przestać i krzyczałem na nią nic nie pomagało z godzinę męczyłem się z nią nim się uspokoiła, a przytem ona straszna kapryśnica i w dodatku bardzo wiele o sobie myśli. Ty piszesz bym ci pisał o Sybirskich wiadomościach, wszak znasz mię w tym względzie że one mię niezbyt zajmują i że najczęściej w jedne ucho wejda w drugie wyjdą. Na szczęście teraz przypominam sobie kilka. Łądzki złapani i już przywieziony do Irkucka naznaczonym został „wpried’ do razporiażenija Diepartamienta”⁸ bez określenia terminu do Wilujska. Jeden z uczestników Jakuckiej historyi Ratin zaczął wydawać teraz powieźli go do Irkucka gdzie jak powiadają określa on stopień winy wszystkich uczestników tej historyi powiadają że na zasadzie jego wskazani mają poraz drugi rozpatrzyć tę sprawę i urządzić nowy sąd nad Jakutianami. Ot zdaje

się wszystkie wiadomości z Syberyi które zostały mi w pamięci. No ale lampa moja gaśnie a nafty niema póki co więc dobranoc mileńka całuję cię serdecznie i życzę ci ładnych snów. Jutro list ten skończę.

30/X No Dzieńdobry mileńka jak spałaś co do mnie spałem niezłe i nawet we śnie widziałem ciebie. Jednakże jak ja jestem sentymentalny, prawdę mówi Sienkiewicz w swej powieści Bez dogmatu że kaźden z nas Polaków ma sentymentalności dozę porządną. A czy wiesz Leosiu że teraz gdy mówią o tobie tutaj zawsze się trochę detenuję, czort wie co jeszcze nie stawało bym zaczął czerwienić się jak młoda panna. Niedawno Dienisow przepatrując moje fotografie zachwycił się twoją pięknoscją, mówił że uderzyła ona jego jeszcze w Irkucku gdy widział twoją fotografię u Miszy Morejnesa. Mnie było bardzo przyjemnie słyszcę pochwały twojej powierzchowności ale pośpieszyłem upewnić że w naturze ty nie tak ładną jesteś jak tu na fotografii, zresztą powiedziałem niezupełnie prawdę gdyż ty gdy się ubierzesz w ten biały kaftanik co go nosiłaś w Irkucku to wcale niezłe wyglądasz. Pamiętaj że obiecałaś mi spotkać mnie przy przyjeździe do ciebie w takim właśnie kaftaniku No i rozplotłem się na dobre a tu trzeba list kończyć i odnieść go na pocztę więc dowidzenia całuję cię serdecznie serdecznie Z domu teraz nie otrzymuję listów. Broń się zdrów i w niezłym humorze twój Ziu.

1) Przed: „i tak” skreślone: „z teg”. 2) Wyrazy: „i to” poprawione z paru — nieczytelnych — liter zaczętego wyrazu. 3) Przed: „wyjazdu” skreślone: „przy”. 4) Przed: „zdanie” skreślone: „wsz”. 5) Przed: „tego” skreślone: „wsz”. 6) Przed: „tego” skreślone: „fac”. 7) „w” poprawione z pierwotnego: „i”. 8) „wpried” do rozporządzenia Diepartamentu” (aż do czasu zarządzeń Departamentu Policji) — po rosyjsku.

Nr 19.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Nr 4.

Tunka 5/XI Kochana Leosio! List twój Nr. 3 otrzymałem z ostatnią pocztą zupełnie tak jak ty liczyłaś 3 listopada, według twego rozkazu numeruję listy stawię tutaj Nr. 4 gdyż z Tunki nie licząc trzech listów pisanych na imię Celinki piszę teraz czwarty list do waćpani. O swoim życiu w Tuncce niewiele

co mogę powiedzieć nowego. Wogóle cięży mi brak stałego zajęcia jakoś nieprzyjemnie spędzać czas na zbijaniu bruków w Tunce. Osobliwie to się daje znać teraz gdy na dworze stoi zima i nie można chodzić na polowanie do lasów i na błota. Czytać? Ależ czy można od 4 wieczorem gdy słońce zajdzie spędzać czas na czytaniu do 12 lub 1 oprócz tego ty mnie znasz jako człowieka który nie ma w swym charakterze ani na grosz gospodarności Z tego to powodu gdy słońce zajdzie i nadejdzie wieczór gdy trzeba już myśleć o samowarze i herbacie wkładam paltot zamkam kwaterę i uciekam na herbatę do kogokolwiek z kolegów i przychodzę do domu późno o godz. 9 lub 10. gdy już niewiele czasu zostaje do końca dnia. Ten ostatek czasu spędzam na czytaniu myśleniu i marzeniu jednym słowem jest to czas zostawiony pracy duchowej. Ale męczy mię te nieokreślone moje położenie materialne i ja z niecierpliwością oczekuję odpowiedzi¹ z Petersburga na moją prośbę podaną w końcu września, zapewne przyjdzie się czekać do nowego roku, ot dobrzeby było gdyby mi pozwolili mieszkać w Irkucku. Tam zapewne przeszkód by nie było żadnych ale lękam się by Wojnicz swoją ucieczką nie przeszkodził mi w tym względzie, już to Wojnicz nader niefortunnie się urządził z tą ucieczką, no ale przynajmniej może rozkażą mi wydawać posobije. Jest jeszcze jeden środek. Us, jeden z kolegów, podawał prośbę o pozwolenie pracować² we włości i jemu pozwolili teraz jest on sekretarzem u zasiedatiela, jeżeli odpowiedź przyjdzie odmowna na moją prośbę z Petersburga machnę wtedy prośbę o pozwolenie pracowania we włości. W każdym razie będzie zajęcie. Ty piszesz jak silnie chciałabyś mię zobaczyć jaknajprędzej i że wspominasz nasze dobre Kireńskie czasy. Jeżeli ty będąc w stosunkowo dobrych warunkach lubisz oddawać się wspomnieniom to cóż mówić o mnie. Tęsknota do kraju po twoim³ wyjeździe zwiększyła się znacznie ma się rozumieć dlatego że ty moja miła teraz tam jesteś. Codzień myślę marzę o powrocie do kraju o widzeniu się z tobą codzień wyliczam jak mi jeszcze długo zostało mieszkać w Syberyi, to mię rozdrażnia i nerwuje i często chciałoby się zapomnieć się choć na pewien czas by czas ten przeleciał prędzej. Niekiedy to mi się udaje i kilka dni przejdzie to na tym to na owym w pewnym zajęciu, tak że wieczorem nie przychodzi na myśl „jak wiele jeszcze zostało do końca”. Wtedy cieszę się jak dziecko że kilka dni przespałem i nie spostrzegłem jak one minęły. Głupi stan! Ale nic na to nie poradzisz trzeba się godzić z wolą nieba. Ty piszesz że chciałabyś koniecznie widzieć mnie po moim powrocie. Jakgdyby inaczej być mogło. Ja postanowiłem wracając z Syberyi do domu zajechać koniecznie do mojej pani wprzódy nim pojedę do Wilna

tak więc oczekuj mnie (ma się rozumieć jeżeli mnie nie dodadzą) w końcu Marca lub w początku Kwietnia 1892 r. gdyż mam zamiar wyjechać z Syberyi wcześniej (podam taką samą prośbę jaką ty podawałaś) tylko kiedy łaska proszę nie wpaść pod nadzór gdyż będzie to dla mnie niezbyt przyjemnem jeszcze nagle mię u ciebie zaaresztują i nim się rozjaśni kto ja i poco przyjechałem mogę posiedzieć w więzieniu. Przeczytałem to co napisałem o moim powrocie i rozśmiałem się. Jak wiele jeszcze zostało czasu do tego powrotu a ja zajmuję się już określaniem nawet drobnotek dotyczących się tego powrotu przewidywaniem różnych wypadków mogących się przytem zdarzyć. Lecz ty mnie wszak znasz w tym względzie. Na drugi dzień po twoim wyjeździe z Irkucka ja zacząłem przeżywać chwilę spotkania z tobą za półtora⁴ roku. Jest to skutek mojej żywej wyobraźni że tak żywo odczuję wyobrażane przypadki w przyszłości że nawet niekiedy zdaje się i w⁵ rzeczywistości nie tak silnie będę odczuwał. Kiepski to charakter i często to mię gniewało. Rzeczywistość⁶ u mnie nigdy się nie odczuwa bezpośrednio a wydaje się jakgdyby odbiciem niekiedy nawet słabem tego co się już dawniej w duszy i wyobraźni odczuło. (Przerwałem na chwilę pisanie listu by postawić sobie samowar, dziś bowiem dzień poświęcony pisaniu listów i ja siedzę cały wieczór w domu) Myśląc o tym czasie gdy powrócę do domu nieraz nie mogę sobie przedstawić jak też się urządzę, byłoby ma się rozumieć bardzo dobrze gdyby nie trzeba było osobiście walczyć o byt starać się o kawał chleba, takie życie mogłyby dać majątki gdyby one zostały w całości do mego powrotu, a to jeszcze niewiadomo, w przeciwnym razie absolutnie nie wiem za co się wezmę, nie mogę sobie przedstawić ani jednego zajęcia gdzie byłbym jak w domu, wszak nie dawanie⁷ lekcyj zbyt to paskudna praca, a tylko to zdaje się umiałbym robić bez wszelkiego przygotowania Ma się rozumieć można marzyć tak jak ja marzę o pracy literackiej ale i do tego trzeba się poduczyć wiele czego. Wogóle powtarzam praktycznie w kraju nie mogę siebie wyobrazić i to mnie trochę straszy. Ma się rozumieć ja wierzę w swoje siły i zdolności ale z drugiej strony któż w nie nie wierzył a pomimo to jak często spotykamy tzw. „nieudaczników”. Ot będzie facecya gdy ostatecznie nie znalazłszy sobie odpowiedniej mnie pracy i przeto przekonawszy się że jestem na miejscu jedynie w Syberyi w roli „priesztuplika”⁸ przynajmniej jest to zupełnie określone i jasne położenie. No ale co o tem mówić wszak to jeszcze tak daleko ten powrót do kraju, to przyszłe życie. Dziękuję ci kochana Olesieńko za to żeś tak szczerze napisała mnie o głównej przyczynie twego „pessimizmu”. Ja się potrochę domyślałem twego smutku lecz

sam też nie chciałem wszczynać rozmowę o tym przedmiocie nie chcąc cię drażnić daremnie (Znowu przerywam pisanie, samowar gotów i trzeba pić herbatę po herbacie skończyć pisanie). A wiesz co mnie przyszło do głowy w czasie herbaty. Przypominałem sobie mój pobyt w Irkucku. Wszak Feliksa i Stanisław zapewne nie powierzyli naszemu udawaniu że „między nami nic nie było”. Mnie i śmiesznie się zrobiło i zarazem nadzwyczaj przykro. Śmiesznie gdy przypominałem jak głupie musieliśmy mieć miny gdy Feliksa robiła pewne przycinki co do nas a przykro że stanęliśmy w tak głupim położeniu jakgdyby nasz stosunek był czemś niedobrem że musimy się z tem kryć jak złoczyńce, zapewne było to nieprzyjemnem i Feliksie wszak ona twoja siostra, nie twoje pomysły co do tego krycia się i w Kireńsku i w Irkucku były trzeba przyznać nader niefortunne i teraz ja siebie łajam że się zgodziłem na to. No pomyśl sama jak przyjemnie będzie Feliksie gdy ona nagle się dowie od kogokolwiek no od Diemjanowskiego, Borejszy lub jeszcze prędzej od Wilczyńskiego, wszak on napewno będzie przejeżdżał czy pierwiej czy później przez Irkuck i co do niego to jestem pewien że z przyjemnością wygada co wie o naszym pobycie i życiu w Kireńsku. Teraz myślę że jeżeli przyjadę do Irkucka⁹ to przy pierwszej sposobności opowiem sam Feliksie o wszystkim a jeszcze lepiej gdybyś ty sama napisała do Feliksi o tem. A to doprawdy arcygłupie położenie! Zresztą rób ma się rozumieć jak chcesz i ja takż Feliksie nic nie powiem bez twego pozwolenia, tylko jeżeli będziesz sama¹⁰ do niej pisała (co mnie się zdaje jest najlepszem wyjściem) to napisz i do mnie o tem żebym wiedział. 6/XI Wczoraj nie zdążyłem skończyć listu a że dzisiaj wstałem według zwyczaju dosyć późno więc trzeba prędzej kończyć by się nie spóźnić na pocztę. Z domu teraz nie otrzymuję listów. Ciocia wyjechała do Połagi i tam ma kwatery¹¹ dla uczniów z tamecznego gimnazjum więc teraz z Wilna nie otrzymuję listów od nikogo nie wiem jak stoją interesa i co się dzieje z całą rodziną. Oczekuję że Celinka mi napisze choć cokolwiek o tem albo Zula gdyż i do niej pisałem. Aha! Leosieńko ty za tydzień po tym liście zapewne nie otrzymasz odemnie wiadomości. Taka kupa się zebrała listów do pisania a ja fizycznie prawie nie mogę napisać więcej nad dwa listy z pocztą, nie gniewaj się mileńka że przepuszczę przyszlą pocztę. Dzisiaj zaś śpieszę i dlatego że jestem dyżurnym¹² i muszę odegrywać obiad co też czasu wymaga, ot świństwo powiem pani te gotowanie obiadu i najgorsze w świecie zajęcie mycie naczyń po obiedzie a cóż robić trzeba się przyzwyczajać! No bywaj zdrowa kochana Leosieńko całuję cię serdecznie.

twój Ziu

1) Przed: „odpowiedzi” skreślone: „na”. 2) Przed: „pracować” skreślone: „zajmowa” (?). 3) Przed: „po twoim” skreślone: „do siebie”. 4) Przed: „półtora” skreślone: „parę”. 5) „w” wpisane dodatkowo ponad wierszem. 6) Po: „Rzeczywistość” (ostatni wyraz w ostatnim wierszu na stronie) nieskreślone: „wy” (?). 7) Przed: „dawanie” skreślone: „na” może: „za”. 8) „Priesztuplika” — po rosyjsku; zob. odsyłacz 9 do listu nr 1. 9) Przed: „Irkucka” skreślone: „Kirens”. 10) Przed: „sama” skreślone: „tak”, może „tam”. 11) Przed: „kwaterę” skreślone: „ucz”. 12) Poprawione z omyłkowego pierwotnie: „dyżynym”?

Nr 20.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 19/XI Kochana miła Leosiu! Piszę do ciebie w dosyć niezwykłych warunkach. Gubarewa zachorowała i od tygodnia zmieniamy się przy niej na nocie dzisiaj wypadła moja kolej. Facetka jęczy stęka, krzyczy i nieledwie na każdym słowie przerywa mnie pisanie wybaczyć więc mileńka jeżeli list wyjdzie nieszczególnym, tem bardziej że zacząłem pisać list dosyć późno, kiedy mogę mieć nadzieję być trochę spokojniejszym i trochę głowa mi cięży. Z ostatnią pocztą otrzymałem dwa twoje listy z Orła (w tych czasach poczta się zatrzymywała z powodu zamarzania rzek i w porę do nas nie dochodziła). Ty chcesz żebym ci donosił cośkolwiek o Feliksie i jej rodzinie trudne to wszak oni zarówno jak do ciebie tak i do mnie pisywać niezbyt skorzy chociaż ja sądzę że nie masz żadnego powodu się o nich niepokoić. Wiesz że Diemjanowski w razie czego zawsze do ciebie o nich napisze, doprawdy te twoje niepokoje to już jedna fantazyja, nigdy przytem ty nie przyjmujesz pod uwagę żadnych okoliczności. Eh Leosieńko kiepsko z takim charakterem żyć na Bożym świecie. Wszak z doświadczenia mogłaś się przekonać że na 1000 razy 999 razy twój niepokój okazywał się zupełnie bezpodstawnym. Wszak prawda? Nie, absolutnie nie rozumiem takiego ciągłego stanu niepokoju. Kiedy łaska Leosieńko nie¹ wybieraj mię objektem swego niepokoju nie chcę sobą przynosić tobie jakąkolwiek trwożę tem bardziej że ze mną nic się nie stanie i teraz święcie wierzę że jeżeli mnie nie dodadzą to napewno powrócę do kraju. (Ot znowu facetka przerywa mi list prosi natrzeć jej rękę jakimś paskudztwem). Skończyłem jedno trzeba było zrobić drugie doprawdy tracę nadzieję skończyć dzisiaj list ten a jutro już czasu nie będzie.

Otrzymałem z ostatnią pocztą list od Celinki pisze że już trzeci list mój do ciebie otrzymała i że wysyła go do ciebie zapewne już go otrzymałaś. Doprawdy żadnej myśli zebrać tu nie można nad niczem ani chwili się zastanowić. Wybacz Leosieńko że dłużej nie piszę jeżeli jutro się nie uda zakończyć tej ćwiartki odesłę tak bo wszak z przeszłą pocztą do ciebie nie pisałem. Póki co więc całuję cię serdecznie, serdecznie

twój Ziu

20/XI Ot ja i w domu² wstałem bardzo rano coś o 7 czy 6 tę noc nader kiepsko spałem do godziny 2 uspakajałem moją chorą i wiesz czem komplementami dalebóg lepiej to działa niż morfina, pomimo bólu bowiem facetka wciąż się śmiała i widocznie nader była ze mnie kontenta, a mnie co, chwala Bogu, rodzice mię o tyle dobrze wychowali że mogę w ciągu kilku godzin bezustanku prawić babom komplementy ot i przydała się podobna nauka do czegokolwiek. A kobiety ach mój Boże jak one są czułe na komplementy! seryo, ty się nie gniewaj na mnie za podobną sentencję wszak są wyjątki i ty ma się rozumieć do nich należysz ale wogóle wogóle komplement zawsze jest miłym kobiecie. No ale dosyć zapewne o tej kwestyi. Z syberyjskich nowin mogę ci zakomunikować kilka: Wilczyński teraz jest w Niżnieilińsku tamże ma przyjechać Borejszo z żoną kolonja więc Kireńska coś zbiera się do Ilińska. Łądzki został naznaczony do Wierchnie Kołymska powiadają że to jest tylko termin wysograjfi w gruncie zaś tam nic i nikogo niema. Tamże ma być zesłany albo Daniłow albo Bohoraz. A w tym tygodniu będę miał kupę zajęcia Jeden z kolegów Dienisow wyjechał i prosił mię palić w piecu cały tydzień nim on tam gdzieś skończy robotę, dalej u siebie będę w piecu palił a gdy naprzykład jutro będę dyżurował i gotował obiad więc będę musiał wypalać trzy piece później reperuję sobie brodnie gdyż teraz do tego stopnia się ocałdoniłem że brodnie na które dawniej bez wstrętu patrzeć nie mogłem stały się najulubieńszem mojem obuwiem oprócz tego kilka razy trzeba będzie dyżurować u Gubarewoj. Widzisz więc jak pełnem zajęcia jest terazniejsze życie twego Ziuka zresztą to i dobrze jakoś wtedy czas nie wydaje się tak męcząco długim. O swoich nic nie mogę ci powiedzieć gdyż sam o nich nic nie wiem listy bowiem jakoś rzadko do mnie dochodzą. No bywaj zdrowa moja mileńka całuję cię serdecznie twój Ziu...

Że ty piszesz do mnie co tydzień bardzo jestem ci za to wdzięcznym, tak przyjemnie otrzymywać od ciebie listy.

1) Przed: „nie” skreślone: „kiedy”. 2) W oryginale: „wdomu”.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 26/XI Kochana miła Leosieńko! Dzisiaj znowu piszę do ciebie w mieszkaniu Gubarewoj, facetce lepiej ale dotychczas potrzebuje by ktokolwiek przy niej nocował. A już nie wiem czemu się tak zdarza że przed pocztą zawsze ja zmuszony jestem dyżurować. Z ostatnią pocztą od ciebie listu nie otrzymałem a przyznam się żem go oczekiwał, no ale ty mileńka i tak rzeczywiście piszesz do mnie dosyć często i takie małe rozczarowania nie zmniejszą wdzięczności za częste wspomnianie o mnie. A czy wiesz ja zaczynam się wciągać trochę do tutejszego życia, teraz osobliwie gdy codzień jem obiad dnie jakoś prędzej mijają gdyż zawsze codzień jest robota która dzień rozdziela na pewne części no a oprócz tego mam trochę roboty to drzewo kolegom piłuję to rąbię drwa, to reperuję sobie obuwie. Do tego stopnia że niekiedy literalnie czasu nie bywa Teraz nawet jakoś zacząłem czytać więcej, wziąłem się teraz za francuszczyznę, później wezmę się i za niemiecki język, teraz gdy się czas wyjazdu do domu przybliży niekiedy opanowuje mnie jakaś gorączka, tyle chciałoby się zrobić do tylu rzeczy się przygotować że gdy o tem wszystkim pomyślisz przychodzisz do przekonania że na to wszystko czasu nie „chwyci”. Jedno mię straszy: a nuż dodadzą, przy tej myśli doprawdy aż zimno się robi. Co począć wtedy? Dla mnie to będzie straszne rozczarowanie nawet cios. Wszak ja nie znałem prawie życia gdy mię wysłali do Syberyi jeszcze świadomie prawie że w niem nie uczestniczyłem. Lękam się, lękam się tego! Gdy list ten otrzymasz będzie zapewne już 1891 rok. Szczerze ci winszuję nastąpienia nowego roku no i życzę ci ma się rozumieć wszelkich pomyślności i nie życzę ci wpaść w tym 1891 roku w jakąkolwiek historię, któraby przeszkodziła mi po przyjeździe do Rossyi zobaczyć się z tobą moja ty mileńka. Smutno mi będzie spotykać nowy rok bez ciebie. Pamiętasz w przeszłym roku święta i nowy rok później twoje przenosiny na nową kwaterę i nasze w niej życie. Jakież to dobre były czasy! Szkoda że tak prędko minęły! Gdy list ten otrzymasz zostanie mi do końca terminu tylko rok i trzy miesiące. Już teraz obmyślałem co będzie po moim powrocie. Jeżeli mię puszczą do końca terminu to zapewne będę w Rossyi w początkach Kwietnia, zajadę z początku do ciebie później do Wilna tam i wogóle w tamtych stronach spędzę całe lato, mam nadzieję w tym czasie widzieć ciebie u siebie. W tym też czasie wyrobię

sobie pozwolenie pojechać na Sachalin odwiedzić Bronisia i jesienią machnę tam morzem a zimą w końcu roku powrócę przez Syberję do domu. Widzisz jakie szerokie plany nawet na cały 1892 rok ma się rozumieć wszystko to może się stać gdy grosze będą w kieszeni. Zresztą pierwszą rzeczą po przyjeździe do domu będzie uregulowanie interesów majątkowych. Do tego czasu jak widzę niema co i wszczynać wstępnych kroków. Cóż być może że majątki do tego czasu nie pękną. A wiesz prababunia nasza niedawno umarła, zdaje się o tem nie pisałem do ciebie, tak zaś o rodzinie swojej nic a nic nie otrzymuję. Z tą pocztą otrzymałem listy wszystkie z Syberji od Kotka, Sier. Pawł. i Diemjanowskiego. S.P. pisze że do nich tam przyjechali Wilczyński i Borejszowie w Kireńsku zaś umarła Porożenczycha, twoja pupilka. Kranichfeld i kompanja dotychczas siedzą w Irkucku i nic o swoim losie nie wiedzą. Oto zdaje się wszystkie nowiny jakie ci mogę z naszych stron zakomunikować. O życiu S.P. nie piszę¹ ci nic gdyż zapewne sama wiesz o tem bezpośrednio od niego, pisał on bowiem do ciebie. A czy wiesz że może otrzymam tu jakie takie zajęcie u Michalewicza uczyć dzieci łaciny i języków 10 rs miesięcznie dotychczas tym się zajmował Szwarz, ale coś oni chcą zdaje się mnie poprosić. No cóż i to zajęcie zawsze będzie się zaco zacząć i przeżyć nie robiąc nowych długów w dodatku do starych. Zresztą to jeszcze nader niepewne i ja nie pokładam na to osobliwej nadziei. A w Syberji znowu się pojawiła influenza teraz już dobrała się do Czyty oczekują ją i w Irkucku i zapewne dobierze się ona i do Tunki, źle będzie chorować bez ciebie, ma się rozumieć i tu koledzy dopatrzą mnie w razie potrzeby, ale zawsze to nie to, co mieć koło siebie w takich wypadkach swego kochającego człowieka. (Przerwano mi na chwilę list). A wyobraź sobie co tu za klimat, wszak dotychczas porządnego mrozu nawet nie było najwyżej dochodziło do 25^o a teraz kilka dni zupełnie ciepło zapewne nie więcej jak 3 lub 4 stopnie nawet w nocy Po Kireńskich zimach to nawet trochę za ciepło, cóż to będzie dopiero w Rossji tam zapewne nie znajdę sobie miejsca od ciepła. Teraz w kwaterze (kwatery u mnie sucha i ciepła) gdy choć trochę więcej napalisz robi się gorąco nie do wytrzymania. Zresztą w kwaterze swojej ja niezbyt często bywam: po obiedzie palę w piecu i wieczorem po herbacie u kogokolwiek siedzę dosyć późna za książką oto i wszystko a tak cały dzień bywam poza domem jakoś nie mogę się przyzwyczaić czuć gospodarzem² w kwaterze tak się i zdaje że jesteś albo gościem albo gdzieś w hotelu na chwilowem mieszkaniu. Stosownie do tego i kwatera moja jest to szczyt nieładu i niegospodarności aż samemu niekiedy niezręcznie ale cóż z sobą poradzisz kiedy doprawdy tak trudno porządkować, wymia-

tać. No bywaj mi zdrowa moja miła Leosieńka. Całuję cię serdecznie i mocno twój

Ziu

1) Przed: „nie pisze” skreślone: dotych”. 2) Przed: „gospodarzem” skreślone: „gos” i inny krótki — nieczytelny — wyraz.

Nr 22.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 10/XII Kochana Leosiu! Już trzy poczty przysły do Tunki nie przyniósłszy mnie od ciebie żadnej wiadomości. Kilka razy zaczynałem się już o ciebie niepokoić. Dotychczas uspakajam siebie tym że według mego wyliczenia, ten czas odpowiada temu gdy ty odemnie też nie otrzymywałaś listów, gdy ja twego adresu nie miałem. Zapewneś się na mnie obraziła i postanowiłaś doczekać się listu odemnie by nań odpisywać. Nieładnie to z twojej strony wykazywać taki brak zaufania do mnie. Z przeszłą pocztą ja do ciebie nie pisałem z powodu niezdrówia. Cały prawie przeszły tydzień byłem niezdrów. Przeziębilem się zapewne, a tu jeszcze zmiana pogody nastąpiła, zaczęło się katarem, gorączką, później mię gardło bolało, tak że nawet jeden dzień przeleżałem. Wogóle choroba podobna trochę do influenzy tem bardziej że oprócz mnie jeszcze kilku z kolegów przechorowało w tym czasie, i prawie w tej samej formie co i ja, z tego więc wnoszę że musiało tu być coś epidemicznego. Zresztą przeszło to już i został tylko maleńki kaszel, który mnie niekiedy dokucza. A już tylko trzy tygodnie zostały do końca roku, a tam już nastąpi ostatni rok mego wygnania. Ma się rozumieć cieszy mię to bardzo i niekiedy niecierpliwość moja potęguje się tak, że tak zdaje się ten czas pozostały długim i nieskończonym że w duszy się rozwija głucha złość, jako skutek tego — apatya. Tak samo się ręce opuszczają i ma się rozumieć silniej jeszcze gdy pomyślę że po tych 1 1/2 roku nastąpią jeszcze nowe 2 lata wygnania. Wtedy to już czuję się zupełnie paskudnie. Najlepiej to wtedy gdy nastąpi przylew energii chęci pracy gdy pomyślę że już niedaleko godzina swobody że trzeba się choć cokolwiek do niej przygotować. Ze wstydem muszę się przyznać że takie wybuchy energii są u mnie dosyć rzadkie, pochodzi to i stąd że mię bardzo męczy nieokreśloność położenia materyal-

nego, gdy zacznę myśleć o tem wyobraźnia podsuwa mi różne głupie myśli i żeby się od nich oswobodzić uciekam z domu by nie być samemu dlatego też i wiele robót rozpoczętych leży i nie wiem kiedy się zbiorę do ich wykończenia. Teraz niekiedy żałuję że cię posłuchałem i wyniosłem się z Kireńska, tam miałem chleb zapewniony, jeżeli i byłoby mi trochę nudno, jeżelibym odczuwał brak towarzystwa to może być to mię zmusiłoby wziąć się do pracy prędzej niż nadmiar tego towarzystwa który tu w Tuncie istnieje. Teraz postanowiłem ten tydzień spędzić porządniej niż inne będę więcej siedział w domu popracuję trochę, przeczytam to co mi pozostało z pozaczynanych książek. Ma się rozumieć że czy mi się uda wykonać to postanowienie tego nie wiem i nie twierdzą z pewnością że tak i będzie jak postanowiłem. List ten zacząłem pisać zrana teraz już zdążyłem zjeść obiad i po obiedzie zapalić u siebie w piecu i wiesz przypomniał mi się czas gdy pamiętasz paliliśmy u mnie w¹ kwaterze Czudinowych piec i przypomniało mi się też nasze nieporozumienie z powodu poczty. Pamiętasz? Ot kiedy komedia ja pani powiadam. Zapewne wszyscy w roli kochających się gołąbków są dosyć śmieszni i dlatego to każdy pamiętając o sobie w tej roli nie będzie się śmiał z tego ale bezstronnie mówiąc tak patrząc ze strony wszystkie te facecye muszą być arcy pocieszne i komiczne. A bardzo chciałbym być z tobą w Rossyi przy jakiegokolwiek pracy wszak bezwątpienia byłibyśmy zupełnie inni. Zresztą zapewne zobaczymy to w rzeczywistości za jakie półtora lub dwa lata, bo że się zobaczymy w Rossyi i będziemy biedowali lub szukali szczęścia wspólnie, to fakt. Nie chcę tylko dawać wolę i puszczać cugle swej fantazyi, a tobym ci opisał takie obrazy przyszłego życia że aż miło. Bez wątpienia rzeczywistość nigdy nie odpowie tym wymarzonemu obrazom na toż ona rzeczywistość by można ją było przeciwstawiać marzeniom! lecz w każdym razie w mych marzeniach musi się zawierać choć cząstka prawdy, gdyż bądź co bądź a buduję swe marzenia na gruncie realnym, wyobraźnia zaś tylko przydaje tym obrazom więcej jaskrawe farby. No ale poco sobie nabijać oskome tą przyszłością. Qui vivera verra jak mówi francuskie przysłowie. Ot bieda czy wiesz z domu nie otrzymuję żadnej wiadomości i nie mam pojęcia jak moi tam w Wilnie żyją i co porabiają. Od Celinki prawda otrzymałem list ale ona mi nic o braciach i siostrach nie pisze. Ciocia też dawno mi nie pisała, chociaż ona zapewne także w tym względzie niewiele wie odemnie. Adasiowi w tym roku trzeba stawać do wojennej powinności czy go wzięli czy też zostawili w spokoju niepokoi mię to, a dowiedzieć się o tem nie mogę gdyż wątpię by kto raczył cokolwiek o tem napisać do mnie. Ciocia mieszka teraz w Połdże, ma tam kwaterę dla uczniów miej-

scowego progimnazjum, nie wiem jak na tem wyjdzie, chociaż bardzo wątpię by dobrze bo przy jej wrodzonej dobroci i chęci pomagania wszystkim trudno się ostać. Od Bronisia dawno już nie miałem listów i teraz oczekuję z każdą pocztą wiadomości od niego, zapewne w przysłym liście napisze mi też o Tatjanie Iłł? i o tem jak się ona tam urządziła; będzie miał przynajmniej facet kobiece towarzystwo do którego tak tęsknił dawniej. No mileńka i piec mój się wypalił i ćwiartka jak raz się kończy póki co więc cauję cię serdecznie dowidzenia tw

Ziu

Jeżeli dzisiaj zdążę po napisaniu innych listów koniecznych do ciotki i do Bronisia to dopiszę jeszcze cokolwiek.

1) „w” ponad wierszem, nad skreślonym: „na”.

Nr 23.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

10/XII wieczorem Przypomniałem sobie że jutro jestem dyżurnym, to jest muszę gotować obiad że muszę więc jutro wstać rano i odrazu na służbę. Jutro więc nie zdążę napisać ci ani słówka korzystam więc ze swobodnego czasu który mi został po napisaniu listów do ciotki i Bronisia by jeszcze trochę pogawędzić z tobą mileńka ty moja. Chciałaś Sybirskich nowin. Teraz główna nowina to to że w Irkucku oczekują następcy tronu, ma on zjawić się wiosną w Maju czy Kwietniu, ma się rozumieć stolica przygotowuje się do paradnego przyjęcia tego gościa. Oprócz tego muszę ci donieść, że w ostatnich czasach po aresztowaniu kilku nauczycieli i akuszerki w Zabajkalsku i w Irkuckiej gubernji zdaje się jakgdyby D. też tam trochę zamieszany, ot i doigrał się facet Z Irkucka ma wkrótce wyjść partya do Jakutki w niej Ładzki, Lebiediew (ten co uciekał z Surgutu) i Pauli. O Ratinie o którym zdaje się ci pisałem że zaczął śpiewać o Jakuckiej historii powiadają że jego wskazania oświecają te sprawę inaczej niż na nią dotychczas patrzali że się okazuje że niektórzy osądzeni na mniejszą stosunkowo karę, winni są więcej niż nawet powieszeni, nie wiem do czego to poprowadzi, czyżby znowu mieli ich sądzić i do tamtych trzech przyłączyć jeszcze kilku. A ot jeszcze nowina na Ka-

rze wszystkich prawie wypuszczono w wolną komandę tylko pięć kobiet i kilkunastu mężczyzn przeprowadzono między kryminalistów i do nich mają zastosowywać wszystkie prawa jakie istnieją dla „ugołowno-katorżnych¹ ot widzisz jaką ci kupę nowin z Syberyi wysypałem od razu, powinnaś mi się odwdziżyć i napisać nawzajem o różnych nowinach z Rossyi. Niedawno tu czytaliśmy broszurę Tichomirowa „Naczała i koncy” o której pisano w Wiestniku Jewropy. Ot komedyjny facet Dotychczas nie wierzyłem żeby to był sprzedawczyk sądziłem że przekonania u faceta się zmieniły, tak jak się zmieniają one u wielu ludzi lecz po przeczytaniu tej broszury przyszedłem do przekonania że facet wprost chałuj który dla łaskawego chleba u rządu wypina się by stać się nowym Katkowym. No zresztą Pal go dyabli niewiele mię on obchodził gdy stał na czele rewolucji teraz tem bardziej nie chcę się nim zajmować. A jak ci się moja miła Koch podoba wziął i wymyślił lekarstwo przeciwko suchotom teraz to już absolutnie niczego się nie lękam. Dotychczas suchoty jak widmo stały mi wciąż przed oczyma a teraz plwać mi na nie jak tylko co machnę do Berlina, albo też i w domu wstrzyknę sobie cudowne lekarstwo i basta, może z tego powodu pozwolisz mi kochana Leosieńko, mniej się szanować niż dotychczas a? No, no nie rób srogiej miny wszak ja tylko żartuję. W każdym razie Koch majster! Nigdy tego nie oczekiwał.

(*Na górnym marginesie tej strony listu*): Przerwali mi pisanie listu, przyszedł Rklicki i zasiedział się długo już późno a jutro wstawać trzeba rano pomimo więc woli drugiej ćwiartki nie skończę. Pisuj Olesiu! Całuję cię raz jeszcze twój

Ziu

1) „ugołowno-katorżnych” (przestępców kryminalnych skazanych na katorgę) — po rosyjsku.

Nr 24.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 30/XII Miła Leosieńko! Z przeszłą pocztą nie otrzymałem od ciebie listu teraz znowu pocztą się spóźniła i dotychczas jej niema nieprzyjemnie mnie to, niedobrze się przyzwyczaić do częstych wiadomości o bliskich osobach, wtedy najmniejsza przerwa

w korespondencji staje się nieprzyjemną i nawet martwi. Ubiegły tydzień przeszedł nie tak jak zwykle tygodnie mijają, mogę ci więc opisać go dosyć dokładnie. Do wtorka to jest do pierwszego dnia świąt byłem niezdrów jak ci pisałem przeziębilem się po łaźni (za co notabene otrzymałem wymówkę od Lidy Pawł.). Na pierwszy dzień świąt wieczorem wszyscy byliśmy u Tarkowskiego, wieczór wogóle przeszedł dosyć ożywienie, co do mnie, to trudno mi jeszcze wejść w życie tutejszej kolonji i dlatego niekiedy czułem się nie zupełnie świątecznie i wesoło. Oprócz tego ja takiej wielkiej kompanji zebranej bez żadnego określonego celu niezbyt lubię, sam nie wiesz niekiedy co z sobą robić. Dla różnaitości w domu nie nocowałem a poszedłem do Rklickiego gdzie z Gołubiatnikowymi i Lebediewym siedzieliśmy do świtu to jest do 6 godziny, muszę ci się przyznać że piłem w ten wieczór trochę nie tak żeby być pijanym, jak to się dawniej ze mną w Kireńsku zdarzało a tak sobie dla fantazyi. Nazajutrz wstaliśmy o godz. 12 i po herbacie u Rklickiego poszliśmy do Barinowa na wint i przy¹ tym szlachetnym zajęciu spędziliśmy czas do godziny 8 wieczorem. W ten dzień chciałem sobie urządzić święto zupełne i dlatego nie paliłem u siebie w piecu, gdyż przyznam się te codzienne palenie już mi silnie dokuczyło, a że teraz nagle rozpoczęła się zima na dobre i na dworze panują nasze Kireńskie 40stopniowe mrozy więc do domu znowu nie poszedłem nocować a nocowałem znowu u Rklickiego. Na trzeci dzień świąt po porannej herbatce poszedłem do domu wypaliłem w piecu i poszedłem do Lidy Pawł., gdzie trafiłem jak raz na obiad, po obiedzie i herbacie poszliśmy do Usa, gdzie zebrało się trochę kompanji tam posłuchałem trochę muzyki (tu na skrzypcach grają Gołubiatnikow i Michalewicz) i wieczorem o 7 poszedłem do Rklickiego na wint, który się skończył o godzinie 2 w nocy, później do domu Na czwarty dzień w Piątek jadłem obiad znowu u Łojko a wieczór byłem u Gubarewoj. W Subbotę wczoraj kompanja cała jeździła na spacer, mnie się nie chciało i zostałem w domu, ranek do wieczora przesiedziałem u Mancewicza a wieczorem po wypaleniu w piecu znowu był wint na ten raz u Tarkowskiego. Dzisiaj pomagałem facetkom przygotowywać różne facecye dla nowego roku teraz palę w piecu piszę list i myślę dokądby to pójść na herbatę gdyż w domu jakoś się nie chce siedzieć. Jutro będziemy spotykali nowy rok całą kompanją. Ot i masz cały tydzień jak widzisz wint gra tu wielką rolę, niektórzy tu faceci rzeczywiście zajadli karciarze gotowi choć codzień grać w karty. A że często i ja nie wiem co robić by czas zabić więc towarzyszę im w tem zajęciu. A ty jak święta spędziłaś? Nakoniec otrzymałem odpowiedź z Departamentu na swą prośbę. Ma się rozumieć nie puścili mię do Irkucka a kazali wy-

dać posobije i ot przed świętami przysłali mi odrazu 50 rubli za cały czas mego pobytu tutaj (po 10 rubli miesięcznie). A tu jeszcze ciocia przysłała mi 10 rubli słowem cały kapitał okazał się u mnie, pospłacałem wszystkie długi teraz sprawiam sobie trochę odzieży i bielizny i jeszcze mi trochę zostanie pieniędzy Lecz głównie cieszy mię to że nie trzeba będzie męczyć się myślą co z sobą robić jak żyć, z czego? Ma się rozumieć posobije te to dosyć nędzna sztuka ale cóż robić, trzeba się zgodzić z losem. Słowem teraz jestem spokojniejszym niż wprzódy. Teraz mogę przynajmniej pomyśleć o jakiej kolwiek pracy i produkcyjniejszym spędzaniu czasu. Rzecz w tem że dotychczas myśl o materialnych środkach do życia nie dawała mi kompletnie² spokoju i ja wprost od niej uciekałem. A popracować trzeba wszak ot już rok tylko został do końca terminu a mam kilka robót na myśli tak że nawet nie wiem czy zdążę je wykończyć nim się skończy wygnanie. A ważnem to jest dla mnie skończyć je przed powrotem, będę przynajmniej wiedział czego się trzymać gdy³ przyjadę do domu. Psia kość, wstyd ale trzeba przyznać że pieniądze i wogóle środki do życia mają ogromne znaczenie w życiu człowieka i zmieniają nawet wprost nastrój i usposobienie. Aha! przypomniałem wszak to szanowna pani przegrała mi kiedyś zakład, pamiętasz wyszywaną bluzę, ja wcale nie życzę żeby to tak i zginęło, nie moja pani proszę koniecznie wypełnić swoją obietnicę. Tylko co byłem u gospodarzy chodziłem brać koczerkę i wpadłem na smutną scenę Gospodarz mój już kilka tygodni jak chory teraz zdaje się kona strasznie nieprzyjemne wrażenie. Teraz wogóle w Tunce jakoś umierają ludzie panują tu różne choroby, zapalenie płuc u dorosłych, krup, wietrzna ospa u dzieci, codzień kogoś chowają, zewsząd słyszysz o chorobach, może nakoniec terażniejsze mrozy wyniszczą te głupie zarazki. (Gospodyni przerwała mi list przysłała prosić o pieniądze mają „soborowat”⁴ starego). W ciągu wieczora gospodarz mój skonał i teraz wciąż się do mnie szwendają to jego synowie, którzy notabene dosyć⁵ obojętnie się odnoszą do jego śmierci, tam w drugiej połowie domu gwałt⁶ krzyki płacz tak że mi strasznie przeszkadzają Chciałem i za tym razem napisać ci dłuższy list ale straciłem zupełnie usposobienie do pisania dlatego też kończę na tym „kaziennym” jak ty się wyrażasz mileńka arkusiku.

Całuję cię serdecznie w same usteczka a z powodu nowego roku pozwalam sobie pocałować i kare oczęta twój

Ziu

1) „przy” wpisane ponad wierszem, nad skreślonym: „za”. 2) W wyrazie: „kompletnie” środkowe „le” poprawione z dwóch nieczytelnych liter. 3) Przed: „gdy” skreślone: „po pow”. 4) „Soborowat” (na-

maszczać olejami świętymi) — po rosyjsku. 5) Przed: „dosyć” skreślone: „dy”. 6) Między „gwalt” a „krzyki” skreślone: „i”.

Nr 25.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 13/I 91 r. Kochana Leosieńko! Z przeszłą pocztą nie pisałem do ciebie i za karę zapewne nie otrzymałem od ciebie listu wczoraj to jest z ostatnią pocztą. Już się skończyły święta a jakoś trudno było odrazu wejść w zwykły tryb życia do tego stopnia że ledwie teraz mogę wziąć swobodnie książkę do ręki. Bo co prawda czas spędzaliśmy nie tak jak zwykle prawie codzień bywało się w wielkim towarzystwie. Możesz sobie wyobrazić w ciągu dwóch tygodni świąt graliśmy w szrubę sześć razy to jest prawie że przez dzień, dodaj do tego wieczory u różnych kolegów spotkanie nowego roku, wtedy tańczyliśmy nawet i ma się rozumieć twój Ziuk w tym wypadku się odznaczył, wszystkim nader się podobało gdy przetańczyłem mazura. Teraz zaczynam chodzić na polowanie parę razy już byłem i otrzymuję zupełnie nowe wrażenia, gdyż dotychczas w lesie zimą nigdy nie bywałem. Ostatnim razem chodziliśmy we troje, ja Mancewicz i Łojko dzień był mroźny więcej niż 30 stopni i wyobraź sobie ledwie sobie nie odmroził nosa, już pobiełał gdy koledzy to spostrzegli, ale gdyśmy weszli do lasu tak się ciepło zrobiło (nie na powietrzu ale od chodzenia) że, czego nigdybym nie wyobraził sobie, chodziłem bez rękawic i ręce mi nie marzły. A w lesie doskonałe powietrze czyste i mroźne jakoś nawet lżej oddychać tam niż pomiędzy Tunkińskimi płotami. Ot to prawie wszystkie moje zajęcia. Teraz często bywam u Łojko facetka coraz silniej akcentuje przyjaźń Rklicki przerwał mi pisanie przyszedł i pociągnął mię do siebie na herbatę na tej zasadzie że jemu przysłałi z domu dobrej herbaty przesiedziałem u niego do godz. 9 i teraz wróciłem do domu. Więc o Łojce. Doprawdy niekiedy w kłopot mię wprawia objaśnienie tego. Ma się rozumieć byłem w dobrych stosunkach z bliskimi jej ludźmi, oprócz tego położenie facetki też nieszczególne, do E pojechać nie może z synem też wychodzą jakieś nieprzyjemności słowem facetka bywa niekiedy w bardzo kiepskim humorze i nastroju i nic dziwnego że chce się jej mieć z kimkolwiek dobre przyjacielskie stosunki lecz nie rozumiem cze-

mu to ja mam być jej przyjacielem. Co do mnie to ma się rozumieć bardzo mi to przyjemnie, facetka miła a oprócz tego przyzwyczajony jestem czuć kogokolwiek bliskiego koło siebie jakoś lżej żyć wtedy na świecie chociaż ma to i niedobre strony. Dotychczas nikt mię nie łajał za przeziębienie się a teraz nie mogę dostać lekkiego kataru by nie otrzymać srogiej wymówki i nie czuć że się tym zmartwiło człowieka który to widzi ale to żarty jest zaś inna nieprzyjemniejsza strona mianowicie Manc. zdaje się na dobre w facetce zakochany i czuję że jemu nieprzyjemnym jest to zbliżenie się facetki ze mną. No ale dosyć o tem. W każdym razie z Tunką zaczynam się oswajać zupełnie a to nader ważne gdyż mogę przytem pracować swobodniej niż gdybym czuł się¹ jakgdyby gościem w Tuncie. Z ostatnią pocztą otrzymałem list od Feliksy pisze pomiędzy innymi że w Irkucku były rewizye i areszta. Z naszych nie aresztowano nikogo tylko u D zrobiono rewizyę. Pisze że D. nadzwyczaj poważny z pewną pogardą patrzy na zabawy i zebrania towarzyskiego (sic) i w dodatku pod sekretem mówi że się facet żeni z kassyerką aptekarską, no to już rzeczywiście ultra komiczne mieć takie obszerne serce by w ciągu kilku lat dwanaście razy zmienić przedmiot swej miłości. Da bóg po zawinięciu do cichej małżeńskiej przystani facet się usatkuje i będzie wiernym swej wybranej. Niech będzie szczęśliwym, w każdym razie facet wiele z powodu swych miłości przeniósł pora więc by miłość² dała mu i szczęście. Ale to sekret! A wszak mileńka już mi pozostało do końca terminu rok i dwa miesiące wkrótce zostanie tylko rok tam przyjdzie lato które prędko minie i nakoniec ostatnia zima w Syberyi i ja będę u nóg szanownej mojej pani. Ach gdyby tylko naczałstwo było tak rozumne i nie przeszkodziło mi w tem dodając parę latek, możebność podobnego wypadku doprowadza mię do rozpacy Staram się o tem nie myśleć, staram się mieć nadzieję na prędki powrót do kraju ale pomimo woli przeklęta ta myśl nie wychodzi mi z głowy i gryzie i nerwuje mię bez końca, aż się ręce opuszczają i głowa przestaje pracować. Wiem że to niedobrze tak się poddawać temu ogłupiającemu uczuciu apatyi i rozpacy ale nie mogę się przezwyciężyć. Doprawdy gotów jestem obiecać Matce boskiej Ostrobramskiej funtową świecę gdy się zdarzy podobny wypadek. Od Bronisia niedawno otrzymałem list facet stosunkowo w niezłym usposobieniu. Już do nich przyjechała Tatjana Iłł. i zdążyła już wyjść zamąż za swego narzeczonego. Już się oni zajęli swoją fermą i pierwszy urodzaj był doskonały. A czy wiesz że i ja w tym roku zapewne będę miał własne pole 1/8 część dziesięciny biorę ją jak dlatego by mieć co żąć i dlatego by w końcu tego³ roku lub początku przyszłego mieć możność pojechania do Irkucka pod pozorem sprzedania

produktów ze swego pola Widzisz jakie mam plany. No a ty mi-
leńka co tam porabiasz, wyplatasz głupstwa o swoim życiu w
Syberyi doprawdy napleciesz tak że twoi powezmą o mnie jeszcze
bóg wie jakie wyobrazenie. Za ukłony od twoich serdeczne dzięki
od siebie też załączam pozdrowienie. Jeżeli już tam tak wiele ple-
ciesz to przynajmniej pisz co mianowicie bym mógł w razie nie-
słusznych o mnie wzmiankach bronić się przy sposobności. No
na dzisiaj dosyć będzie jutro jeżeli zdążę napisać inne listy to się
jeszcze dopiszę bywaj więc zdrowa i wesola moja miła. Całuję cię
serdecznie twó

Ziu

Z domu otrzymałem wiadomość że mój zamiar natychmiasto-
wego wydzielenia mojej i Bronisia części nie może być wypełnio-
nym potrzeba do tego trochę pieniędzy a tych ma się rozumieć
póki tu jestem nie będą miał trzeba więc to odłożyć nim nie po-
wrócę i sam się za tę sprawę wezmę.

(*Na górnym marginesie czwartej strony*): 14/I tak i nie
zdążyłem dopisać czegokolwiek dzisiaj. Poprzestaję więc na ser-
decznem uściśnieniu. Pisz miła Ziu.

1) „się” poprawione z pierwotnego: „nie” (?). 2) Przed: „miłość”
skreślone: „to”. 3) Przed: „tego” skreślone: „prz”.

Nr 26.

[*Do Leonardy Lewandowskiej*]

Tunka 20/I Miła Leosiu! Tylko co powróciłem z winta,
który się odbywał u Rklickiego i siadam by dzisiaj choć słów
kilka napisać do ciebie, miłeńka, jutro być może na to czasu nie
będzie. Z tą pocztą otrzymałem list twój pisany z Mikołajewa
15 Grudnia. Piszesz mi że pleciesz tam o mnie wszystkim swoim,
widocznie że pleciesz niezbyt zřęcznie jeżeli wszyscy ci na mnie
właśnie a nie na kogo drugiego wskazują. Co do mnie to ja się tym
nie zajmuję. Wogóle o tobie mówię bardzo mało, chyba mię kto
wprost o to zapyta. Lecz zdaje mi się że słuch o naszym stosunku
doszedł i tutaj zapewne przez Wojnicza, przynajmniej tak z róż-
nych drobnych szczegółów spostrzegam. Zresztą teraz tutejsi faceci
zaczynają robić mi przymówki z powodu zbliżenia się z Łojko i to
się robi zupełnie seryo w rodzaju naprzykład „Gdzie byliście?”

„U Łojko” „A, u Łojko!” Albo kiedyś przypomi nałem jak dnie spędzałem żeby określić jaki dzień ma być jutro, przyczem przypomi nałem gdzie¹ jadłem obiady i zapomniałem że pewnego dnia z Mancew. jedliśmy obiad u Łojko. „A zapomnieliście obiad u Łojko!” przypominają mi. „Rzeczywiście zupełnie zapomniałem” odpowiadam. „Hm, hm, o głównem to i zapomniał² robią mi przytyk”. Dotychczas to się jeszcze rzadko zdarza ale mam nadzieję że z czasem to pójdzie crescendo. A nie umiem ci wyrazić jak to nieprzyjemnie to tak jakgdyby kto siłą chciał ci wleźć (w) duszę, zawsze przytem przypominam sobie naszych Kireńskich specjalistów tego rodzaju Demona i Wilczyńskiego, ma się rozumieć tamci czując więcej że mają rację w swych podejrzeniach i korzystając z większej³ zażyłości ze mną korzystali „nachalniej”⁴ ze swego przywileju. No ale płwać na to. Aha! niedawno rozpatrywałem twoją fotografię, posłuchaj czy u ciebie jest rowek idący od nosa do górnej wargi, ja go nie pamiętam, a na fotografii to wcale mile wygląda. Ot widzisz jakimi głupstwami się zajmuje twój Ziuk, cóż robić dawno to już wiadomo że rasa zakochanych zwykle bywa nie nader rozumną. 21/I Wczoraj nie zdążyłem skończyć listu, spać mi się strasznie zechciało, gdyż przeciwko memu obyczajowi wstałem wczoraj nadzwyczaj rano o godzinie 8. Teraz dosyć długo znajduję się w stanie napięcia nerwów, wiele na to wpływa że wiele myślałem w ostatnich czasach o przyszłości, wiele się też na to złożyło i innych przyczyn o których napiszę ci kiedykolwiek dokładniej. Ma się rozumieć myśląc o przyszłości musiałem potrafić i przeszłość i ma się rozumieć wspomnienie o tobie i o naszym stosunku. Mów sobie mileńka co chcesz a ty musiałaś się choć trochę rozczarować we mnie, było to koniecznem, nie mówię już o osobistym moim charakterze, który bliżej poznałaś i który nie wygrywa przy podobnem zbliżeniu. Lecz chociażby weź tę cechę: Ja sądzę że wiele w wzbudzeniu miłości ku mnie znaczyła mój optymizm, moja gorączka z jaką rysowałem przed tobą przyszłość i pracę w przyszłości. Wtedy byłem w perjodzie swego optymizmu. Później po naszym zbliżeniu się przez pewien czas marzyłem że w tobie wzbudzę też chęć do życia do pracy, lecz na nieszczęście widocznie nie umiałem wziąć się do tego, oddałem się spokojnemu biegowi życia któryśmy prowadzili ostatnie czasy pobytu twego w Kireńsku. Rzeczywiście spokojnie i cicho było życie obracało na fundamencie codziennych drobnych interesów, oprócz tego ja czy to pod wpływem podobnego życia czy też z powodu że zdrowie moje wtedy nie odznaczało się tęgością a naodwrot psuło się potrochę wpadłem w stan apatyczny często przechodzący w stan pesymizmu. Nie czułem wtedy⁵ siły⁶ wykonywać swoje dawniejsze marzenia wzglę-

dem ciebie, wyrzucałem to sobie nieraz i wtedy, a teraz tem bardziej ale już się to stało i teraz zostaje mi tylko żałować że nie mogłem cię wprowadzić w moją duszę nie zdołałem choć częściowo przeniknąć ciebie memi dążeniami, zainteresować ciebie memi interesami. Ma się rozumieć wiele tu zależało od głupich warunków w których my się znajdowaliśmy. Lecz powtarzam żałuję i bardzo żałuję tego i ot do czego się odnosiły niektóre moje frazesy że żebyśmy mogli powrócić do 4 lipca tobyśmy inaczej postępowali. Mówię o tem myśląc o przyszłości gdyż trudno mi i niemożliwie nawet w myślach o przyszłości wyrzucić myśl o tobie o tem jak się urządzimy po moim powrocie do kraju. A teraz gdy się ten powrót coraz przybliża gdy zaczynam już odczuwać jakgdyby tętnienie tego życia myśli podobne często mi do głowy przychodzą. Ma się rozumieć ja nie wiem i nie mogę określić co ja będę robił w Europie na jaką pracę się rzucę. Plany⁷ buduję i staram się usilnie by plany te odpowiadały warunkom wśród których los mnie rzuci, ale ma się rozumieć dokładnego nic a nic niema chociażby dlatego że dokładnie nawet nie wiem co się tam w kraju dzieje. Raz myślisz tak drugi raz inaczej i ostatecznie na niczem zatrzymać się nie mogę. Widocznie po przybyciu do kraju przyjdzie się poświęcić z jakie pół roku wprost na określenie swego położenia wśród nowego życia. A wiesz wszyscy tu w Tuncie czekamy niecierpliwie co nam powie rok przyszły gdyż za wyjątkiem kilku osób wszystkim się kończy termin w 1892 roku. Wogóle to i kiepsko że tylu się kończy wygnanie w jednym roku, zmusi to zapewne naczalstwo wielu zatrzymać w Syberii i ot zajmujemy się domyślaniem się komu mianowicie z kolegów dodadzą, kogo zaś puszcza do Europy. A czy wiesz ze Średnie Kołymska drapnęli Engel i Biefousow. Ot majstry! Ciekawym co na to naczalstwo powie, może przestaną posyłać facetów do Kołymska, gdyż wątpię by tam można było wymyślić jakiekolwiek osobliwe środki dozoru nad wygnanymi. Bardzo, bardzo ta wiadomość mię ucieszyła, tylko długo się przyjdzie czekać nim się dowiemy czy się ta próba facetom udała. Z ostatnią pocztą otrzymałem list od Zuli pisze mi o różnych rzeczach pomiędzy innymi i o stanie majątkowym. Według jej opisanie wychodzi to nader smutnie, do tego stopnia że wcalebym się nie dziwił jeżeli na Nowy rok spotkał(by) nas krach majątkowy. Paskudna to sprawa gdyż zaraz po przyjeździe do domu trzeba będzie myśleć o chlebie o zajęciu. Mam pewien plan na to ale cóż kiedy sam często nie wierzę w możebność ziszczenia podobnego planu a jeżeli ja przy silnej wierze we własne siły, czem się odznaczam, niewielkie na ten plan pokładam nadzieje to musi być dosyć wątpliwem. Przynajmniej ja tak a priori sądzę. Ma się rozumieć nie przeszkadza to mi marzyć że się stanie

tak jak ja chcę. Pamiętasz kiedyś ci mówiłem o marzeniu stać się pisarzem. Teraz zacząłem pewne prace i to częściowo wpływa na ten podbudzony stan nerwów o którym ci wspominałem w początku listu. Lękam się tylko by mi nie starczyło sił do wykonania tych planów które mam w tym względzie. W przyszłym liście napiszę ci dokładniej o moich zamiarach i mojej pracy być może będę wtedy spokojniejszym i cokolwiek pewniejszego o tem będę wiedział. Gdyż dotychczas oprócz dobrych chęci massy obrazów i urywków pracy w głowie prawie że nic niema. Często postanawiam wziąć się seryo do tego i po zaczęciu zaczyna mię brać chętka rzucić wszystko do dyabła. Ma się rozumieć że przytem nerwuję się strasznie. Widzisz więc mileńka że nie mogę zachować twego polecenia nie nerwować się. Pamiętam dałaś mi podobny rozkaz przy wyjeździe z Irkucka. Nie to (nie) możebne mileńka i ty się nie gniewaj za to. Mój ty Boże żeby to można było być zupełnie spokojnym, każdaby praca napewne na tem wygrała ale cóż robić człowiek zostanie zawsze człowiekiem z nerwami, a cóż mówić przy pracy która bądź co bądź a potrzebuje pewnego wysiłku nerwowego. A wiesz niedawno chodziłem na polowanie. Obeszliśmy Bóg wie ile miejsc, według wyliczeń kolegów po lesie po głębokim śniegu przeszliśmy bezwątpienia wiorst ze 30, droga jak widzisz trochę długa i ciężka. Zmęczyłem się przytem strasznie i sądziłem że zasnę przynajmniej wcześniej, lecz w domu gdy przyszedłem przysły mi do głowy różne myśli i jak nic przesiedziałem do godziny 3 w nocy. Dajmy na to że byłem wtedy tak zmęczony i fizycznie i umysłowo że nie czułem jak się położyłem, jak zasnąłem i przespałem do godziny 1/2 do 3 we dniu następnego dnia. Widzisz jakie twój Ziuczek facecye wyrabia. No mileńka bywaj zdrowa całuję cię serdecznie, serdecznie twó

Ziu

-
- 1) Przed: „gdzie” skreślony początek wyrazu: „ze” — „zec” (?).
2) Pierwotnie: „zapomniałem”. 3) Przed: „większej” skreślone: „b”.
4) „nachalniej” — po rosyjsku. 5) Przed: „wtedy” skreślone: „się”. 6) Pierwotnie: „w sily”. 7) Przed: „Plany” skreślone: „Mam”.

Nr 27.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 16/II. Kochana miła Leosiu! Nakoniec po tak długiej przerwie otrzymałem od ciebie list datowany 10 stycznia¹.

Ah ty niedobra żeś tak długo nie pisała. Cztery tygodnie od ciebie nie miałem listu i wiesz na seryo się zacząłem niepokoić. Tysiące domysłów krążyło mi (w) głowie, to mi się zdawało żeś aresztowana i siedzisz w ciupie, to znowu żeś zachorowała i nawet umarła. Doprawdy ostatni tydzień z taką niecierpliwością oczekiwałem poczty jak zdaje się nigdy tego ze mną nie było. A ona okazuje się bawiła się w tym czasie i dlatego nie pisała. Moja miła jedno z dwojga albo pisz często i nie rób tak wielkich przerw pomiędzy dwoma listami albo już pisz² rzadziej tylko równomiernie gdyż tylko w takim razie nie będę się niepokoił. Cieszę się nawet teraz że do ciebie w tym czasie też nie pisałem, będziesz miała za karę ten sam niepokój coś zmusiła mnie przeżyć. Ja nie pisałem do ciebie również tyle czasu ile ty zapominałaś o mnie nie pisałem gdyż przy myśli o tem, że ciebie aresztowano i moje listy mogą wpaść w ręce ludzi postronnych i nawet więcej niż postronnych którzy będą tam w najgłębszych tajnikach mej duszy gospodarowali jak u siebie w kieszeni, wszelka chęć do pisania zniknęła. Postanowiłem tylko w razie gdybym nie otrzymał z tą pocztą listu od ciebie telegrafować do twoich z zapytaniem co się z tobą dzieje. No ale list twój przyszedł i ja się uspokoilem nareszcie. A wiesz, miła, że cały ten czas a osobliwie ostatni tydzień gdy ostatecznie przychodziłem do przekonania że z tobą coś się stało przekonałem się też jak mi jesteś drogą, miła Leosiu! 18/II W Subbotę nie zdążyłem skończyć nawet tej ćwiartki gdyż do mnie zaszła Lidya Pawłowna siedziała do późna później ją odprowadzałem zachodziłem do niej słowem gdy przyszedłem do domu nie było co i myśleć o pisaniu. Wczoraj zaś znowu nie mogłem się zebrać do wieczora a wieczorem wint. Dzisiaj więc po ciężkich trudach (gdyż dzisiaj gotowałem obiad) kończę list do ciebie. Tak więc kochana Olesieńko doczekaliśmy się że nas pomieszczono w wiersze czyli mówiąc więcej wysokim stylem zostaliśmy opoetyzowani. Gdybyś pisała wiersze twej Cioci z jej upoważnienia dalibóg odpowiedziałbym jej też wierszami. Teraz zostaje mi tylko prozą wypowiedzieć że Leosię za płochą nie uważam i że wcale się nie myślę sądząc że ona mię kocha. W wierszu do ciebie poradź by zmieniono wiersz „dzielnego z nad Niemna młodziana” na „z nad Wilji” oczywiście to się do mnie odnosi a ja Niemna w życiu swoim nigdy nie widziałem a do Wilji nader jestem przywiązany. A wiesz „filutko o czarnem oku” (tak się odważam nazwać ciebie tylko³ za przykładem twej Cioci) moja Ciocia latem wyjeżdża z naszych stron i przenosi się do Rossyi mianowicie do Woroneża, tam zapronowano jej miejsce. Wtedy będziesz mogła ją kiedy odwiedzić nie trzeba zdaje się dodawać że z tytułu mej koleżanki i przyjaciółki, już nie mówię o czem więcej, będziesz zawsze mile przyjętą.

Piszesz mi że może będziesz w Wilnie szkoda że nie będzie tam komu pokazać go tobie tak jakbym sobie tego życzył, ale to nic nie stracisz na tem wiele gdyż mam nadzieję że będę mógł cię wkrótce (wszak za rok i miesiąc już się moje wygnanie też zakończy) osobiście poznać z mojem Wilnem, wtedy i dla ciebie zapewne Wilno będzie ciekawszem niż teraz (widzisz jak ja zrozumiały sądzę że moja osoba może dodać dla ciebie cokolwiek przyjemności). Życie moje również spokojnie spływa jak i dawniej, teraz tylko częściej chodzę na polowanie, gdyż mrozy już się skończyły i u nas na seryo zaczęła się wiosna i oprócz tego tutaj polować można według prawa tylko do 1 Marca, śpieszymy więc korzystać z Lutego. Ah muszę się pochwalić przed tobą, wczoraj miałem pójść na polowanie lecz nie poszedłem dlatego że byłem trochę zakatarzony. Nie jak sobie chcesz a wkrótce stanę się wzorowym człowiekiem względem zachowywania swego zdrowia, no pochwal mię Leosieńko! A wiesz otrzymałem niedawno list od Wilczyńskiego z Kireńska on stracił miejsce i gdy poprosił o posobije rozkazano wysłać go do Kireńska. Dowiedziałem się z niego tylko że Gellis nareszcie doczekał się dzieci i że Gellis kłóci się z Wieszniakowym i że Borejszo wyjechał do Irkucka szukać miejsce. S. An. została w Niznich. W ostatnim zdaje się liście do ciebie obiecałem ci napisać o moich planach literackich, nie teraz ci nic pisać o tem nie mogę. Pozaczynałem kilka rzeczy i teraz rzuciłem wszystko do dyabła i ma się rozumieć jestem dosyć rozdrażnionym z tego powodu. Chciałem w Syberyi wykończyć kilka rzeczy lecz teraz wątpię by co z tego wyszło. Przyznam ci się że jedną z zachęt do podobnej pracy jesteś ty moja miła. Mnie często przychodzi na myśl że jeżeli ja sam czuję często tak szaloną żądzę nie powiem sławy ale wogóle nie być w rzędzie zwykłych śmiertelników to i dla ciebie chciałbym byś mogła powiedzieć żeś niedarmo mię pokochała, zresztą plotę głupstwa wszak ty byś mię kochała i nie sławnego tak jak mię kochasz teraz. No dosyć o tem jeżeli mi się co uda wykończyć napiszę ci wtedy dokładniej o wszystkim. No mileńka wybacz że dzisiaj piszę tak krótko ale już późno a ja dzisiaj wstałem rano żeby w porę zgotować obiad. Jeżeli zdążę to jutro może cokolwiek jeszcze przypiszę. Bywaj zdrowa i wesółą całuję cię serdecznie two

Ziu

Teraz niepokoję się o Adasia, czy wzięli go do wojska czy nie, w ostatnim liście Zula mi pisała że on przyjechał do Wilna stawać do wojennej powinności że z powodu swego niedbalstwa spóźnił się stanąć wolnym ochotnikiem. Ot bieda z tymi chłopcami!

(Na górnym marginesie czwartej strony):

19/II późno wstałem nie zdąży ci nic napisać dowidzenia
całuję cię twó

Ziu

1) Przed: „Stycznia” skreślone: „Sierpnia”. 2) Pierwotnie: „pisuj”.
3) Przed: „tylko” skreślone: „za”.

Nr 28.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 4/III 91 r. Miła droga moja Olesieńko! Doprawdy męczy mię to że z przeszłą pocztą nie pisałem do ciebie, po długim moim milczeniu (w odwet za twoje lenistwo) ostatni list posłałem do Orła, gdyż według twoich poprzednich zawiadomień miałaś z Mikołajewa wyjechać w końcu Lutego lub początku Marca, może więc list ten długo będzie chodził po świecie nim dojdzie do ciebie a ty mileńka będziesz się o mnie niepokoić, z zeszlą zaś pocztą nie pisałem dlatego że tylko wieczorem w Poniedziałek przypomniałem że we Wtorek 26 Lutego tabel imieniny czy urodziny cara i na pocście nie przyjmują korespondencyi, tak więc list do Cioci już napisany został u mnie jeszcze na tydzień. No nie gniewaj się więc za to na twego Ziuka, gdyż i sama jesteś winną po części a powtóre wiesz dobrze jak strasznie wogóle zapominam o różnych drobnostkach. Dzisiaj piszę do ciebie zupełnie niezdrów, czort wie co się do mnie przyplątało jakaś gorączka ból we wszystkich kościach a nadewszystko słabość słabość straszna. Czyżby to było skutkiem ostatniego mego polowania. Gdyż wczoraj w siedmiu sanna jeździliśmy na polowanie, ja zaś pojechałem nie wypawszy się zupełnie spałem zaledwie parę godzin i to snem gorączkowym który mię więcej zapewne zmęczył niż pokrzepił. Zapewne to zmęczenie i ty miła nie waz się niepokoić o mnie z tego względu. Ty mi piszesz że nie winszujesz mi tego że się kręcę koło Gubarewoj, no jak można podobne głupstwa na seryo przyjmować. Teraz bywam u niej nader rzadko (ot teraz jak na biedę rozchorowała się facetka znowu i przyjdzie się chćąc nie chćąc uczestniczyć w kręceniu się koło niej). Po pierwsze zwycięstwo byłoby zbyt łatwym, po drugie natura i charakter u niej zbyt prosty by przedstawiało to nawet choć pewien interes psychologiczny po trzecie, po trzecie mileńka ja zbyt kocham swoją

Olesię bym się miał zajmować bałamuceniem facetek jeżeli kogo i zbałamucę to wierz mi bez żadnej chęci osobliwej z mojej strony. Wyrzucasz miła sobie w każdym liście że listy twoje to jedna paplanina, że piszesz tylko o głupstwach, nie lękaj się droga wszak ja ciebie znam bardzo dobrze i żadnego gorszego albo lepszego mniemania o tobie nie nabiorę. Ty należysz do rzędu ludzi którym trudno jest wyrazić wiele swych uczuć i poglądów, osobliwie zaś jest to trudnem tobie po polsku w języku który jest ci prawie zupełnie obcym. Ma się rozumieć byłbym bardzo rad gdybyś mi opisywała dokładnie swój¹ stan duchowy gdybym wiedział o czym ty myślisz co zamierzasz i dlatego zgodziłbym się nawet byś od czasu do czasu traktowała mię listem pisanym po kacapsku. Pozwalam ci na to pisz jak chcesz tylko niezapomnij zapominaj po polsku, (a twoi czy nie znaleźli u ciebie zmianę na lepsze w twojej polskiej gadanie?) Co do mnie to trudno mi odrazu określić w jakim ja bywam humorze, tak się często on zmienia. Kiedy będę miał głowę swobodniejszą napiszę ci o tem wszystkim dokładniej dziś z powodu niezdrovia pisać mi dosyć trudno, gdyż leżąc jak ty pisać nie umiem a siedzenie mię męczy osobliwie gdy zmuszony jestem nachylać się. Z ostatnią pocztą otrzymałem list od Sierg. Pawłow. pisze mi że od ciebie listu nie otrzymywał i prosi mię dokładnie o tobie napisać. On strasznie zajęty medycyną. Z ostatnią też pocztą otrzymałem list od Arensowa z Jakucka, on tam odsiaduje 2 miesiące, które nie odsiedział w Kołymsku za naszą irkucką historję, później pojedzie do domu pisze że chciałby mię widzieć w Irkucku, ale nader wątpię by to się udało urządzić przynajmniej ja w tym czasie nie będę podawał prośby już chociażby dlatego że zapewne mię nie puszczą teraz. Rzecz w tym że niedawno do Irkucka jeździł Lebidiew i jak raz w dzień jego odjazdu z Irkucka stamtąd drapnął zdaje się z więzienia Jemieljanczenko pamiętasz co go szukali w tym czasie gdy był w Irkucku i Lebidiewa podejrzewają że go uwięził, facet we wszystkich względach zupełnie niewinny nastraszyli go, lecz mogą z tego powodu srożej patrzeć na polityków. A dziś Leosieńko 4 Marca pamiętasz w przeszłym roku ty w ten dzień z powodu imienin Zinia przygotowywałaś pirog z twarogiem jak to niedawno i dawno zarazem było. Doprawdy teraz gdy przypomnę tamte czasy (1890 rok², gdy byłaś w Kireńsku) jakoś mi się nawet nie wierzy żeby to mogło być prawdą i jak to zawsze bywa przy wspomnieniu o czasach spędzonych z miłą³ osobą żałujesz i łajesz siebie za wszystkie nieprzyjemności które się miłej sprawiło, a tych nieprzyjemności nie wrócisz już nigdy. Ech miła jak ja ciebie kocham jak chciałbym ciebie zobaczyć uściskać zaglądnąć w oczy czy one wesołe i czy mię kochają, tak niekiedy

duśza i rwie się do tego paskudnego Mikołajewa, który mi Olesię odebrał. No ale dosyć o tem nie trzeba się roztkliwiać, wszystko jedno nic tem nie pomożesz przyjdzie czas i zobaczymy się, ma się rozumieć nie w tych samych warunkach w Kireńsku, ale może to i lepiej będzie. Pisz Leosieńko do mnie częściej kaźden twój list przynosząc z sobą cząstkę ciebie miłym mi jest zawsze. Całuję cię serdecznie serdecznie twó

Żiu

1) Przed: „swój” skreślone: „o”. 2) Przed: „1890 rok” skreślone: „cały”. 3) Pierwotnie: „miły”.

Nr 29.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 10/III Kochana, miła Olesiu! Dzisiaj otrzymałem list twój i jak zwykle wzbudził on we mnie chęć zobaczenia ciebie, zwykle tak bywa przedstawiam sobie różne położenia gdy się u was zjawię jak mię twoi spotkają, co pomyślą, z jaką ciekawością spoglądać będą „na młodziana z nad Wilji”. Później powoli puszczam cugle swej wyobraźni i zaczyna się gorączkowa praca imaginacyi która mi rysuje całą masę obrazów z przyszłości. Później następuje przebudzenie, pewien niesmak i westchnienie „ach jeszcze rok cały” i myśl „a może i więcej”. Ma się rozumieć westchnienie to nie do ciebie się jednej odnosi, zbyt wiele rzeczy mam na myśli zbyt szerokie nawet może chęć zakreślić koło. No ale na to marzenie by było ono zawsze większem i wspanialszem od rzeczywistości. Aha à propos przedłużenia mego pobytu w Syberyi, piszesz mi moja droga że ty będziesz się starała żeby tego nie było, miła!, ja tego nie chcę, ja ci to zabraniam robić, pamiętasz podawałem prośbę o powrócenie mię do kraju z powodów rodzinnych, dotychczas mię gryzie ta prośba, osobliwie zaś teraz gdy oni obrazili moją dumę swą odmową, nie mogę się zgodzić na twoją propozycyę, nie, nie, Leosieńko! Słyszysz za nic w świecie wlejesz¹ mi wiele goryczy do odzyskanej swobody gdy będę wiedział że dana mi ona jest jako osobliwa łaska. Za nic w świecie się na to nie zgadzam. I nie waz się nawet myśleć o tem. Uważam tę kwestyę za skończoną i basta o niej.

11/III Dobrydzień Leosieńko. Wczoraj zostawiłem list niedokończony, było dosyć późno, gdyż zacząłem pisać list powróciw-

szy do domu z zebrania na naszym jour fixe, zwykle bowiem co tydzień zbieramy się u kogo kolwiek, dzień się naznacza ten w którym otrzymujemy pocztę. Nie powiem żeby te zebrania należały do wesołych często bywa bardzo nudno, zresztą ja sobie ceremonij z tym nie robię i wychodzę zwykle dosyć wczesnie. Ty mię pytałaś mileńka o mój stan moralny nie powiem żeby on był arcydoskonały. W najlepszych minutach czuję jakgdyby nademną coś stało wzbudzając we mnie niezadowolenie z siebie z otoczenia, z życia prowadzonego przezemnie. Teraz ja sobie to dobrze wyjaśniłem. Rzecz² w tym miła że wychowano mię tak³ że wpojono we mnie wiarę w moje zdolności a co zatem idzie w niezwykle przeznaczenie moje. Wiara ta głęboko się we mnie wjadła, lecz zarazem nie wychowano we mnie wytrwałości bez której ma się rozumieć wiele zamiarów tylko zamiarami pozostać może. W zastosowaniu zaś do tutejszego życia dwie te strony mego charakteru mają następujące przystosowanie. Ja czuję że mi trzeba dużo dużo pracować, czując w sobie zdolności ja sobie wyrzucam że je marnuję, a wytrwałości w wypełnieniu swych zamiarów nie ma, pozostaje stąd głuche niezadowolenie z siebie, wyrzuty mego sumienia nie opuszczają mię ani na chwilę, a to już doskonały grunt dla ponizania siebie w swych oczach osobliwie przyjąwszy pod uwagę moją skłonność do analizowania siebie. Pamiętasz w jakimś artykule o Tołstoju powiedziano że jego drobnostkowa analiza to mikroskop pod którym małe rzeczy wydają się wielkimi i pokrywają nawet rzeczywiście wielkie które się nie mieszczą w polu mikroskopa. Otóż podobny mikroskop to też moje nieszczęście, znajduję w sobie wtedy taką masę złych stron i tak mało dobrych, że mię to do rozpaczki doprowadza. Dodaj do tego pewien bezwiedny strach przed przyszłością. Tyle się o niej myślało i marzyło że nie mógłbym się zgodzić na wielkie bardzo uszczuplenie swych planów a tutaj zaraz zjawia się pytanie „a gdzie znajdziesz siły dla wypełnienia swych zamiarów”. Doprawdy trochę mię straszy że już tak mało zostało do końca wygnania⁴, gdyż sądzę że jeżeli w niektórych względach tu nic nie zrobię to tam w kraju gdzie odrazu przyjdzie się pracować na chleb tembardziej mi czasu nie wystarczy. Słowem wszystko to razem wzięte wytwarza na tyle silny osadek goryczczy że zapomnieć o niem nie mogę prawie nigdy. Często staram się przekonać siebie i uspokoić naprzykład przypominam sobie że wszędzie pomimo swoje młode lata liczyłem siebie i liczono mnie równym ze starszymi a młodszy lub rówieśnicy zawsze mi się wydawali niższymi pod względem rozwoju, to mi dodaje otuchy myślę że gdy dojdę do lat starszych będę wyższym od terażniejszych mych znajomych. Później oglądam się wokoło i widzę że wszyscy znajomi

nie lepsze życie prowadzą a to też niby pociecha, nakoniec wspominam całą masę szarej zwykłej inteligencji a raczej kulturalnych ludzi i nie mogę nie widzieć że wszystkich ich przerosłem. Ale to wszystko głupstwo nie może ostatecznie uciszyć mych wyrzutów sumienia. Ale kochana Olesiu ty rozumiejąc że stan podobny jest męczącym będziesz sobie wyobrażała zapewne że ja tylko i robię że się nerwuję. Nie, miła, nie niepokój się zbyt. Bywa bezwątpienia i bardzo ciężko, lecz zwykle bywa tak sobie ani ciężko ani lekko trochę apatycznie. Ma się rozumieć bywają i bardzo dobre chwile gdy nawet czuję pewne zadowolenie ale przyznam się rzadko to bywa. Opisałem ci główne zasady mego moralnego istnienia i trochę żałuję że to zrobiłem wszak ty się mileńka tem męczyć będziesz że tu twój Ziuk kiśnie ale niech sobie nie chcę byś czegokolwiek o mnie nie wiedziała.

No ale dosyć o tem być może kiedykolwiek w listach powrócę do tego przedmiotu gdyż chciałbym byś ty moja miła mię zrozumiała i poznała zupełnie, bo wszak przyznaj się dotychczas niezbyt dobrze znasz mię pomimo 8 miesięcznego życia⁵ tak bliskiego. Nie rozumiem skąd ty bierzesz że przy wspomnieniu o Kireńskich czasach śmiesznie mi się robi ma się rozumieć wiele było śmiesznych stron w naszej miłości, chociażby te ciągłe ukrywanie się bez uwagi na to że kaźden o tem wiedział, ale powtarzam dla mnie to jedno z najlepszych wspomnień z Syberyi jedno z tych które mię pogodziło z wygnaniem i zmusza myśleć że nigdy nie będę w stanie wspominać z goryczą i niezadowoleniem o Syberyi i moim w niej pobycie, muszę dodać że jest to ze wszystkich przyczyn i powodów najgłówniejszy i najsilniej na mnie działający, pocóż więc ma to być śmieszne. Prosisz mnie o Sybirske nowiny kiedykolwiek napiszę ci nazwiska tych na Karze których nie wypuścili dotychczas w „wolnyja komandy”⁶, tutaj ktoś otrzymał dokładne sprawozdanie z tego wypadku tylko trzeba mi poszukać⁷ gdzie się ten list podział. W ostatnich zaś czasach zdaje się nic nowego się nie stało wszystko idzie postaremu i wszyscy czekamy przyszłego 1892 roku który nam pokaże kto ma zostać tu w Syberyi a kto pojedzie do kraju używać swobody i wszelkich innych rozkoszy w rodzaju jabłek, gruszek et caetera wszystkich rzeczy które nam nieszczęśliwym wygnańcom surowo⁸ są zakazane. Podziękuj twoim za ich ukłony i zainteresowanie się mną nieznanym im człowiekiem a że list mój przyjdzie jak raz przed Wielką nocą złóż odemnie im powinszowanie świąt i szczerze życzenia bym po przyjeździe moim do Rossyi przy złożeniu szanownej Pani należnej jej wizyty znalazł ich wszystkich w dobrem zdrowiu. Mój ty Boże wszak to już rok jak ty wyjechałaś z Kireńska a wkrótce i dla mnie minie rok od czasu gdy miły

Kireńsk zniknął z oczu zapewne na zawsze. No bywaj mi zdrowa kochana Olesiu całuję cię serdecznie tak jak cię kocham two
Ziu

Broniś coś nadzwyczaj długo nie pisze jaki on nieznośny z tem lenistwem do listów.

Zdaje się pisałem tobie że 30 rubli któreś brała dla mnie u pani Piotrowskiej odesłałem jej przez Feliksę.

(*Na marginesie strony czwartej*): Na miłość Boga nie „przyziębiam się”, a „przeziębiam się” „użyć” a nie „urzyć”.

1) Przed: „wlejesz” skreślony — nieczytelnie — krótki wyraz. 2) Wyrazy: „wyjaśniłem” i „Rzecz” poprawione z omyłkowo zaczętych inaczey. 3) Przed: „tak” skreślone: „t”. 4) W wyrazie: „wygnania” początkowe „w” na skreślonym „te”. 5) Przed: „życia” skreślone: „pobytu i”. 6) „wolnyja komandy” — po rosyjsku. 7) Przed: „poszukać” skreślone: „g”. 8) „surowo” ponad wierszem, nad skreślonym: „srogo”.

Nr 30.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 24/III Kochana Olesieńko! Piszę do ciebie w niezwykłą dla siebie porę, popierwsze jeszcze Niedziela a poczta odchodzi wszak tylko we Wtorek powtóre we dnie a nie wieczorem. Jutro mamy zamiar jechać konno na polowanie obławą, dzisiaj zaś wieczorem według zwyczaju ma być wint po wincie zaś być może nie zdążę napisać nawet jednej ćwiartki. Opiszę ci jak spędziłem swoje imieniny, muszę się przyznać że nawet trochę piłem ale ma się rozumieć nie do tego stopnia żeby być pijanym, tak trochę z powodu imienin. U nas był z powodu imienin paradny obiad. Lid. Pawł. spiekła piróg było na obiedzie trochę gości. Później poszliśmy na spacer byliśmy tam do wieczora później u mnie była herbata a w końcu wieczorem byłem u Łojko ot i wszystko. Pomimowoli wspominałem dawniejsze moje imieniny w Kireńsku. Myślałem o tem gdzie będę i jak będę spotykał moje imieniny w roku przyszłym, żebyż to w drodze do domu, do ciebie moja miła. Coraz większa niecierpliwosc mię opanowuje przed końcem wygnania, wkrótce już nastąpi dzień gdy zacznę liczyć 365, 364 i tak dalej dni. Żebyż to tylko na tem się skończyło. No ale rzeczywiście będzie czas się smucić gdy już¹

w samej rzeczy będzie czego a do tego czasu będę się cieszył że coraz mi mniej pozostało do końca pobytu w Syberji. Wszak prawda?

W ostatnich tygodniach jakoś się energiczniej czuję, czuję większą skłonność i zdolność do pracy i jak zwykle w takim stanie bywa silniej i lepiej wierzę że to co zamierzam wypełnić się uda. I czytam i myślę teraz więcej i weselej się jakoś czuję. Z tą pocztą otrzymałem długi list od Bronisia biedny facet skarży się że z sobą nie może dać rady że wciąż go smutne myśli oponowują, męczy mię to że nie mogę mu w niczem być pomocnym, gdyż rzeczywiście położenie jego jest nadzwyczaj ciężkie i te rady które naprzykład sobie samemu daję w chwilach pesymizmu do niego nie mają zastosowania gdyż wszelkie napomnienie o kraju może go tylko dotkliwiej i boleśniej zranić. Pomiędzy innymi pisze on o Tatjanie Iłłarjonownie². „Ona kobieta średnia. Oczekiwałem daleko więcej od jej przyjazdu. Zbyt już prędko wciągnęła się ona do naszego życia nie wniósłszy w nie nic nowego. Nie przywiozła ona nawet wstrzeźliwości w sporach i gadaninach o drobiazgach życiowych, charakter jej bowiem w tym względzie wcale się nie różni od podobnego charakteru niektórych mych kolegów. Zresztą wiele objaśniam jej terażniejszym stanem. Wszak to jej miodowe miesiące. Lecz i w przyszłości nowa rodzina nie może stać się centrem naszego kółka. Ani w jej, ani w jego charakterach niema na to danych”. Wspomina on też o tem że się ona zajmuje w szkole. Broniś u nich obiaduje i pije herbatę spotykają się więc często i Broniś miał czas się z nią dobrze poznać, jak widzisz więc niewiele swym przyjazdem ona tam sprawiła. O naszych znajomych mam jeszcze jedną nowinę. S.P. pisze że Borejszo wraca z Irkucka że odmówili mu w prośbie przeprowadzić S. Andr. do niego a później objawili mu że do niego przez omyłkę tylko zastosowali manifest i poprosili go wybrać się z Irkucka. Zresztą tam teraz warjują trochę z powodu oczekiwanego przejazdu Następcy tronu. Wiele było aresztów w miastach na trakcie, w Tomsku i Irkucku. Tutaj u nas mówiono nawet że z Irkucka wszystkich politycznych wyprawia na ten czas i wyszła do Tunki, być może więc że się zobaczą wkrótce z Landami, wszak to już więcej³ jak pół roku jak wyjechałem z Irkucka, dzieciaki musiały się tego już zmienić. Jak tylko wspomnę o dzieciach zaraz mi zawsze na myśl przychodzi moja rodzina bracia i siostry, co się z niemi dzieje, jak się z niemi spotkam, jakie zmiany ogromne we wszystkich w nich znajdę. Całych pięć lat przejdzie od czasu gdy poraz ostatni ich widziałem a jeżeli na sobie spostrzegam że ten czas przeszedł nie bez śladu to cóż mówić o dzieciach na których wszystko silniej się odbija. A tu

jak na złość tak rzadko stamtąd otrzymuję wiadomości że trudno nawet określić⁴ sobie w przybliżeniu co oni teraz stanowią, czy na lepsze czy na gorsze się zmieniają. No ale i to wkrótce własnymi oczami zobaczę. Rok tylko poczekać! Co się tyczy⁵ twojej prośby o⁶ odesłaniu Tonkowiedowej 25 rubli to postaram się wypełnić ją jaknajprędzej poczekam trochę może mi jeszcze przysła trochę pieniędzy jeżeli zaś nie to pożyczę, tylko tu dosyć trudno o podobną summę. No ale może się uda urządzić. O Kireńsku nic ci napisać nie mogę gdyż sam absolutnie nic o nim nie wiem, zwracałem się o to do Demona lecz ten coś w ostatnich czasach zupełnie nie pisze, Feliksa powiada że facet spowaźniał jeszcze więcej. Eh coś mi się list nie klei dzisiaj. Myśli jakoś się rozbiegają nie mogę je zatrzymać na jednym miejscu, wybaczyć więc za tak nieporządny list. Nie lubię pisać gdy mi trzeba kończyć listy jaknajprędzej a tu już Mancewicz zachodził po mnie na karty, trzeba się śpieszyć. Bywaj zdrowa kochana Leosiu. Całuję cię serdecznie tak jak cię kocham tw

Ziu

26/III Dobrydzień Olesiu!

Tylko co wstałem śpieszę na pocztę dzisiaj moja kolej gotować obiad i tak się zapewne spóźnię z obiadem. Wczoraj jeździliśmy na polowanie. Facetki pojechały też, nie było więc polowania a tylko przechadzka i herbata w lesie. No bywaj zdrowa. Całuję cię tw

Ziu

1) Przed: „już” skreślony paroliterowy — nieczytelny — początek wyrazu. 2) W wyrazie: „Иларjonowna” rosyjskie początkowo „p” poprawione na polskie „r”. 3) Przed: „więcej” skreślone: „p”. 4) „określić” ponad wierszem, nad skreślonym: „przedstawić”. 5) „tyczy” wpisane dodatkowo ponad wierszem. 6) Przed: „o” skreślone: „tyczy”.

Nr 31.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 8/IV Kochana Olesiu! Za rok od dzisiejszego dnia będę może już swobodnym od opieki policyi. Pomimo że dzień dzisiaj niezbyt wesoły: i zęby mię bołą od rana i na dworze ohydna pogoda — wiatr i śnieg, a jakoś myśl że tylko rok mi pozostał robi nawet taki dzień przyjemnym. A czy wiesz że

dzisiaj gdy wstałem zupełnie mi z głowy wyszło że to już 8 Kwietnia wczoraj jeździliśmy konno na polowanie i od 9 zrana do 7 wieczorem byłem na koniu, a od 7 wieczorem do godziny 2 w nocy graliśmy w karty, od tego wszystkiego tak się zmęczyłem, że wstałem dzisiaj o godzinie 3 popołudniu z bólem zębów i tylko na obiedzie w czasie rozmowy przypomniałem sobie że to 8 Kwietnia i od razu lepiej zrobiło mi się. Przypomniałem sobie 8 Kw. 1889 roku gdy mię w Kireńsku z więzienia wypuścili, rozmowę z D. wieczorem tego dnia. Aha o D. prawda że go wzięto i wyobraź sobie w dzień jego ślubu, gdy przyszedł po ślubie do domu tam już go oczekiwali żandarmi. Ot już facetowi się nie powodzi w sprawach miłosnych, po tylu próbach, gdy nakoniec choć jedna dosięgła celu wmieszały się siły zewnętrzne, niezależne, by znowu mu przeszkodzić, Feliksa śmieje się że zyskał przynajmniej to że będzie komu chodzić do niego na widzenie się do więzienia. Jak widzisz więc zupełnie niepotrzebnie pisał on tobie z takim przekąsem o Feliksie. Jego listu do ciebie absolutnie nie rozumiem, poco on go pisał. W Subbotę otrzymałem list od ciebie, w którym ty wiele głupstw gadasz, moja miła. W jednym ze swoich listów pisałem ci o tem że ja po 4 Lipca zacząłem żyć spokojniej przypuśćmy nawet apatyczniej — apatyczniej ze względu na społeczne moje przekonania, ty zaś uważasz ten wynik jako wpływ twojej osoby. Mylisz się, droga Olesiu. Wogóle jestem przekonany, że szczęście indywidualne osobliwie przy naszych (mówię tu o wygnaniu)¹ podłych warunkach zawsze ma wpływ taki że umysł nie zatrzymuje się na potrzebach społecznych. Taki też wpływ spostrzegłem na sobie w Kireńsku. Zresztą sędzę, że i ten wpływ znikłby zczasem. A ty już według swego zwyczaju zaczęłaś gadać głupstwa, że ty powinnaś być rozsądniejszą, że trzeba było ci inaczej postępować itd. Fe, wstydź się Olesiu! Proszę ciebie i nie myśleć o tem, wszak sędzę że mi wierzysz gdy ci mówiłem i mówię, że ty zostaniesz na zawsze najlepszym wspomnieniem mojem z Syberyi. Co o tem i mówić, wszak to twój taki nierozumny charakter, mam zresztą nadzieję że gdy się za rok zobaczymy przekonam ciebie i wykażę tak jasno jak na dłoni, że ty masz na mnie wpływ doskonały. Nie, dzisiaj jakoś nie mogę wyrazić myśli swoje tak jakbym chciał zęby mi wciąż przerywają pisanie, płaczą myśli w głowie. W jednym z przyszłych listów wrócę do tej² kwestyi, wtedy zrozumiesz jak się mylisz. Eh, prędzej by rok ten przeszedł, prędzej by się wyrwać z tej Syberyi, prędzej by się zobaczyć z tobą z kolegami z krewnemi. Napisałem z kolegami i przypomniałem sobie niedawne areszty niektórych kolegów w Rossyi, z kolegami to może się i nie zobaczą ale ciebie mam nadzieję nikt mi do mego

przyjazdu nie odbierze. Tylko co wychodziłem po tytoń do magazynu. Ot kiedy pogoda śnieg pada wiatr jęczy, a wczoraj wszak u nas było 18° ciepła w cieniu — na słońcu więc zapewne było 20 kilka stopni. Ot tobie i kraj, dzisiaj lato, jutro zima. I tak to ma się trzymać jeszcze miesiąc cały. W liście swoim ty piszesz bym cię zawiadomił o tem co ja będę siał i co zbiorę na swem polu. Już ten projekt porzuciłem zupełnie i to tak dawno że nawet z pewnem zadziwieniem przeczytałem twe żądanie. „Jakie pole u licha” myślałem i później tylko przypomniałem że rzeczywiście kiedyś miałem podobny zamiar. Ot już te przekłete przestrzenie gdy listy chodzą tak długo po bożym świecie, że później gdy otrzymasz odpowiedź na swój list nieodrazu zrozumiesz czy to na twój list odpowiadają czy nie. Teraz w Syberyi osobliwie na trakcie robią masę rewizyj u zesłanych, były nawet w Tiumieniu, zapewne wszystko to z powodu przejazdu Następcy tronu, którego oczekują w Czerwcu czy Lipcu, robią na jego spotkanie wiele przygotowań, przyczem bywa wiele też śmiesznego. Naprzykład tutejsi włościanie i kozacy wcale niechętnie wyjawiają swój entuzjazm z powodu odwiedzin Cesarskiego syna, niechętnie też dają ludzi i koni na jego spotkanie i przejazd. Siedzący w Irkucku Ewelina i kompanja dotychczas tam siedzą przyczem od nich samych dochodzą dosyć sprzeczne wiadomości. Raz piszą że wkrótce wysyłają ich do Jakucka to znów ostatni list Grabowskiego do Łojko donosi, że sprawę przysłano napowrót z Petersburga dla dopełnienia niektórych szczegółów i że mają ich oddać pod sąd, słowem pewnego nic niema oprócz tego że faceci siedzą i siedzą bez końca już dwa lata. A z Kireńska w Wost. Obozr. pisali że Zarudenko pamiętasz zasiedatiel w Witimie zabity przez jakiegoś posieleńca, oto dobrze, wart tego. No zdaje (się) Sybirskich nowin w ostatnich czasach nie nabrało się więcej ani jednej. Jak widzisz staram się spełnić twą prośbę w tym względzie. U nas w Tuncie ma się rozumieć spokojnie tylko żandarmi denerwują swemi donosami. Tutaj jest kilku żandarmów i ci nie mając co robić zajmują się wymyślaniem powodów dla donosów i zasypują nimi gubernatora. Najczęściej bywa to z powodu głupstw, ale zawsze to nieznośne. No Leosieńko bywaj zdrowa. Całuję cię serdecznie więcej pisać nie mogę zęby bolą twój

Ziu

(Na dolnym marginesie tej strony):

9/IV. Dobrydzień Olesiu! Już mniej niż rok pozostało do końca wygnania. Całuję cię z tego powodu serdecznie.

(Na górnym marginesie 1-szej strony listu): Jeszcze raz ci przypominam, że „że” po polsku „czto”, a rosyjskie „że” po polsku „zaś”³.

1) Wyrazy: „(mówię tu o wygnaniu)” wpisane dodatkowo ponad wierszem. 2) Przed: „do tej” skreślone: „kiedy”. 3) Wyrazy: „czto” i „że” po rosyjsku.

Nr 32.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 22/IV Kochana Olesiu! Piszę do ciebie na drugi dzień świąt nie mam potrzeby i mówić że wspominając święta, które już mi się zdarzyło spędzić w Syberii, wspominałem i o tobie, ma się rozumieć najpamiętniejszemi są mi święta 1889 roku gdy mię z więzienia wypuścili. Wczoraj nawet od tych wspomnień w połączeniu z innymi myślami jakoś nawet niedobrze się czułem, tęskno mi się zrobiło i smutek mię ogarnął. Tutejsza kompanja nasza odrazu mi dokuczyła i drapnąłem do domu i później nawet z winta drapnąłem znowu. W Subbotę otrzymałem list od ciebie gdzie mi robisz wymówki za długie milczenie i robisz wciąż swe nierozumne domysły o zmianie we mnie względem ciebie. Nie, Leosiu jeżeli się kiedy przekonam że rzeczywiście nie czuję do ciebie nic tego co było dawniej i jest teraz nie będę cię oszukiwał lecz powiem ci wprost o tem, pomimo że zawsze jest to nadzwyczaj ciężko i nieprzyjemnie. Możesz więc być o to zupełnie spokojną. Teraźniejsze święta spotykają u nas dosyć paradnie. Dzisiaj będzie wieczór u Tarkowskiego, jutro u Juszczyńskiego. Wczoraj zbierali się u Gołubiatnikowych. Wszyscy tutaj przed świętami mieli dużo kłopotów, każdy cokolwiek przygotowywał, kupował. Co do mnie to ma się rozumieć nie zadawałem sobie trudu w tym względzie i u mnie nic a nic (nawet chleba) niema.

29/IV Tak mi się nie udało skończyć listu w przeszłym tygodniu i odesłać go z zesłą pocztą, no ale już święta przeszły i dobrze to, zwykle gdy się wybije ze zwykłego trybu życia później długo trudno mi bywa wzięść się za cokolwiek. Przeszły tydzień zeszedł nadzwyczaj prędko, doprawdy u siebie w domu nie byłem prawie chwili, wciąż to u tego to u drugiego to na koniec na polowaniu (całych parę dni byliśmy na polowaniu

na kaczkę) Dzisiaj pierwszy dzień który¹ spędzam po większej części w domu i jakoś dziwnie się czuję, jakgdybym był² nie w domu a w gościnie gdziekolwiek. Ale zato też i w głowie dają się czuć święta, głowa te dni ma się rozumieć była pusta całkowicie, o niczem oprócz zabawy, przyjemności się nie myślało, a tu jeszcze dodaj wpływ wiosny, wpływ podwójny, po pierwsze ciągnie cię do lasu, na rzekę wogóle na łono przyrody, a z drugiej wiatry zmienność powietrza i ciepła a stąd ciągle katary i zrozumiesz moja miła łatwo że niczem się zająć nie mogę nawet gazety i te leżą od kilku dni u mnie na stole nieprzeczytane, aż mi wstyd się zrobiło takiego spędzania czasu, ale nic na to nie poradzę tu mię ciągną na karty, tam nazajutrz na polowanie, tam wprost zajdziesz do kogo i zaszedsz się aż do późna i tak dalej. Osobliwie polowanie teraz dużo mi czasu zajmować będzie gdyż do końca maja teraz trzeba śpieszyć bić kaczkę, gdyż później aż do Lipca żadnego polowania nie będzie trzeba więc korzystać z czasu.

A wiesz Bałagańców (Ułanowską, Kranichfelda i komp.) oddają pod sąd lecz nie wojenny a zwyczajny, teraz więc sprawa ich przeszła do rąk sędziego śledczego (sledowatiela³ — dodają dla większej zrozumiałości) i kiedy się skończy niewiadomo, my tu sądzimy że zapewne posadzą ich na jakie parę lat do więzienia nie więcej, a zresztą kto ich tam wie może zechcą użyć w tym wypadku srogości. Przynajmniej teraz gdy oczekują następcy tronu u nas tu wyprawiają komedye. Mancewicz prosił puścić go do miasta — pozwolili lecz z warunkiem by jechał do świąt a papier przysłali przed samymi świętami. Później dano rozkaz naszemu bezpośredniemu naczalstwu by miało na nas jaknajbaczniejsze oko. Tutaj mamy oprócz nadziratela jeszcze trzech żandarmów otóż teraz powiadają na przejazd Jego wysokości mają nam przysłać jeszcze kilku żandarmów z oficerem i kilku kozaków, napewno do każdego z nas chcą postawić stróża. I to wszystko dlatego że przejazd jego nastąpi za kilka miesięcy i w oddaleniu sta wiorst od Tunki. Nie to trzeba zupełnie stracić rozum by coś podobnego wymyślać i wszak wszystko to robi się na seryo. Z Irkucka zdaje się naszych nie wyprawia przynajmniej tak mówił Sadownikow (pamiętasz adwokat co bywał u Stanisława). On tu przyjeżdżał na parę dni na święta. A wiesz jak przyjemnie teraz myśleć że z każdym dniem coraz mniej niż rok się zostało. Pierwiej gdy mi jeszcze więcej niż rok było jakoś nie tak się cieszyłem a teraz tak zdaje się cieszyć się jak się przybliża czas gdy będę swobodnym od nieproszonej opieki, Gdy nakoniec wyjadę i przyjadę do kraju do ciebie do wszystkich co tam jesteście.

Niedawno otrzymałem list od Celinki, w którym pomiędzy innymi ona mi pisze „musiałeś odnaleźć swoją Leonardę, bo się

obydwej uspokoiłicie” tak mi się⁴ te „swoją Leonardę” spodo-
bało że przeczytałem list kilka razy by przeczytać jeszcze raz te
wyrazy. Tobie zapewne często przypominają o mnie, często mó-
wią o mnie z tobą, a mnie to się bardzo rzadko zdarza, no więc
gdy nakoniec spotkałem choć w liście napomknienie o tobie a
osobliwie w takim zestawieniu ze mną ucieszyłem się bardzo.
No a ty jak święta spędziłeś? Wesoło? Co masz zamiar pora-
biać? Gdzie się osiedlisz? zresztą poco zadają te pytania wszak
napisziesz mi i tak o tem wszystkim, pytam zaś dlatego że nie-
raz mię zajmują te pytania, osobliwie jakie ty będziesz miała
zajęcia co będziesz robiła. Boże ty mój jaki ja leniuch. Dzisiaj
zamierzałem napisać całą kupę listów, a teraz już bardzo późno
a ja zdążyłem zaledwie napisać do ciebie. Nic nie poradzisz wi-
docznie trzeba odłożyć pozostałe listy w stronę, i czekać nim
przyjdzie na nie natchnienie. Bieda z tym lenistwem, wszędzie
mi z niem bieda, a poprawić się nie mogę. No bywaj mi zdrowa
miła Olesiu. Całuję cię serdecznie twó

Ziu

Twoim serdeczne ukłony załączam.

1) Przed: „który” skreślone: „g”. 2) Wyraz: „był” wpisany dodat-
kowo ponad wierszem. 3) Wyraz: „Sledowatiela” — po rosyjsku. 4) Wy-
raz: „się” wpisany dodatkowo, ponad wierszem; poprzedzające: „mi”
poprawione z pierwotnego: „mie”.

Nr 33.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 20/V Kochana miła Olesiu! Oto już się kończy
Maj już wkrótce tylko 10 miesięcy zostanie mi do końca termi-
nu i zarazem połowa tego czasu co mi zostawał od twego wyjazdu
z Irkucka. Wszak to już 16 miesięcy zeszło od naszego rozsta-
nia się na Troickim Przewozie. Kupa czasu Ty już w ostatnim
liście zaczynasz pisać głupstwa „dokuczyło mi moje życie” Oto
twoje słowa! Gdybym był tam przy tobie natarłbym ci za to
uszy, no a zdala żałuję ciebie moja ty miła! Czy to warto tak z
powodu osobistych niepowodzeń opuszczać ręce. Ja wiem ty
święcie wierzysz że popierwsze ty do niczego nie jesteś zdatną, a

powtóre że masz nieszczęście że wszystko co się ciebie tyczy wszystko źle się kończy. Ależ kochana Olesiu czy można seryo w podobne rzeczy wierzyć. Ja wiem że podobne przekonywania zdaleka, przekonywanie listowne, gdy nie można bezpośrednio wlać niejako choć trochę życia i energii¹, wiem że do niczego nie prowadzi. Ale pomimowoli chce mi się ci wskazać że w każdym położeniu trzeba pamiętać o tem że się służy czemuś wyższemu — idei, że z szacunku przed tą ideą nie trzeba wpadać w pesymizm a wierzyć że przyszłość do nas należy tylko wtedy gdy my dla tej przyszłości pracować będziemy.

Et co tam mówić o tem, ty wiesz co ja o tem myślę nieraz wszak rozmawialiśmy o tem, ja doskonale rozumiem przyczyny które² na³ ciebie wpłynęły w ten sposób i nie powiem żebym nie widział wyjścia wcale. Zresztą zapewne gdy list ten dojdzie do ciebie nie będziesz już w podobnym stanie. Paskudna jednakże to rzecz te szalone przestrzenie. Wszak to nie można zaraz przyjść z pomocą ze słowem pociechy. Kiedyż to nakoniec my z tobą zobaczymy się. Teraz coraz częściej przychodzę do przekonania że mi dodadzą koniecznie. Sprawa 1 Marca, a oprócz tego taka massa ludzi kończy wygnanie w przyszłym roku. Co wtedy będzie trudno mi przewidzieć. Chyba że bardzo kiepsko. Już teraz zaczyna mię opanowywać gorączka i niecierpliwość jakby to jaknajprędzej by się dowiedzieć i wyjaśnić swe położenie. Niepewność mię męczy. Za kilka dni rok jak wyjeżdżałem z Kireńska i pomimowoli przychodzi mi na myśl a za rok co będzie? Et lepiej o tem nie myśleć! Co będzie to będzie. Nie odemnie zależy rozstrzygnąć tę kwestyę tak lub inaczej, więc będę czekał. A czekać wcale mi się nie chce. Zresztą ostatnie czasy jakoś kiepsko się czuję. Znerwowany, niecierpliwy, niezadowolony z siebie, ze wszystkich otaczających. Dla uspo(ko)jenia siebie chodzę wciąż na polowanie aż do zmęczenia, wogóle staram się zapomnieć o sobie no nie zawsze ale niekiedy to mi się udaje. Przyczyn ku temu dosyć wiele nie chce mi się tu ich rozpisywać. Sądzę że to przejdzie czasem. Teraz zaś dosyć małej rzeczy by mię rozdrażnić. Ot i teraz. Od rana byłem na egzaminie dzieci Michalewicza którzy dzisiaj zakończyli roczne nauki, i to mię tak podrażniło że nie mogę przyjść do siebie uspokoić się. Czort wie co! Dlatego też mój list taki głupi. A tu w dodatku znowu historia z posobjem znowu mi przestali je wydawać i znowu z tegoż powodu trzeba więc pisać prośby a to już mi dokuczyło i gniewa strasznie. Ah prędzej by skończyć te wygnanie prędzej by zależeć tylko od siebie nie czuć nad sobą tej przekłetej opieki policji i administracji. Wybacz Leosiu że piszę tak nieporządnie dalibóg trudno mi teraz inaczej. Dosyć ci wiedzieć że kocham ciebie jak dawniej że chciał-

bym ciebie zobaczyć uściskać serdecznie serdecznie i uspokoić
i ciebie i siebie.

Dowidzenia miła twój

Ziu

1) W oryginale: „energii”.. 2) Przed: „które” skreślone: „dla”.
3) „na” wpisane dodatkowo ponad wierszem.

Nr 34.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

Tunka 11/XII Kochana Leosiu! Dotychczas oczekiwałem wciąż listu od ciebie, nie chciało mi się pisać dopóki zupełnie nie wyjaśnię sobie jak ty spojrziałaś na tę sprawę o której ci pisałem w ostatnim liście. Otrzymałem od ciebie telegrammę ale ta sucha wiadomość o tem że ty puszczasz¹ tę historję w niepamięć nie zadowolniała mię. Mnie trzeba było twoich myśli, twojej duszy żebym mógł w nią zaglądnąć, żebym mógł choć z różnych słów odgadnąć co się tam dzieje. A listu jak nie ma tak niema. A tu zaszły wypadki które mię zmusiły napisać do ciebie korzystając z okazji która się zdarzyła. Rzecz w tym że mię oddano pod kontrolę, listy więc moje nim dojdą do mnie przejdą przez różne ręce ludzi nietylko mi obcych ale nawet niesympatycznych, dotknięcie których do moich, a osobliwie, miła Leosiu, twoich ran zbyt jest ohydnem bym chciał ciebie i siebie narażać na to. W tych dniach zaś jedzie do domu Tarkowski, przez niego więc odsyłam listy do wszystkich moich korespondentów z zawiadomieniem o tem co się stało ze mną, o zmienionych warunkach korespondencji. W ostatnich czasach weszło tu w modę oddawanie pod kontrolę i połowa prawie z nas — 8 — już jest pod cenzurą. Co za przyczyzna tego ma się rozumieć nie wiadomo.

Ah Leosiu, Leosiu teraz niekiedy wprost płakać mi się chce gdy pomyślę o dawniejszem i o tem co potem zaszło Co do mnie postanowiłem sądzić² o naszych stosunkach tylko po powrocie do kraju gdy się z tobą zobaczę i osobiście o wszystkim pogadam. A teraz jak o tem wszystkim pisać kiedy pióro nie słucha uczucia i rozumu i nie zdolnem jest wyrazić wszystkiego co się myśli i

czuje osobliwie w tak śpiesznym liście jak ten co go do ciebie piszę. Jabym z tobą wiele bardzo wiele o tem wszystkiem pomówił ale pisać i nie chcę i nie mogę. Wszystko więc odkładam do powrotu Teraz on mi się wydaje zupełnie bliskim tylko 120 dni do końca terminu. Ma się rozumieć³ przy przybliżeniu się tego dnia, niecierpliwość rośnie z każdą godziną, osobliwie teraz gdy chęć ta została rozdrażnioną przez powrót do domu Tarkowskiego. Tu wszyscy mi przepowiadają że to nie ostatni rok co zmuszony będę spędzić w Tuncie. Wszyscy opierają się w tej przepowiedni na tym że sprawa za którą zesłany jestem to — 1 Marca. Co do mnie osobiście to ma się rozumieć miewam⁴ różne⁵ myśli. Niekiedy wierzę że mię puszcza to wtedy gdy puszcze wodzy mej wyobraźni i ona mi zacznie przed oczyma rysować różne obrazy przyszłości. Tak ja wtedy wierzę, bo chcę tego. Gdy⁶ bywa mi kiepsko i nerwy się rozchylają, a to w ostatnich czasach bardzo często bywa, wtedy zawsze myślę o tem, że na tych 5 latach, com już prawie przeżył, wcale się nie skończy. Teraz jeszcze mam kłopoty z pieniędzmi na drogę. Dotychczas nie miałem odpowiedzi od swoich czy wysła mi pieniądze czy nie. A Ciocia z Woroneżu mi pisze, że interesa moje majątkowe do tego stopnia są kiepskie że ona wątpi by mnie mogli potrzebne mi pieniądze przysłać. Dlatego też i wątpię bym mógł przyjechać do Rossyi wcześniej jak⁷ miałem zamiar dawniej. Będę zapewne zmuszony czekać pieniędzy z domu bez końca, osobliwie gdy mi z domu co obiecują, a będą według zwyczaju z tym zwlekać bez końca. A tak by się chciało by to wszystko prędzej się skończyło. Prędzej, prędzej rzucić to wszystko i zacząć nowe życie. Dobrze jeszcze że jest lekcya za którą spędzam cały ranek aż do godziny 1/2 do 4-ej zawsze to stała praca i daje niekiedy uspokojenie a to teraz gdy polowania niema, to często byłoby bardzo ciężko. No ale co tam się skarżyć mogę o sobie powiedzieć „Tu l'a voulu Georges Dandin”⁸ Jak ty kochana Leosiu żyjesz co porabiasz. Z listu Sierg. Pawł. wiem że mieszkasz stale w odessie nawet adres mi twój przysłał, ale co ty tam robisz tego nie wiem.

Teraz co do warunków korespondencyi. Ja nie chcę prosić u nikogo adresu jeżeli więc uznajesz to za możebne pisz wprost na mój adres co do mnie to będę korzystał z okazji które się tu zdarzają by posłać list bez cenzury i tylko w ostatecznym razie będę pisał przez władzę, ale listy wtedy będą u mnie zupełnie oficjalne. Ah ty mój Boże jeszcze całych 118 dni do powrotu. Kiedyż to one przejdą! Zapewne z listów Stanisławowstwa wiesz, że Bałagańców osądzono na 4 lata katongi i to po tylu latach więzienia. O Diemj. nic nie wiem. Wogóle w ostatnich czasach pisywałem i otrzymywałem listy bardzo rzadko Jakoś odpada ochota

od korespondencyi. No kochana Leosiu bywaj mi zdrowa. Muszę kończyć, śpieszę na lekcję. Dowidzenia.

Ziu

1) Przed: „puszczasz” skreślone: „zostawiasz”. 2) Przed: „sądzić” skreślone: „liczy”. 3) W wyrazie: „rozumieć” pierwsze trzy litery przerobione z innych, nieczytelnych. 4) „Miewam” wpisane ponad wierszem, nad skreślonym: „bywam”. 5) Pierwotnie: „w różnych”. 6) Przed: „Gdy” skreślone: „Cy” przerobione z „by” (?). 7) Przed: „jak” skreślone: „niż”.

Nr 35.

[Do Leonardy Lewandowskiej]

(Ciechocinek 22/VIII [1893?])

Szanowna Panno Leonardo!

Teraz dopiero będąc w Warszawie dowiedziałem się, że dzięki niezafatwieniu przez jednego z kolegów danego mu zlecenia stałem się winnym wobec Was. Nie pamiętam już na¹ jaki to dzień miałem być w Warszawie i zobaczyć się z Wami i rzeczywiście terminu nie chybiłem, lecz interesy tak się złożyły że musiałem zaraz wyjeżdżać dalej. Byłem w Warszawie wówczas od godz. 6 rano do 9-ej w godzinach tak rannych nie mogłem zająć do Was więc prosiłem jednego z kolegów by kartkę z przeproszeniem, którą napisałem, przesłał Wam przez posłańca. Teraz zaś okazało że chłop o tem zapomniał i w ten sposób uniemożliwił mi nawet listowne pożegnanie z Wami. Piszę ten list nie będąc pewnym czy dojdzie rąk Waszych, bo dokładnego adresu Waszego nie wiem, a nie mogłem w Warszawie znaleźć pani Grudź. od której miałem nadzieję ów adres otrzymać. Obecnie jestem na kuracji w Ciechoc. Nudy śmiertelne, ale tak mię już nogi dokuczyły że chyba wytrzymam i nudy do końca. Chciałbym wiedzieć czy list mój doszedł rąk Waszych, jak zarówno byłoby mi przyjemnem od czasu do czasu wiedzieć co o Was i Waszej rodzinie. Niestety teraz swego adresu dać nie mogę, natomiast gdybyście sobie życzyli napisać mi parę słów w drugiej połowie Września to piszcie na adres profesora (na bank, imię Dominik). Pisałem niedawno do Michała, prosząc go o odpowiedź przez Was, gdyby

więc list od niego nadszedł proszę go odesłać również na adres profesora. Zatem zasyłając Wam serdeczne pozdrowienia zostaje szczerze przyjaznym.

Ziu

1) „na” wpisane dodatkowo ponad wierszem.

s. 230

NOWOŚCI HISTORYCZNE

BIBLIOGRAFIA UKRAIŃSKA

Andrij BIŁYŃSKYJ, *W obozach koncentracyjnych Związku Sowieckiego, 1944-1955. Wspomnienia i obserwacje.* Wydawnictwo „Orlyk” (Monachium-Chicago, 1961). Str. 379.

Autor przebywał przez prawie dwanaście lat w sowieckich obozach koncentracyjnych Workuty i Karagandy. Pracując przez dłuższy czas na Workucie w orkiestrze miejscowego teatru, miał względną swobodę poruszania się i mógł stykać się z ludnością. Za udział w tajnej ukraińskiej organizacji i za związki z nacjonalistycznym podziemiem ukraińskim Biłyński został skazany na śmierć, później jednak go ułaskawiono i jako niemieckiego obywatela i byłego jeńca wojennego repatriowano do Niemiec. Posiadając przygotowanie naukowe i poważne zainteresowania polityczne, potrafił zdobyć się na wiele niezmiernie interesujących obserwacji. Zwłaszcza dużą wartość posiadają te rozdziały, w których autor opisuje i poddaje analizie zbiorową psychologię i polityczne idee różnych narodowości i społecznych nawastrzeń ludności Związku Sowieckiego. W olbrzymiej literaturze wspomnieniowej o sowieckich obozach koncentracyjnych książka Biłyńskiego stanowi jedną z najważniejszych pozycji i zasługuje, by ją przełożono na inne języki.



Łonhin CEHELŃSKYJ, *Od legend do prawdy: Wspomnienia o wydarzeniach na Ukrainie, związanych z Pierwszym Listopada 1918 roku.* Wydawnictwo „Buława” (Nowy York-Filadelfia, 1960). Str. 313.

Autor tych wspomnień niegdyś posłował do austriackiego parlamentu i Galicyjskiego Krajowego Sejmu z ramienia partii Narodowo-Demokratycznej, następnie zaś był członkiem rządu Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej w latach 1918-19. Od roku 1920 Cehelński przebywał w Stanach Zjednoczonych, gdzie w końcowym okresie życia redagował ukraiński dziennik katolicki „Ameryka”. Zmarł w roku 1950. Wspomnienia napisane są żywo, z literackim talentem. Jako źródło historyczne nie zasługują jednak na bezwzględne zaufanie; autor wykazuje skłonność do nieco swobodnej interpretacji faktów oraz do przeprowadzania porachunków z niemilymi mu osobami. Tym niemniej są interesujące, gdyż dobrze oddają atmosferę tamtych czasów. Zwłaszcza zasługuje na uwagę przedstawienie psychicznych różnic i politycznych rozbieżności między Ukraińcami halickimi i nadnieprzańskimi.

Mychajło S. HRUSZEWSKYJ, *Prace wybrane*. Wydane z racji 25-lecia śmierci (1934-1959). Wybrał i przygotował do druku Mykoła Halij. Nakładem Głównego Zarządu OURDP (Zjednoczenia Ukraińców o przekonaniach rewolucyjno-demokratycznych) w Stanach Zjednoczonych (Nowy York, 1960). Str. 262.

Na książkę składa się wybór artykułów Hruszewskiego, głównie z okresu 1917-18, gdy autor stał na czele ukraińskiego rewolucyjnego parlamentu, Centralnej Rady. Niezależnie od pewnych technicznych niedociągnięć, publikacja ta jest wartościowa, gdyż umożliwia zapoznanie się z politycznymi pismami Hruszewskiego, które są obecnie mało dostępne. „Prace wybrane” świadczą, że wielki historyk był również niepospolitym publicystą i politykiem o rozległej myśli. Artykuły, zebrane w powyższym tomie, dają pojęcie o ideach i zasadach wewnętrznej i międzynarodowej polityki, przyjętych przez ukraińską demokrację rewolucyjną, w 1917 i w latach następnych. Legły one u podstaw Ukraińskiej Republiki Ludowej.



Mykoła KOWALEWSKYJ, *U źródeł walki*. Wspomnienia, wrażenia, refleksje. Nakładem Marii Kowalewskiej (Insbruk, 1960). Str. 717.

Wspomnienia Mykoły Kowalewskiego, który zmarł w roku 1957, dzielą się na trzy części. Część I, „W przede dniu (1905-1917)”, poświęcona jest młodziemu i studenckim latom życia autora, oraz początkom jego działalności politycznej i jako członka nielegalnych kółek rewolucyjnych. W części tej znajdujemy również doskonale przedstawiony obraz narastania narodowego ruchu ukraińskiego w carskiej Rosji w przeddzień i podczas pierwszej wojny światowej. Część II, „Rewolucyjny zryw (1917-1920)”, poświęcona jest latom ukraińskich walk wyzwoleniczych i budowania państwowości. Sam Kowalewskyj odgrywał aktywną rolę w wydarzeniach owych czasów; był jednym z przywódców ukraińskiej partii Socjalistyczno-Rewolucyjnej (UPSR), członkiem Centralnej Rady, oraz ministrem w rządzie Centralnej Rady (1917-18) i Dyrektoriatu (1919). Wspomnienia Kowalewskiego o rewolucji ukraińskiej przynoszą obszerną informację, dotyczącą mało znanych faktów, błyskotliwą charakterystykę postaci i ugrupowań, oraz ciekawe analizy polityczne. Obok uprzednio ogłoszonych wspomnień Dymitra Doroszenki i Isaka Mazepy, książkę Kowalewskiego należy uznać za jedno z najważniejszych pamiętnikarskich źródeł ukraińskiej historii na przełomie rewolucyjnych lat. Część III, „Na obczyźnie (1920-1939)”, jest poświęcona emigracyjnemu okresowi w życiu autora, gdy przebywał on przeważnie w Warszawie. Ta ostatnia część przynosi informacje i uwagi, które mogą zainteresować polskiego czytelnika. Dotyczą one ówczesnej sytuacji politycznej w Polsce, zagranicznej polityki, zagadnienia mniejszości narodowych, oraz fatalnego rozwoju stosunków polsko-ukraińskich. Wspomnienia Mykoły Kowalewskiego ukazują człowieka, który nie tylko odznaczał się wyjątkową zdolnością obserwacyjną i wielką inteligencją polityczną, ale równie świetnie władał piórem.



Ukraińska Halicka Armia. W czterdziestolecie jej udziału w wyzwoleniczych walkach (Materiały historyczne). Wydał Dmytro Mykytiuk (Winipeg, 1958). Str. 670.

Monumentalna praca zbiorowa kilkunastu autorów, poświęcona dziejom Ukraińskiej Halickiej Armii. Oprócz wstępnych rozdziałów, przedstawiających polityczne i wojskowe tło ukraińskiego przewrotu na ziemi Halickiej w listopadzie 1918 roku, na książkę składają się następujące części: „Organizacja armii”, „Uzbrojenie”, „Zafrontowe i pomocnicze formacje”, „Organizacja tyłów”, „Bojowe czyny UHA”, „Zakończenie”. Doniosły wkład do historii tworzenia ukraińskiej państwowości na ziemi Halickiej, oraz wojen polsko-ukraińskiej i ukraińsko-sowieckiej w latach 1918-19. W międzyczasie ukazał się drugi tom tej pracy, ale recenzent nie miał jeszcze możliwości go poznać.



Jurij BORYS, *The Russian Communist Party and the Sovietization of Ukraine: A Study in the Communist Doctrine of the Self-Determination of Nations* (Stockholm, 1960), Pp. VI, 374.

Analiza polityki rosyjskich komunistów w stosunku do Ukrainy w latach 1917-23. Praca oparta na olbrzymim materiale źródłowym, który w znacznej części nie był dotychczas wykorzystany przez historyków. Autor jest młodym ukraińskim naukowcem, przebywającym w Szwecji. Książka ta powstała jako praca doktorska na uniwersytecie w Sztokholmie.



Hryhory KOSTIUK, *Stalinist Rule in the Ukraine: A Study of the Decade of Mass Terror (1929-1939)*. Institute for the Study of the USSR (Munich 1960). Pp. XIV, 162.

Okres lat trzydziestych w dziejach Ukraińskiej Republiki Sowieckiej nie został dotąd zbadany pod względem historycznym. Książka Kostiuka wypełnia tę lukę w miarę możliwości, zanim staną się dostępne sowieckie archiwa. Autor wykorzystał w swojej pracy ówczesną prasę Sowieckiej Ukrainy, oraz wspomnienia naocznych świadków, do których sam się zalicza. Książka przynosi obiektywny obraz tragicznego dziesięciolecia, podczas którego ofiarą bezprzykładnego terroru padły miliony chłopów, wyępionych sztucznym głodem, wielotysięczne kadry ukraińskiej inteligencji, jak również niemal wszyscy wybitniejsi komuniści ukraińscy. Szczególnie interesujący jest rozdział, przedstawiający prowokacyjne metody GPU przy fabrykowaniu fantastycznych „kontrewolucyjnych i szpiegowskich organizacji”. Końcowy rozdział omawia pierwsze posunięcia Chruszczowa w roli „wodza ukraińskiego narodu” z łaski Stalina.



Ihor KAMENETSKY, *Secret Nazi Plans for Eastern Europe: A Study of Lebensraum Policies*. Bookman Associates (New York, 1961). Pp. 263.

Książka przynosi systematyczną analizę nazistowskiej ideologii „przeżrzeni życiowej”, oraz niemieckich planów kolonizacji, germanizacji, gospodarczego wyzysku i fizycznego wyniszczenia narodów wschodnio-europejskich. Autor jest profesorem nauk politycznych na jednym z uniwersytetów amerykańskich.



Vasyl MARKUS, *L'Ukraine Soviétique dans les Relations Internationales et son statut en Droit International 1918-1923*. Préface de Charles Rousseau (Les Editions Internationales, Paris, 1959). Pp. 326.

Książka omawia krótki okres czasu od sowietyzacji Ukrainy do utworzenia Związku Sowieckiego w roku 1923, kiedy Ukraińska Republika była formalnie państwem niezależnym, posiadała własne przedstawicielstwa dyplomatyczne w niektórych krajach i zawierała umowy dyplomatyczne. Markus potraktował swoje studium w dwóch płaszczyznach: historii dyplomatycznej i prawa międzynarodowego. Polskich czytelników zainteresują rozdziały omawiające wojnę polsko-sowiecką w roku 1920 i traktat w Rydze.



The Annals of the Ukrainian Academy of Arts and Sciences in the United States, (New York, 1961), Vol. IX. No 1-2 (27-28): *Studies in the History of the Post-Revolutionary Ukraine and the Soviet Union*. Pp. 344.

„Annaly” Ukraińskiej Wolnej Akademii Naukowej w Stanach Zjednoczonych (UWAN) zdobyły sobie w ciągu dziesięciu lat swego istnienia opinię rzetelnego czasopisma naukowego. Ostatni tom „Annalów” poświęcony jest w całości opracowaniom z dziedziny sowietoznawstwa i najnowszej historii Ukrainy. Tom zawiera artykuły ukraińskich, amerykańskich i niemieckich autorów. Polskiego czytelnika powinna zainteresować praca Borysa Lewickiego „Ukraina Sowiecka a europejskie kraje ludowo-demokratyczne (1958-1960)”, oraz Lwa Szankowskiego „Ukraińska Armia Powstańcza według źródeł sowieckich i satelickich”.

BIBLIOGRAFIA ANGIELSKA

EAST (William David) Gordon: *An historical geography of Europe* (4 wydanie z nowym posłowiem) Londyn, grudzień 1961, Methuen, XX, 492 str., 22 1/2 cm., cena 35/-.

HALECKI, Oscar: *A history of Poland*, wydanie zrewidowane, tłum. Monica M. Gardner i Mary Corbridge-Patkaniowska, Londyn, 1961 (styczeń 1962), Dent, XIV, 370 str., 22 cm., cena 30/-.

KONECZNY, Feliks: *On the plurality of civilisation*, tłum. z polskiego, przedmowa Arnolda Toynbee, wstęp Anton Hilckman, Polonica Publications, 16 Belmont Road, Londyn, N. 15 (Polonica series, ed. by Jędrzej Giertych N. 2), 1962, XV, 348 str., 22 cm., cena 42/-.

PEARSON, George: *Towards one world, an outline of world history from 1600 to 1960*, Cambridge University Press, 1962, VIII, 333 str., 22 1/2 cm., cena 25/-.

MACARTNEY, Carlile Aylmer and PALMER, Alan Warwick: *Independent Eastern Europe, a history*, London, 1962. Macmillan (New York, St. Martin Press), VIII, 499 str., 22 1/2 cm., cena 50/-.

BOAK, Arthur Edward Romilly and others: *The history of our world*, London, 1962, Harrap, XVI, 794 str., 25 cm., cena 45/- (Orig. published New York, 1959, Houghton, Mifflin).

WOODWARD, Sir Llewellyn: *British foreign policy in the II World War* (History of the II World War); London 1962, H.M.S.O., 592 str., 25 1/2 cm., cena 37/6.

BRZEZIŃSKI, Zbigniew Kazimierz: *Ideology and power in Soviet politics*. London, 1962, Thames and Hudson, VI, 180 str., 21 cm., cena 30/-.

HENEY, Helen M.: *In a dark glass, the story of Paul Edmund Strzelecki*. London, 1962, Angus and Robertson, XVI, 255 str., 24 1/2 cm., cena 42/-.

JOLL, James (Byssie), compiler: *Britain and Europe; Pitt to Churchill 1793-1940*. London, 1962, (przedruk pierwszego wydania z pewnymi zmianami), Black, XV, 385 str., 22 1/2 cm., cena 21/-. (British political tradition series, ed. by Alan Bullock and F.W. Deakin, book 3).

CLEMENT, Henry Anthony: *The story of modern Europe from 1870 to the present day*. New rev. ed. London, 1962, Harrap, 5, 276 str., 19 cm., cena 8/-. (Pierwsze wydanie 1956).

MUSMANNO, Michael Angelo: *The Eichmann Kommandos* (with a foreword by Lucius D. Clay), London, 1962, P. Davies, 263 str., 20 1/2 cm., cena 21/-.

MACDERMOTT, Mercia: *A history of Bulgaria 1393-1885*. London, 1962, Allen and Unwin, 2-355 str., 22 cm., cena 40/-.

MACARTNEY, Carlile Aylmer: *October fifteenth, a history of modern Hungary 1929-1945*, 2nd ed., Edinburgh University Press, Edinburgh, London, Nelson, 1961 (January 1962), Volume I-XIX, 509 str., Volume II — 535 str., 24 1/2 cm., cena £ 6/6/-.

VALI, Ferenc Albert: *Rift and revolt in Hungary, nationalism versus communism*, London, 1961, Oxford University Press, (Cambridge, Mass, Harvard U.P.) XVIII, 590 str., 24 cm., cena 55/-.

FEDENKO, Panas: *Ukrainskij ruch u 20 stolitti*. London, 1959 (March 1962), Nasze Slovo, 42, Sotham. Str., W. 10, 267 str., 21 cm., cena niepodana.

MEKARSKI, Stefan: *Sowiecko-rosyjskie wpływy kulturalne w „Polsce Ludowej”*, London, 1961 (grudzień), nakładem Inst. Wschodniego „Reduta” i Inst. Badania Zagadnień Krajowych, 27 str., 20 1/2 cm., cena 1/-.

KUKIEL, Marian (Włodzimierz). *Dzieje Polski porozbiorowe 1795-1921*, London, 1961 (1962). Świdzki, 3-663 str., 21 1/2 cm., cena 48/-.

PASZKIEWICZ, Henryk, redaktor. *Polska i jej dorobek dziejowy w ciągu 1000 lat istnienia: zarys i encyklopedia spraw polskich*. London, Orbis. Tom I. Zarys. 1956. (Marzec 1962), 582 str. 25 cm., cena £ 7/7/-.

SPIS TREŚCI

| | |
|---|-----|
| Bazyli Rogowski: | |
| WSPOMNIENIA O MARSZAŁKU ŚMIGŁYM .. | 7 |
| <i>Przedstowie</i> | 9 |
| <i>Marszałek Śmigły na Węgrzech</i> | 56 |
| <i>Powrót</i> | 90 |
| <i>Epilog</i> | 121 |
| Edward Rydz Śmigły: | |
| CZY POLSKA MOGŁA UNIKNĄĆ WOJNY | 125 |
| Władysław Pobóg-Malinowski: | |
| NIEZNANE LISTY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO .. | 143 |
| Józef Piłsudski: | |
| LISTY | 155 |

NOWOŚCI HISTORYCZNE

| | |
|------------------------------|-----|
| Bibliografia ukraińska | 231 |
| Bibliografia angielska | 235 |

A C H E V E D' I M P R I M E R
L E 2 1 A O U T 1 9 6 2
S U R L E S P R E S S E S D E
L' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1962

**KSIĄZKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

Józef Mackiewicz: **Kontra** (7 NF)

Paweł Zaremba: **Historia Stanów Zjednoczonych**
(18 NF)

Tadeusz Katelbach: **Rok złych wróżb** (8 NF)

Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz** (7 NF)

Paweł Zaremba: **Historia Polski, Tom I** (20 NF)

Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi** (Wydanie drugie)
(15 NF)

Bernard Singer: **Od Witosa do Sławka** (18 NF)